

SERIA Z MERCEDES THOMPSON 10

PATRICIA BRIGGS

CZAS
CISZY



PATRICIA
BRIGGS

CZAS
CISZY

PRZEŁOŻYŁA

DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Seria z Mercedes Thompson

Rozdział 1. Mercy

Rozdział 2 Adam

Rozdział 3 Mercy

Rozdział 4 Mercy

Rozdział 5 Adam

Rozdział 6 Mercy

Rozdział 7 Adam

Rozdział 8 Mercy

Rozdział 9 Mercy

Rozdział 10 Adam

Rozdział 11 Adam

Rozdział 12 Matt Smith (nie ten z „Doktora Who”) i Adam

Rozdział 13 Mercy

Rozdział 14 Mercy

Postaci (według Ann Peters)

Podziękowania

Seria z Mercedes Thompson:

1. *Zew księżycy*
2. *Więzy krwi*
3. *Pocałunek żelaza*
4. *Znak kości*
5. *Zrodzony ze Srebra*
6. *Piętno rzeki*
7. *Żar mrozu*
8. *Zamęt nocy*
9. *Dotyk ognia*
10. *Czas ciszy*



Liborowi, Martinowi i Jitce, którzy zasugerowali, że Praga powinna mieć swoją watahę wilkołaków. Mam nadzieję, że praskie wilki wam się podobały. Powodzenia.

Również Shanghaied on the Willamette, którzy wreszcie wypuścili nowy album i ocalili mnie przez zrobieniem czegoś drastycznego. Poważnie, Panowie, dziękuję Wam za Waszą muzykę.

I wreszcie Richardowi Petersowi, za „Pieprzonego Barta” – jego najnowsze ulubione przekleństwo.



Drogi Czytelniku,

Aby w pełni cieszyć się książką, zwracaj, proszę, uwagę na notki Mercy na początku każdego rozdziału. Uprzedzam, akcja nie jest do końca liniowa. Zmusili mnie do tego moi zmyśleni przyjaciele.

*Wszystkiego najlepszego,
Patricia Briggs*



Rozdział 1

Mercy

Nie po raz pierwszy wpadłam w kłopoty przez czekoladę.

Umarłam pierwsza, zrobiłam więc ciasteczka. Cieszyły się powodzeniem podczas pirackich nocek, zatem musiałam upiec ich wiele. Darryl sprezentował mi w poprzednie święta antyczną michę do mieszania, tak wielką, że zmieściłby się w niej chyba dzienny zapas wody dla słonia. Nie mam pojęcia, skąd ją wytrzasnął.

Gdybym kiedyś wypełniła tę michę ciastem po brzegi, musiałby ją podnieść jeden z wilkołaków. Wsypałam do niej osiemnaście szklanek mąki i jeszcze zostało miejsce. Pieczeniu akompaniowały pirackie okrzyki wydobywające się z piwnicznych trzewi.

– Jesse – zawołał Aiden, podnosząc głos, by przekrzyczeć entuzjastycznie wygwizdywaną, nawet jeśli zafałszowaną, interpretację melodii „The Sailor’s Hornpipe”.

– Masz mnie nazywać Cud Berberką – przypomniała mu moja pasierbica, Jesse.

Aiden może wyglądał i brzmiał jak chłopiec, ale od dawna już nie był dzieckiem. Zasymlowaliśmy go raczej, niż zaadoptowaliśmy, bo tak naprawdę był parę wieków starszy od Adama i mnie razem wziętych. Niełatwo przychodziło mu przystosowanie się do niektórych przejawów nowoczesnego życia, jak na przykład LARP-owego aspektu gry komputerowej, w którą grali.

– To zadziała, tylko jeśli będziesz myślał o mnie jako piracie, a nie swojej siostrze – tłumaczyła Jesse cierpliwie. Zignorowawszy jego

ripostę, że nie jest jego siostrą, ciągnęła: – Dopóki będziesz mnie nazywał „Jesse”, to będę dla ciebie Jesse. Żeby grać porządnie, musisz uwierzyć, że jestem piratem. Pierwszym krokiem do tego jest nazywanie mnie moją ksywką z gry, czyli Cud Berberką.

Nastąpiła pauza, podczas której ktoś wydał z siebie gardłowy ryk, pod koniec przechodzący w jęk frustracji.

– Nażryj się pąkli, pieprzony pajacu – zarechotał Ben. W grze nazywał się Pieprzonym Bartem, ale na szczęście nie musiałam tak o nim myśleć, skoro już nie żyłam.

Wyjęłam mniejszą miskę, tę, która doskonale spisywała się, dopóki nie poślubiłam wilczej watahy. Włożyłam do niej miękkie masło, brązowy cukier i wanilię. Mieszając, doszłam do wniosku, że wcale nie jestem takim kiepskim piratem, tylko po prostu nie przewidziałam pewnej sprawy. Za każdym razem kiedy umierałam pierwsza, szłam piec naładowaną czekoladą przekąską i przez to właśnie stałam się ulubionym celem.

Piekarnik zapiszczał, oznajmiając, że odpowiednio się już nagrzał, a do tego okazało się, że wszystkie cztery maty do pieczenia są w wąskiej szafce, tam, gdzie ich miejsce – co było pomniejszym cudem. Nie ja jedna pełniłam kuchenne wachty w domu, ale chyba tylko ja regularnie odkładałam rzeczy na swoje miejsce. Na przykład blachy do pieczenia lądowały w najdziwniejszych miejscach. Raz znalazłam je w łazience w piwnicy. Na wszelki wypadek nie wypytywałam o to, ale wyszorowałam skurkisyńskie formy wybielaczem, zanim użyłam ich do pieczenia.

„Skurkisyń” to słowo, które rozprzestrzeniło się w stadzie jak wirus po tym, jak „Pieprzony Bart” Ben zaczął używać go, grając pirata. Nie wiem, czy było to prawdziwe przekleństwo, którego jeszcze nikt do tej pory nie użył jako przekleństwa, na przykład jedno z tych, które było wulgaryzmem w ojczyźnie Bena, Wielkiej Brytanii (jak *fanny*, które w Ameryce ma nieco archaiczne znaczenie: zadek, a w Wielkiej Brytanii to wulgarnie określenie części kobiecej anatomii), czy może eufemizm, jak „kurde” albo „urwał nać”. W każdym razie sama złapałam się na tym, że go używam, kiedy „kurka wodna” jest za słaba, na przykład, kiedy znajduje się blachy kuchenne w łazienkach.

Uzbrojona w blachy, pomyślałam, że mam już wszystko, ale kiedy otworzyłam szafkę, w której powinno się kryć dziesięć paczek kropelek czekoladowych, znalazłam ich tylko sześć. Przeszukałam całą kuchnię i odkryłam jeszcze jedną (na wpół wyjedzoną) w górnej szafce za makaronem, co razem dawało sześć i pół porcji – mniej, niż lubiłam do podwójnie-poczwórnie czekoladowych ciastek, ale ostatecznie mogło ująć.

Nie mogło się natomiast obejść bez jajek. A jajka zniknęły jak

kamfora.

Dwukrotnie przegrzebałam całą lodówkę, łącznie z zakątkami z tyłu i stojakiem na mleko, gdzie lubiły się chować drobniejsze wiktuały. Jednak mimo że dwa dni wcześniej kupiłam cztery duże zgrzewki jaj, nie ostało się ani jedno.

Mieszkanie w komunie ze stadem wilkołaków niosło ze sobą ryzyko. Rozmrażanie pieczeni w lodówce wymagało umiejętności superszpiega francuskiej konspiracyj pracującego w sztabie generalnym nazistów. Nie zakamuflowałam jajek tylko dlatego, że uznałam, że skoro to nie słodycze ani krwiste mięso, to będą bezpieczne. Myliłam się.

Większość jajo- i mięsorabusiów siedziała aktualnie na dole pochłonięta piraceniem dalekich mórz na ekranie komputera. Fascynacja wilkołaków grą o pirackich podbojach zakrawała na ironię – wilkołaki są za ciężkie, żeby pływać. Kojoty, nawet zmiennokształtne, jak ja, mogą pływać bez przeszkód – z wyjątkiem świata „Łupu straszliwego pirata”, w którym tonęłam przeciętnie cztery razy w miesiącu.

Tym razem jednak nie utonęłam. Tym razem zginęłam z nożem mojej pasierbicy w plecach. Cud Berberka miała dużą biegłość w nożach.

– Jadę do Napadronki! – zawołałam, zatrzymując się u szczytu schodów do piwnicy. – Ktoś coś chce?

Sklep oczywiście nie nazywał się tak naprawdę, miał jakąś całkiem normalną nazwę, której nie pamiętałam. „Napadronki” to termin określający generalnie całodobowe sklepiki na stacjach benzynowych, a na przydomek zapracowały sobie w czasach, kiedy nocni kasjerzy siedzieli w nich sami z kasami pełnymi gotówki. Technologia – monitoring, podręczne sejfy, które automatycznie otwierały się dopiero rano, i ciche alarmy poprawiły bezpieczeństwo pracy nocnej zmiany, ale dla mnie sklepy te zostały już Napadronkami.

– Arrr! – dobiegł mnie z dołu głos Adama. – Złota, kobiet i rumu! – Nie grał często, ale kiedy już siadał do monitora, grał na pełnych obrotach i świata nie widział poza rozgrywką.

– Złota, kobiet i rumu! – zawtórował mu chór wilkołaków.

– Myślałby kto! – prychnęła Mary Jo pogardliwie. – Nauczyliby się używać tego, co Bozia im dała, a nie, łachudry, uciekać na widok prawdziwej kobiety!

– Arrr! – poparła ją Auriele, a Jesse zachichotała.

– Szorować pokład, łachudry, bo pod kilem was przeciągnę – krzyknęłam na dół. – I nie ufajcie Cud Berberce, zaraz wam kosę w plecy wsadzi! – Odpowiedział mi ryk poparcia, a Jesse znów zachichotała. – I jeszcze jedno, Kapitanie Larson. – To do mojego męża, który obrał sobie imię po bohaterze z powieści Jacka Londona „Wilk morski”. – Możesz mieć złoto, możesz mieć rum, ale obejrzyj się za jakąś latawicą, a łapy ci

powyrywam!

Zapadła sekunda ciszy.

– Arrrr! – wykrzyknął Adam entuzjastycznie. – Kobiety zdobyłem! Czego mi więcej trzeba? Kobiety są dla moich ludzi!

– Arrrr! – zakrzyknęli jego ludzie. – Przynieś nam złoto! Przynieś rum! I kobiety! Facetów! – dorzuciła Auriele słodko. – Załatw nam porządných gości!

– Głupole – burknęła Honey.

– Giń!

Rozległy się ryki, bo najwyraźniej co poniektórzy zastosowali się do okrzyku.

Wysłałam, śmiejąc się do siebie pod nosem.

Po krótkim zastanowieniu wzięłam samochód Adama. Musiałam pomyśleć nad jakimś wozem na co dzień. Mój ukochany vanagon syncro miał już dużo za dużo na liczniku, a sama skrzynia biegów do niego kosztowała, jakby była ze szczerzego złota. Jeździłam nim, odkąd biedny Królik został skasowany, i niestety, potrzebował coraz więcej coraz częstszych napraw. Dwa dni wcześniej oglądałam volkswagena jetę z osiemdziesiątego siódmego roku z uszkodzonym silnikiem. Właściciel zaśpiewał sobie sporo, ale może trzeba będzie wykrobać tę kasę...

SUV pokonał w pomrukach te trzy kilometry do sklepiku, który znajdował się piętnaście kilometrów bliżej niż jakikolwiek inny sklep otwarty o tej porze. Sprzedawca układał papierosy i nawet nie podniósł głowy, kiedy przechodziłam obok niego.

Wzięłam z półki dwa tuziny strasznie drogich jaj, trzy równie drogie paczki kropelek czekoladowych i postawiłam to wszystko na ladzie. Sprzedawca odwrócił się od papierosów, spojrział na mnie i zamarł. Przełknął z trudem ślinę i wbił wzrok w kody kreskowe na pudełkach. Skanował towar tak trzęsącą się ręką, że już myślałam, że nie będę musiała zawracać sobie głowy rozbijaniem skorupki w domu.

– Jest pan tu nowy? – zagaiłam, przesuwając kartę przez czytnik.

Założyłam, że wie, kim jestem, ale nie wie o mnie wiele.

Peszyło mnie życie w blasku jupiterów, ale zaczynałam się przyzwyczajać. Mój mąż był Alfą miejscowej watahy, powszechnie znaną osobistością w Tri-Cities, odkąd wilkołaki się ujawniły kilka lat wcześniej. Po ślubie część blasku jego chwały spłynęła i na mnie, ale od kiedy pomogłam pokonać trolla na Cable Bridge, dwa miesiące temu, stałam się równie znana co Adam. Ludzie różnie reagowali na rzeczywistość, w której żyły wilkołaki. Rozsądni zachowywali pewien dystans. Inni robili się głupawo-przyjacielscy albo wcale-nie-tak-głupio-przestraszeni. Sprzedawca najwyraźniej należał do tych ostatnich.

– Zacząłem w zeszłym tygodniu – wymamrotał, pakując moje zakupy, jakby mogły go ukąsić.

– Nie jestem wilkołakiem – poinformowałam go. – Nie musisz się mnie bać. A mój mąż w tym tygodniu wydał moratorium w sprawie zabijania nocnych sprzedawców.

Sprzedawca zamrugał.

– Żaden członek stada nie zrobi ci krzywdy – wyjaśniłam, napominając się w duchu, żeby nie żartować przy ludziach zbyt wystraszonych na wyłapanie żartu. – Jeśli miałbyś problem z jakimś wilkołakiem, zadzwoń do nas. – Znalazłam w portfelu wizytówkę stada, wydrukowaną na papierze w kolorze złamanej bieli. – Na ten numer. – Podałam mu ją. – Zajmiemy się tym w miarę możliwości.

Od pewnego czasu, od kiedy (z mojej winy) przejęliśmy w Tri-Cities odpowiedzialność za pilnowanie porządku wśród nadprzyrodzonej społeczności i obowiązek ochraniania ludzi przed tym, na co mogli natknąć się w nocy, wszyscy nosiliśmy takie wizytówki. Wzywano nas także do poszukiwań zaginionych dzieci, psów, a raz nawet dwóch cieląt i pilnującej ich lamy pasterskiej. Zack ułożył o tym piosenkę. Nawet nie wiedziałam, że gra na gitarze.

Czasami działania związane z ochranianiem Tri-Cities były bardziej efektywne, a czasami mniej. Sprawa z żywcem, oprócz tego, że została upamiętniona muzycznie, przysporzyła nam niespodziewanie dobrego PR-u – Facebook obieżyły zdjęcia wilkołaków pędzących do domu stadko zagubionych bydłek.

Sprzedawca wziął wizytówkę, jakby bał się, że ta go ugryzie.

– Dobrze – skłamał.

Więcej zrobić nie mogłam, zabrałam więc moje ciasteczkowe ingrediencje i wyszłam. Wskoczyłam do samochodu, położyłam zakupy na siedzeniu pasażera i wycofałam z parkingu. Przeszło mi przez myśl, że może gwałtowna reakcja sprzedawcy była spowodowana jego osobistymi przejściami. Rozejrzałam się w obie strony i wreszcie wyjechałam na drogę. Zastanawiałam się, czy może powinnam jeszcze z nim porozmawiać.

Nadal zajmowała mnie troska o sprzedawcę, kiedy rozległ się głośny dźwięk, który zaparł mi dech w piersiach. Torba z jajkami spadła z siedzenia, coś łupnęło we mnie z głośnym łoskotem, poczułam smród, potem ostry ból i... zgasło mi światło.



Odzyskiwałam przytomność chyba kilkakrotnie, na parę minut, ale traciłam świadomość, gdy tylko się poruszyłam. Słyszałam rozmowy, nieznanym męskim głosom, lecz nie rozumiałam, co mówią. Magia migotała i drażniła. Potem ciepłe tchnienie wiosennego powietrza

przenikło przez ból i zabrało go. Spałam, byłam tak zmęczona, jak nigdy dotąd.

Kiedy wreszcie ocknęłam się naprawdę, rozbudzona i całkiem świadoma, nic nie mogłam zobaczyć. Może nie byłam wilkołakiem, jednak zmiennokształtny kojot też całkiem nieźle widzi w ciemnościach. Albo więc ośleplam, albo tu, gdzie się znajdowałam, było całkiem ciemno.

Bolała mnie głowa, bolał mnie nos i bolał mnie lewy bark. W suchych ustach miałam paskudny posmak, jakbym co najmniej od tygodnia nie myła zębów. Czulałam się, jakby staranował mnie troll, choć ból w lewym ramieniu świadczył raczej, że to sprawa pasa bezpieczeństwa. Nie mogłam sobie przypomnieć...

Powoli wpadałam w panikę, ale jednocześnie powróciły wspomnienia.

Wybrałam się do Napadronki, sklepiku nocnego na tej samej stacji benzynowej, gdzie wiele lat wcześniej spotkałam samotnego geja-wilkołaka, Warrena. Warren całkiem dobrze dogadał się z watahą... Zebrałam rozłążące się myśli i skierowałam je na drogę, która mogła zaprowadzić do czegoś przydatnego. Trudność, z jaką to zrobiłam – i paskudny ból głowy – obudziła we mnie podejrzenie, że może mam wstrząśnienie mózgu.

Przypomniałam sobie łoskot, jajka i zdałam sobie sprawę, że to nie rozbite jajka były źródłem smrodu, tylko poduszki powietrzne w samochodzie. Jako mechanik samochodowy dobrze znam zapach wydostający się z wystrzelianych poduszek powietrznych. Nie pojmowałam, co za dziwny efekt szoku kazał mi uznać, że to jaja. Gwałtowność wypadku połączyła poruszenie wydarzeniami w sklepie i zaskoczenie eksplozją poduszek w związek przyczynowo-skutkowy, którego ciągłość nie istniała.

Kiedy myśli mi się rozjaśniły, uświadomiłam sobie, że SUV został uderzony w bok z taką siłą, która wyzwoliła mechanizm poduszek.

Wysnuwszy ten wniosek, nie poruszając się, ponownie oceniłam swoją sytuację. Bolała mnie twarz – był to ból odrębny niż ten głowy – stąd konkluzja, że uderzyła mnie jedna lub dwie poduszki, które nie zapobiegły wstrząśnieniu mózgu lub jego bliskiemu kuzynowi. Uraz barku nie wydawał się poważną sprawą, podobnie jak wszystkie bóle i straszliwe zmęczenie.

Wszystko wskazywało na to, że prawdopodobnie ucierpiałam w wypadku samochodowym... a raczej umyślnym zderzeniu, bo byłam prawie pewna, że nie wydarzyło się to przypadkowo. Samochód, który we mnie wjechał, miał zgaszone światła – inaczej pamiętałabym blask reflektorów. Poza tym w razie wypadku wylądowałabym w szpitalu, a nie tu, gdziekolwiek się znajdowałam. Biorąc pod uwagę okoliczności,

nie zostałam chyba ciężko ranna... Chociaż...

W głowie mignął mi obraz własnych żeber. Ale choć bolało, moja pierś unosiła się i opadała bez komplikacji. Odepchnęłam wspomnienie, zamierzając się nim zająć później, po tym jak odkryję, gdzie jestem i dlaczego się tu znalazłam.

Mimo egipskich ciemności moje zmysły były przekonane, że obecnie znajduję się w pomieszczeniu wielkości pokoju. Podłoga pod policzkiem wydawała się... dziwna. Chłodna – prawie zimna – i gładka. Chłód przynosił ulgę w bólu, lecz odzierał moje ciało z ciepła. Metal. Nie pachniał znajomo – nie pachniał mocno niczym i nikim, jakby dawno nie miał z nikim styczności albo był całkiem nowy.

Drzwi odskoczyły. Zapaliło się światło, podając w wątpliwość moje spekulacje, bo jasność stała się bezwysiłkowo. Okazało się, że leżę w pomieszczeniu, które wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi wyglądało na spiżarnię-chłodnię – składało się z lśniących, srebrzystych powierzchni. Drgnęłam, kiedy drzwi się otworzyły, nie było więc sensu udawać nieprzytomnej. Kolejnym najlepszym posunięciem na liście było zmierzenie się o własnych siłach z kimś, kto otworzył drzwi.

Okręciłam się, przygotowując do podjęcia rzeczonego działania, ale zanim zrobiłam coś więcej, moimi wnętrzościami szarpnął atak mdłości, który nie polepszył stanu głowy. Kiedy podniosłam wzrok, ocierając usta wierzchem dłoni, zarejestrowałam, że w drzwiach stoją dwaj mężczyźni i przyglądają mi się spod zmarszczonych brwi. Żaden nie uczynił ruchu, by pomóc, ani nawet nie zareagował w jakikolwiek sposób – a przynajmniej ja tego nie zauważyłam.

Udałam, że jeszcze dwa razy bierze mnie na wymioty, dając sobie szansę na ocenę intruzów, którzy wdarli się do mojej celi-chłodni.

Ten stojący bliżej był skończenie piękny, miał urodę modela smokingów, kręcone ciemne włosy, oczy barwy gorzkiej czekolady i bardzo drogi garnitur, który uwydatniał mięśnie, jednocześnie nie zniżając się do czegoś tak prostackiego jak opinanie ciała. We wzroku miał jakąś drapieżność i ten błysk, który bez pomocy słów świadczył o dominacji jednego człowieka nad innymi.

Wychowały mnie wilkołaki. Rozpoznawałam osobowość Alfy, kiedy znajdował się w mojej obecności.

Drugi obcy, co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów cięższy i z dziesięć centymetrów wyższy, miał twarz boksera albo dokera – kilkukrotnie złamany nos i bliznę na łuku brwiowym, która zostaje po ciosie w oko, kiedy skóra napina się i pęka.

Przystojniak emanował mocą, ale ten drugi... nie wyczuwałam od niego niczego.

Również miał brązowe oczy, lecz całkiem zwyczajne, poza wyrazem. Wyglądało z nich na mnie coś zimnego, wygłodniałego. Miał na sobie

sprane dzinsy i obcisłą koszulkę z guziczkami przy dekolcie.

Poczułam się tak, jakbym została osadzona w scenie z włoskiego filmu o mafii. Obaj mężczyźni musieli mieć śródziemnomorskie korzenie.

Mój nos jednak odkrył przede mną rzeczywistość. Wampiry.

Kłęczałam na czworakach, a ponieważ powstanie nie zwiększyło moich szans w walce z wampirami, przez chwilę zostałam w tej pozycji.

Miałam na sobie swoje ciuchy, choć podarte i przesiąknięte moją krwią – która pachniała, jakby miała co najmniej jeden dzień. Kiedy się poruszyłam, zauważyłam na nadgarstku prostą złotą obręcz – natychmiast zaczęła mnie drażnić. Sięgnęłam do gorsu, żeby sprawdzić to, czego już byłam całkiem pewna – brakowało łańcuszka. To oznaczało, że nie mam przy sobie obrączki ślubnej, nieśmiertelnika Adama i baranka – symbolu wiary, który pomógł mi chronić się przed wampirami.

Brakowało czegoś jeszcze. Czegoś znacznie ważniejszego.

– Tutaj nie musi tego nosić – odezwał się ten ze złamanym nosem. Wyciągnął rękę i zrobił coś, dzięki czemu złota bransoletka otworzyła się. Skóra pod nią usiana była czerwonymi bąblami, jakby komar żądlili mnie w równych odstępach.

Rozważnie nawet nie drgnęłam.

– Musisz nam wybaczyć – przemówił piękny wampir, kucając przede mną. Brytyjską chrupkość w głosie łagodził włoski akcent. – Powiedziano nam, że jesteś najniebezpieczniejszą istotą w Tri-Cities, więc z uprzejmości traktowaliśmy cię jak takową. – I zaczął głądzić o obrażeniach, uzdrowicielce i czymś tam jeszcze...

Próbowałam połączyć się z Adamem przez więź partnerską i dotknęłam...

Pustki.

Zaległa pomiędzy nami cisza, nie elektryzująca czy pełna wyczekiwania. To była cisza, jaka zapada głęboką nocą w środku zimy w Montanie, kiedy świat spowija śnieg i zimno; cisza, która zalała mi duszę i pozostawiła osamotnienie.

– ...cię znaleźć – mówił. – Bransoleta wiedźmy odcięła tę twoją niedogodną dla nas więź ze stadem i towarzyszem na czas przeniesienia cię tutaj, gdzie nie przeniknie żadna magia. Gdybyśmy wiedzieli, jaka jesteś krucha, wybralibyśmy znacznie delikatniejszą metodę uprowadzenia.

Uczepiłam się słów „nie przeniknie żadna magia”. Jeśli to jakaś zapora przeciw magii, jakiś krąg, to znaczyło, że... cisza jest tymczasowa, spowodowana działaniem bransolety i podtrzymana efektem tego miejsca. Z tego wynikało, że dopóki nie wydostanę się z tej celi, a prawdopodobnie również z miejsca, gdzie się znajdowała, nie będę

mogła skontaktować się z Adamem poprzez naszą więź. Nadzieja, której się kurczowo trzymałam, oraz wewnętrzny nakaz mówiły to samo – wydostać się.

Żyję, powtarzałam sobie w duchu, walcząc z paniką, którą budziła pustka tam, gdzie powinien być mój towarzysz. Fakt, że żyję, oznaczał, że nie jest źle. Gdyby chcieli mnie zabić, byłabym już martwa i pozbawiona możliwości działania.

Wróciłam myślami do tego, co usłyszałam wcześniej – „uzdrowicielka” – oraz do wizji żebra w miejscu, gdzie nie miało nic do roboty, i wpadłam w chwilowy zachwyt. Jedyłą znaną mi uzdrowicielką, mogącą sobie poradzić z czymś takim, była Baba Jaga.

Bardzo dobrze. A więc żyłam. Zmrużyłam oczy, spoglądając na wampiry. Zadali sobie wiele trudu (tak wynikało z tego, co mówił ten ładniutki), żeby mnie tu ściągnąć. Najlepiej, żeby powiedzieli, czego ode mnie chcą, a potem wykombinuję, jak się stąd wydostać i nawiązać kontakt z Adamem.

Przez mgnienie rozważałam, co zrobił Adam, kiedy więź zniknęła. Musiałam wierzyć, że sobie z tym poradził.

Nadszedł najwyższy czas na układanie planów. Wstałabym, mając pewność, że nogi mnie utrzymają, ale cokolwiek mi zrobili – spowodowali wypadek, dali jakieś środki, leczyli, albo też wszystko razem, porządnie mnie osłabiło.

Próba podniesienia się zakończona lądowaniem na tyłku postawiłaby mnie w jeszcze gorszej sytuacji negocjacyjnej niż obecnie. Dlatego usiadłam, wdzięczna, że tym razem nie zwymiotowałam, co też nie zrobiłoby dobrze mojemu poczuciu godności.

Postanowiłam poczekać, aż coś chlapną, ale nagle przypominałam sobie, co śliczny wampir powiedział na samym początku.

– Co za idiota powiedział wam, że jestem najniebezpieczniejszą istotą w Tri-Cities? – zapytałam bezbrzeżnie zdumiona. – Nawet niektóre gobliny mogłyby mnie pokonać i się przy tym nie spocić.

Może przesadziłam, choć nie tak bardzo. Gobliny były twardszymi zawodnikami, niż uważali ci, którzy je znali. Po prostu miały nawyk rzucania się w pierwszej chwili do ucieczki, również w drugiej i w trzeciej, na walkę decydując się dopiero, kiedy nie było innego wyjścia. Przez to uciekanie zdobyły sobie reputację nadprzyrodzonych cieniasów, którą to reputację zresztą troskliwie pielęgnowały. Przyparte do muru stawały się zabójcze i okrutne. Zaczęliśmy współpracować z goblinami całkiem niedawno, a już zdążyłam nabrać szacunku dla ich umiejętności.

– Może nie chodziło mu o „najpotężniejszą” i „najniebezpieczniejszą” w powszechnym sensie – zasugerował łagodnie wampir oprych. Podobnie jak wampir ciacho miał brytyjską wymowę podbarwioną

włoskim brzmieniem, które było raczej nutą niż wyraźnym akcentem. Mimo że odpowiadał na moje pytanie, nie kierował słów do mnie. Patrzył na Ciacho. – Wulfe jest oględny, często daje właściwe odpowiedzi, które łatwo prowadzą do błędnych konkluzji. Już dawno trzeba było wytluc z niego ten nawyk.

Wulfe. Znałam Wulfe'a. Był prawą ręką Marsilii, przywódczyni chmary z Tri-Cities. Najbardziej przerażającej wampirzycy, z jaką miałam do czynienia, a miałam do czynienia z wieloma rywalizującymi o ten zaszczytny tytuł. Za to Wulfe potrafił się posługiwać magią, był wariacko potężny i całkiem nieprzewidywalny. Jak na przykład w tej sprawie. Co ja mu takiego zrobiłam, że wymalował mi tarczę strzelniczą na plecach i nasłał na mnie Ciacho i Oprycha?

W przeciwieństwie do swego partnera Ciacho zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– Jesteś towarzyszką Alfego watahy z Tri-Cities, zawarłście pakt z magicznym ludem, a to przemieniło waszą małą trójmiejską aglomerację z *retroterra* wschodniego Waszyngtonu w bezpieczną strefę do robienia interesów z pradawnymi – wyjaśnił.

– Wolimy określenie „strefa neutralna” zamiast „bezpieczna” – zaznaczyłam. – Brzmi mniej oceniająco i bardziej formalnie. – I bardziej startrekowo.

Moja pasierbica nazywała to „strefą dziwadła” i według mnie to najcelniejszy opis. Większość pradawnych, którzy powrócili do Tri-Cities bądź przyjeżdżali z wizytą, przebywała tam pod własną postacią, bez iluzorycznego wyglądu – przestali udawać ludzi. Obecnie letni sezon turystyczny w mieście, zazwyczaj napędzany przemysłem winiarskim, dla każdego mógł stać się niezapomnianym przeżyciem.

Zauważyłam włoski wtręt Ciacha. Wiele wampirów miało akcent, szczególnie te stare. Wampiry, podobnie jak wilkołaki, pochodziły z Europy. W ich społeczności narodowość amerykańska oznaczała stygmat młodego wieku i słabości, więc żaden nie chciał do końca tracić akcentu.

Zaczęłam mieć złe przeczucia co do tej dwójki. Jasne, już samo porwanie wróżyło źle, ale tu chodziło o coś więcej. Jeśli moi porywacze byli Włochami – a przynajmniej ostatnio mieszkali we Włoszech – to hm... Słyszałam o jednym wampirze Włochu i nie były to radosne opowieści. Zastanawiałam się, czy Marsilia wie, że starzy ziomkowie przekroczyli granicę jej terytorium. I obawiałam się, że odpowiedź brzmi – nie.

Nadzór nad nadprzyrodzonymi turystami stał się zadaniem watahy, jednak nie ulegało wątpliwości, że Marsilia również śledziła na bieżąco przyjeżdżających i opuszczających Tri-Cities. Jeśli nie zauważyła obecności włoskich krwiopijców, zanim staranowali samochód Adama

(i mnie w nim), prawdopodobnie ich obecność umknęła jej uwadze.

– Jesteś towarzyszką Alfy watahy. – Głos Ciacha wyrwał mnie z galopady myśli. – Nie jesteś jednak, jak zakładaliśmy, wilkołakiem. Dla wilkołaka taka stłuczka to pestka, uleczyłby się znacznie szybciej niż ty. Na szczęście nasi ludzie zareagowali błyskawicznie, kiedy okazało się, że umierasz, inaczej nie prowadzilibyśmy teraz tej przemilej pogawędki.

– Na szczęście – przyznałam beznamiętnie.

– Dlaczego więc Wulfe twierdzi, że jesteś taka potężna? – zapytał ostro.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczyma, starając się zrobić wrażenie całkiem bezradnej.

– Nie mam pojęcia. Jestem tylko mechanikiem samochodowym – wyjaśniłam i na dowód pokazałam mu dłonie. Starłam się pamiętać o zakładaniu w pracy roboczych rękawic, lecz smar i tak wżerał się w każde pęknięcie i załamanie skóry, a knykcie miałam całe w bliznach. – Według mnie naprawianie starych samochodów to całkiem niezła supermoc, ale tylko gdy ma się zepsutego garbusa albo furgonetkę.

Uderzył mnie. W jednej chwili stał w drzwiach jakieś dwa metry ode mnie, a potem poruszył się tak szybko, że tego nie zarejestrowałam, tylko poczułam od razu efekt na szczęce. Cios przewrócił mnie na bok.

Pewnie zamroczyło mnie na moment, bo oprzytomniałam, kiedy się o coś kłócili, a sprzeczka wyraźnie trwała już jakiś czas. Nie miałam pojęcia, o co im chodzi, bo awanturowali się po włosku.

Rozchyliłam odrobinę powieki, żeby obserwować mowę ich ciał, i z zadowoleniem odkryłam, że miałam rację. Nieważne, jak bardzo Ciacho wydawał się dominujący, to Oprych pociągał za sznurki. Brak aury siły w zestawieniu z inną siłą jest oznaką prawdziwej potęgi. Oprych wygonił Ciacho z chłodni, nawet go nie dotykając. Ciacho skłonił się i nie przestając giąć w przeproszających ukłonach, wycofał się za drzwi.

Oprych wrócił i ukląkł przy mnie. Jego ręka okazała się cieplejsza niż metalowa podłoga. Wsunął mi dłoń pod kark i podniósł mnie, troskliwie opierając sobie moje czoło o gors koszuli.

Poradziłabym sobie bez tego podnoszenia. Wampiry to zło. Są przerażające i nie lubię, jak trzymają mnie półświadomą w ramionach. Kiedy zorientowałam się, że coraz bardziej kręci mi się w głowie, wciągnęłam powietrze, starając się ze wszystkich sił zachować przytomność. Za nic w świecie nie chciałam być zdana całkiem na jego łaskę. Ponownie.

Podszedł do drzwi, ale przystanął w progu.

– Mało brakowało – mruknął. – Mógłbym cię przenieść gdzieś, gdzie byłoby ci wygodniej. Jednak chyba musimy dobić targu, zanim twój znany z wybuchowości towarzysz dowie się, gdzie jesteś, hm?

Zawołał coś po włosku, rozległo się szuranie i dwa obce wampiry wniosły do pomieszczenia sofę w wiktoriańskim stylu, z fioletową welurową tapicerką. Wyglądali jak zwykli ludzie, ale czułam, czym są naprawdę.

Musiał wcześniej ich zorganizować i kazać im czekać. Prędzej by zrobił sobie przebieżkę na golasa o wschodzie słońca, niż zabrał mnie z tej chłodni. Udawał tylko, że chce mnie wynieść na zewnątrz i że tam straciłby pozycję negocjacyjną. Ale dlaczego? Wampiry mają pokrętny sposób myślenia. Stare wampiry myślą do góry nogami tyłem do przodu.

– Zdecydowanie lepiej – stwierdził, sadzając mnie na sofie.

Wyciągnął rękę, do której jeden z nieznanym wampirów włożył zimny kompres pierwszej pomocy, jeden z tych chemicznych. Oprych potrząsnął paczuszką, a potem wręczył mi okład, pokazując gestem, że mam go sobie przyłożyć do policzka.

– Guccio zapomniał, że nie jesteś intruzem ani szubrawcem, którego trzeba przesłuchać – oświadczył. – Nie jest biegły w dyplomacji, więc może zbyt wiele oczekiwałem. Kim jesteś, Mercedes Atheno Thompson Hauptman, i dlaczego Wulfe wskazał mi ciebie jako wpływową osobę, z którą mam się skontaktować w Tri-Cities w kwestii negocjacji?

– Skontaktować – powtórzyłam, przytrzymując okład przy twarzy i walcząc ze słabością. W uszach mi dzwoniło, przed oczyma wirowały czarne płyty, byłam więc dumna z pewności swojego głosu. – Skontaktować.. Hm. Gwałtowny kontakt fizyczny to interesująca technika negocjacyjna. Wysoce dyplomatyczna, równa tej stosowanej przez komórkę CIA do spraw negocjacji i tortury wodnej. – Mówiłam co prawda spokojnie, ale bredziłam. Zamilkłam, kiedy tylko to do mnie dotarło.

– Wybacz – poprosił z przekonaniem, słowami bez grama intencji. – Tak jak wspominał Guccio, zostaliśmy zwiedzeni zapewnieniami Wulfe’a, nie spodziewaliśmy się, że jesteś taka delikatna.

Nadal najbardziej ze wszystkiego bolała mnie głowa, ale szczęka deptała jej już po piętach. Doszłam do wniosku, że uderzenie i cała afera później były częścią przedstawienia. Gdyby Ciacho – Guccio – dopuścił się samowoli, już by leżał tu ze skręconym karkiem albo co najmniej powybijanymi zębami. Dlaczego więc...?

Ze zgrozą zdałam sobie sprawę, że odgrywali dobrego i złego wampira. Zły wampir został odesłany, a ja miałam uznać, że dobry wampir jest do mnie nastawiony przyjaźnie. Za kogo oni mnie mieli?!

Dobry wampir – wcześniej Oprych – westchnął współczująco i usiadł obok, obracając się ku mnie tak, jakby chciał chronić mnie własnym ciałem.

– Musi cię boleć, biedna piccola. Jeszcze tylko kolejnego sińca było ci trzeba.

Wyprostowałam się, odsuwając od wampira, i zamarłam na moment, żeby przeczekać wzmożone zawroty głowy. Potrzebowałam jasności umysłu, a akurat tego miałam chwilowo deficyt.

Wampiry to nie pradażni, którzy musieli zawsze mówić prawdę. Potrafiłam wyczuć, kiedy ludzie kłamią, ale wiekowe istoty generalnie robią to dużo lepiej. Jeśli wampiry zamierzały negocjować z watahą, to bez względu na to, jak te negocjacje miałyby wyglądać, porwanie mnie było błędem. Jeśli mój rozmówca był tym, kim zakładałam, że jest, błędy raczej nie wchodziły w grę. A więc może nie chodziło o negocjacje?

Wulfe powiedział mu, że jestem potężna. Wulfe znał go lepiej niż ja. Dlaczego więc Wulfe mnie im wystawił?

Przez cały czas, kiedy próbowałam rozwikłać tę zagadkę, część mnie zmagająca się gorączkowo z ciszą tam, gdzie powinnam czuć moje stado. Gdzie powinien być Adam.

– Piccola – zaczął dobry wampir z łagodnym wyrzutem. Najwyraźniej myślał, że powinnam oprzeć się o niego z nadzieją, że się mną zaopiekuje.

Dlaczego Wulfe powiedział mu, że jestem najpotężniejszą istotą w Tri-Cities? Wampiry kłamią bez przerwy, ale Wulfe był czymś bardziej zbliżonym do pradażnych. Bawiło go mówienie prawdy w taki sposób, żeby ludzie brali ją za kłamstwo i wierzyli w to, aż robiło się za późno.

Najpotężniejsza istota w Tri-Cities... Hm... Cóż, no może, jeśli wypaczy się odpowiednio perspektywę – a określenie „wypaczony” pasowało idealnie do Wulfe’a. Uznałam, że ta moja „potężność” może utrzymać mnie jeszcze trochę przy życiu i powinnam podzielić się informacjami o niej z dobrym wampirem. Utrzymanie się przy życiu jest priorytetowym zadaniem każdego zakładnika.

– Jestem towarzyszką Adama Hauptmana – powiedziałam, nie patrząc wampirovi w oczy. Moja kojocia zmiennokształtność wykazywała nieprzewidywalną niepodatność na pewne rodzaje magii. Szczególnie krwiopijcom było ze mną trudno. Jednak nie było to coś ani tak użytecznego, ani tak niezawodnego jak odporność.

Dobry wampir wydał z siebie zachęcający dźwięk, a potem zauważył również:

– Tak, wiemy o tym.

– No tak. I to właśnie daje mi moc. No i jeszcze to, że dorastałam w stadzie Marroka i przyjaźnię się blisko z jego najstarszym synem. Do tego Siebold Adelbertsmiter traktuje mnie jak członka rodziny. – A nawet Szarzy Panowie żywili respekt wobec tego pradażnego. Niedawno słyszałam, że wreszcie odnaleziono kawałek członka rady, który wystąpił przeciw Zee. Pojawił się na jakimś talerzu. – Może znasz go jako Mrocznego Kowala z Drontheim.

Siedzący obok wampir nie poruszał się, ale wyłapałam to. Bardzo dobrze wiedział, kim jest Zee, i po raz pierwszy poczuł się zaskoczony, a może nawet trochę pod wrażeniem.

– Poza tym mam też różne inne powiązania – ciągnęłam, jakbym nic nie zauważyła. – Nasza policja zwraca się do mnie za każdym razem, kiedy potrzebuje pomocy przy rozwiązaniu jakiegoś problemu z magicznymi istotami. Może jestem krucha, ale stoję na ramionach gigantów i pewnie właśnie dlatego Wulfe dał ci zamiar na mnie. To raczej polityczna siła, nie wrodzona moc.

W przemowie tej subtelnie dałam wampirovi do zrozumienia, że wiele osób przejęłoby się, gdyby zrobił mi krzywdę. Z pewnością wychwycił sugestię, lecz z drugiej strony subtelność nie zawsze jest tak skuteczna, jak wywalenie kawy na ławę.

– Marrok traktuje mnie jak córkę – dodałam w duchu tego ostatniego. – Moi pradawni przyjaciele zabijali w mojej obronie. A mój towarzysz... – chciałam ubrać to w słowa, które nie brzmiałyby jak bezpośrednia groźba – byłby bardzo niezadowolony, gdyby coś mi się stało.

– Marrok odciął się od waszej watahy – oznajmił wampir.

Wzruszyłam ramionami, bo nadal było to dla mnie bolesne.

– Owszem. Jednak to nie znaczy, że nie obejdzie go, jeśli coś mi zrobisz. Współpracujemy też jako stado z Elizawietą Arkadiewnąą. – Elizawieta była na tyle potężna, że jej sława powinna dotrzeć do wszystkich zakątków Ziemi. Po minie wampira poznałam, że on z pewnością wie, kim jest Elizawieta. – Oraz z goblinami. – To ostatnie, może nie aż tak imponujące, też było prawdą.

Wampir milczał przez chwilę.

– Nie wspomniałaś o wampirze – odezwał się wreszcie.

– O jakim wampirze? – zdziwiłam się, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Tym, z którym łączą cię więzy krwi – stwierdził. – Próbowałam zerwać więź, kiedy spałaś.

Nagle przestałam być tak zajęta, żeby nie mieć czasu na panikę. Gorączkowo sięgnęłam do szyi palcami, usiłując opanować drżenie dłoni. Wyczułam dwie punktowe ranki.

Nienawidzę wampirów... Nienawidzę wampirów... Nienawidzę ich...

To dlatego właśnie wampiry nigdy nie mogłyby publicznie ujawnić swojego istnienia. Ukąszenie wystarczająco potężnego krwiopijcy, szczególnie więcej niż jedno, dawało mu władzę nad ofiarą. Nazywali to „Pocałunkiem”. Takie ukąszenie umożliwiała Pani czy Panu Chmary kontrolowanie świeżo upieczonych wampirów, które nie potrafiły zachować odczuwania, nie karmiąc się krwią potężniejszego wampira. I to dawało stwórcy nadzór nad tymi, których stworzył. Człowiek obdarzony Pocałunkiem stawał się marionetką.

Kiedy byłam nieprzytomna, całkiem bezbronna, Oprych próbował

zrobić ze mnie swoje zwierzątko!

– Mógłbym to zrobić – ciągnął – ale zabiłoby to tę, z którą łączy cię więź, a nie jestem całkiem pewien, czy chcę jej śmierci. – Uśmiechnął się i pogładził mnie po policzku.

Udało mi się opanować na tyle, żeby nie podskoczyć i nie wrzasnąć. Głównie dzięki świadomości, że w tym stanie klapnęłabym po czymś takim na zadek. Ale też dlatego, że jednak Oprych próbował użyć na mnie swojej magii, a nie chciałam, żeby dowiedział się, czy to przyniosło efekty. Może innego dnia jego moc mogłaby zadziałać, lecz chwilowo moja kapryśna niepodatność na magię dawała radę.

– Miłość... – wampir zawiesił głos w zadumie – to najpotężniejsza siła na świecie. Ciebie darzy nią wielu. Wulfe miał rację, to wielka moc. Przyjęłaś do siebie wampira, z którym jesteś związana, chciałaś tego. Mogę zerwać to połączenie, ale wtedy ona by umarła.

Ona? Wreszcie dotarło do mnie, że używa żeńskiego zaimka. A przecież byłam związana ze Stefanem.

Oprych myślał, że... ja z Marsilią! Bo z kim innym mogłaby związać się towarzyszka Alfego watahy, jak nie z Panią Chmury? Nie przerwał więzi, bo chciał, żeby Marsilia żyła. Miałam rację! Miałam rację! Dobrze odgadłam tożsamość tego wampirzyska!

A skoro odgadłam, to znaczy, że wpadłam jak śliwka w kompot. Czułam w uszach gwałtownie pulsującą krew. To nic dobrego, kiedy siedzi się obok wampira.

– Lubisz ją – mruknął. – Kochasz. Sama prosiłaś o połączenie, dlatego jest takie silne.

W postawie wampira było coś, co mówiło, że lepiej nie rozmawiać z nim o Marsilii. Coś dziwnego, co wskazywało na zazdrość.

Uniosłam brew i odpowiedziałam, licząc na zmianę tematu:

– Za panem za to nie przepadam, panie... Bonarata.

Iacopo Bonarata, Władca Nocy, dawny kochanek Marsilii, przywódca mediolańskiej chmury, w zasadzie przywódca wszystkich wampirów w Europie – i pewnie wszędzie, gdzie tylko zawitał. Nie taki jak Marrok, który trzymał stery rządów, bo tak było najlepiej dla jego ludzi. Ten tutaj był tylko groźnym dupkiem, którego władzy żaden inny wampir nie podważył. Z tego, co o Bonaracie kiedyś wyszukałam, wynikało, że nie wystąpił przeciwko niemu nikt od czasów renesansu, kiedy to jako bardzo młody, bardzo ambitny potwór wspiął się na szczyty.

I ktoś taki był zazdrosny o moją wymyśloną relację z Królową Potępionych, Marsilią?

Na szczęście moje wysiłki zmierzające do zmiany tematu odniosły sukces, bo kiedy zwróciłam się do wampira po nazwisku, odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się gromkim, tubalnym śmiechem, do którego się przyłączyłam.

Choć Bonarata nie był przystojny, emanował niezwykle pociągającą zmysłowością. Zetknęłam się z czymś podobnym raz, w przypadku pradawnego, właściciela knajpy, Wujka Mike'a. Poczułam wtedy, jak aktywuje swój urok. Jednak w wypadku Wujka Mike'a była to czysta magia, niemająca nic wspólnego z erotyzmem. Władca Nocy był esencją erotyzmu i cielesności, choć to również była magia.

Używał jej wobec mnie od chwili, kiedy Ciacho opuścił celę, ale dopiero kiedy się zaśmiał, magia wydostała się z niego jak niewidzialna mgła.

Wychwyciłam echo jej efektu – zamierzonego czy też nie. Miała wzmocnić zmysłową, kuszącą aurę Władcy Nocy. Musnęła mnie, jednak bez większego rezultatu.

Erotyzm, którym emanują wampiry, jest potężny nawet bez magicznego wzmocnienia, ale urok Bonaraty na mnie nie działał z tej prostej przyczyny, że Bonarata nie był moim Adamem. To oznaczało, że dostrzegam atrakcyjność swojego rozmówcy, ale mnie ona nie zniewala. Poza tym sam fakt, że był wampirem, wzmacniał moją odporność na jego magię.

Władca Nocy siedział przy mnie i czekał, aż zacznę się do niego ślinić.

Ja z kolei siedziałam sztywna i obolała, pełna obaw, co zrobi, kiedy zda sobie sprawę, że jego magia na mnie nie działa. Czy złoży to karb na mojej więzi z innym wampirem, więzi ze stadem i Adamem, czy może domyśli się, czym tak naprawdę jestem?

Wampiry z moich stron nienawidziły, bały się tego, czym jestem. W osiemnastym i dziewiętnastym wieku, podczas ery Dzikiego Zachodu, zmiennokształtni, potomkowie pierwszych, zabiły wiele wampirów, a wampiry w odwecie zmiotły z Ziemi prawie cały nasz gatunek.

Nie wiadomo, czy Bonarata, który cały ten czas spędził we Włoszech, miał do tego taki sam stosunek. Czy w ogóle wiedział, do czego tacy jak ja są zdolni. Jednak gdyby wiedział, raczej zabiłby mnie z miejsca, zamiast... zamiast tego, co planował ze mną uczynić.

Nie mogłam jednak w pełni się przy nim odprężyć. Są rzeczy, których nigdy bym nie zrobiła – udawanie, że pociąga mnie Bonarata, właśnie do nich należało.

Nie chciałam, żeby domyślił się, czym jestem. Nie chciałam, żeby dowiedział się, że moja więź krwi – która została stworzona, jak na ironię, żeby chronić mnie przed innym wampirem – łączy mnie ze Stefanem, a nie z Marsilią, bo nie miałam pojęcia, jak by to przyjął.

– No tak – odezwał się w końcu Bonarata, podczas gdy ja gorączkowo katalogowałam w duchu możliwe zagrożenia ze strony nieprzewidywalnych, psychopatycznych, paranoicznych, nieśmiertelnych wampirów. – Wiesz, kim jestem. To dobrze. Możesz zwracać się do mnie per Jacob. Iacopo jest trudne do wymówienia dla

moich amerykańskich przyjaciół, więc ostatnio zmodyfikowałem nieco imię.

Najwyraźniej postanowił zignorować fakt, że nie reaguję na jego magię. Co nie znaczyło, że przestał próbować.

– To miała być prosta sprawa. – Miał uwodzący głos. Nie piękny, ale głęboki, bardzo męski i nie miało to nic wspólnego z magią. – Pragnę zapewnić sobie przestrzeń, w której inni mogliby czuć się swobodnie podczas spotkań ze mną. Po tym jak stworzyliście takie miejsce, uznałem, że moglibyśmy zawrzeć obopólnie użyteczne porozumienie pomiędzy twoją watahą i moimi ludźmi. Planowaliśmy zabrać cię gdzieś, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać, lecz okazało się, że twój stan wymaga pobytu z nami dłuższego, niż zakładaliśmy na początku. Podejrzewam, że twój Alfa nie przyjmie tego wszystkiego spokojnie. – Prawie każde słowo Bonaraty było kłamstwem. Może myślał, że skoro nie jestem wilkołakiem, nie będę w stanie tego odkryć? A może założył, że jestem już pod jego przemożnym wpływem i nie zauważę. – Uśmiechnął się czarująco. – Znasz go lepiej. Jak twoim zdaniem powinienem postąpić?

– Powinieneś mnie wypuścić – odparłam natychmiast. – I nigdy już nie pojawiać się w Tri-Cities.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, ale oczy pozostały zimne.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Nie wiem, czego się po mnie spodziewasz. – Wzruszyłam ramionami. – Naprawiam samochody. Do wyrażania międzygatunkowych gróźb masz znacznie lepsze narzędzia niż ja.

– Jesteś cennym zakładnikiem – stwierdził. Byłam prawie pewna, że zauważył, iż nie omdleam z pożądania, bo wychwycił nutkę irytacji w jego głosie. Miałam tylko nadzieję, że tłumaczy to sobie raczej efektem więzi z innym wampirem. Stefan mówił, że czasami może to tak działać. – Myślisz, że twój towarzysz dobije targu, żeby cię odzyskać?

– Wilkołaki mają dobrą, długą pamięć – poinformowałam Bonaratę. Nie zamierzałam odpowiadać na jego pytanie, bo musiałabym potwierdzić, wykręciłam się więc jak polityk przed wyborami. – I są niestety strasznie prostolinijne. To nie pradawni, żeby trzymać się układów, które postrzegają jako wymuszone. Przetrzywanie mnie jako zakładnika nie pomoże ci w dalszej perspektywie. – Pochlebstwo to zazwyczaj skuteczna taktyka w rozmowach z wiekowymi istotami. Nie działało nigdy na Marroka, ale on był wobec siebie szerszy niż większość ludzi. – Ale to sam wiesz – dorzuciłam. – Zakładam, że obmyśliłeś już jakiś plan.

Znów się uśmiechnął. Miał to być seksowny uśmiech – i taki był. Jednak Bonarata pachniał jak wampir, a ja miałam mojego Adama.

– Mógłbym cię zabić i spróbować jeszcze raz – zasugerował łagodnie.

I jakby zakręcił kurek, odciął nagle magię, za pomocą której starał się na mnie wpłynąć.

Może powinnam była jednak udawać zainteresowanie nim, tyle że wampiry mają lepszy węch niż ludzie. Większość osób pod wpływem zauroczenia nie śmierdzi strachem i zdenerwowaniem. Nie najgorsza ze mnie aktorka, lecz nie potrafiłam ukryć reakcji, siedząc tak blisko Władcy Nocy. Próbując się mizdrzyć, pewnie bym tylko na niego zwymiotowała.

Wydął usta.

– Nie robisz tego właściwie – skrytykował. – Powinnaś starać się mnie przekonać, że w moim najlepszym interesie jest pozostawienie cię przy życiu. Jak możesz mi się przydać? Jakich możesz udzielić mi informacji, które pomogą mi w osiągnięciu moich celów?

Wywróciłam oczyma.

– Sam nawarzyłeś sobie piwa, kiedy walnąłeś w mój samochód i mnie porwałeś. Teraz sam musisz wykombinować, jak się z tego wykaraskać, albo poczekać, aż przestanie mnie boleć głowa.

Przysunął się do mnie. Biło od niego ciepło, a ja myślałam tylko o tym, ile krwi musiał wypić, żeby podnieść temperaturę swojego ciała o kilka stopni wyżej od ludzkiej ciepłoty.

– Biedne maleństwo – zagruchał, ujmując w dłonie moją twarz. – Nie zamierzałem zrobić ci krzywdy.

Naprawdę nie byłam sobą. Zazwyczaj jestem całkiem niezła w ugłaskiwaniu narcystycznych megalomanów, wyczekiwaniu bezpiecznej chwili, by ich dziabnąć. Robiłam to od urodzenia. Ale bolała mnie głowa, a wampir przerażał mnie do żywego.

– Co za porażka – skomentowałam. – Musisz wiedzieć, że od moich arcywrogów oczekuję pewnej kompetencji.

Zaśmiał się, a mnie ze zgrozy aż zaparło dech w piersiach. Taki radosny dźwięk i taka pustka w oczach. Strategia uwodzenia zawiodła, strategia zastraszenia – niekoniecznie. To nie była magia. Bonarata taki był naprawdę.

– Chcę układu z watahą Hauptmana – oświadczył. – Masz szczęście, bo wierzę, że nie wybaczyłyby mi, gdybym cię zabił. Wilki są okropnie sentymentalne w tych sprawach. Ale może łatwiej byłoby zabić ciebie... i jego? Może jego Drugi by to docenił?

Spojrzałam Bonaracie prosto w oczy.

– Wątpię. – Wampiry nie wyczuwają kłamstwa w taki sposób, jak robią to wilkołaki (i ja), ale stare istoty potrafią stwierdzić, czy ktoś mówi prawdę. Darryl nie wszedłby w układy z zabójcą Adama. Byłam tego pewna i dałam to Władcy Nocy do zrozumienia.

Uśmiechnął się lekko. Rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział Bonarata.

Widok wchodzącego wilkołaka nie powinien być dla mnie zaskoczeniem, a jednak. Wiedziałam, że Bonarata wygnał Marsilię za zerowanie na jego wilkołaczej kochance. A ponieważ stanowili wtedy z Marsilią parę, to pewnie dodatkowo skomplikowało całą sytuację. Odniosłam wrażenie, że pożywanie się na wilkołaku miało jakąś głębszą wampirzą symbolikę, na przykład mogło oznaczać, że próbowała przejąć prawa do wilczycy. Podobno poszło o to, że Marsilii nie podobało się, że Bonarata trzyma dla siebie wilkołaka. Najwyraźniej wilkołacza krew jest bardziej kusząca od ludzkiej i podejrzewałam, że Władca Nocy się od niej uzależnił.

Kobieta, która weszła do celi, była piękna. Mocno zaznaczone rysy twarzy były symetryczne, lecz brak nadmiaru tkanki sprawiał, że wyglądały delikatnie, nie ostro. Ciemne włosy upięte zostały w coś zbyt skomplikowanego, by określić to mianem koka. Pozostawione pasma sugerowały, że naturalnie się kręca.

Miała na sobie białą jedwabną sukienkę niepozostawiającą wątpliwości, co do braku bielizny pod spodem. Oraz co do tego, że wilkołaczyca jest za chuda. Biała tkanina kontrastowała ze złotą karnacją i uwydatniała blizny, niewielkie jasne ślady przypominające pozostałości po ospie... albo po kłach.

Na szyi nosiła srebrną obręcz, lecz obręcz nie mogła być z prawdziwego srebra, bo na skórze widniały jedynie blizny po ukąszeniach.

– Lenka – zwrócił się do niej wampir. Drgnęła i podniosła wzrok.

Jej oczy złociły się jak u wilkołaka – znaczyło to, że jej wilk jest tuż-tuż pod powierzchnią.

Zaczęła coś mówić. W pierwszej chwili myślałam, że to włoski, ale nie znam włoskiego, więc równie dobrze mogła mówić po rumuńsku czy w innym języku romańskim, który nie był hiszpańskim ani francuskim.

Wampir syknął karcąco.

– To nieuprzejme – zmitygował ją. – Nasz gość mówi tylko po angielsku.

Spojrzała na mnie tymi zdziczałymi oczyma.

– On jest mój – powiedziała wyraźnie, z doskonałym akcentem rodowitej londynki.

– Lenka – zamruczał Władca Nocy. – Mam cię ukarać?

Spuściła wzrok i zadrzała, roztaczając wokół zapach jednocześnie strachu i podniecenia. Zastanawiałam się, na ile zdaje sobie sprawę, że nie pozostało w niej już nic ludzkiego i że jesteśmy bezpieczni przy niej tylko dlatego, że jej wilk został całkowicie złamany.

– Telefon do ciebie – powiedziała pokornie.

– Ach, czekałem na niego – stwierdził wampir. – Musisz mi wybaczyć.

– Wstał, otoczył wilkołaczyce ramieniem i wyprowadził na zewnątrz.

W progu zatrzymał się i obejrzał. – Zostawię Lenkę przy drzwiach. Zakładam, że jako towarzyszka Alfy rozumiesz, że podczas mojej nieobecności nie będzie w stanie się powstrzymać przed rozdarciem cię na strzępy. Wyświadcz mi więc przysługę i mając w pamięci, jak bardzo sobie Lenkę cenię, nie doprowadź do tego, że będę musiał zabić ją za zrujnowanie moich planów.

Zamknął za sobą drzwi, ale nie na klucz.

Wiedziała na pewno tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, że Bonarata nagadał mi wiele kłamstw. I po drugie, że bardzo chciał, żebym uciekła przez te ceremonialnie niezamknięte drzwi.

Gapiałam się na nie przez chwilę, a potem się rozejrzałam.

Zazwyczaj nie dają narcystycznym potworom tego, czego chcą, ale te niezabezpieczone drzwi stały się okazją, której nie mogłam przegapić. Uśmiechnęłam się ponuro, nie zważając na ból, jaki grymas wywołał na mojej obitej twarzy. A potem zaczęłam zdejmować zakrwawione ciuchy, przygotowując się do ucieczki.



Rozdział 2

Adam

Dla Adama wszystko zaczęło się podczas rozgrywki „Łupu straszliwego pirata”.

Sami możecie ocenić, czy zniósł moją nieoczekiwaną przymusową nieobecność dobrze, czy też nie.

Adam poczuł szarpnięcie bólu, zerwał się na równe nogi, nie zważając na to, że monitor roztrzaskał się na ziemi, bo nie był to jego ból, tylko Mercy. Kiedy chwilę później echo rozeszło się po stadzie, poczuł również gotowość do działania wibrującą w ludziach, którzy gwałtownie wstali, czujni, uważni, skwapliwi, by wykonać jego polecenia.

– Co się stało? Wypadek? – dopytywał Darryl. – Nic jej nie jest? – Dla niego Mercy była słaba przynajmniej ciałem, jeśli nie duchem. W każdym razie jak na wilkołacze standardy. Cała wataha zdawała sobie sprawę z bezbronności Mercy i gotowa była chronić ją do stopnia, który wkurzyłyby była żonę Adama, gdyby o tym wiedziała.

– Nie jest dobrze – oznajmił Adam stanowczo, przyzwyczajony do pokrywania strachu logiką i działaniem. Ruszył ku schodom. – Muszę...

Ból zastąpiła cisza.

W następnej chwili Adam uderzył barkiem drzwi frontowe, wyrывая je z mocarnych (oraz kosztownych) zawiasów i odrzucając je sobie z drogi. Wilk nie pozwolił mu na zatrzymanie się i szukanie samochodu, instynktownie wiedząc, że szybciej będzie na nogach.

Adam skoncentrował się, powstrzymując przemianę, bo z kolei on wiedział, że to również spowolniłoby go o czas metamorfozy. Ale wilk

nie sprzeciwiał się, tylko dodawał szybkości ruchom, kiedy Adam pędził po podjeździe i drodze w stronę, gdzie po raz ostatni była Mercy. Jak przez mgłę czuł, że stado jest tuż za nim, słyszał warkot silników – któryś z bardziej pragmatycznych wilkołaków uznał, że jeden czy dwa samochody mogą się przydać.

Zalewał go zimny pot, który nie miał związku z wysiłkiem, a dotyczył tego, że jego więź partnerska kończyła się niczym. Ta pustka zmuszała Adama do jeszcze większego wysiłku. Serce waliło mu tak mocno, że prawie nie słyszał odgłosów stada, które gnało za nim.

Wyczuł wypadek, jeszcze zanim ujrzał jego miejsce. Paliwo, gaz z poduszek, krew...

Moment całkowitej pustki, kiedy zrozumiał, że to krew Mercy, trwał całą wieczność.

Doszedł do siebie, stojąc już na masce tego, co zostało z jego samochodu, gapiąc się na puste siedzenie kierowcy. Obok, wbita w lśniący bok czarnego SUV-a, stała ciężarówka bez naczepy. Szyby SUV-a poszły w drzazgi i coś z ogromną siłą wyrwało kierownicę, żeby wydobyć Mercy z samochodu. Pas został przecięty, a siedzenie było zalane krwią. Krew mieszała się z rozbitymi jajami i czekoladowymi kropelkami.

Człowiecza połowa Adama zastanawiała się przez moment, czy to nie on wydobył Mercy z samochodu, bo nie pamiętał wszystkiego, do tej chwili. Ale Mercy nigdzie nie było, a wilk to potwierdzał.

Ktoś przybył na miejsce przed nimi.

Ktoś staranował auto ciężarówką i ukradł im Mercy.

Napastnicy zostawili portfel, mały, kompaktowy, bo Mercy nie lubiła obciążać się niczym niepotrzebnym. Leżał nieotwarty na siedzeniu pasażera.

Adam pochylił się, wsadził głowę przez rozbite okno i wciągnął powietrze nosem. Wraz z zapachem krwi Mercy, surowych jajek, jego własnym, dotarła do niego woń czterech wampirów. Trzech obcych i jednego...

Spojrzał na ciężarówkę, która rozbiła samochód prowadzony przez Mercy. Przeskoczył bez wysiłku z maski na stopień do kabiny i wczepiwszy się dłońmi i zapałszy stopami w pogięty metal, szarpnął za drzwi. Kiedy okazało się, że są zbyt zniszczone, by dało się je otworzyć, rozwalił pięścią szybę, złapał za ramę i po prostu je wyrwał. Ból wbijających się w palce szklanych odłamków był upojny, taki nikły w porównaniu do tego, co działo się aktualnie w jego sercu i głowie.

Pierwsze, co odkrył, to że ciężarówka jest nowa, pomimo paskudnej powłoki lakierniczej. Kiedy przyjrzał się lepiej, okazało się, że ktoś pomalował cały samochód czarnym matowym lakierem, łącznie z chromowanymi, błyszczącymi elementami. Zrobiono to, żeby

zaskoczyć Mercy. Mogła co najwyżej usłyszeć silnik, ale ponieważ sama prowadziła diesla, więc było to mało prawdopodobnie.

Wyczuwał zapach wampira kierowcy poprzez woń skóry i nowości. Został ranny w zderzeniu, w kabinie znalazło się trochę jego krwi. Nie zginął jednak ani też rana nie była poważna. Brakowało zapachu poruszenia – strachu, gniewu, podniecenia. Nawet wampiry wydzielały wonie emocji. W każdym razie większość z nich. To oznaczało, że ten robił takie rzeczy już wcześniej.

Zawodowiec. Wampir specjalizujący się w powodowaniu wypadków z zamiarem zabójstwa lub porwania. Adam stłumił skwapliwość, z jaką zatrzymałby myśl o porwaniu. Musiał trzymać się faktów, a ilość krwi w SUV-ie świadczyła, że jeśli Mercy nie otrzymała natychmiast fachowej pomocy, było z nią bardzo źle.

Warknął, odsłaniając zęby w bezsilnej furii. Może właśnie umierała, a jego więź partnerska nie mogła powiedzieć mu ani gdzie Mercy się znajduje, ani w jakim jest stanie. Jedyne, co powstrzymało Adama przed przemianą w wilka, pochłoniętego żądzą zabijania, niszczenia, to fakt, że nie czuł, jak Mercy umiera. Po prostu zniknęła. Mógł więc założyć, że nadal żyje i potrzebuje go, i zamierzał się tego trzymać kurczowo, dopóki nie dowie się na pewno, że jest inaczej.

– Adam! – W głosie Darryla brzmiało napięcie. – Chodź, zobacz!

Adam popatrzył przez rozbitą szybę na swoją watahę, zebraną wokół czegoś leżącego na poboczu. Wyskoczył zwinnie z kabiny. Wataha rozstała się, kiedy nadchodził – większość z nich utknęła w połowie przemiany przez dziki wybuch emocji Alfego. Wszyscy cofnęli się przed nim, miał więc doskonały dostęp do leżącego na ziemi.

Przykucnął i przyjrzał się Stefanowi – jedynemu wampirowi, którego zapach rozpoznał. Wilk szamotał się, chcąc zabić rywala na miejscu, ale Adam z pomocą chłodnej logiki powściągnął tę część siebie. Podobnie jak i on, Stefan był związany z Mercy magią. Prawdopodobnie to właśnie spowodowało wampira tutaj. Istniała możliwość, że Stefan znajdzie Mercy, skoro Adam nie jest w stanie.

To Mercy, a nie rywalizacja czy zazdrość, jest najistotniejsza.

Po tym napomnieniu siebie kipiący agresją duch wewnątrz Adama uspokoił się. Wilk był łowcą, rozumiał potrzebę cierpliwego czekania. I nawet wilk nie miał wątpliwości, że Mercy należy do Adama. Nie było między nimi miejsca na zazdrość. Na strach o jej zdrowie i życie tak, ale nie na zazdrość.

Powieki Stefana uniosły się. Przez moment oczy wampira były puste, brakowało w nich osobowości, jak u martwego. A potem na twarzy pojawiły się uczucia i Adam ujrzał w obliczu Stefana odzwierciedlenie własnego gniewu i strachu. Wampir skoczył na równe nogi i okręcił się, lustrując krąg wilków wokół siebie.

Adam podniósł się wolniej. Stefan nie zamierzał go napaść, a nie szkodziło w tych okolicznościach kontrolować sytuacji. Wilk się nie sprzeciwiał, lecz wilki to przebiegłe bestie, więc Adam nie chciał, by Stefan zapłacił w przypadku jego błędnej oceny zamiarów wilka.

Na pewno nie w sytuacji, kiedy Stefan mógł być kluczem do odnalezienia Mercy.

– Mercy? – zapytał wampir.

– Nigdzie jej nie ma – odpowiedział Adam, zmagając się z własną rozpaczą. Nie było na to czasu. Jednak sądząc po pytaniu, więc Stefana prawdopodobnie nie spisywała się lepiej od Adamowej.

Podzielili się z wampirem informacjami.

– Staranowali ją i zabrali. Wygląda to na dobrze zaplanowaną robotę zawodowców. To wampiry, ale nie od Marsilii. – Adam zawiesił głos. – Nigdy nie słyszałem o wampirzej grupie zawodowych zabójców albo porywaczy...

– Są tacy, tyle że się nie ogłaszają. – Stefan energicznie potarł twarz, co zdawało się bardziej gestem zatroskania niż znużenia. – Poczulem wypadek. Ty pewnie też? – Nie czekał na odpowiedź. – Przybyłem na miejsce natychmiast, zastałem ich w trakcie wyciągania jej z samochodu.

Stefan potrafił się teleportować, taka magiczna sztuczka, umożliwiająca martwemu przeżycie. Syn Marroka, Charles, prowadził spis wampirów i ich mocy. Umiejętność teleportacji należała do rzadkości. To, że posiadali ją i Stefan, i Marsilia, mogło wskazywać, że mieli tego samego stwórcę albo ich stwórcy posiadali wspólny rodowód. Albo nie.

– Skupiłem się na Mercy – ciągnął wampir – dlatego nawet nie pomyślałem, żeby przyjrzeć się porywaczom. Skoczyłem, żeby jej bronić, i ktoś zaszedł mnie od tyłu i potraktował chyba paralizatorem, sądząc po skutkach. – Znów potarł twarz.

– Możesz ją namierzyć? – zapytał Adam zwięźle, choć był prawie pewien, że zna odpowiedź. Gdyby sam mógł się teleportować i miałby sygnał, gdzie przebywa Mercy, nie zatrzymywałby się tu na pogaduszki. Zakładał, że Stefan zrobiłby tak samo.

Wampir uniósł podbródek i zamknął oczy – oznaka zaufania, że wilki go nie zaatakują w chwili bezbronności. Albo też wiary we własne siły – że obroni się, nawet nie patrząc na przeciwnika. A może po trochu jednego i drugiego. Choć tego nie potrzebował, wampir wziął głęboki oddech.

Kiedy otworzył oczy, spojrzał ponuro na Adama.

– Nie. W ogóle jej nie czuję.

– Wiesz, kto ją porwał?

Stefan potrząsnął przecząco głową.

- Wampiry, ale nie widziałem żadnego wcześniej. Nietutejsze.
- Czym przyjechali? – zapytał Darryl.
- Mieli helikopter – odparł Stefan.

Wilk słyszał dźwięk śmigłowca, choć Adam nie zwrócił na to wtedy uwagi. Takie odgłosy nie były czymś wyjątkowym w ciągu ostatnich paru miesięcy, bo hodowcy wiśni wynajmowali helikoptery w sezonie po ulewach, żeby osuszyć owoce, zanim spęcznieją i popękają. Sezon na wiśnie dobiegał końca i gdyby to wszystko działo się za miesiąc, dwa, Adam zarejestrowałby łopot śmigieł.

– Słyszałem go – potwierdził Warren, który też obejrzał dokładnie miejsce wypadku. – Mignął mi nawet, kiedy tu biegliśmy. Lecieli bez świateł, szefie. Kierowali się na południe, ale nie wylądowali, dopóki ich słyszałem.

A więc żadnego tropu, dokąd helikopter zmierzał. Mógł wylądować równie dobrze dziesięć, jak i sto kilometrów stąd. Ciężarówka była prawdopodobnie kradziona, jednak helikopter i grupa zawodowców oznaczały, że ktoś sporo zapłacił za porwanie towarzyszkę Adama.

Z pola za szpalerem przesuszonych tutaj dobiegło wycie wilka.

– Wysłałem ich, żeby szukali lądowiska – wyjaśnił Darryl.

Nadbiegł zdyszany Ben w ludzkiej formie. Może czterech, góra pięciu członków stada nie przemieniło się w wilki.

– Wygląda na to, że zrobili sobie pier... – Ben zerknął zezem na Jesse i Aiden, którzy przycupnęli cicho z boku, żeby nie zawadzać, ale móc wszystko słyszeć. Zmitygował się, ugrzeczniając język: – Pieprzoną bazę. Za tym wzniesieniem jest obniżenie gruntu, mogli się tam schować. Lądowali tam na tyle często, że zostawili po sobie zniszczoną trawę. Musiało to trwać więcej niż dzień czy dwa. Czaili się na Mercy już od jakiegoś czasu.

– Może użyli nawet magii, żeby ludzie trzymali się od nich z daleka – zasugerował Darryl.

– Wystarczyłby zwód-oka, większość z nas potrafi coś takiego zrobić – przytaknął mu Stefan.

– Możemy pójść za tropem ciężarówki – stwierdził Darryl. – Mam też kumpla, która lata z Richland. Może wie coś o jakimś dziwnym helikopterze.

Łapanie porywaczy Mercy w ten sposób zajmie całe godziny, jeśli nie dni. Wilk zdenerwował się już na godziny, a Adam też nie był tym zachwycony.

– Pojechała do sklepu – przypomniał sobie nagle. Wskoczył na maskę SUV-a i wśliznął się przez okno bez szyby, żeby wyciągnąć paragon.

Od razu dojrzał baranka Mercy. Skóra na siedzeniu, gdzie leżała złota zawieszka, została wypalona, jakby metal był gorący, kiedy na nią spadł. Zerwany łańcuszek leżał na podłodze razem z jego nieśmiertelnikiem

z czasów wojny w Wietnamie. Obrączka wtoczyła się pod otwartą wytłoczkę z jajek.

Wygramolił się z samochodu z paragonem w jednej i częściami naszyjnika w drugiej ręce.

Warren stał przed samochodem, wspierając się dłonią o maskę. Oczy starego kowboja zabłysły złością, kiedy zobaczył błyskotki trzymane przez Adama. Gdyby nie te oczy, można by pomyśleć, że Warren jest całkiem spokojny.

– Nie bez powodu nie pozwolili jej tego zatrzymać – powiedział głosem nabrzmiałym wilkiem i teksańskim akcentem. – Z tą owieczką Mercy jest zabójcza dla wampirów. Lepsza niżli większość ludzi z krzyżykiem. Daj rachunek, sprawdzę, co nam da.

Adam uznał, że lepiej samemu nie mieć teraz styczności z delikatnymi ludźmi, którzy mogą mieć jakieś informacje o Mercy. Spojrzał uważnie na Warrena, bo też nie był pewien, czy ten sobie poradzi.

– Znam właściciela sklepu – zapewnił go Warren. – Obiecuję nie zabić kogoś, komu się nie należy, szefie. – Warren mówił niegramatycznie tylko w chwilach ogromnego zdenerwowania.

Adam bez słowa wręczył mu świstek. Warren zerknął uważnie, a potem powąchał paragon. Skinął na Bena i razem potruchtali do samochodu Brytyjczyka. Warren zajął siedzenie pasażera, pozwalając Benowi prowadzić.

– To przeze mnie? – pisnął cienki głosik.

Adam spojrzał w dół z maski, na której kuczał, na najnowszego członka swojej rodziny. Aiden wyglądał na ucznia podstawówki, ale był kilka wieków starszy od Adama. Jesse, która traktowała go jak młodszego brata, położyła Aidenowi rękę na ramieniu. Jeden ze stojących nieopodal samochodów należał do niej.

– Nie – powiedziała stanowczo mimo wyraźnego przerażenia w oczach. – Nawet jeśli chodzi o ciebie, to nie twoja wina. I Mercy nic się nie stanie. Pamiętasz, jak oglądaliśmy „Okup za czerwonego wodza”? Ktokolwiek porwał Mercy, gorzko tego pożałuje, gdy ona się z nim policzy. – Westchnęła teatralnie, udając przed Aidenem nonszalancję, choć Adam wyczuwał napięcie córki. – Obawiam się, że tata jest zbyt prostolinijny, żeby zażądać od porywacza pieniędzy za jej powrót, choć w ten sposób moglibyśmy zebrać pewnie całą kwotę na moje studia.

Martwiła się, ale Adam słyszał też pewność w jej tonie. Była jeszcze na tyle dzieckiem, by wierzyć, że jej ojciec może wszystko załatwić.

Adam nie powiedział Jesse tego, co wiedziała wataha. Jego ludzka córka nie wyczuwała zapachu krwi. Mercy stwierdziłaby, że nie osiągnie niczego, starając się chronić Jesse przed prawdą, lecz w tej chwili nie miałyby racji. Adam, podobnie jak Aiden, potrzebował optymizmu Jesse.

Nawet jeśli udawanego.

– Mercy się z nimi policzy – wydusił przez ściśnięte gardło. Popatrzył na Aiden. – To nie twoja wina, Aiden. Ogłosiliśmy to miasto... te miasta swoim terytorium i wzięliśmy pod ochronę, bo to nasz dom. Ty byłeś tylko katalizatorem. Ty i Mercy byliście wyzwalczami, które popchnęły nas do tego, co powinniśmy zrobić już dawno. Jeśli to zainspirowało... – Chyba zgrzytnął zębami, wymawiając ostatnie słowo? Wziął głęboki oddech i spróbował ponownie. – Jeśli nawet to właśnie zainspirowało kogoś do porwania Mercy, to i tak nie twoja wina.

– Spalę ich – oświadczył Aiden, a Adamowy wilk rozluźnił szczęki, aprobując intencję i uznając w chłopcu drugiego drapieźnika, może nawet groźniejszego od siebie.

– Jeśli będzie co palić po tym, jak Mercy z nimi skończy – podsumowała Jesse zimno – może ci nawet w tym pomogę, młody. – Zwróciła się do Adama. – Mogę jakoś pomóc?

Już miał pokręcić przecząco głową, ale się powstrzymał. Nie da się ukryć wypadku. Była późna noc, jednak już niedługo zaczną przejeżdżać tędy ludzie spieszący do pracy jeszcze przed świtem.

– Zadzwoń do Tony’ego, powiedz mu, co się stało. – Adam obawiał się, że sam nie byłby w stanie opanować się tak, by mówić z sensem. A Tony znał Jesse na tyle, by ją wysłuchać. – Powiedz, że przekażę mu wszystkie dane, kiedy rozwiążę sprawę, lecz to kwestia dotycząca istot nadprzyrodzonych i pewnie rozciąga się na dziedziny, o których ludzie dla własnego bezpieczeństwa nie powinni wiedzieć.

Tony był policjantem i nieoficjalnym łącznikiem pomiędzy policją a watahą. Oficjalny łącznik był całkiem kompetentny, ale Tony i tak wiedział już więcej, niż powinien. Gdyby nie znalazł się pod ochroną stada, wampiry albo wiedźmy już dawno by go zabiły. A Adam zamierzał trzymać oficjalnego łącznika w bezpiecznej nieświadomości co do istnienia wampirów.

Tony cieszył się zaufaniem w swoim wydziale i wierzono mu na słowo, kiedy mówił, że bezpieczniej jest czegoś nie wiedzieć i że już zajęto się sprawą. Taki układ satysfakcjonował wszystkie zaangażowane strony.

– Robi się.

Jesse sięgnęła do małej torebki, którą wszędzie zabierała. Kiedy wyjmowała telefon, rozległ się dzwonek, lecz nie z jej aparatu. Adam zerknął w stronę, skąd dobiegał dźwięk.

Stefan sięgnął do kieszeni i wyjął swoją komórkę. Nawet na nią nie spoglądając, cisnął ją przed siebie. Urządzenie uderzyło o bok rozbitego SUV-a, robiąc jeszcze jedno wgniecenie w wymiętej blasze. Telefon rozpadł się w chmurę pyłu.

Wilk pomyślał, że to ciekawa reakcja, jak na kogoś, kto robi wrażenie

tak spokojnego. Ale potem uznał, że prawdopodobnie i ludzki aspekt wilka wygląda na chłodnego i opanowanego, bo żołnierze szybko nauczyli się ukrywać emocje przed wrogiem – nawet jeśli tym wrogiem jest ktoś, kogo darzy się sympatią. A i Adam, i Stefan byli żołnierzami.

Zaraz potem rozdzwoniła się komórka Adama. Adam wyciągnął ją na wpół zdziwiony, że urządzenie nie wypadło mu podczas biegu. Zerknął na wyświetlacz i mało brakowało, żeby odrzucił połączenie. Powstrzymał się jednak. Wampiry, pomyślał. Nie od niej, ale to były wampiry.

– Dobry wieczór, Marsilio – warknął basowo. Tego nie udało mu się powstrzymać. Po drugiej stronie zapanowało chwilowe milczenie.

– Albo brakuje kogoś z twoich, albo z moich – oznajmiła wreszcie bez wstępów. – Udało mi się skontaktować ze wszystkimi poza Stefanem. Ty też powinienesz sprawdzić swoich ludzi.

– Stefan jest ze mną – wycedził Adam. – Porwano Mercy.

– Ach tak – usłyszał i gdyby Marsilia znajdowała się obok, rozerwałby jej gardło za ten spokój w głosie. – Właśnie dostałam e-maila od mojego byłego, w którym sugerował, że ma kogoś z naszych. Kto należy do naszego zrzeczenia.

– Zrzeczenia? – powtórzył Adam łagodnie. – Jakiego zrzeczenia?

Jeśli za zdarzeniem stał były kochanek Marsilii, Mercy została prawdopodobnie porwana z powodu związanego z Marsilią. A nie z watahą. Poczucie winy zniknęło, na moment wybijając Adama z równowagi, zanim zwolnionego miejsca nie wypełnił gniew. Zalała go fala tak silnych emocji, że przestał słyszeć, co się do niego mówi. Wilk wkroczył, wykorzystując osłabienie człowieka.

– To nie jej wina – mówił chłodny głos Stefana. – To dawny zatarg i nie ona go zaczęła, wilkołaku. Wysłuchaj jej, jeśli chcesz ocalić Mercy.

Adam zdał sobie sprawę, że znów ma lukę w pamięci, bo nie siedział już na masce samochodu, a w pobliżu nie było nikogo poza wampirem. Nie potrafił się przejąć tym, że dał się opanować wilkołakowi tak, że nie wiedział, co robi. A to, że się tym nie przejął, było gorsze nawet od tego, że tracił panowanie.

– Jeśli twoi ludzie będą musieli cię uspić, bo przestaniesz panować nad swoją bestią – mówił dalej Stefan – to Mercy będzie szukał jeden człowiek mniej.

Wampir mówił lodowatym tonem, lecz jego oczy gorzały. Z jakiegoś powodu wściekłość Stefana pozwoliła Adamowi odzyskać nieco równowagi.

Hauptman wskazał na rozbity samochód i wypowiedział to, co jego serce krzyczało od momentu, kiedy ujrzał pobojuwisko.

– Mercy jest ranna – wydusił. – Bardzo krwawiła. Wampiry nie utrzymają jej przy życiu. Nie zajmują się takimi rzeczami.

– Tato? – pisnęła Jesse i Adam pożałował, że nie trzymał języka za zębami, bo właśnie przed tą informacją ją chronił. Ale teraz przemawiał przez niego głównie wilk, choćby i głosem Adama, a wilk był szczerą bestią, niezdolną do ludzkich wybiegów, nawet jeśli kłamstwo miałoby oszczędzić jego dziecku cierpienia.

– Mercy jest zakładniczką – Stefan mówił powoli, jakby Adam był niedorozwinięty albo niedosłyszający. Albo jakby mówił do istoty, która nie przywiązywała wagi do zwykłych słów. – Może ci się to podobać lub nie, ale moi i twoi ludzie, wilkołaki i wampiry, są ze sobą powiązani, żyją razem na tym terenie i muszą współdziałać w imię obopólnego przetrwania. Inni to dostrzegli. Gdyby chcieli zostawiać za sobą trupy, już by to zrobili. To oznacza, że nasi wrogowie będą brali na cel was, a wasi nas. Morderstwo byłoby dużo prostsze. A wampiry są dobre w utrzymywaniu ludzi przy życiu. – Stefan miał niewyraźną minę, kiedy to mówił, więc nie zabrzmiało to tak pocieszająco, jak pewnie chciał.

– Czemu słucha Stefana, kiedy żadne z nas nie było w stanie do niego dotrzeć? – Adam usłyszał ciche słowa Auriele.

– Bo wampir pachnie trochę Mercy – wyjaśnił jej Darryl. Adam warknął, bo była to prawda, a potem wciągnął powietrze nosem, znów chłonąc woń. Uznał, że skoro wampir pachnie Mercy, to znaczy, że ona żyje. Mercy żyła, a on postanowił trzymać się tego, dopóki nie znajdzie ostatecznego potwierdzenia, że tak nie jest.

Alfa spuścił głowę, odzyskał swoją ludzką pozycję, kontrolującą przekłety język, i spojrzął na Stefana.

– Czego chce ten były twojej Pani?

– Nie jest już moją Panią – zauważył Stefan, bardziej z żalem niż oburzeniem. – I nie wiem. – Rozejrzał się po wilkołakach, w większości w wilczej formie, aż jego wzrok spoczął na Darrylu. – Macie jakiś działający telefon?

Dopiero wtedy Adam zauważył, że trzyma w ręce zmiażdżoną komórkę. Kawałki szkła powbijały mu się w skórę, która już częściowo zdążyła się wokół nich zabliznić. Zajął się więc wydłubywaniem odłamków przy pomocy scyzoryka, podczas gdy Stefan wziął urządzenie od Darryla i zadzwonił do Marsilii.

Negocjacje prowadzone przez Stefana w roli pośrednika niebezpiecznie wystawiły cierpliwość Adama na próbę.

Marsilia uważała, że zaproszenie Adama do swojego domu to kiepski pomysł. Adam przyznał jej rację pomrukiem.

Wejście do siedziby chmary oznaczało opóźnienie przejścia do sedna sprawy wywołane spróchniałymi konwenansami i gierkami towarzyskimi, na które nie miał nastroju. Nie było na to czasu. Wkrótce miało świtać, więc wampiry pójdą spać, czy co tam wampiry robią za dnia, zabierając ze sobą wiedzę o Mercy.

W ramach kompromisu Marsilia zaproponowała bar Wujka Mike'a, tradycyjne miejsce negocjacji pomiędzy wrogami lub prawie wrogami, działające do czasu, gdy pradawni wrócili do rezerwatów w nadziei, że Podgórze otworzyła dla nich swoje podwoje. Kiedy okazało się, że Podgórze jest mniej gościnna, niż się spodziewali, wycofali się ze swojej milczącej pozycji i zaczęli prowadzić rozmowy pokojowe... a przynajmniej niezmiernie do wojny z ludźmi. Na fali tych ostatnich wydarzeń Wujek Mike kilka tygodni wcześniej otworzył znów swój lokal.

Adam nie chciał angażować pradawnych w sprawy watahy, która i tak już tkwiła po pachy w wampirach, więc odmówił.

– No to gdzie? – zapytał Stefan zniecierpliwiony.

– Na pewno nie w moim domu. Nie zamierzam zapraszać Marsilii. Jak się raz pozwoli wampirowi przekroczyć próg, łatwiej go zabić, niż odprosić.

Stefan, który miał nielimitowane zaproszenie do domu Adama, przewrócił oczyma.

– Czy mógłbyś ze względu na Mercy wymyślić coś sensownego? Przypominam ci, że Marsilia nie darzy twojej żony sympatią. Nie chce stracić pionka z szachownicy, więc współpracuje. Nie mamy wiele czasu.

Marsilia najchętniej z miejsca zastrzełaby Mercy. Adam powściągnął wilka i przejął stery.

– Mój ogród – zaproponował. Mercy zarzuciła cały teren stolikami piknikowymi i różnorodnymi siedziskami, które denerwowały go podczas koszenia, ale w sumie były przyjemne dla oka i użyteczne.

Mercy żyje. Marsilia jest skłonna pomóc. Marsilia nie skrzywdziła ani nie porwała Mercy. To nie jej wina. To czas rozważki, nie gniewu. Lepiej nie zrażać sobie sprzymierzeńców.

Wreszcie odetchnął głęboko i zdobył się na dyplomację.

– Mimo że nie mogę w dobrej wierze zaprosić Marsilii do domu, nie zakładam, że chce mojej krzywdy, krzywdy mojej rodziny czy stada. Ja również nie zamierzam skrzywdzić Pani Chmary. Problemy z byłym partnerem – mówił z ciężkim sercem – nie są mi niestety obce. Nie mogę obwiniać Marsilii za jego działania, choćbym chciał. Wierzę, że to nie jej wina.

– Nie zamierzam skrzywdzić twojej żony ani nikogo, kto należy do ciebie – rzekła Marsilia. Rozmowy telefoniczne przy wilkołakach czy wampirach nie mogły być prywatne. – Spotkamy się w twoim ogrodzie i powiem ci, co wiem. Będziemy na miejscu za dwadzieścia minut.



Tony przybył w towarzystwie jakiegoś poważnego kolegi po fachu, porozmawiał z kierowcą lawety, który usuwał wraki z drogi, zrobił parę zdjęć i nabazgrał zdawkowy raport, który Adam mógł przedstawić ubezpieczycielowi. Jakby mu na tym zależało... Najważniejsze w tej lakoniczności było to, że zapewniała bezpieczeństwo policjantom.

Tony zobaczył całą tę krew w samochodzie i zerknął zatroskany na Adama.

– Co z Mercy? – zapytał cicho Jesse.

Pokręciła głową.

– Nie wiemy. Powiem ci, gdy się czegoś dowiemy.

Warren i Ben przyjechali w momencie, kiedy wataha zbierała się z miejsca wypadku, zostawiając je w rękach policji. Adam wszedł do tyłu i kazał im jechać do domu.

– Kiedy przyjechaliśmy, sklep był otwarty, a w środku nikogo – oznajmił Ben ponuro. – Warren zadzwonił do właściciela. Musi mieszkać gdzieś blisko, bo pojawił się dosłownie w dwie minuty.

– Sprzedawca był nowy – przejął pałeczkę Warren. – Zatrudnił się w zeszłym tygodniu. Adres i dane, które podał do umowy, były fałszywe. Właściciel nie przyglądał się wnikliwie, bo ma braki w obsłudze. Nie śmierdziało tam wampirami. Ale wampiry nie mają problemu z załatwieniem sobie ludzi do czarnej roboty.

– Będę wdzięczny, jeśli pójdziecie za tropem sprzedawcy – powiedział Adam. – Może nas na coś naprowadzi.

– Jasna sprawa, szefie – przytaknął Warren.

Wampiry dotarły na miejsce spotkania przed watahą. Ben zaparkował, wysiadł i wtedy Adam je wyczuł.

Jego wilk był zły na krwiopijców, ale Adam pohamował część swojej natury i przeszedł wokół domu do ogrodu.

Czekali na niego Marsilia, Wulfe i Stefan. Siedzieli na krzesłach, które wzięli od stołu. Ktoś, prawdopodobnie Stefan, ustawił jeszcze trzy krzesła naprzeciwko zajętych.

Marsilia postanowiła zabrać ze sobą tylko dwóch ludzi, a w każdym razie tylko dwóch pokazać, bo z pewnością innych rozstawiła gdzieś w pobliżu. Adam zadarł nos i zaczerpnął powietrza.

Albo i nie.

Machnięciem ręki odesłał do domu watahę, która przyszła za nim. Posłuchali go wszyscy poza Darrylem.

Adam uniósł brew, spoglądając na potężnego Murzyna, który był jego Drugim. Wiedział, że kiedyś, całkiem niedługo, Darryl pójdzie naprzód. Był gotów przewodzić własnemu stadu i zaczynał niecierpliwie się, że ktoś wydaje mu rozkazy.

Adam nie miał pojęcia, jak znajdą watahę dla Darryla, skoro zostali odcięci od Marroka, który rządził wszystkimi wilkołakami. Tradycyjne

metody obfitowały w trupy. Takie myśli tylko przemknęły Adamowi przez głowę, ale przemknęły, bo Darryl się sprzeciwił.

Wilk Adama się nie przejmował. Przyszłość należała do przyszłości, a teraz Darryl nadal był jego. I pewnie miał jakiś powód, żeby się tak zachować.

– Możemy przyjąć, że Stefan jest neutralny – powiedział Darryl, podchodząc. – Ale uważamy, że potrzebna jest pewna równowaga. Dlatego musisz mieć przy sobie Drugiego.

Miał rację. Dobrze byłoby mieć ze sobą kogoś, kto mógł jasno myśleć, podczas gdy Adam pragnął tylko zapolować i unicestwić wampiry, które porwały Mercy. Zwyczajne zabicie ich byłoby zbyt łagodną karą.

Adam zgodził się niecierpliwym skinieniem głowy i zajął miejsce naprzeciw Marsilii. Darryl usiadł po jego prawej, krzesło po lewej zostało puste.

Marsilia była prawdziwą piękną. Jasnowłose Włoszki należały do rzadkości, a Adam wiedział, że to naturalny kolor włosów Pani Chmary, bo Stefan kiedyś o tym wspomniał. Ale piękno Marsilii nie ograniczało się tylko do kolorystyki, miało korzenie głębiej, w strukturze kości i mięśni.

Piękni ludzie zazwyczaj żyją jak inni. Jednak ci wyjątkowo piękni często płacą gorzką cenę za urodę. Adam był prawie pewien, że rzeczy się miały tak samo w piętnastowiecznych Włoszech, jak w dzisiejszych czasach.

Brązowe oczy taksowały go badawczo – może wypatrywały broni, może słabości. Nie przeszkadzało mu to, bo robił to samo. Choć oboje sami byli swoją najskuteczniejszą bronią.

Marsilia miała na sobie eleganckie spodnie i coś w rodzaju jedwabnego topu odsłaniającego całe ramiona i przysłaniającego resztę. Strój nie pozostawiał jednak wątpliwości, że właścicielka nie nosi stanika. Taki ubiór nie wywołałby komentarzy chyba tylko w programie telewizyjnym albo na hollywoodzkiej premierze. Nosila go raczej jak kobieta nawykła do posługiwania się swoim ciałem jak bronią niż kobieta nawykła do celowania z pistoletu. Po jej lewej ręce siedział Wulfe, który awansował na drugiego w hierarchii po odejściu Stefana. Wulfe wyglądał jak naburmuszony punk z lat osiemdziesiątych, choć możliwe, że ten styl znów był w modzie. Bez rozmów z Jesse na ten temat Adam szybko gubił się w obowiązujących trendach.

Jasne włosy Wulfe'a sterczały w dwu-, trzycentymetrowych kłaczkach jak u nieopierzonego kurczaka, końcówki kępek były różowe.

W ocenie Adama Wulfe stanowił większe zagrożenie niż Marsilia, choćby przez swoją absolutną nieprzewidywalność.

Ciekawe, że Stefan siedział po prawej stronie. Wilki zwracają uwagę na język ciała, a ten u Stefana wyrażał troskę i opiekuńczość.

– Przede wszystkim – zaczęła Marsilia – muszę przeprosić, że moja przeszłość odbija się wam czkawką. To nie tajemnica, że ja i Mercedes nie jesteśmy przyjaciółkami, ale cenię sobie rolę, jaką ona odgrywa w naszej społeczności. Nie sędzę, żeby ktoś inny potrafił tak skutecznie równoważyć siły pradawnych, wilkołaków i wampirów, jak robi to Mercedes.

– Może inaczej – mruknął Wulfe. – Może nawet ciekawiej. Ale nie tak pokojowo.

– Skończyłeś? – zapytała Marsilia uprzejmie.

– Wybacz, pani – powiedział nieśmiało Wulfe. – Rozwijałem tylko to, co powiedziałaś.

– Kto ją porwał? – zapytał Adam, niezainteresowany zdawkowymi przeprosinami.

– Nie podpisał wiadomości, lecz rozpoznałam styl. To Iacopo Bonarata, Władca Nocy. Rządzi wampirami w Europie.

Dowiedziawszy się, że w sprawę zamieszany jest ekskochanek Marsilii, Adam natychmiast postawił na Bonaratę. Podejrzał, że jeśli miała innych kochanków, to albo jej służyli, albo byli już martwi. Marsilia była najbardziej pragmatyczną istotą, jaką znał.

– Po co? – drążył. – Czego chce?

Jak mam odzyskać moją Mercy? Nie powiedział tego na głos, bo i tak wszyscy wiedzieli, o co pyta.

– Nie napisał tego w e-mailu. Znając go, to może być każdy z kilkunastu powodów. Może to reakcja na zabicie Frosta, co postrzega jako próbę wzmocnienia mojej władzy. Zesłał mnie tutaj, żebym czeła, a nie wspinała się po szczeblach hierarchii, żeby przejąć rządy w Ameryce Północnej.

– Zna cię dobrze, mógł brać to pod uwagę – podsumował Stefan.

– To, co się dzieje tutaj, to nie jego sprawa – warknął Adam. – Ma swoją Europę.

Wulfe się zaśmiał.

– Jakiś ty naiwny! – Spojrzał na Adama. – To takie zabawne, ta twoja naiwność. – Potem porzucił głupkowatą pozę na rzecz łagodnej groźby. – Iacopo Bonarata rozpiął swoją jedwabną pajęczynę na cały świat. Jest udziałowcem korporacji od Nowego Jorku po Teksas i od Buenos Aires po Hongkong. Czterech z sześciu ostatnich amerykańskich prezydentów należało do niego, choć o tym nie wiedzieli. Każdy wampir rosnący w siłę to dla niego zagrożenie, a nie traktuje zagrożeń zbyt dobrze.

– Jest księciem, arystokratą doby renesansu – dodała Marsilia nieomal przepraszająco. – Ostatnim z rodu. Reszta jego rodziny umarła podczas epidemii czarnej śmierci. Dla niego istnieje tylko jedna droga: albo masz wszystko pod kontrolą, albo giniesz. Tak został wychowany, taki ma sposób myślenia. Moim zdaniem nie rozumie w ogóle takich

słów jak „zadowolenie” czy „wystarczająco”.

– Pozbył się czegoś niezwykle cennego – wtrącił Stefan. – Czegoś, co postrzegał w kategoriach dzieła sztuki. I zdaje sobie z tego sprawę. I żałuje tego.

Marsilia zwróciła na niego ciemne oczy.

– Nie bądź śmieszny.

– W noc naszego wyjazdu do Nowego Świata powiedział mi, że jeśli zostanę twoim kochankiem, będzie ścigał mnie za to na krańce świata – wyjaśnił Stefan.

– Gdyby Iacopo był psem ogrodnika – powiedział Wulfe – zasikałby i zasrał cały ogród. A gdyby ktoś chciał w nim coś posadzić, Iacopo spaliłby wszystko do gołej ziemi, a potem śpiewał ballady, jaki to był cudowny ogród i jak tragiczna jest strata czegoś tak pięknego.

– Trochę zagalopowałeś się z tą metaforą – zwróciła mu uwagę Marsilia.

– Jest niezwykle adekwatna – bronił się Wulfe. – Może z wyjątkiem ballady. Ale wiem skądinąd, że na portrecie, który namalował, jesteś tak oszałamiająca, jak w rzeczywistości.

– Więc dlaczego porwał Mercy? – zapytał Adam Marsilię. Wulfe mógłby tak prowadzić konwersację przez manowce do końca świata.

– Bo powiedziałem mu, że jest najpotężniejszą istotą w społeczności nadprzyrodzonych z Tri-Cities – wypalił Wulfe. – Chyba.

Wilk Adama skoczył naprzód bez ostrzeżenia i pewnie zabiłby wampira, gdyby Darryl i Stefan go nie odciągnęli. Nikt jednak nie zatrzymał Marsilii.

– Nie powstrzymujcie go, proszę – syknęła. Adam zanotował w duchu, że straciła swój zwyczajowy spokój. Stała, trzymając Wulfe’a za gardło. – Łatwiej by mi było wyjaśnić, że zabiły go wilkołaki niż ja.

Wulfe dyndał w powietrzu, choć był wyższy od Marsilii. Udało mu się tego dokonać, bo podkurczył nogi. Na twarzy miał szeroki, głupkowaty uśmiech, przynajmniej dopóki Marsilia na niego nie popatrzyła. Mina mu wtedy zrzędła i spojrzał na nią trzeźwo, najwyraźniej jednak zupełnie niestropiony swoją obecną pozycją.

– Rozmawiałeś z Iacopem za moimi plecami? – wycodziła.

– Ciągłe z nim rozmawiam – odparł Wulfe napiętym głosem. – Przecież wiesz. Dlatego pozwolił mi tu z tobą przyjechać.

Adam zorientował się po minie Marsilii, że to prawda. Cofnął się, uwalniając od Darryla. Stefan puścił go niechętnie. Adam uznał, że Marsilia jest w stanie wyciągnąć z Wulfe’a więcej i może nawet go przy tym nie zabić. Sam nie dowierzał sobie, czy zdołałby dokonać tej sztuki.

– Czego chciał, pytając o najpotężniejszego z nas? – zapytała.

– Nie wiem. Nie do końca. Odpowiadam na jego pytania, ale on na moje nie.

– Stworzyłeś go – przypomniała mu.

Wulfe prychnął.

– Nie jestem już jego Panem od bardzo, bardzo dawna. Tak jak i twoim.

– Dlaczego przedstawiłeś Mercy jako najpotężniejszą osobę spośród nas? – zapytał Adam konkretnie.

Głupkowata mina wróciła na oblicze Wulfe'a.

– Bo to było zabawne? – Spowaźniał. – Bo to prawda. – Spojrzał na Marsilię. – Bo gdybym odpowiedział na jego pytanie zgodnie z tym, czego oczekiwał, zabrałby Adama. I zabiłby go, nie mógłby się powstrzymać. A Mercy... Nie będzie postrzegał jej jako zagrożenia, aż ona nie zatknie jego głowy na swojej pice. Bonarata nie rozumie tego rodzaju siły. Nie może użyć przeciw Mercy swojej najsilniejszej broni, bo ona jest, czym jest, a on nie ma doświadczenia, dzięki któremu mógłby pojąć, czym ona jest.

Marsilia spojrzała na Adama.

– Czy to ci wystarczy? Jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?

Adam zrozumiał, że to wszystko mogło być przedstawieniem zorganizowanym dla niego, ale nie odbierał tego w ten sposób. Wulfe był pokrecony jak sprężyna, ale Marsilia naprawdę się bała. Była odważna i mądra, więc konfrontowała się z sytuacją, ale obawiała się Iacopa Bonaraty.

– Nie uprzedziłeś nas – zauważył Adam łagodnie, zwracając się do Wulfe'a.

– To by zepsuło całą zabawę – odpalił wampir, lecz zaraz otrzeźwiał.

– Nie znacie Iacopa tak jak ja, Adamie. Gdybym was ostrzegł...

– To przez Władcę Nocy Wulfe jest taki – rzekł Stefan niechętnie. – Nie zawsze był...

– Szalony? – podsunął Darryl.

– Nie – westchnęła Marsilia, puszczając Wulfe'a, który ze średnią gracją klapnął na trawę u jej stóp. – Zawsze był odmienny. Ale wcześniej nie bawiło go wyrywanie skrzydełek muchom.

– Nie był sadystą – doprecyzował Stefan. – Bonarata zaskarbia sobie lojalność, mając się różnych metod, a niektóre z nich są bardzo niszczące.

Marsilia chciała coś dodać, ale spojrzała na Wulfe'a i zamknęła usta.

– Szczególnie dla tych, którzy go kochają – dorzucił Stefan z naciskiem.

Darryl spojrzeniem poprosił Adama o pozwolenie.

– Doceniamy oczywiście szansę na zdobycie wiedzy o przeciwniku – powiedział, otrzymawszy zgodę Alfy – Ale najbardziej interesuje nas, jak odzyskać Mercy. Gdzie mógł ją zabrać? Powód jest dla nas istotny tylko o tyle, o ile będziemy mogli wykorzystać tę wiedzę do odszukania Mercy.

Kiedy Darryl przejął prowadzenie konwersacji, Adam znów musiał brutalnie powściągnąć zapędy wilka. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Potrzebował pomyśleć, żeby zaplanować najlepszy sposób na pomoc Mercy, na jej odzyskanie. A żeby to było możliwe, jego wilczy duch musiał... Ciągłe zmagać się z wilkiem, a to wywoływało antagonizm i kosztowało energię.

– Nie wiem, gdzie zabrał Mercy – odpowiedziała Darrylowi Marsilia. – Bonarata ma domy w Nowym Jorku, na Florydzie, w Arizonie i w Ameryce Południowej. Nie wiem też, dlaczego ją porwał, poza tym, żeby przyciągnąć naszą uwagę.

Musimy zapolować, wyszeptał Adam do dzikiego ducha, z którym dzielił ciało, do dzikiego ducha, którym jednocześnie gardził i którym się szczylił. Musimy zapolować, odnaleźć Mercy i zniszczyć tego, kto nam ją odebrał. Pokazać wszystkim, że Mercy należy do nas.

Wilki zatrzymały się, rozważając argumentację Adama. Po chwili bestia zgodziła się z nim.

Uwolniony od tej wewnętrznej walki – jednocześnie pozostając czujnym, bo wiedział, że wilki tylko wyczekują na odpowiedni moment – Adam mógł skupić się na ważniejszych sprawach. Przede wszystkim musiał upewnić się, że jego sprzymierzeńcy prędzej zastrzelą wroga, niż wycelują w niego.

– W porównaniu z Bonarata, Mercy nie znaczy dla ciebie nic – zwrócił się do Marsilii. – Dlaczego więc skontaktowałaś się z nami?

Uniosła podbródek.

– Na początku nie wiedziałam, że chodzi o jednego z waszych. Ale nawet jeśli zabrałby kogoś z moich, to bądźmy szczerzy, też zwróciłabym się do was o pomoc. Jestem potężna w wampirzej hierarchii, ale od czasu wygnania... przestałam się starać. Egzystowałam, lecz na dobrą sprawę nie robiłam nic poza dbaniem o bezpieczeństwo moich wampirów i o to, by swoim zachowaniem nie ściągali na nas uwagi ludzi. Efektem tego braku zaangażowania jest to, że poza mną i Wulfe'em w mojej chmarze nie ma potężnych wampirów. A Wulfe... – Zerknęła na krwiopijcę, który siedział na trawie, oparłszy się głową o jej kolano. – Muszę przyznać, że nie mogę żądać od Wulfe'a, żeby znów mierzył się z Bonarata.

– Jest taka dobra – wymruczał Wulfe, ale obdarzył Marsilię ostrym, bezwzględny uśmiechem. – Jednak prawda jest taka, że ona nie wie, komu służyć, jej czy może mojej latorośli, która uformowała mnie wedle swoich potrzeb, zanim wysłała mnie z nią do tego kraju. Dlatego byłoby głupotą brać mnie pod uwagę w wypadku tej konfrontacji.

– Nawet jeśli – zgodziła się spokojnie – moja chmara od lat nie była tak liczna jak teraz. Mamy kilka nowo stworzonych wampirów i kilka przyjezdnych, których przyciągnęła tutaj twoja deklaracja, Adamie. Nie

tylko magiczny lud jest zmęczony walką. Ale są jedynie trzy wampiry, które nie muszą być posłuszne stworzycielowi ani Panu Chmary. Ja jestem jednym z nich. Pozostałe to Stefan i Wulfe. A znam Iacopa.

– Jacoba – poprawił ją Wulfe. – Teraz nazywa siebie Jacobem.

– Jacoba – powtórzyła. – Nie wiem, dlaczego uprowadził Mercy ani gdzie ją przetrzymuje. Lecz wiem, że przyśle nam kolejną wiadomość e-mailem albo każe komuś do nas zadzwonić, żeby zaprosić do odebrania naszej zaginionej. Obecnie moja siła to liczba, a z tego skorzystać mi nie pozwoli. Dlatego potrzebuję ciebie i twoich wilków.

– Żeby odzyskać Mercy – podkreślił Adam.

– Żeby powstrzymać Bonaratę przed przybyciem tutaj i przejściem tak moich, jak i twoich ludzi. A wierz mi, mógłby to zrobić. Porwał towarzyszkę starego, dominującego wilkołaka i zrobił sobie z niej bezmyślną zabawkę. Kiedy towarzysz próbował ją odbić, zniszczył całą watahę, pozostawiając tego Alfę przy życiu. Słyszałam, że Iacopo nadal trzyma go u siebie.

– Jacob – poprawił Wulfe. – Ciągłe zapominasz. A ten stary Alfa już nie żyje. Jacob stracił swoją wiedzę, nie może jej odnaleźć, a bez niej nie potrafił utrzymać wilkołaka, więc go zabił. To zabił. Myślę, że było już „tym”, kiedy umierało.

Adam zignorował Wulfe’a, zwracając się do Stefana.

– Myślisz, że Bonarata odezwie się do nas?

Wampir Mercy skinął potakująco.

– To by pasowało do jego modus operandi. Zadzwoni, zaprosi nas do siebie, wszystko grzecznie. A potem wyjaśni, że to nieporozumienie, a kiedy wypadniemy dobrze w jego ocenie, na nie za silnych, żeby podważyć jego władzę, i nie za słabych, co oznaczałoby łatwą ofiarę, odda Mercy, żądając ustępstw, na które będziesz mógł przystać.

Marsilia uśmiechnęła się ze znużeniem.

– To właśnie słabość Iacopa. Ubóstwa pochlebstwa i uwielbienie. I jest na tyle szczery wobec siebie, że rozumie ich nikłą wartość, jeśli osiąga to przy pomocy magii.

– Zakładając, że twoje założenia co do powodów porwania Mercy są słuszne – zaznaczył Adam.

– Zakładając, że tak – zgodziła się. – I pamiętając, że czynienie jakichkolwiek założeń w przypadku Iacopa Bonaraty jest niebezpieczne. Tak czy owak, jeśli pojedziemy do niego, przy próbie sił bądź uroczy i daj się zauroczyć. To ostatnie nie będzie trudne. Bardzo możliwe, że wtedy wrócimy z Mercy i przekonaniem, w granicach rozsądku, że Władca Nocy pozostanie po drugiej stronie oceanu i zostawi nas w spokoju, dopóki znów nie ściągniemy na siebie jego uwagi.

– Jeśli pojedziemy gdzie? – zapytał Darryl.

– Tam, gdzie trzyma Mercy, oczywiście – odpowiedziała. – Dam wam

znać, jeśli się ze mną skontaktuje.



Rozdział 3

Mercy

I oto ja, stoję naga przed niezamkniętymi drzwiami zamrażarki.

Aby dać sobie trochę czasu na zastanowienie, zaczęłam składać brudne szmaty, które zaledwie dzień wcześniej były wygodnym strojem na po domu i do przegrywania morskich bitew. Teraz nadawały się co najwyżej na kostium do filmu o zombie, ewentualnie o przygodach wyjątkowo krwiożerczego pirata. Zawinęłam bieliznę w podkoszulek.

Jeszcze raz przyjrzałam się żebrom, ale na skórze pozostała tylko blizna. Ten Bonarata miał naprawdę niezłą uzdrowicielkę. Wykorzystał ją do uleczenia mnie, wierząc, że jestem potężna i że dzięki temu zyska sobie we mnie sprzymierzeńca. Jednak nie pozwoliłam sobie trwać w ułudzie wcześniejszej troski Bonaraty – wiedziałam, że gdyby znał prawdę, wolałby, żebym umarła.

Byłam obolała, ale w dobrym stanie. Przegub, na którym bransoleta wykłuła małe dziurki, nadal swędział, ale kropki wyraźnie się zmniejszyły. Kiedy się schyliłam i potruchtalam na próbę w miejscu, nic nie bolało tak, żeby ograniczać mi możliwość ruchów. Nawet osłabienie i zawroty głowy trochę ustąpiły. Może były efektem długotrwałej nieprzytomności albo wywołała je magia bransolety? Czułam się na tyle dobrze, żeby uciec.

Jakaś częśćka mnie wolała jednak zaczekać. Wiedziałam już mniej więcej, z czym mam do czynienia. Pod wieloma względami całe moje dzieciństwo polegało głównie na wysilaniu całego sprytu i piętnastokilogramowego ciała kojota w konfrontacjach z wilkołakami,

niektórymi wazącymi nawet ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Doświadczenie podpowiadało mi więc, że mam dość wyrównane szanse w starciu z wilkołazycą Bonaraty. Dość wyrównane to jednak wciąż niezbyt duże na uniknięcie śmierci od kłów.

Jednak przez większość wakacji przerażający syn Marroka, Charles, traktował mnie jak uczennicę, choć zdałam sobie z tego sprawę dopiero wiele lat później. Wtedy uważałam, że to kara za to owinięcie nowiutkiego samochodu Marroka wokół drzewa.

Teraz w głowie rozbrzmiewał mi głos Charlesa, jakby do tej pory przyczał się gdzieś tam w kącie mojego umysłu, czekając, aż będzie potrzebny.

– Jeśli zostaniesz schwytana przez nieprzyjaciela, nie zwlekaj z ucieczką – mówił wtedy. – W pierwszej godzinie jesteś najsilniejsza. Czas daje im możliwość, żeby cię zagłodzić, torturować, złamać, osłabić. Musisz uciekać tak szybko, jak się da.

Mocne porady dla nastolatki, która uczyła się zmieniać olej i wyważać koła, ale to cały Charles. Po części właśnie dlatego był taki straszny.

Stojąc przed metalowymi drzwiami, zastanawiałam się, czy miał jakiś wgląd w moją przyszłość, jakąś wizję, w której znajdowałam się właśnie w takich okolicznościach, czy po prostu przekazał mi taką informację, wierząc, że każdy powinien wiedzieć, co robić w razie porwania. Z Charlesem nigdy nie wiadomo. Ale jego rada brzmiała dobrze. Należało brać nogi za pas.

Nawet, dodałam w duchu, dotykając zapraszająco niezamkniętych na klucz drzwi, jeśli właśnie tego nieprzyjaciel się po tobie spodziewa. Nawet jeśli sam prowokuje ucieczkę, żeby zabić cię i mieć czyste ręce.

Kolejne, co powiedziałby Charles, to że gapienie w drzwi nie prowadzi do niczego dobrego, tylko daje czas na podsycanie w sobie strachu.

Nieskrępowana ubraniami, otworzyłam ciężkie drzwi chłodni i wyjrzałam na zalany księżycową poświatą ogród. Lekki wiaterek, odrobinę chłodny, muskał moją skórę, przynosząc nieznajome zapachy. Przekroczyłam próg i naprawdę – pomimo przedstawienia, jakie Bonarata odegrał przede mną, sugerując, że na tym terenie jest coś szczególnego – nie spodziewałam się poczuć niczego szczególnego.

Nagle przytknęło mi uszy, jakbym zleciała trzysta metrów w dół, a magia zadrgała na mojej skórze, łaskocząc jak odnóża pająka. Zamarłam na moment, jednak ponieważ nic więcej się nie wydarzyło, postąpiłam ostrożnie krok naprzód.

Pod stopami miałam ubity żwir, a nad głową zadaszenie wsparte na potężnych starych belkach. W pierwszej chwili pomyślałam, że to ganek domu, z którego właśnie wyszłam, lecz przykrycie było większe niż

budynek. Rozmiarami pasowało bardziej do wiaty samochodowej, otwartej z dwóch sąsiadujących stron. Konstrukcja była długa, a tam, gdzie się kończyła, zaczynał się otynkowany na żółto mur ogrodzeniowy.

Skrajna część budynku z chłodnią, ustawionego w rogu przy murze, zajmowała około jednej trzeciej, reszta wyglądała na opuszczoną stajnię.

Budynek, zadaszenie i mur znajdowały się na przestronnym ogrodzonym terenie obsadzonym rzędami winorośli i drzewami owocowymi. Po wysokim na trzy metry murze piął się bluszcz.

W drugim końcu ogrodu stał ogromny dom zbudowany na planie litery L, który robił wrażenie tak starego, jak budynek za moimi plecami. Całość wyglądała tak, jakby ktoś zadał sobie wiele trudu i z lepszym niż przeciętny skutkiem odtworzył scenerię filmu dziejącego się we Włoszech. Pomyślałam, że pewnie Bonarata chciał się czuć na obcej ziemi jak w domu.

Nie dało się zobaczyć, co kryje się za murami – na pewno nie znajdowały się tam wysokie góry, ale nie czułam się też tak, jak w Tri-Cities. Powietrze pachniało inaczej, było chłodniej i bardziej wilgotno.

Podejrzywałam, że może to Yakima albo Walla Walla. Nie spędziłam zbyt wiele czasu w Yakimie, lecz w Walla Walla na pewno było wilgotniej i chłodniej niż Tri-Cities.

Zrobiłam kolejny krok i nagle przestałam się zastanawiać, gdzie jestem, bo poczułam coś... Kogoś.

Z łomoczącym sercem obejrzałam się na otwarte drzwi. Popatrzyłam uważniej, nie skupiając tak mocno wzroku, i dopiero wtedy dostrzegłam pierścień magii rozciągający się wokół ścian budynku i znikający za otwartym krańcem, który po stronie z murem wślizgiwał się pod kamienne ogrodzenie jak magiczny przewód elektryczny albo po prostu magiczny okrąg.

Bonarata jednak nie kłamał. Byłam lepszym więźniem wewnątrz kręgu niż na zewnątrz. Bo poza kręgiem więź z Adamem i ze stadem znów zaczęła działać. Tak jakby.

Sięgnęłam poprzez znajomą ścieżkę, na której końcu tak niedawno zaległa cisza, sięgnęłam do Adama. Nie zadziałało do końca. W każdym razie nie tak, jak powinno.

Czułam Adama na obrzeżach świadomości, i to wszystko. Może to przez kraknę? Albo narkotyki lub magię, z pomocą której utrzymywano mnie przy życiu w drodze tutaj? A może jakiś czar, na który nie byłam do tej pory odporna, albo krąg nadal na mnie działał? Może wokół posiadłości znajdował się jeszcze inny krąg?

Tyle wiedziałam, że Adam żyje. Miałam nadzieję, że on też poczuje choć to, że i ja żyję. Więzi postanowiłam się przyjrzeć później. Na razie musiałam skupić się na przetrwaniu, bo wyczułam wyraźnie piźmowo-

miętową woń wilkołaka.

– Możesz się pokazać – zawołałam do Lenki. W ten sposób zorientowałabym się, gdzie jest, i zaczęłabym biec do muru w kierunku, który zapewniłby mi przewagę. – Wiem, że tu jesteś.

Chciała, żebym ją wyczuła. Chciała, żebym się jej bała. Po ogrodzie poniosło się niskie warczenie, na tyle ciche, że niesłyszalne w domu. Prawdopodobnie miało być przerażające – i było – ale nie dlatego, że bałam się samego dźwięku.

Dobrze pamiętałam szaleństwo w oczach Lenki. Tego się bałam. Strach był moim sprzymierzeńcem. Strach dodawał nogom skrzydeł.

– Mieszkam z wilkołakami – przypomniałam jej. – Nie będę się ciebie bardziej bała tylko dlatego, że się czaisz.

Wilczyca, która wyszła zza węgła od zabudowanej strony zadaszania, była okropnie chuda, a jej sierść zmierzwiona. Ale ruchy miała zwinne, a kły, które mi pokazała, całkiem długie.

Dorastałam, słuchając opowieści starych wilków o tym, jak przyjemne jest pożeranie ofiary, której serce łopoce ze strachu. Niektóre przyłączające się do watahy Marroka, by dożyć w niej swych lat, wcale nie były milutkie.

– Cześć – rzuciłam do Lenki swobodnie, a potem wystartowałam ku murowi.

Dla wilkołaków pachnę głównie człowiekiem, szczególnie jeśli jakiś czas nie biegałam w postaci kojota. Woń człowieka ma tyle wariacji, że jeśli wilkołak nie wie, czego szukać, zazwyczaj zrzuca tę moją wyjątkową nutę na karb tej różnorodności. Nie wiedziałam, jak to wygląda w przypadku wampirów.

Liczyłam, że tutejsi krwiopijcy nie wiedzą, czym jestem. Że biorą mnie za człowieka. Pomięłam ostrożnie tę kwestię, opowiadając o sobie Bonaracie, a nie była to informacja powszechnie znana. Miałam nadzieję, że w najlepszym wypadku wilczyca weźmie mnie za zwykłą kobietę, która ucieka, by ratować życie, i że trzymano mnie w tym ogrodzie tylko dlatego, że dla ludzi, poza mistrzami sztuk walki i akrobatami, mur stanowi przeszkodę nie do przebycia.

Nie posiadam supermocy ani nie wydaję się groźna, ale szybkość jest moją przyjaciółką, a poza tym zaskoczyłam Lenkę, bo mój bieg wzięła za coś innego, niż był w rzeczywistości. Myślała, że uciekam przed nią, a ja próbowałam się odpowiednio rozpędzić.

Gnałam w stronę muru. Nie wiem, co wilkołaczyca sobie wyobrażała, ale ściagała mnie z całych sił przez większość dystansu. Jednak kiedy zbliżyłam się do wysokiej kamiennej ściany otaczającej ogród, zwolniła, spodziewając się chyba, że się zatrzymam.

Parę miesięcy wcześniej z gromadą wilkołaków oglądaliśmy w domu Warrena filmy z Jackie Chanem. Nie pamiętam, w którym to było, bo

zrobiliśmy sobie maraton, ale Jackie wbiegł na ogrodzenie jak magik. Wokół posesji Warrena był mur. Ktoś zastopował film i wyszliśmy na zewnątrz, żeby popробować, czy to możliwe. Próbowaliśmy i próbowaliśmy.

Wilkołaki osiągnęły średnie rezultaty, za to ja przy swojej wadze i szybkości okazałam się mistrzem. Cała sztuczka, żeby dostać się na szczyt, polegała na tym, żeby znaleźć róg i mieć dobry rozbieg.

Zamiast więc zatrzymać się pod murem, w-jackie-chan-owałam po pionowej ścianie i przeskoczyłam nad górną krawędzią. Całkowicie zaskoczyłam tym wilkołaczycę.

Wątpiłam, by z Bonaratą urządzali sobie kinowe wieczorki ze starymi filmami sztuk walki. Nie wyglądało mi to na tego rodzaju związek.

Ten moment osłupienia oznaczał, że wilczyca, która mogła mnie dopaść – bo choćbym nie wiem jak zwinnie małpowwała Jackiego Chana, jednak bieganie w pionie jest powolniejsze niż bieg po płaskim terenie – zaprzepaściła swoją szansę. A ja nie zamierzałam dawać jej drugiej.

Przemieniłam się w kojota w trakcie przeskakiwania ponad zwieńczeniem ogrodzenia. Nie jestem żadnym „łakiem”, którego zmiana formy trwa. Potrafiłam zrobić to – cóż, w tym przypadku trwało to tyle, co zeskok.

Wylądowałam już na czterech łapach i pognałam ze wszystkich sił wąską uliczką, wzdłuż której ciągnęły się mury. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, ale oddalałam się, czyli biegłam w dobrym kierunku, więc pędziłam przed siebie bez wahania. Nie zwolniłam też, żeby się obejrzeć.

Nie musiałam. Słyszałam, jak Lenka przeskoczyła przez mur. Słyszałam, jak mnie goni, pazury dawały jej lepszą przyczepność niż moje mnie. Wilkołaki mają wielgachne, koszmarnie szponiska, a ona używała ich do odpychania się tak, jak robią to wielkie koty.

Z doświadczenia wiedziałam, że jestem szybsza od większości wilkołaków. Od większości, lecz nie od wszystkich. Miałam pecha, że ścigająca mnie wilczyca nie należała do tej powolniejszej większości. Z każdą chwilą zbliżała się coraz bardziej.

Wypatrywałam jakiejś przecznicy, czegokolwiek, co pozwoliłoby mi wykorzystać przewagę małych rozmiarów, ale wzdłuż drogi ciągnęły się tylko kamienne mury, tynkowane mury, betonowe mury przerywane wysokimi, masywnymi bramami. Dlatego biegłam z pełną prędkością, licząc, że jestem bardziej wytrzymała, że szybciej się zmęczy i zwolni.

Nie wiem, jak długo tak gnałyśmy pogrążonymi w nocy uliczkami. W czasie łowów przy pełni wataha mogła biec bez przerwy przez cztery, pięć godzin, dla czystej radości pędu, a poza kilkoma niewielkimi urazami po wypadku, byłam w dość dobrej formie. Lepszej niż ścigająca

mnie wilczyca, która robiła wrażenie na pół zagłodzonej.

Z pewnością zaś byłam w lepszej formie teraz niż po tygodniach gościny u Bonaraty. Pomyślałam, że jeśli uda mi się z tego wyjść cało, muszę podziękować Charlesowi.

Wreszcie zwyciężyła kondycja. Zaczęłam Lenkę odsadzać, powolutku, bardzo powoli. W tym samym czasie skończyły się mury wzdłuż uliczki. Pędziłam teraz wiejską drogą, po której bokach na łagodnych wzgórzach rozciągały się winnice. Nadal były ogrodzenia, jednak z ogrodzeniami potrafiłam sobie poradzić, a winnice stanowiły dar niebios. Wokół Tri-Cities jest ich pełno. Znam się na winnicach, wilkołakach i kojotach.

Przecisnęłam się pomiędzy prętami bogato zdobionej bramy i popędziłam wzdłuż skrajnego rzędu winorośli. Chyba wiedziała, co planuję, może nawet polowała w tej konkretnej winnicy, bo przyspieszyła, skracając dystans pomiędzy nami. Ale znów się spóźniła.

Nie chciałabym mierzyć się z Lenką w jej najlepszej formie, gdyby nie była na wpół oszalała. Choć w sumie gdyby nie była maskotką... kochanką... czymś tam Bonaraty, nie próbowałaby mnie zabić.

Winorośle sadi się w rzędach. Przestrzeń pomiędzy rzędami jest pusta, więc łatwo się poruszać wzdłuż szeregów nasadzeń. Z tym że rośliny są rozpięte prościutko na drutach lub sznurach, bieganie na wskroś rzędów jest trudne – chyba że jest się kojotem. Konstrukcje, na których prowadzi się pędy, mają na tyle duże prześwity, że kojot może się z łatwością przez nie przemykać.

Skręciłam na środek winnicy.

Minąwszy drugi rząd, miałam już wycucie przestrzeni i nie musiałam zwalniać ani skracać kroku, prześlizgując się pomiędzy uroczo udrapowanymi winoroślami.

Wilkołaczyca była ode mnie dużo większa. Musiała przeskakiwać ponad każdym rzędem. Nie ten wysiłek pozwalał mi Lenkę wyprzedzić, ale to, że każdy sus oznaczał, że w tym czasie nie posuwa się naprzód. To ją spowalniało i kosztowało dodatkową energię.

Dźwigała jakieś dziesięć razy więcej masy niż ja, liczyłam więc, że wreszcie się zmęczy, choć nie działało się to tak szybko, jak bym chciała, nawet biorąc pod uwagę jej słabą kondycję. Czekałam, że pobiegnie wzdłuż rzędu, a potem skrajem uprawy, gdzie miałaby więcej swobody w rozwinięciu prędkości niż ja. Jednak biegła ciągle za mną, jakby nie umiała myśleć strategicznie.

Do czasu, aż znów dotarłam do drogi. Prześliznąwszy się pod żywopłotem, który wilkołak musiałby przesadzić, zyskałam już jakieś czterdzieści metrów przewagi. Droga prowadziła niecały kilometr prosto pod górę, a potem, jak wskazywał znak na poboczu, krzyżowała się z inną.

Ostatni, bardziej stromy odcinek pokonałam, odrywając myśli od

zmęczenia i zajmując je bardzo istotną kwestią, czy biec dalej przed siebie, czy może skrócić w lewo lub w prawo. Moje życie wisiało na włosku, a ja nie miałam żadnej wskazówki, która pomogłaby mi podjąć świadomą decyzję. Wysokie żywopłoty zasłaniały mi widok tak, że nawet nie widziałam przed sobą tej drugiej drogi.

Zawahałam się na mgnienie... Jedna sekunda, dwie, i rzuciłam się na prawo. Obejrzałam się i ujrzałam zadowolenie w ślepiach Lenki. Moje wahanie skróciło dystans. Nadal była silniejsza ode mnie, a mozolny bieg pod górę kosztował mnie prawie całą przewagę zdobytą w winnicy.

Wilkołacząc tak pochłonęła wizja mnie jako jej ofiary, że nie zwracała uwagi na nic innego. Dlatego kiedy pognałam przez skrzyżowanie, Lenka rzuciła się za mną i autobus, na który czekałam, uderzył w nią i przejechał po niej obiema parami kół.

Skręciłam w prawo, w stronę, z której przyjechał autobus, i biegłam dalej. Z tyłu słyszałam, że pojazd zwalnia i zatrzymuje się. Miałam nadzieję, że wilczyca jest martwa, a przynajmniej na tyle martwa, że niegroźna dla kierowcy i pasażerów. Po chwili usłyszałam zapuszczany silnik i autobus ruszył w swoją drogę. Zwolniłam do truchtu. Może Lenka nawet nadal żyła, jednak z pewnością potrzebowała czasu, żeby się uleczyć. Bez wsparcia watahy mogło to trwać przynajmniej parę godzin.

Wciąż jednak panowała ciemność i istniało ryzyko, że wampir nie zostawił tak swojej... – kogo? żywicielki? kochanki? – żeby zabiła mnie sama. Potrzebowałam bezpiecznej kryjówki. Musiałam skontaktować się z Adamem. Musiałam coś zjeść. Niekoniecznie w tej kolejności. Pragnienie, najpilniejszą potrzebę, zaspokoiliłam w poidle dla krów. Bydłątka gapily się na mnie zaciekawione, ale nie wystraszone.

Zastanawiałam się, czy nie przeciąć ich pastwiska, żeby dotrzeć do kolejnej winnicy, jednak najbardziej chciałam wrócić do domu, uznałam więc, że lepiej będzie posuwać się drogą, aż dotrę do jakiejś znajomej okolicy. Droga, poza tym jednym małym pastwiskiem, wiodła pomiędzy winnicami, a w końcu wokół zaczęły pojawiać się z wolna oznaki cywilizacji, choć na nic mi się to zdało. Wędrowałam jeszcze kolejną godzinę, potem cztery, dopóki na wschodzie nie pojawiły się ząbki nowego dnia, a przez cały ten czas nie znalazłam żadnego miejsca, które wydawałoby mi się bezpiecznym schronieniem. Może gdybym nie była tak wykończona, wpadłabym na jakiś mądry pomysł, na przykład żeby przemienić się w człowieka i poszukać pomocy. Choć może i nie. Bonarata nie potraktowałaby dobrze nikogo, kto popsułby mu szyki, udzielając mi wsparcia – w każdym razie na to wskazywała jego reputacja. Dlatego zamiast szukać pomocy, znalazłam tory kolejowe i podążyłam za nimi. Zmęczenie pozwalało mi skupić się tylko na jednym, na pozostawieniu wampira jak najdalej za sobą. Na ucieczce.

Pociąg wydawał się całkiem dobrym sposobem.

Koniec końców nie wsiadłam do pociągu. Dotarłam do stacji, która znajdowała na granicy terenów zabudowanych, gdzie wieś zmieniała się w ciasne miasto. Gdy zastanawiałam się, jak wskoczyć do wagonu niezauważona – magia stada pozwalała mi unikać wzroku ludzi, tylko dopóki nie zrobiłam czegoś zbyt interesującego – przyszło mi do głowy, że mogę złapać lepszą podwózkę.

Przy stacyjce znajdowało się stanowisko autobusowe. Stał tam, niecałe trzy metry od wypielęgnowanych krzaków okalających miejsce, w którym się przyczaiłam, autokar z otwartymi lukami bagażowymi. Kiedy go zauważyłam, kierowca właśnie zamykał luk z drugiej strony. Wskoczyłam do bagażnika bliżej mnie, przedarłam się przez walizy i torby, znajdując wreszcie wolną przestrzeń, gdzie mogłam się ukryć. Leżałam, dysząc tak cicho, jak się dało, dopóki nie zatrzasnęła się druga kłapa. Pięć minut później autobus potoczył się naprzód w oparach ropy, a ja odetchnęłam głęboko.

Nareszcie bezpieczna.

Zalała mnie fala ulgi. Złożyłam łeb na łapach i zasnęłam.



Śnił mi się Adam.

Wyciągnęłam się na niewygodnym fotelu, przewidzianym dla człowieka, w moim kojocim ciele, składając pysk na kolanach Adama. Jego silna ręka spoczywała na moim grzbiecie. Zmieniłam pozycję, żeby widzieć twarz Adama – wyglądał na zmęczonego. Byliśmy chyba w samolocie – co nie miało żadnego sensu. Ale to tylko takie wrażenie. Wszystko poza Adamem było niewyraźne, jak to czasem bywa w snach.

– Jesteś wreszcie – powiedział. – W co, do... W co tym razem się wpakowałaś?

Kojoty nie mówią.

– Mercy – ponaglił mnie.

Czasami wykorzystuję niemówienie, w pewnych sytuacjach tak jest lepiej. A mój mąż brzmiał, jakby się na mnie wściekał. Byłam taka zmęczona. Poduszki na łapach, na których dałabym radę przebiec pustynię, nie sprawdzały się równie dobrze w przypadku całonocnych maratonów po asfalcie. Bolały mnie bark, szczęka, serce. Utknęłam w luku bagażowym bez jedzenia. Mój żołądek trwał w przekonaniu, że odcięto mi gardło.

Położyłam znów łeb na kolanach Adama i zamknęłam oczy. Na chwilę znieruchomiał.

– Nie jest za dobrze, co? – odezwał się miękko, pogładził mnie po

bokach, a potem ujął mój pysk w dłonie w pieszczocie, która była równie kojąca, co władcza. – Przykro mi. Kur... Bardzo się martwiliśmy. – Adam starał się nie przeklinać przy kobietach i dzieciach. Efekt dorastania w latach pięćdziesiątych albo może wyjątkowo dobre wychowanie, jak kto woli.

Pochylił się nade mną, wsparł głowę na moim karku i usłyszałam, jak robi wdech, jakby chciał mnie wciągnąć do płuc.

Przysunęłam się bliżej, ale nie otworzyłam oczu. Najwyraźniej taka odpowiedź wystarczyła, bo Adam wypuścił powietrze i odprężył się.

– W porządku. Powiem ci, co wiem. – Wyprostował się, ale nie zdjął ze mnie rąk. – Zniknęłaś, kochanie. Znaleźliśmy SUV-a i kradzioną ciężarówkę, która w niego wjechała. Znaleźliśmy krew na siedzeniu kierowcy... To straszne, Mercy, tyle krwi! Ale ciebie nie było. Sprzedawca, który cię obsługiwał, zniknął. Uważamy, że wampiry go kontrolowały. Że porywacze czekali, aż przyjedziesz tam sama. Zakładali, że tak blisko domu będziesz się czuć bezpieczna i okazja sama się pojawi. Wydawało się, że to ślepa uliczka, ale nagle zrobiło się ciekawiej. Po rozmowie z Marsilią...

Podniosłam łeb i spojrzałam na Adama, ale wpatrywał się w coś dla mnie niewidocznego.

– Dostała e-maila sugerującego, że jesteś przytrzymywana. Wiadomość wysłano, żeby nakłonić ją do stawienia się przed... – Zakończył w tym miejscu. – Zostałem poinformowany, że wymówienie jego imienia albo tytułu mogłoby pozwolić mu na podsłuchanie tej rozmowy, bo komunikujemy się raczej za pomocą zaklęcia więdzmy niż więzi. Wiesz, o kim mówię?

Przytaknęłam, zbita z tropu informacją o zaklęciu. Adam zacisnął boleśnie palce.

– Przetrzykuje cię? – zapytał w napięciu. Pokręciłam łbem. – Uciekłaś? Gdzie jesteś? Dobrze się czujesz? Coś ci grozi? – wyrzucał z siebie pytania.

Chciałam mu powiedzieć, ale byłam kojotem, a poza tym nie miałam bladego pojęcia, co odpowiedzieć.

Jego nozdrza zafalowały i spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

– Wyczuwam olej napędowy. Myślałam, że mogę wyczuć tylko ciebie... Mercy, czy jesteś w autobusie? – zapytał.

Ale zniknął, zanim zdążyłam znowu przytaknąć. Błogi sen został rozbity na kawałki przez nagły pisk hamulców. Hałas i wstrząsy ściągnęły mnie z kolan Adama i wrzuciły z powrotem do zimnego, ciemnego bagażnika. Podniosłam się. Niełatwo było mi zachować równowagę, bo autobusem trzęsło, kiedy przejeżdżał przez progi zwalniające, krawężniki, trupy czy coś, co unosiło raz jedną, raz drugą stronę podwozia.

Trudno powiedzieć, ile spałam, oceniłam, że chyba niezbyt długo, bo po ponadpółgodzinnym leżeniu w jednej pozycji zeszywniałabym bardziej. Czyli jechaliśmy za krótko, żeby oddalić się na bezpieczną odległość od Władcy Nocy. Czekałam, a kiedy autobus się zatrzymał, przygotowałam się.

Gdy tylko uniosła się kłapa luku, wystrzeliłam przed siebie z pełną prędkością. Kierowca krzyknął z zaskoczenia, kiedy śmignęłam obok, ale znalazłam się na dużym dworcu, szybko więc zniknęłam mu z oczu pomiędzy innymi autokarami i ludźmi z bagażami.

Zwolniłam na widok mężczyzny pochłoniętego czytaniem książki i szłam przez jakiś czas przy jego nodze, aż z wolna otuliła mnie magia watahy i stałam się mniej interesującym obiektem. Czułam, jak ciężar spojrzeń na karku stawał się lżejszy, kiedy ludzie przestawali na mnie patrzeć. Magia stada była przydatna, ale i tak musiałam starać się wtopić w otoczenie, bo działała bardzo słabo.

Przechodziliśmy obok jasnożółtego autobusu, przy którym właśnie jakaś kobieta schylała się do luku, lecz zatrzymała się, bo coś odwróciło jej uwagę. Nie mogłam nie skorzystać z takiej okazji. Płynnie oderwałam się od mężczyzny i wśliznęłam niezauważona do bagażnika. Znalazłam sobie dwa beżowe worki marynarskie i wpasowałam się pomiędzy nie, udając jeszcze jeden podobny kolorystycznie, nieforemny bagaż. Kłapa luku zamknęła się.

Zastygłam, czekając, aż autobus ruszy, i leżałam nieruchomo, gdy skręcał, nabierając prędkości. Nie drgnęłam z obawy, że przegram bitwę z ogarniającą mnie paniką.

Zakładałam, że Władca Nocy zabrał mnie do Yakimy albo Walla Walla. Oba te miejsca leżały w rozsądnej odległości od Tri-Cities, oba na pagórkowatym terenie i w obu znajdowały się winnice. Potem, zwiewając ze wszystkich sił przed wilkołakiem, nie przywiązywałam wagi do szczegółów, skupiając się na ucieczce.

Jednakże głosy na dworcu nie mówiły po angielsku. Słyszałam włoski.

Nie znajdowałam się w Yakimie ani w Walla Walla, nie byłam w Waszyngtonie, ani nawet w Stanach Zjednoczonych. Władca Nocy uprowadził mnie do Włoch i dlatego nie mogłam osiągnąć Adama i watahy w żaden sposób, jaki wypróbowałam natychmiast po wyrwaniu się z magicznego kręgu Bonaraty.

Nie bardzo orientowałam się, jak daleko od domu leżą Włochy, korzystając jednak z dość luźnej wiedzy ze studiów, oceniłam, że kula ziemiska ma jakieś czterdzieści tysięcy kilometrów w obwodzie, a Włochy są mniej więcej ćwierć świata od Ameryki, a to dawało mniej więcej dziesięć tysięcy kilometrów z dokładnością do tysiąca.

Znajdowałam się w trzewiach autobusu pędzącego przez Włochy,

sama, naga i bez grosza. W dodatku bez paszportu.

W krainie, gdzie kojot się wyróżnia, bo w Europie ich nie ma.

Pomyślałam jeszcze chwilę i dodałam do listy niedoli nieznaną języka. Nigdy nie wyjeżdżałam za granicę, poza letnim wypadem do Meksyku z Char, moją dawną współlokatorką. Char mówiła płynnie po hiszpańsku, więc moje dukanie nie stanowiło wielkiego problemu. Wtuliłam łeb w łapy i pograżyłam się na jakiś czas w nieszczęściu.

Potem otrząsnęłam się, założyłam na powrót spodnie dużej dziewczynki (w tym wypadku tylko metaforyczne) i zaczęłam rozważać swoją sytuację. Wokół mnie znajdowało się rozwiązanie kwestii nagości. Nie był to moment na przyzwoitość.

Powróciłam do ludzkiej formy i zaczęłam przeszukiwać bagaże.

Trochę zajęło, zanim znalazłam torbę kobiety o mniej więcej moich gabarytach. Nie chciałam zostawiać nieświadomej dobrodziejki z dużymi ubytkami garderoby, wzięłam więc niezbędne minimum. Z innej torby wyjęłam notes oraz długopis, zapisałam numer telefonu Adama i sporządziłam dokładną listę zabranych ciuchów. Drugą taką samą zatrzymałam dla siebie. Innej kobiecie zabrałam tenisówki w moim rozmiarze i dwadzieścia euro. Było tam chyba ze dwieście, ale poczucie przyzwoitości, i tak nadszarpnięte, nie pozwoliło wziąć więcej. Właścicielce butów też zostawiłam liścik.

Nie wiedziałam, jak długo będzie trwała podróż, choć zawartość bagaży sugerowała, że pasażerowie planowali raczej dłuższą wycieczkę, mimo to spieszyłam się, żeby nikt nie przyłapał mnie na gorącym uczynku.

Wpadł mi w ręce też pusty plecak, nie porządny, w stylu „uniosę wszystkie twoje książki z roku”, tylko raczej „nie chcę nosić torebki, a różowiotka koroneczka i kwiatuszki są śliczne na plecaczku”. Również uważałam, że jest ładniutki, jeśli nawet niezbyt pasował komukolwiek powyżej siódmego roku życia. Ale moja kojocia postać mogła go unieść, a on pomieścić owoce mojej grabieży, więc go również sobie przywłaszczyłam.

Sama kradzież trwała krótko. Więcej czasu zajęło mi pisanie liścików. Wkładałam ostatni do torby właścicielki butów, gdy wpadł mi w oko czytnik e-booków wystający z jej przegródki.

Miałam niemal pewność, że większość czytników, nawet starszych modeli, jak ten, ma możliwość połączenia z Internetem. Dopisałam go do listy rzeczy, które byłam winna kobiecie zubożonej o tenisówki. Zrobiło mi się przykro na myśl o niej, kiedy odkryje ich brak, ale obiecałam sobie wynagrodzić jej to tak szybko, jak mi się uda. Jeśli mi się uda.

A jeśli nie, też nie zamierzałam się wykręcać. Adam wiedziałby, że chciałabym zadośćuczynić tym ludziom za to, co im zabrałam.

Zapakowałam wszystko do kwiecistego plecaczka, który umieściłam

w kącie luku. Potem znów zmieniałam się w kojota i zwinęłam w kłębek, przytulona do metalowych ścianek bagażnika.

Odkąd związałam się z Adamem, przywykłam na powrót do poczucia bezpieczeństwa. Oczywiście miałam do czynienia z wampirami, trollami i różnorodnym wachlarzem innych złoczyńców od przerażających po strasznych, którzy dość często i regularnie starali się pozabawić mnie życia. Jednak zawsze mogłam liczyć na Adama. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo łaknęłam jego wsparcia, dopóki nie zniknęło. Znowu.

Kiedyś już czułam się bezpieczna. Zostawiłam za sobą nadprzyrodzony świat, gdy w wieku szesnastu lat opuściłam stado Marroka. Potem poszłam na studia, a jeszcze później uznałam, że wolę być mechanikiem zamiast nauczycielką. Przez prawie dziesięć lat mieszkałam w bungalowie, chodziłam codziennie do pracy i nikt nie nastawał na moje życie. Utwierdziłam się w przekonaniu, że nikogo nie potrzebuję. Nawet kiedy w mój świat wkroczyły problemy nadprzyrodzonej społeczności, nie straciłam umiejętności odnajdywania bezpiecznego miejsca – domu.

Ale tak naprawdę nikt nie jest bezpieczny. Nigdy. Po wszystkim, kiedy już pozbierałam kawałki swojego życia i skleiliśmy je na powrót w całość za pomocą nadziei, zaufania i magicznego pyłu, znalazłam dla siebie inne miejsce, które stało się moim domem, moim azylem.

Nagła groza wybiła mnie z toku myśli. Czyżbym wyszła za Adama, żeby czuć się bezpiecznie? Panika trwała tylko mgnienie, bo wiedziałam, że tak nie jest. Miałam za sobą całe godziny terapii z rewelacyjną psycholog. Proces z jednej strony pomógł mi uporać się z tym, co mnie spotkało, ale też umocnił mnie w przeświadczeniu, że mogę wybrać Adama, bo wybieram jego, a nie poczucie, że cokolwiek będzie chciało mnie skrzywdzić, będzie musiało najpierw zmierzyć się z nim.

Ale mimo wszystko... wierzyłam, że nic mi nie grozi.

Władca Nocy wkroczył na mój teren, porwał mnie i przerzucił do Włoch jak paczkę, i wszystko to tak, jakby moi sprzymierzeńcy nie stanowili dla niego żadnej przeszkody. Wyłuskał mnie z chirurgiczną precyzją, jakbym sama wskoczyła do jego samolotu – bo nie ma opcji, żeby przywiózł mnie tu rejsowym lotem – z własnej nieprzymuszonej woli.

Podczas podróży autokarem miałam czas pomyśleć. Moja aktualna najlepsza wersja motywu Bonaraty była taka, że ściągnął mnie do Europy, bo myślał, że należę do Marsilii, a zakładał tak, bo nie przyszło mu do głowy, że ona współdziała z Adamem i watahą na równych prawach, a nie z pozycji władzy. Byłam pionkiem na szachownicy, na której według Bonaraty ona była królową. Porwał mnie, którą Wulfe przedstawił jako najpotężniejszego sojusznika Marsilii, żeby udowodnić, jaka jest słaba. Bałam się myśleć, co by zrobił, gdybym okazała się

wilkołakiem, jak pierwotnie zakładał, ale widok jego wilczycy-maskotki dawał mi o tym pojęcie. Lenka miała dziwny zapach, niewłaściwy – z rodzaju tych, które ostrzegały mojego kojota, że nie należy czegoś jeść.

Miałam też inne pomysły na wytłumaczenie powodów, dla których Bonarata mnie uprowadził, lecz żaden z nich nie miał sensu, łącznie zresztą z tą najlepszą wersją. Bonarata był na to zbyt mądry, w końcu nie bez powodu przeżył tak długo.

Tak naprawdę miałam pewność tylko tego, że chodzi o Marsilię. W oczach wampira, kiedy mówił, że nie chciał jej zabić i dlatego właśnie nie zerwał naszej (istniejącej w jego wyobraźni) więzi widziałam coś, jakąś iskrę.

Zadrżałam, mimo że w autobusie nie było zimno, a moja letnia okrywa mogła zapewnić mi ciepło nawet podczas najsilniejszych mrozów, jakie mogły wystąpić w Lombardii.

Myślał, że jestem związana z Marsilią.

Wstrętem napawała mnie myśl, że to samo słowo opisywało to, co wampiry robiły swoim ofiarom, i to, co łączyło mnie z Adamem i watahą.

Odkąd dzieliłam więź z Adamem, zrozumiałam, że wszystkie magiczne połączenia są stworzone z tego samego rodzaju magii. Ludzi też może łączyć taka więź, lecz delikatniejsza i krucha. Nietrwała.

Tak jak wszystko, i stadną, i partnerską więź można wypaczyć, ale z natury pobudzają one empatię, bo opierają się na emocjach. Są relacją pomiędzy równymi sobie – nawet ta łącząca Alfę z watahą. Alfa ma zadanie do wykonania, jednak nie sprawia ono, że staje się ważniejszy od nawet najbardziej uległego wilka w stadzie. Według Adama on sam stanowił najmniej istotny element tego układu. Zgodziliśmy się nie zgadzać w tej kwestii.

Więź pomiędzy wampirem i jego ofiarą stawia wampira w pozycji władzy. Wampir może sprawić, że jego marionetka zrobi wszystko, poczuje wszystko, wedle uznania krwio pijcy. Jeśli wampir chce, może odebrać swojej ofierze wolną wolę i pozostawić ją tego nieświadomą.

Pocałunek nie zawsze działa. Stefan powiedział mi, że przejście wilkołaka w taki sposób jak człowieka jest prawie niemożliwe ze względu na więź stadną. To, że Bonaracie się to udało, tylko podbijało jego reputację. Bywali ludzie trudni do złamania. Jednak mając czas, silny wampir mógł przejść kontrolę nad prawie każdym człowiekiem, którego obrał za cel.

Stefan mówił, że nie wie, czy nas też to dotyczy, bo nigdy tego nie próbował. A ja mu ufałam.

Jednak tak czy siak, byłam w jego posiadaniu. Ocalił mi życie, nakładając na mnie prawo swojej własności, a ja się na to zgodziłam. Myślałam jednak, że to połączenie zostało zerwane, że zniknęło. Że

zniszczyły je więzi ze stadem i Adamem. Myślałam tak, bo Stefan chciał, bym tak myślała.

Najwyraźniej przez to, że przyjął połączenie z własnej woli, Stefan nie mógł go przerwać, nawet jeśli chciał. Znałam Stefana na tyle, by w to wierzyć.

Władca Nocy próbował je zerwać, bezskutecznie. A w każdym razie tak twierdził. Serce mi załomotało, poczułam suchość w ustach i zaczęłam dyszeć ciężko z przerażenia. Przecież mógł kłamać! Ciągłe kłamał. Nie pamiętałam już, czy w tamtej chwili, kiedy mówił o mojej więzi z innym wampirem, byłam wyczulona na kłamstwo. Moją uwagę zajęła wtedy zazdrość, którą okazywał. Czyżby kłamał? Czy czaił się teraz w mojej głowie, gotów mi rozkazywać?

Odebranie mnie Marsilii byłoby lepszą lekcją niż zabicie mnie przez wilkołaka podczas ucieczki. Miałam tylko słowo Bonaraty na to, że nie zerwał więzi.

A przecież uciekając, zrobiłam dokładnie to, czego chciał. Wiedziałam, że się tego spodziewa. A jeśli tak naprawdę nie miałam zginąć z kłów jego wilka, tylko tak mi się wydawało? A jeśli... jeśli taki właśnie był jego plan? Że ucieknę, uznam, że jestem wolna, wrócę do stada i zniszczę je od środka, bo jestem wykonawcą woli Bonaraty? To miało większy sens niż motyw czegoś w rodzaju nieodwzajemnionej zazdrości.

A może Bonarata jednak zerwał więź łączącą mnie ze Stefanem? Może potrafił zrobić to, co nie udało się Stefanowi? A może jestem niewolnikiem Władcy Nocy?

Od czasu, kiedy dowiedziałam się, że nadal jestem związana ze Stefanem, nie próbowałam sprawdzać połączenia. Sama myśl o tym wywoływała u mnie zimne poty i pozwalała w pełni zrozumieć, dlaczego uwięziony wilk jest gotów odgryźć sobie łapę, żeby się uwolnić.

Autobus warczał jednostajnymi obrotami silnika, całkowicie nieporuszony moją paniką. Uznałam, że muszę odnaleźć połączenie ze Stefanem, upewnić się, czy Bonarata czegoś z nim nie zrobił, czegoś, co mogło przemienić mnie w jego marionetkę.

Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. Jednak już w chwili, kiedy o tym pomyślałam, znalazłam punkt zaczepienia. Po tym, jak Adam przyjął mnie do stada, miałam przykrą przygodę – kilkoro członków watahy manipulowało mną poprzez więź. Dlatego Adam nauczył mnie, jak obchodzić się z magią stada i tego rodzaju połączeniami. Część tego procesu stanowiło wyćwiczenie umiejętności dostrzegania więzi w umyśle.

Zamknęłam oczy i po niekrótkich i nielekkich zmaganiach wyciszyłam się na tyle, by wejść w stan płytkiej medytacji, która według Adama ułatwiała posługiwanie się więzią stadną, a także tą między

nami.

Udało się. Stałam na podniszczonej scenie w moim dawnym liceum, tym w Portland. Na podłodze jaśniał krąg światła rzucany przez reflektor znajdujący się nad konsolą techników umieszczoną pośrodku balkonu. Wiedziałam, że tam jest, choć, oślepiąca strumieniem światła, nie widziałam go.

Deski pod moimi bosymi stopami, niegdyś gładkie i lśniące przez lata uczniowskich prób i przedstawień, przesuwanie rekwizytów i pianina, zmatowiały. Czułam podeszwami rysy i chropowatość. Choć w rzeczywistości byłam w postaci kojota, tu, w umyśle, próbowałam odnaleźć coś, co należało do świata ludzi, więc występowałam w ludzkiej formie, naga, bo nagość sprawiała, że czułam się bezbronna, a chyba nie potrafiłam znaleźć w sobie bezpiecznego azylu, który pozwoliłby mi występować w ubraniu.

Na skraju sceny kłębiła się ciemność, zalegająca też na widowni. Nie potrafiłam przebić jej wzrokiem, ale przecież nie znalazłam się tu po to, by odświeżać wspomnienia z liceum.

Spojrzałam po sobie i pogłodziłam tatuaż na brzuchu. Nie było w nim żadnej magii. Przedstawiał odcisk łapy – kojociej, bez względu na to, co mówił o niej Adam. Ale pomagał mi osadzić się wewnątrz mnie, bo symbolizował kojota, którego w sobie nosiłam. Moje palce przesunęły się setny, dwusetny raz i wreszcie natrafiły na grubą linę, która mnie oplatała.

Wydawała tak gruba, że nie powinna móc okręcić się wokół mnie, ale kiedy moje postrzeżenie liny się zmieniło, wyostrzyło, zobaczyłam, że otacza mój tors niczym kuloodporna kamizelka, jeśli takowe robiono by z jedwabnego sznura. Nie czułam jej ciężaru, ale tu, w miejscu pomiędzy jawą a snem, wydawała mi się ciepła i krzepiąca. Jej drugi koniec znikał w szarej mgłę, która zebrała się w otaczającej mnie ciemności.

Schyliłam głowę, przytykając do liny nos. Pachniała Adamem. Przytuliłam do niej policzek. Czułam pod ręką, że jest żywa, że nic jej nie jest, a poprzez nią słabiutko wyczuwałam determinację Adama, jego napięcie i lęk. Wypuściłam ostrożnie linę z rąk. Nie przybyłam tu szukać więzi partnerskiej.

Więź stadna przeplatała się przez moją kamizelkę, osnowę Adamowego splotu. Była bardziej mechata niż jedwabiste połączenie z Adamem, przypominała kształtem i kolorami bożonarodzeniowe girlandy. Była też lżejsza i migotała, skrzyła się, kiedy nią poruszyłam. Również ciągnęła się ode mnie jak pleciony kabel, o połowę cieńsza niż więź partnerska, ale podobnie jak ona, znikwała w oddali we mgłę. Dotykając jej, czułam odległe echa życia wilków, z którymi mnie splatała.

Jednak więzi stadnej też nie szukałam. Stałam tak swobodnie, jak

potrafiłam – na lekko rozstawionych nogach, ugiętych kolanach, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Przymknęłam moje niematerialne powieki i pomyślałam: Stefan. Wyobraziłam go sobie, wysokiego, ciemnowłosego, ciemnookiego, w typie Włocha, tak zawsze o nim myślałam. Miał ciepły uśmiech i zmienną posturę – kiedy tego pilnował, garbił się nieco i stapał ciężiej. Kiedy nie, chodził wyprostowany jak struna, podobnie jak Adam – obaj za młodu służyli w wojsku. Stefan był niebezpieczną istotą, ale potrafił się od tego zdystansować, śmiać się i żartować, kiedy pomagał mi naprawiać swoje auto. Był potężnym wampirem, który znał język migowy i bez skrępowania oglądał „Scoobiego Doo”.

Kiedy skończyłam go sobie wyobrażać i otworzyłam oczy, stał przede mną – płaska postać bez życia.

Obeszłam go, szukając czegoś, co nas łączy. Coś łaskotało moje zmysły, ale nie potrafiłam tego uchwycić i obawiałam się, że to złudne wrażenie.

Znów zamknęłam oczy i przesunęłam palcami wokół swojej szyi. Po chwili zahaczyłam opuszkami o naszyjnik. Był cienki jak pajęczyna i chłodny. Poszukałam zapięcia, lecz zamiast tego znalazłam małe kółko spinające dwa końce, do którego przyczepiony był kolejny łańcuszek.

Otworzyłam oczy i powiodłam po nim palcami od podbródka, aż mogłam go zobaczyć. W moich dłoniach spoczywał piękny srebrny łańcuszek, którego koniec trzymała w ręce postać Stefana stojąca na scenie.

Łańcuszek robił wrażenie bardzo delikatnego – szarpnęłam, ale nie zerwał się ani nie rozciągnął, mimo że próbowałam użyć wszystkiego, co przyszło mi na myśl. Zaczęłam się miotać, ciągnąc zawzięcie, rozrywać naszyjnik wokół szyi, aż pokryła go krew z poranionej szyi i palców.

Ciii – rozległ się chłodny głos. Ciii, ranisz mi serce, cara.

Zamarłam, a potem podniosłam wzrok znad ciężkiego już teraz łańcucha na Stefana, który pochylał się nade mną na scenie.

Obiecałem. Obiecałem ci, że nie będę ciągnął za smycz. Obiecałem ci to. Nie rób sobie krzywdy. Dotrzymuję obietnic, Mercy.

Omył mnie jego głos, głos przyjaciela. Czuję się taka samotna. Ten głos otulił moją nagość jak koc. Dodał mi siłę, żebym mogła rozewrzeć zaciśnięte na łańcuchu palce. Usiadłam.

Przypomniałam sobie, że chciałam znaleźć tę więź, a nie ją zrywać. Zebrałam całe swoje przerażenie, atawistyczny lęk schwytanego zwierzęcia i odepchnęłam je, żeby jasno myśleć.

Szukałam więzi, żeby sprawdzić, czy łączy mnie z właściwym wampirem.

– Kim jesteś? – Musiałam być absolutnie pewna. – Zostałam wprowadzona przez... – przypomniałam sobie, że Adam nie używał jego

imienia, więc zmieniłam zakończenie – Pana Marsilii. Muszę mieć pewność, że to – wskazałam na okowy, które zamiast biżuteryjnego łańcuszka przypominały teraz żelazne zardzewiałe łańcuszysko – jest pomiędzy tobą i mną. Że go nie przerwał i nie zastąpił swoim.

Stefan przykucnął i przekrzywił głowę.

– Dobrze pytanie – stwierdził. – Gdyby rzeczywiście to zrobił, mógłby...
– Zmarszczył brwi, wydobył z kieszeni nóż i przeciął nim wnętrze dłoni. Ścisnął rękę, na ogniwa spadły czerwone krople. Było ich pięć, sześć, lecz powoli cały łańcuch pokrył się rdzawą czerwienią. Kiedy ta czerwień dotarła bliżej mnie, dotknęłam jej, a przymglona, jednowymiarowa postać Stefana nabrała głębi, stając się prawdziwym nim.

Objął spojrzeniem moją scenę, ciemność i dwa sznury niknące we mgle, a potem uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Dobrze cię widzieć. Nie potrwa to długo, ale póki trwa, muszę ci coś powiedzieć. Adam powiedział nam, że uciekłaś. Nie zatrzymuj się. Nikomu nie ufaj. Znajdziemy cię. Jesteśmy w drodze do Włoch. Kiedy tam dotrzemy, twoja więź z Adamem znów powinna zacząć normalnie działać, a przynajmniej na tyle, by mógł cię namierzyć. Mówi, że tak daleko od stada i od niego więź będzie słaba, lecz wzmocni się, jak znajdziecie się bliżej. Myślę, że możemy go pokonać, dawnego Pana Marsilii, pod warunkiem jednak, że ty będziesz na wolności. Nie kontaktuj się już ze mną w ten sposób. Prawdopodobnie on nie może podsłuchiwać, lecz niewykluczone, że może wyczuwać naszą rozmowę i dzięki niej do ciebie dotrzeć.

Wiedziałam, że „on” to Bonarata. Stefan spojrzął na łańcuch.

– Poważnie? Wygląda, jakbyś to wywlokła z lochów.

Już miałam zacząć się tłumaczyć z tej przemiany biżuterii, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i wzruszyłam ramionami.

– Scooby Doo byłby pod wrażeniem.

Uśmiechnął się i nagle znów zostałam sama. Trzymałam w ręku zgrabny łańcuszek, którego koniec również niknął we mgle.

Odetchnęłam głęboko raz i drugi i wróciłam do brzucha dieslowej bestii, która unosiła mnie w nieznane. Jechaliśmy już jakiś czas. Ze zmiennego nachylenia podłogi wywnioskowałam, że droga prowadzi przez góry. Wydawało się mało prawdopodobne, że kiedy dojedziemy do celu, okaże się nim Mediolan. Im bardziej się od niego oddalę, tym dla mnie lepiej.

I nadal byłam połączona ze Stefanem, nie z Władcą Nocy.

Stefan był wampirem. A wampiry zabijały ludzi, żeby przeżyć. To prawda, że Stefan starał się ich nie zabijać. To prawda, że był zabawny i honorowy. To prawda, że go lubiłam. Ale wampir to wampir, a ja do niego należałam. Sama myśl o tym wystarczyła, żebym ze

zdenerwowania rozwarła pysk i zaczęła ciężko dyszeć.

Tyle dobrego, że należałam do Stefana, a nie do Bonaraty, Władcy Nocy.

Więź ze Stefanem ocaliła mnie po raz kolejny. Gdyby nie ona, teraz prawdopodobnie należałabym do tego drugiego. Mogłby wykorzystać mnie do uzyskania od watahy i Marsilii wszystkiego, czego by sobie zażyczył. Mogłabym skończyć jako koń trojański.

Autobus pożerał kilometry, a ja nadal zabawiałam się w wynajdywanie różnorodnych motywów postępowania paru osób. Nie była to strata czasu, dzięki temu miałam wrażenie, że robię coś pożytecznego.

Bonarata porwał mnie, bo Wulfe powiedział mu, że jestem najpotężniejszą istotą w Tri-Cities.

Dlaczego Wulfe tak postąpił? Może żartował – choć raczej jednak nie. Nie tak dawno temu Stefan powiedział mi, że Wulfe może być kretem w chmarze Marsilii.

– Ale – uśmiechnął się cierpko – wątpię, żeby Bonarata pochwalał metody Wulfe'a. W pewnym sensie Wulfe jest bardziej oddany Marsilii niż komukolwiek innemu z jej chmary, bardziej oddany jej niż Władcy Nocy. Wulfe jest stary i dziwaczny, kto wie co dzieje się w tej jego łepetynie?

Musiałam zgodzić się co do dziwaczności, lecz miewałam już do czynienia ze starymi dziwakami. I pomyślałam, że Stefan może mieć rację co do tego, że lojalność Wulfe'a leży bardziej po stronie Marsilii i Wulfe tylko pozwala Bonaracie myśleć, że służy jemu.

A więc Wulfe wepchnął mnie pod autobus, żeby co?

Pierwszym powodem, który mi się nasunął, dlaczego to wybrał mnie, a nie Stefana czy innego wampira z chmary Marsilii, to pewność, że wilkołaki będą chciały mnie odzyskać. Gdyby Wulfe podsunął im Adama... Próba porwania Adama raczej nie przebiegłaby gładko... Ktoś by zginął, może wiele ktosiów. A w moim przypadku? Zaskoczona przez bandę wampirów porywaczy? Nie miałam szans. W każdym razie uniknięcia uprowadzenia – ale przecież byłam dobra w przetrwaniu, prawda?

A nawet gdybym zginęła, nie byłaby to wielka strata dla Wulfe'a czy Marsilii. W każdym razie dopóki Adam nie dowiedziałby się, że to Wulfe mnie wystawił. Ale nawet jeśli, to Adam wziąłby najpierw na cel Bonaratę, nie Wulfe'a.

Tak, to wydawało się sensowne. Pasowało do Wulfe'a. Dowiedziawszy się, że Bonarata zamierza wykonać ruch przeciwko Marsilii, zadbał o to, żeby była jak najsilniejsza, żeby miała wsparcie wilkołaków.

Wulfe wiedział, że jestem związana ze Stefanem. A czy wiedział, że

Bonarata nie będzie w stanie przerwać więzi? Tak, odpowiedziałam sobie. James Blackwood zwany Potworem próbował zniszczyć naszą więź, bezskutecznie. Gdybym wróciła od Bonaraty cała i zdrowa, Wulfe sprawdziłby jakoś, czy przypadkiem nieświadomie nie pracuję dla Władcy Nocy. Pewnie to pierwsze, co by zrobił, gdyby udało mi się uciec zbyt łatwo.

Świadomość tego wszystkiego poprawiła mi nastrój. Wulfe domyśliłby się, że jestem marionetką Bonaraty.

A więc Bonarata, działając w oparciu o informację udzieloną typowo w stylu Wulfe'a, skończył, porywając słabą kobietę zamiast najpotężniejszego sojusznika Marsilii. Moja więź ze Stefanem – mylnie brana przez Władcę Nocy za więź z Marsilią – nie pozwalała mu zrobić ze mnie niewolnika. To oznaczało, że Bonarata został z bezużytecznym zakładnikiem. Gdyby z miejsca mnie zabił, Bran Cornick, Marrok, wypowiedziałyby mu wojnę. Dla Brana i reszty świata byłam tą, którą poprzysiągł chronić. Gdyby mnie nie pomścił, straciłby twarz.

Ale wypadek uprościłby wszystko. Zapomniał zamknąć drzwi, a jego na wpół szalony wilkołak rozerwał mnie na strzępy. Jakie to przykre. Gotowa byłam się założyć, że wyglądałby na dogłębnie skruszonego.

Ta historyjka wystarczyłaby, żeby mieć Brana z głowy. Nie to, że Bran by mu uwierzył, ale bez twardego dowodu nie mógłby zaatakować Bonaraty bez konsekwencji. Nie mógłby wszcząć wojny z Władcą Nocy, nie wypowiadając wojny jednocześnie innym wampirom. A taka walka niosłaby ze sobą komplikacje i katastrofy rzędu takich, przy których druga wojna światowa przypominałaby pomniejszy konflikt, za jaki mieli ją Brytyjczycy, włączając się w nią.

Obojętne jaka moja śmierć, nie ostudziłaby natomiast Adama. Bonarata już samym porwaniem zrobił sobie z niego wroga. Jeśli chciał korzystać z naszej neutralnej strefy, to uprowadzenie mnie nie miało najmniejszego sensu – lecz z drugiej strony przypominałam sobie, że przecież tylko udawał zainteresowanie miejscem, gdzie nadprzyrodzone istoty i ludzie mogli bezpiecznie współdziałać.

Autokar ostro przyhamował i ruszył znów na niskim biegu, który wibrował nieprzyjemnie w bagażniku. Ta zmiana pracy silnika wyrwała mnie z rozważań. To nie tak, że znajdowałam przyjemność w rozkładaniu na części pierwsze planów złoczyńskich wampirów, ale autobus jechał i jechał, a i tak nie miałam co robić. Był też inny, mniej logiczny powód, dla którego moje życie wisiało teraz na włosku.

Tak. Bran nie wystąpiłby przeciw Bonaracie bez dowodu, który stanowiłby o jego niepodważalnej racji. Adam owszem, jednak Adam nie miał takiego zaplecza jak Bran. Bonarata nie przejmowałaby się Adamem. Nie znał go tak dobrze jak ja.

Na razie mieliśmy przewagę. Bonarata pomylił się w mojej ocenie

o włos, bo właśnie tyle brakowało, żebym wpadła w kły wilkołaczycy. A uciekłam.

Ale nie mógł pozwolić, żebym została na wolności. Musiał mnie odzyskać, żeby zachować twarz.

Tak.

Nadal pragnął mojej śmierci, żeby odzyskać twarz – i żeby być górą. Drugi raz już by mnie nie zlekceważył. Ja też nie mogłam sobie pozwolić na pomyłkę w ocenie Władcy Nocy.

Wiedziałam o wampirach więcej, niżbym chciała. Stare wampiry działały jak pająki – oplatały siecią całe swoje terytorium. Ktoś taki jak Bonarata miał na pewno swoich ludzi w całej Europie. Znalezienie mnie nie stanowiło wielkiego problemu. W Europie nie ma zapewne zbyt wiele kojotów, w każdym razie poza zoo. Każę wypatrywać mnie jako kojota.

Dlatego musiałam zniknąć.

Złożyłam łeb na łapach i starałam się nie zauważać oparów paliwa.



Rozdział 4

Mercy

Gdzieś w Europie, nadal w luku bagażowym autokaru. Dobrze, że nie cierpię na chorobę lokomocyjną.

Autobus jechał jeszcze bardzo długo. Dwukrotnie przystanął na krótko, bez otwierania bagażnika – prawdopodobnie kierowca zrobił przerwę, żeby pasażerowie mogli coś zjeść i załatwić swoje potrzeby. Fakt, że nie musiałam kombinować, jak wyjść i załatwić swoją potrzebę, oznaczał prawdopodobnie, że byłam odwodniona. Z całą pewnością zaś byłam głodna. Jednak ograniczenie potrzeb uznałam za akurat dogodne w tej sytuacji, a moje kojocie ciało lepiej radziło sobie z dłuższymi przerwami w jedzeniu i picu niż ludzkie.

Na trzecim postoju musiałam już jednak wyjść. Na szczęście tym razem kłapa bagażnika uniosła się ze zgrzytem zawiasów. Skorzystałam z magii stada, która to magia odpowiedziała dość niemrawo, to jednak wystarczyło, żeby wymknąć się z luku i śmignąć w cienie rzucane o zmierzchu przez jakiś hotelik.

Podróż autokarem trwała cały dzień. To oznaczało, że byłam jakieś osiemset kilometrów od miejsca we Włoszech, gdzie zaczęłam ucieczkę, z dokładnością do trzystu kilometrów. Czułam woń słodkiej rzecznej wody, ale nie oceanu. Wokół nie widziałam wysokich gór, teren zdawał się pagórkowaty.

Przyczałam się za dwiema gigantycznymi roślinami w donicach, które stały z boku hotelu i dawały dobrą osłonę. Z pomocą magii stada mogłam pozostać niedostrzeżona, dopóki się nie ruszałam. Dałam sobie nieco czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Wokół tłoczyły się budynki. Nie wieżowce, lecz trzy- lub czteropiętrowe kamienice, w większości bardzo stare, może parusetletnie. Była też jakaś tabliczka ze znakami powyżej napisu w jakimś nieromańskim języku, ale też litery nie należały do cyrylicy, w każdym razie nie takiej, którą bym kojarzyła.

Po paru minutach obserwacji, która nie pomogła mi ustalić miejsca pobytu, chwyciłam mocniej nitki magii stada, słabej, bo moje stado znajdowało się bardzo, bardzo daleko, i zaryzykowałam opuszczenie kryjówki.

Wędrując ulicami w gęstniejącym mroku, kierując się ku źródłu woni rzeki, mijałam coraz to starsze budynki – mające zdecydowanie wiele setek lat – aż w końcu nawierzchnia zmieniła się w bruk. Kamienice były kryte czerwoną dachówką, a elewacje zdobione elementami sztuki. Chyba nie były to freski, choć je przypominały. W czasie studiów miałam podstawy historii architektury, które pozwalały mi rozróżnić gotyk od renesansu, z mniej więcej siedemdziesięcioprocentową dokładnością. Ale nie pomogły określić nazwy malunków pokrywających elewacje budynku.

Całość sprawiała wrażenie wybujałej, wręcz krzykliwej, eklektycznej architektury. Tu i ówdzie pomiędzy pięknymi, wielowiekowymi kamieniczkami zdarzały się ostentacyjnie niewyszukane bryły budynków, które wyglądały jak aroganckie ropuchy pomiędzy łabędziami. Sugerowało to, że miasto przez jakiś czas znajdowało się za żelazną kurtyną.

Miałam jakieś podejrzenia, gdzie się znajduję, ale dopiero godzinę później, kiedy dotarłam do rzeki i ujrzałam słynną, jedyną w swoim rodzaju panoramę z wielkim, średniowiecznym mostem Karola, wiedziałam już na pewno, gdzie jestem – w Pradze, sercu Czech.

Nie wiedziałam o Pradze zbyt wiele. Pierwsze, co wygrzebałam z pamięci, to że mieszkańcy Pragi mają w zwyczaju wyrzucać przez okna wysoko postawionych urzędników – druga defenestracja praska w 1618 roku doprowadziła do wybuchu wojny trzydziestoletniej. Czyli że prażanie byli moimi duchowymi krewniakami.

Przeskoczywszy kilka niskich murków, znalazłam spłacheć brzegu przy rzece (której nazwa zaczynała się po czesku na V, a po niemiecku przypominała mi coś, co kojarzyło mi się z Mołdawią) obok jakiejś knajpki, niewidoczny z ulicy, z owej restauracyjki ani z łodzi. Nie był to czysty ani ładny zakątek, za to osłonięty, a tyle chwilowo potrzebowałam.

Leżałam tam na twardo ubitym gruncie przez jakąś godzinę. Po niedługiej chwili przypomniałam sobie nazwę rzeki – Vltava, ze zbitką trzech spółgłosek na początku. Nadal jednak nie mogłam sobie przypomnieć nazwy niemieckiej. Było już całkiem ciemno, a latarnie

rozświetlające miasto przydawały leniwemu nurtowi surrealistycznego piękna.

Zdawałam sobie sprawę, że Stefan dał mi bardzo dobrą radę. Że powinnam się przyciąć i czekać, aż mnie znajdą. Jednak przez większość dnia drzemałam zwinięta w ciasnym bagażniku i teraz niepokój nie dawał mi spać.

Nie wątpiłam w to, że w Pradze żyją wilkołaki. Szalony, potężny wilkołak, Bestia z Gévaudan, który przez wieki trzymał władzę na terenie prawie całej Europy, przetrzebił stada, zostawiając ich niewiele, żyjących w oddaleniu od siebie. Nie znosił konkurencji. Zostawił w spokoju Hiszpanię, gdzie rządził Maur Asil, ale trzymał się też z dala od innych miejsc, na przykład terenów pod władaniem Władcy Nocy. Miałam niemal pewność, że należała do nich również Praga.

Coś tam było z tymi praskimi wilkołakami, czego nie mogłam sobie przypomnieć. Coś, co wydawało mi się istotne. Nie spodziewałam się zawędrować do Europy... cóż, w zasadzie nigdy. Dlatego nie przykładałam wagi do tych informacji.

Pamiętałam tylko, że przywódca wełtawskich wilkołaków jest bardzo stary, tak stary jak Marrok czy Asil. Nie wiem, dlaczego w mojej głowie pojawił się bardzo włochaty facet w średniowiecznej kuchni, ze skrzyżowanymi kosmatymi ramionami, stojący nad grubo ciosanym drewnianym stołem, ale ten obraz mnie rozbawił. Może ktoś mówił o nim przy mnie bardzo dawno temu i moja dziecięca wyobraźnia stworzyła właśnie taki wizerunek. No, ale Alfa, który potrafił utrzymać z dala Bestię z Gévaudan, musiał być naprawdę przerażający. Cóż, dorastałam wśród wilkołaków i uznałam, że samo jego wilkołactwo nie było wystarczającym powodem, żeby się go bać.

Tak czy siak bieganie po Pradze wydawało się kiepskim pomysłem, przynajmniej do czasu, aż zdołam sobie przypomnieć, co związanego z tutejszym Alfą tak mnie niepokoiło. Lepiej było zostać na miejscu.

Więcej niż połowę życia spędziłam w zasadzie sama. Niekiedy nawet w ciągu paru ostatnich lat tęskniłam za godzinką czy dwiema samotności. I oto proszę. Byłam sama. Czasami gdy marzenia się spełniają, to wychodzi kiszka.

Nadal na jawie nie czułam więzi stadnej, a połączenie z Adamem było słabiutkie, jak echo silnej linii porozumienia – tudzież nieporozumienia, podczas momentów wymownego milczenia. Staralam się nie zauważać więzi łączącej mnie ze Stefanem, a ponieważ była również słaba, w zasadzie mi się to udawało.

Kilka razy w trakcie naszego małżeństwa Adam wyjeżdżał do Waszyngtonu, a nasza więź pozostawała tak silna i autentyczna jak zwykle. Biorąc pod uwagę jej obecny stan, oznaczało to prawdopodobnie, że na odległość zasila ją magia stada.

Nie chciałam wierzyć, że sny, które miałam podczas podróży w autobusie, były zwykłymi snami. Niechętnie mogłam przyznać, że ten pierwszy owszem, może. Choć wydawał się bardziej prawdziwy niż zwykły sen. Ale ten drugi, ze Stefanem, nie był majakiem. A skoro obaj, i Stefan, i Adam mówili, że są w drodze do Włoch, musiałam wierzyć, że tak jest. Że przylatują skonfrontować się z Bonarata.

Władca Nocy odebrał mnie mojemu towarzyszkowi i teraz Adam zamierzał mu złożyć wizytę. Nie było możliwości, żeby nie obróciło się to w katastrofę. Nawet cienia szansy.

Jak można było do czegoś takiego dopuścić? Oczywiście Adam sam podejmował decyzje. Jednak Stefan mówił z takim przekonaniem, jakby – pod warunkiem że pozostanę na wolności – dało się to wszystko załatwić dyplomatycznie.

Mój mąż nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie zasługiwał na miano mistrza dyplomacji.

Wywinęłam się z tego, co Bonarata dla mnie planował. Ani po nim, ani po Adamie nie spodziewałabym się pozytywnego nastawienia. Bez względu na to, co mówił Stefan, nie widziałam opcji, żeby to wszystko mogło skończyć przeżyciem ich obu. Wiedziałam, że Stefan potrafi kłamać jak zawodowy sztukmistrz na scenie. Obawiałam się, czy mnie nie okłamał, żeby nie przysparzać mi zmartwień. Mój wewnętrzny wykrywacz łgarstw spisywał się bardzo dobrze, lecz nie niezawodnie.

Podniosłam się. Nie mogłam – po prostu nie mogłam – siedzieć tu przez całą noc, bijąc się z myślami, powstrzymywana przez jakieś mgliste wspomnienie na temat praskiego Alfego i prawdopodobieństwo, że dokładnie w tej chwili jestem celem polowania najpotężniejszego wampira w... hm, chyba na świecie.

Zostawiłam plecaczek, bo nos powiedział mi, że ludzie nie zagląдают zbyt często do tego zapomnianego zakątka restauracyjnego zaplecza. Poza tym z taką szcążkową magią łatwiej mi było pozostawać niezauważoną, kiedy nie robiłam niczego szczególnego, a niesienie różowego plecaczka przez psa należało do rzeczy nietypowych.

Wróciłam po własnych śladach na ulicę i udałam się na wędrowkę po nocnej Pradze, schowana pod resztkami magii kryjącej. Znajdowałam się w Pradze, w Czechach, a nigdy nie wyjeżdżałam ze swojego kraju poza tę szaloną eskapadę z Char do Meksyku, kiedy to o włos uniknęłyśmy pobytu w więzieniu, który się nam kroił, bo Char miała wyjątkowo koszmarny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Więc jeśli stary wampir zabije mojego męża...

Nie wolno mi było się rozpraszać, inaczej równie dobrze mogłam się zwinąć w kłębek i czekać, aż przyjdzie po mnie Adam. (Albo Bonarata. Albo ten Jakmutam praski Alfa). Jednak czekanie na ratunek, które nakazywał mi Stefan, wydawało się niezbyt chwalebny perspektywą.

Nie lubię, kiedy mi ktoś coś każe, nawet jeśli stara się to robić uprzejmie, i nie zamierzałam czekać z założonymi rękami i dać się ratować jak jakaś omdlewająca księżniczka, podczas gdy mogłam zobaczyć tyle ciekawych rzeczy.

Przechodząc obok jakiegoś baru czy restauracji, zobaczyłam znak na szybie, chyba w dziesięciu różnych językach, mówiący, że mają tam darmową sieć wi-fi. Otwierali o jedenastej. Zanotowałam sobie w myślach, bo i ja, i mój kradziony czytnik potrzebowaliśmy dostępu do Internetu. Ale do jedenastej było jeszcze sporo czasu, poszłam więc dalej.

W końcu dotarłam na słynny Rynek Staromiejski, ze wspaniałym zegarem na wieży ratuszowej, która wygląda tak, jakby ktoś przeniósł ją wprost ze średniowiecza. Reszta budynków okalających plac stanowiła nawet dla mojego niewprawnego oka mieszmasz różnych stylów, w konwencji, nomen omen, czeskiego filmu. Najbardziej podobał mi się wspaniały stary kościół, czy też katedra gotycka (tak sądzę), której strzeliste wieże z iglicami zdawały się sięgać aż pod niebo i grozić nadzianiem każdego anioła, któremu zdarzyłoby się na nie spaść.

W kawiarnianych ogródkach siedziały jeszcze jakieś niedobitki klientów, lecz lokale się już zamykały. Przemykałam ostrożnie, trzymając się cieni, a ponieważ nikt nie zerwał się i nie zaczął z krzykiem wskazywać na biegnącego kojota, doszłam do wniosku, że część magii polegająca na tym, że widziało się to, co spodziewało się zobaczyć, i nie czuło się niepokoju, działała.

Wąskie uliczki odchodziły od rynku bez ładu i składu, w sposób niemający nic wspólnego z wygodą, za to wiele z czasami, kiedy powstały. Zauroczona, ruszyłam jedną z nich.

Podobnie jak na placu, również powierzchnię uliczki stanowił bruk, a kamienice stały tak blisko siebie, że zmieściłby się między nimi tylko jeden samochód, co najwyżej mały dostawczak. Poduszki moich łap, nadal obolałe od ucieczki przed wilkołaczą, wołałyby miękki trawnik od granitowych kocich łbów. Ale reszta? Jedyne, co mogłam uznać za lepsze od nieoczekiwanego odkrywania średniowiecznej części Pragi, to odkrywanie jej z Adamem.

Znajdowałam się w Pradze i szłam po bruku, który najprawdopodobniej wyglądał tak samo tysiąc lat temu. Dobrze, że nie pachniał tak samo jak wtedy. Średniowieczne miasta musiały radzić sobie z odchodami koni, bydła, owiec, ptactwa domowego, nie wspominając o ludzkich, i jak na dzisiejsze standardy, zazwyczaj przegrywały. Wołałam zdecydowanie tę dzisiejszą wersję średniowiecza. Wywaliłam język z radości, której nie mąciły ani nierówności kostki brukowej, ani nawet świadomość, że ścigają mnie wampiry.

Kamień był koniecznością w wiekach średnich – ogromnym postępem w porównaniu do ziemi, gnojówki i błota na ulicach. Kamień dało się spłukiwać i zamiatać. I nie tworzyły się na nim koleiny, w których więzły koła pechowych wozów.

Mijałam sklepy z pamiątkami, pełne przedziwnego towarowego kolażu żyrandoli, alkoholi i T-shirtów, przeplatane sklepikami ze starociami – na niebiosa, czy to sklep z absyntem?! – i biżuterią, głównie z bursztynami i granatami. Na wystawie sklepu z absyntem wisiała jaskrawozielona koszulka z napisem: „Absynt i Absencja to niedobrana para”, na którego widok poczułam się nieswojo, bo był nazbyt adekwatny do mojej sytuacji. W ogóle wszędzie było dużo angielskiego, od hasel na koszulkach po napisy na szybach wystaw.

I było też dużo graffiti, co mnie zaskoczyło, całkiem bez sensu zresztą. W Tri-Cities toczyliśmy zwycięską walkę z grafficiarzami. Większość napisów wiązała się z gangami, ale po niektórych dało się poznać, że ich autorami są nastolatki, które bardzo chciały zaznaczyć swoje istnienie w tym obojętnym świecie. Moje zaskoczenie wynikało chyba z przekonania, że graffiti to problem Nowego Świata, co oczywiście było głupim założeniem. Wiedziałam przecież, że odkrywano graffiti pochodzące jeszcze z czasów Cesarstwa Rzymskiego, które wcale nie różniły się zbyt wiele w treści od dzisiejszych – „Twoja siostra daje gladiatorom”, „Byłem tu”, „Kocham Flawiusza” i tym podobne.

Może ciasnota uliczek miała coś wspólnego z obronnością? Nie trzeba wiele, żeby zablokować takie wąskie miejsca, więząc w nich oddziały, a potem zarzucić wrogów kamieniami, strzałami czy zalać smołą albo wrzącym tłuszczem.

W trakcie wyobrażania sobie średniowiecznych strategii wojennych do mojego nosa dotarła woń wilkołaka, mieszanina piżma, mięty i... drożdży. Ta ostatnia dość niecharakterystyczna, jak na składnik zapachu wilkołaków. Obróciłam się i zaczęłam cichutko wycofywać z uliczki, najwyraźniej jednak nie zrobiłam tego wystarczająco cicho.

Ktoś potruchtał za mną – wysportowany młody człowiek w obcisłej koszulce i workowatych spodniach. Nagle ucieszyłam się, że moja magia utrudniająca ludziom dostrzeżenie mnie jest tak słaba, bo choć wilkołaki nie wyczuwają magii, która ułatwia im życie, gdyby moja była tak silna jak w Tri-Cities, na pewno by jej nie przegapił.

Miał mnie jak na patelni. Odkąd się tu znalazłam, nie widziałam ani jednego zbłąkanego psa, choć wyczuwałam ich wokół wiele. Uznałam, że wziął mnie za jednego z nich. Jako porządny obywatel – i miły wilkołak – chciał z pewnością pomóc zagubionemu psiakowi.

Przyspieszył, a ja nie odważyłam się zrobić tego samego. Nigdy nie uciekaj przed wilkołakiem, tylko sprowokujes go do pościgu i pobudzisz jego apetyt. Powiedział coś uspokajająco, po czesku, może po

słowacku, ale zawołanie z rodzaju „hej, piesku” w zasadzie nie wymaga tłumaczenia.

Jedno z nielicznych przejść pomiędzy kamieniczkami zasłaniało ogrodzenie z poziomych desek. Za pierwszym razem nie zwróciłam na nie szczególnej uwagi; jedyne, co zarejestrowałam, mijając je, to ciemnozielone graffiti, tak samo nieczytelne w Czechach, jak byłoby w moim kraju. Teraz z ulgą dostrzegłam również, że choć było lite od samego dołu do góry, to w jednym miejscu grunt obniżał się nieco, tworząc szparę, przez którą kojot dał radę precyzyjnie się z wprawą, mogącą świadczyć, że robił to już nie raz.

Widzisz? Jestem zwykłym domowym psem, a nie żadną towarzyszką zagranicznego Alfego, uciekającą przed miłym wilkołakiem.

Znalazłam się w ogrodzie dużo większym, niż wskazywałyby na to drewniany parkan. Rozciągał się na tyłach kamienic, tworząc ładny, zielony skwer.

W ogrodzie mieszkał pies – bardzo duży, tak duży, że nie zmieściłby się w dziurze, przez którą przelazłam. Wielka suka mastiffa wypadła z rogu w chwili, kiedy idący za mną wilkołak podciągnął się na deskach, żeby zajrzeć za ogrodzenie.

Wilkołakowi prawdopodobnie wydawało się, że pachnę jakoś dziwnie. Trudno poczuć siebie, ale brałam udział w wypadku, zostałam przerzucona do Włoch, przeszmygłowałam się przez granicę w ropniaku i przebyłam w sumie pół Europy. „Interesująco” było najogólniejszym określeniem na moją woń. Może nawet wyłapał jakąś nutę stada, ale skoro ja nie mogłam ich wyczuć, to on też raczej nie.

Mastiffka, dzięki Bogu, przyjęła mnie niczym golden retriever witający w domu złodzieja – czyli machaniem ogonem i oblizywaniem. Wilk w ludzkiej postaci zaśmiał się, puścił ogrodzenie i poklepał deski. Powiedział niegłośno coś wesołego i odszedł.

Przytulłam się do samotnej suki na jakieś pół godziny, a potem wstałam i wymknęłam się tą samą drogą, którą weszłam. Nie zauważyła mojego odejścia. Odgłos jej pochrapywania przyprawił mnie o wyrzuty sumienia, poczułam się jak kochanek wymykający się w środku nocy. Pocieszyło mnie, że psina jest czysta i zadbana – widać, że ktoś ją kocha.

Po wyjściu sprawdziłam nawykowo ogrodzenie i owszem, okazało się, że zostawiłam na nim trochę kłaczek, ale nie mogłam z tym nic zrobić, chyba że przemieniłabym się w człowieka i zabrała się za oczyszczanie desek – naga. Postanowiłam więc to zignorować i ruszyłam zamyślona (i z każdym krokiem coraz bardziej obolała, bo bruk zaczął dawać mi się we znaki).

Pewnie wróciłabym na moją miejscówkę nad rzeką, ale nie chciałam iść prostą drogą tam, gdzie ukryłam ukradziony plecak. Kierowała mną paranoja, lecz paranoja w tej sytuacji to przydatna cecha. W końcu

ścigał mnie Władca Nocy.

Okrężna droga do mojej restauracji prowadziła przez dawną dzielnicę żydowską – zorientowałam się po znakach dla takich jak ja, zagubionych anglojęzycznych turystów. I po Synagodze Staronowej.

Synagoga Staronowa ma jakieś sześćset lat i jest najstarszą czynną bożnicą w Europie. Pamiętałam to tylko dlatego, że nazwa wydała mi się zabawna. Zastanawiałam się, czy jest też synagoga starostara, ale podejrzewałam raczej nieudolne tłumaczenie nazwy tej pierwszej i brak tej drugiej. Tak czy siak, nazwa była cudowna, a sam budynek bardzo ciekawy.

Sześćset lat. Podziwiałam zabytek, zastanawiając się, jak to jest być Branem albo Maurem i pamiętać takie miejsca, jeszcze zanim je zabudowano. Rozglądać się po takim stareńkim mieście ze świadomością, że i tak jest się w nim najprawdopodobniej najstarszym obiektem.

Adam mógł w odległej przyszłości czegoś takiego doświadczyć, o ile wcześniej coś go nie zabije. Ale ja? Nie wiedziałam, jak to jest ze mną. Chyba nikt tego nie wiedział. Mój przyrodni brat, także potomek Kojota, mówił, że czasami żyjemy bardzo długo, jak pół-śmiertelnik, pół-awatar, Manitu, czy czymkolwiek jest Kojot i jemu podobne istoty. Kojot powiedział mi, że przywiązuję zbyt wielką wagę do znaczeń i że to wymówka, by ich nie pojmować. Owszem, miałam w głowie parę określeń na Kojota, których nie wymawiałam głośno z powodu dobrego wychowania.

Truchtałam sobie wyjątkowo wąską uliczką, mniej uczęszczaną przez turystów niż wcześniejsze, kiedy dosłownie w pół kroku zjeżyła mi się sierść.

Przywarłam do ściany kamienicy, przy której szłam, starając się zniknąć między stopniem a koszem na śmieci. Uliczkę omiotła magia, zatrzymując się na mnie. Magia i coś, co przemawiało do mojego nadnaturalnego jestestwa w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam.

Skoro kryjówka nie zdała egzaminu, wyszłam, stając twarzą w twarz z... duchem.

Posiadam pewnego rodzaju powinowactwo z duchami, cechę odziedziczoną po ojcu w pakiecie z możliwością przemiany w kojota. Dostrzegam ich obecność. Wydawało mi się, że wiem bardzo dużo o duchach, ale zaczynałam sądzić, że jestem osamotniona w swojej wiedzy. Staralam się nie zwracać na nie uwagi, bo zazwyczaj na zainteresowanie duchy odpowiadały tym samym.

Ten tkwił tak samo nieruchomo, jak te, które widziałam u Stefana i kilku innych wampirów. Jednak nie był to duch wampira – owszem, takie też istnieją. W ogóle w życiu czegoś takiego nie widziałam. Nie

zetknęłam się dotąd z duchem, który miałby w sobie tak potężną magię jak ten.

Wokół ducha gromadził się mrok, przydając mu gabarytów nieobleczonej postaci. Miał przynajmniej ze trzy metry wysokości, może nawet więcej. I posiadał jakby masę, gęstość. W tumany przepelniającej go magii wplatała się moc, z jaką nigdy się nie spotkałam i która sprawiała, że trudno mi było oddychać.

Po części energia ta zdawała się znajoma, lecz nie potrafiłam jej zidentyfikować. Nie należała do pradawnych ani czarownic. Może gdyby nie była przepleciona z tym całkiem obcym pierwiastkiem, udałoby mi się ją skojarzyć.

Postąpiłam krok naprzód i magiczna mgła dotknęła moich łap, omywając mnie dziwnym, czystym ciepłem. To uczucie powinno wzbudzić we mnie strach. Kiedy magia jest przyjemna, trzeba się bać.

Ale byłam sama, w obcym mieście, ścigana przez potwory, i dlatego przymknęłam po prostu oczy, a cień zdjął ze mnie zmęczenie, ból i strach, towarzyszące mi nieustannie, odkąd ocknęłam się w domu Władcy Nocy. Karmił mnie ukojeniem, energią i światłem – lecz sam też karmił się czymś ode mnie. Jednak w tamtej chwili, gdy stałam w objęciach magii ducha, było mi to obojętne. Czułam, jak muska moją więź z Adamem i stadną, i czułam, jak zatrzymuje się nad tą drugą.

Wiedziona impulsem, przemieniłam się w człowieka i stanęłam przed praskim duchem z otwartymi ramionami.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – zapewniłam istotę.

Nie wyczuwałam, czy jest rodzaju męskiego, czy żeńskiego. Dla moich ludzkich oczu zdawała się jeszcze mniej wyraźna.

Nie miałam podstaw zakładać, że duch porozumiewa się po angielsku, słowa napłynęły do mnie instynktownie, a jako zmiennokształtna kojocica ufałam instynktowi bardziej, niż zazwyczaj czynią to ludzie. Duchy rozumiały mnie zazwyczaj bez względu na to, w jakim języku do nich przemawiałam.

Duch kontemplował mnie jeszcze przez chwilę, a potem wydał z siebie chrapliwy okrzyk gniewu, frustracji, samotności, który powinien zadzwonić szybami okolicznych budynków, a jednak tak się nie stało. Nikt nie wyjrzał sprawdzić, co to za hałas.

Strugi magii spłynęły po mojej twarzy, jakby przesunął po niej szponami. Uczucie przeniknęło mnie do kości żarem rozgrzanego metalu i wstrząsnęło rozdzierającą gwałtownością, jak nagłe przełączenie z przyjemności w przerażenie. Potem byt, magia i cała reszta powoli się rozplynęły. Mignęło mi coś, co jarzyło się pośrodku czoła ducha, litery, które zniknęły tuż przed obłokiem magii. Nie należały do żadnego znanego mi alfabetu, choć przypominały dziwnie zapisane dwie litery: „n” i „x”. Mogły być arabskie lub rosyjskie, ale

miałam niemal pewność, że były hebrajskie i razem oznaczały emet, prawdę.

Bo wierzyłam, że właśnie natknęłam się na praskiego golema, a w każdym razie to, co z niego zostało.

Gdyż jaki inny duch mógł włóczyć się uliczkami praskiej dzielnicy żydowskiej w środku nocy, emanując magią, jeśli nie najślawniejsza z tutejszych legend?

W szesnastym wieku szanowany uczony rabin Jehuda Löw ben Becalel, zaniepokojony serią ataków na mieszkańców dzielnicy żydowskiej, stworzył golema, giganta z gliny. Na czole istoty wykreślił słowo „prawda”. Co do tego większość źródeł jest zgodna. Zakończenie tej historii to już inna sprawa.

W niektórych wersjach rabin stracił kontrolę nad golemem i był zmuszony go zniszczyć. W innych stwór zakochał się, a nigdy nic dobrego nie wynika (w opowieściach) z zakochania się potwora. Jeszcze w innej wersji, kiedy rabin zmarł, golem ukrył się na poddaszu Synagogi Staronowej, gdzie położył się i czeka na powrót swojego pana. Wiele wariantów kończyło się tym, że gliniane ciało golema spoczywa na strychu tej najstarszej bożnicy, w pomieszczeniu, do którego można dostać się tylko z zewnątrz. Zakładałam, że mało prawdopodobne, by golem nadal się tam znajdował (o ile w ogóle kiedyś tam był). Pragę przecież okupowali naziści. Hitler, który miał obsesję na punkcie magii, z pewnością go tam szukał.

Zadrzałam, wpatrując się w noc. Cieszyłam się, że nie wylądowałam w tym mieście w czasach, kiedy golem kręcił się po ulicach w materialnej formie.



Sądząc z położenia słońca, zbliżało się południe, kiedy wmaszerowałam do restauracji z darmowym wi-fi. Zaplotłam włosy, spinając warkocz gumką pasażerki, od której wzięłam pieniądze. Skierowałam się prosto ku drzwiom z napisem WC. Naczytałam się wiele brytyjskich kryminałów i wiedziałam, że WC to skrót od angielskiego water closet, czyli po prostu „toaleta”. Na drzwiach damskiej ktoś prawdziwie utalentowany namalował kobietę w różowej sukience i o sarnich oczach.

Pomieszczenie było czyste i jasne, zaopatrzone w mnóstwo mydła i papierowych ręczników. W lustrze zobaczyłam wielkiego sińca na policzku, tym bez blizny. Oczy i policzki miałam zapadnięte. Mój kojot poczęstował się z miski mastiffa i posilił paroma gryzoniami o dziwnym wyglądzie, ale poza tym od porwania nic nie jadłam. A nie miałam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna.

Wyglądałam niczym ofiara przemocy domowej. Uśmiechnęłam się na próbę – ku memu zaskoczeniu pomogło, i to niemało.



Okazało się, że w Pradze nie używa się euro. Mają tam walutę, która nazywa się korona. Okazało się również, że w Pradze, a przynajmniej w tej małej restauracyjce, ludzie są bardzo mili.

W lokalu znajdowało się dziesięć osób, łącznie z obsługą: pięć Czeszek, trzech Czechów i dwie turystki z Rosji. Próbowaliśmy rozmawiać w kilkunastu różnych językach, choć mogłam pominąć jeden czy dwa, ale żadne z nich nie znało angielskiego.

Jedna z Rosjanek mówiła trochę po niemiecku. Nie tak dobrze jak ja, choć trzeba przyznać, że mój niemiecki był bardziej niemieckim Zee – wszystko, co nie wiązało się z samochodami, przypominało bardziej islandzki (który nie zmienił się od tysiąca lat) niż język, którym posługiwano się w dzisiejszym Berlinie. Więc może jednak niemiecki tej Rosjanki był w porządku i to mój stanowił problem?

Tak czy owak, chyba zrozumiała, że odłączyłam się od swojej wycieczki – historyjkę zmyśliłam na poczekaniu. Wyjaśniłam, że autobus pojechał do Mediolanu wraz z bagażem i wszystkimi rzeczami. Że chciałam użyć czytnika, żeby połączyć się z Internetem, skontaktować z kimś w domu, kto mną pokieruje.

W zasadzie dobrze się złożyło, że nikt nie znał angielskiego, bo to ograniczało liczbę kłamstw, którymi musiałam ich nakarmić. I utrudniało zaoferowanie mi miejsca do spania, co, jak mi wydawało, usiłował zrobić jeden z Czechów. Nikt wyglądał na zgorzzonego, więc chyba nie proponował mi tego, na co jego wysiłki mogły wyglądać.

Wzięli (działali jakby wspólnymi siłami) mój banknot dwudziestoeurowy i po zasięgnięciu telefonicznej informacji o aktualnym kursie przeliczeniowym, dali mi pięćset pięćdziesiąt koron w różnych banknotach i monetach. Kelnerka przyniosła mi coś do picia i wielką kanapkę, machając odmownie rękę, kiedy próbowałam zapłacić.

Włączyłam mój (kradziony) czytnik. Nie było przy nim ładowarki, inaczej bym ją wzięła, a ikona baterii na ekranie wskazywała, że muszę się pospieszyć – ciekawe, biorąc pod uwagę, że czytnik miał pewnie połowę tej mocy obliczeniowej, co zegarek Adama. Zabrałam się do założenia konta na jednym z wielkich, anonimowych serwerów. Spróbowałam „kojocica”, lecz było zajęte, podobnie jak kilka innych. Zajęło mi to trochę czasu. Potrzebowałam nazwy, która będzie rozpoznawalna dla watahy i nie wzbudzi podejrzeń innych. Nie chodziło

mi tylko o wampiry – wiele naszych agencji z pewnością śledziło naszą korespondencję. Udało się z „1zaginiony_kojot”

Napisałam krótkiego e-maila:

Kochani,
Praga jest piękna o tej porze roku. Koniecznie powinniście się tu wybrać.

M.

Wysłałam go do wszystkich członków stada oraz do przyjaciół spoza niego, jak Tada i Tony’ego, do których pamiętałam adresy. Szybko wyłączyłam czytnik, żeby oszczędzić energię. Zjadłam kanapkę i wypiliśmy napój.

Tuż przed wyłączeniem czytnik miał dwadzieścia procent baterii, musiałam więc go gdzieś podładować, żeby nie padł. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wyjść stąd i wrócić za kilka godzin. Tak też chciałam zrobić.

Jednak towarzystwo ludzi okazało się zbyt kuszącą perspektywą.

Wmówiłam sobie, że muszę się dowiedzieć czegoś na temat wełtawskich wilkołaków. Dobrze by było, gdyby udało mi się uzyskać od nich jakąś pomoc. A jeśli nie, to zawsze mogłam wskoczyć do kolejnego autobusu i spróbować gdzie indziej. Oczekiwanie na nieuchronny koniec na nic by się nie zdało. W drodze do restauracji natknęłam się na zapach trzech różnych wilkołaków. W mieście tej wielkości co Praga, w którym żyło tylko jedno stado, mogło to oznaczać, że albo mieszkają na Starym Mieście, albo mnie ścigają.

Nawet jeśli do tej pory o mnie nie wiedziały – o porwanej przez Władcę Nocy towarzyszkę Alfy watahy dorzecza Kolumbii, która uciekła – koniec końców kojoty nie pachną jak psy, nie całkiem. Jeśli dalej biegałabym na czterech łapach, w końcu zainteresowałiby się i poszli za mną. W nocy miałam szczęście, ale nie lubiłam polegać tylko na nim. Musiałam jak najszybciej dowiedzieć się, czy praskie stado ma powiązania z Władcą Nocy.

Natychmiast.

Włączyłam czytnik i sprawdziłam maila.

Miałam jedną odpowiedź, od: Benjamin.Shaw@IT.PNNL.gov:

O, do ku*** nędzy, ja pier*** Niech cię pier*** drzwi ścisną. GDZIE? Nic ci nie jest? Jak, ku***, uciekłaś? Uciekłaś?

Gwiazdki były jego. Najwyraźniej ktoś w pracy zwrócił mu uwagę na przekleństwa w oficjalnych mailach. Znając Bena, ich liczba tylko się zwiększyła, ale zaczął dodawać gwiazdki. Uśmiechnęłam się, choć oczy zaszyły mi łzami ulgi.

To jasne, że to Ben sprawdzał pocztę na bieżąco – pracował w branży

informatycznej.

W Pradze. Jak zawsze. Jak zwykle. Tak. Co wiesz o swoich tutejszych współpracownikach? Zastanawiam się, czy nie zasięgnąć ich opinii.

Ben pochodził z Wielkiej Brytanii, więc mógł wiedzieć więcej o tutejszych wilkołakach niż ja.

Niech to pier*** króliczki, laska. To dobrze. Szef w Pradze to niebezpieczny skur***n. Jest jakaś chu***a pomiędzy nim i twoim pierwszym szefem. Nikt poza nimi nie wie, o co poszło, tak słyszałem, a wiele się o tym mówi. Ktoś powstrzymuje przepływ informacji. Ujawnienie się nie pomogło, nasz praski znajomek był o to wkurzony. Możesz tego uniknąć?

Aha, więc jest jakaś kosa pomiędzy tutejszym Alfą a... moim pierwszym szefem. Przekładając „współpracowników” na „wilkołaki”, to „pierwszy szef” będzie oznaczał Alfę stada, w którym dorastałam. Czyli Brana. Cóż, to by wyjaśniało, czemu wydawało mi się, że coś jest na rzeczy z praskim Alfą. Pewnie słyszałam jakieś rozmowy o nim. Wtedy nie było to dla mnie istotne, lecz pozostawiło wewnętrzny nakaz zachowania czujności.

Współpracuje z Włochami?

Wymiana e-maili nie była tak szybka jak wymiana SMS-ów. Anonimowy serwer nie spieszył się z przesyłaniem wiadomości.

Nie. Ale najbliższa filia, w Brnie, owszem. Należeli do koncernu Gévaudan, zwiali z Pragi. Mam na linii brata Sama, mówi, że praskiemu prezesowi zarządu, Liborowi, udzielenie ci pomocy może sprawić radochę, bo w ten sposób udowodniłby swoją wyższość nad ojcem Sama, a także dlatego, że Włochów nienawidzi bardziej niż kogokolwiek innego. Jest właścicielem piekarni na Starym Mieście. Nie znamy adresu. Mój szef jest w drodze do Włoch. Wie, że pojechałaś do Pragi?

Ben rozmawiał z synem Marroka, Charlesem, który, prócz wielu innych rzeczy, był również skarbnicą informacji. Skoro Charles mówił, żeby postawić na Libora, tak zamierzałam właśnie zrobić.

Tak. Wie, że jestem sama, i w razie czego może mnie znaleźć przez GPS.

Ben domyśli się, że GPS to moja więź z Adamem. Czytnik pisnął mi kolejne ostrzeżenie o niskim poziomie baterii.

Kończy mi się bateria.

Wysłałam ostatnią wiadomość i czytnik padł. Nie byłam pewna, czy

zdążył przesłać maila, czy nie. Włożyłam go do plecaka. Kiedy wstawałam do wyjścia, jeden z Czechów, chyba właściciel restauracji, podszedł do mnie i wręczył mi torbę pełną jedzenia.

Był starszym mężczyzną o dobrych oczach i basowym głosie, pachniał cygarami i kawą. Powiedział coś poważnie, jakby składał obietnicę, i delikatnie pogładził mój posiniaczony policzek. Stojąca z tyłu Czeszka, która podała mi darmowy lunch, otarła łezkę.

Nie miałam bladego pojęcia, co powiedział, ale mój nos podsunął mi zapach, wspomnienie żalu i teraźniejszą szczerość. Przez chwilę poczułam się jak oszustka, okłamująca tych ludzi, żeby uzyskać pomoc. A potem przypomniałam sobie, że zostałam brutalnie porwana, wywieziona do Włoch, a teraz znalazłam się w Pradze w kradzionych ciuchach, z pięciuset pięćdziesięcioma koronami przy duszy – co dawało jakieś dwadzieścia dolarów, i z niedziałającym czytnikiem książek. Może naprawdę potrzebowałam ich pomocy?

Wspięłam się na palce i pocałowałam mężczyznę w policzek. Wszyscy obecni zaklaskali.

Ludzie są naprawdę fajni.



Jacyś inni, nefajni ludzie okradli mnie, kiedy chodziłam po Starym Mieście, szukając piekarni, do której chodzi dużo wilkołaków.

Znalazłam jedną, którą jakiś wilkołak odwiedził tego dnia, ale zapach nie był silniejszy w środku niż na zewnątrz. Gdzieś pomiędzy tym miejscem a placem Waclawa – nieco nowszym niż Rynek Staromiejski – gdzie znajdował się McDonald, ktoś ukradł mi pieniądze z jednej kieszeni.

Żenujące.

Mogłam usprawiedliwić się tylko tym, że wokół łążyły całe tłumy ludzi, którzy nie przejmowali się tak osobistą przestrzenią, jak Amerykanie. To mógł być ktokolwiek z dwudziestu osób, które na mnie wpadły.

Gdyby złodziej denerwował się w czasie kradzieży, pewnie bym to wyczuła i przyłapała go. Zarobił dziesięć dolarów, szkoda było jego wysiłku, nawet jeśli zabrał połowę wszystkich moich pieniędzy. Tyle dobrego, że wykazując się przezornością, rozdzieliłam banknoty i powkładałam je do różnych kieszeni.

Szybko sprawdziłam swój pustawy plecak, ale nie zwinęli mi jedzenia ani niedziałającego czytnika. Kupiłam napój z moich skromnych funduszy i przysiadłam na ławce obok pomnika jeźdźca, żeby zjeść zapasy, zanim również zostaną skradzione.

Kobieta karmiąca piersią dziecko na drugim końcu ławki nie zwracała na mnie uwagi. Mężczyzna z dwójką dzieci przyniósł jej zapiekaną bułkę z kielbasą i sok pomarańczowy.

Oblizalam palce, uśmiechnęłam się do rodzinki i zebrałam się do odejścia. Kielbaska pachniała przesmacznie. Sprawiała, że poczułam... Zwolniłam kroku... Przypomniała mi o domu.

– Przepraszam bardzo – zwróciłam się do rodzinki – może ktoś z was mówi po angielsku?

Najstarsze dziecko, dwunastoletni chłopiec, zdołał wytłumaczyć mi, gdzie kupili dla mamy przekąskę, która pachniała, bardzo słabo, wilkołakiem.



Piekarnia znajdowała się przy jednej z wąskich uliczek, w budynku, który wyglądał, jakby zaczął kiełkować w tym miejscu około pierwszego wieku. Pewnie nie był aż tak stary, chyba nawet Praga nie była aż tak stara, ale z pewnością stał tam od bardzo, bardzo dawna. Piekarnia rozrosła się na sąsiednie budynki niczym Chiny, które przejmowały wcześniejsze cywilizacje i zastępowały je własną kulturą. Kiedy weszłam przez stare drzwi i stanęłam w kolejce, ogarnął mnie zapach drożdży i zboża, ciepły i przyjemny.

Piekarnię urządzono w starodawnym stylu, na użytek turystów, choć wiele osób w kolejce – sądząc po zapachu – było prażanami. Nie wyglądała jednak na starszą ode mnie, czyli dobrze trzymającą się trzydziestolatkę. Na moich studiach nacisk kładziono raczej na ludzi i politykę niż style i warunki życia. To oznaczało, że nie mogłam być całkiem pewna, ale oceniłam, że raczej urządzono ją w ucywilizowanym, pachnącym wypiekami stylu, udającym średniowieczny, niż że tak właśnie wyglądały autentyczne piekarnie w tamtych czasach.

Ludzie, którzy uwijali się za ladą i nosili tace do stolików, byli ubrani w coś, co reżyser tego planu uznał za stroje noszone w czasach powstania budynku piekarni. Miały charakter kostiumowy, sprawiając wrażenie raczej symbolicznych niż średniowiecznych. Nie były też firmowymi uniformami, bo każdy sprzedawca wyglądał nieco inaczej, lecz kolorystyka i ogólny styl nie pozostawiały wątpliwości, że ubrani w nie ludzie są pracownikami piekarni.

Ręcznie namalowany napis na ścianie za ladą oznajmiał anglojęzycznym gościom, że w tym miejscu piekarnia znajduje się już czterysta pięćdziesiąt lat. To samo było napisane po niemiecku i, jak podejrzewałam, na czterech innych obcojęzycznych tablicach

rozwieszonych na ścianach. Praga to miasto nastawione na turystów, a ten lokal nie wyłamywał się z konwencji.

Kiedy nadeszła moja kolej, odezwał się do mnie przyjaźnie młody mężczyzna w ciemnych spodniach i białej koszuli o bufiastych marszczonych rękawach, ozdobionych haftowanymi krajkami.

– Mówisz po angielsku? – zapytałam.

– Oczywiście – odpowiedział z silnym brytyjskim akcentem. – Co podać? Mamy dzisiaj świeżutkie kołaczki z wiśnią, jabłkiem i brzoskwinią, pieczone dzisiaj rano. A jeśli chodzi o lunch...

– Zew księżycyca – mruknęłam pod nosem w trakcie jego wyuczonej paplaniny. Młodzieniec mógł mnie usłyszeć, ale nikt poza nim w tej zatłoczonej piekarni. Powiedziałam to, bo poznałam po zapachu wilkołaka, i chciałam, żeby wiedział, że wiem, czym jest. – Chcę rozmawiać z Liborem. Mam do niego sprawę.

Uśmiech zamarzył na przyjaznej twarzy, chłopak zaciął się w pół zdania.

– Przyjechałam ze Stanów Zjednoczonych, należę do stada dorzecza Kolumbii.

Jego nozdrza zafalowały.

– Przekaż mu – zniecierpliwiałam się. – To nie miejsce na wyjaśnienia.

Wsparł się dłonią o ladę i przesadził ją lekko. Taki skok pozostawał w możliwościach wysportowanego młodego mężczyzny – a na takiego sprzedawca właśnie wyglądał.

– Chodź za mną. – Słowa brzmiały rozkazująco, jednak ton i postawa na to nie wskazywały. Poprowadził mnie wąskim przejściem do sali pełnej stolików, gdzie można było zjeść na miejscu przekąskę czy drugie śniadanie. Goście zajmowali większość z nich.

Wymijał stoliki zręcznym slalomem, a ja podążałam za nim na tył sali, skąd wychodziło się do ogródka. Podobnie jak podwórko mastiffa, i to otaczały kamienice. Również i tutaj znajdowały się stoliki, lecz nikt przy żadnym nie siedział.

– Nie jesteś wilkołakiem – zauważył mój przewodnik.

– Nie. Ale mój towarzysz jest – wyjaśniłam.

– Bądź tak miła i zaczekaj tu, a ja przekażę Liborowi, że chcesz się z nim widzieć.

– Chyba nie będzie miał wyboru – rzuciłam lekko, a wilkołak zeszytniał. – W najgorszym razie przywiedzie go tu sama ciekawość. Powiedz mu, że jestem towarzyszką Alfego watahy dorzecza Kolumbii i że uciekam przed Władcą Nocy, który mnie porwał.

– Bonarata? – wykrzyknął wilkołak i przerwał mi gestem ręki dalsze wyjaśnienia, bo właśnie otwierałam usta. – Nie musisz mi nic mówić. Przekażę mu natychmiast. Ale to może trochę potrwać. – Z tymi słowami odszedł.

I potrwało. Szybko okazało się, że jeśli nawet Libor chciał mnie zobaczyć, nie był to jego priorytet. Czekałam na stojąco dziesięć, piętnaście minut, dopóki kelnerka – nie wilczyca i niemówiąca po angielsku – nie przyniosła tacy z kielbaską zapiekaną w cieście chlebowym, która mnie tu przywiodła, trzema małymi plackami z nadzieniami z różnych owoców i wysoką szklanką lemoniady.

Utrudzona pracownica spojrzała znacząco na tacę i na stół. Wybrałam wygodne siedzenie pod ścianą i zajęłam krzesło, żeby mogła położyć tacę. Uśmiechnęła się, powiedziała coś wesoło i zostawiła mnie, wracając do wnętrza piekarni.

Siedziałam w promieniach popołudniowego słońca z porcją jedzenia przed sobą. Mimo że właśnie sporo zjadłam, nie miałam problemu ze spałaszowaniem kolejnego posiłku. Skończywszy pić i jeść, odstawiłam naczynia na tacę.

Słońce przygrzewało, ptaszki śpiewały, a moje głupie powieki uznały, że ciepło, łagodne dźwięki i zapach wilkołaków oznacza, że jestem w bezpiecznym miejscu i mogą spokojnie opaść. Wstałam i obeszałam ogródek, żeby się rozruszać.

W nocy przecież nie spałam.

Wiedziałam, nawet jeśli to wypierałam, że w chwili gdy zaczęłam rozmawiać z jednym duchem, inne to wyczują. Parę miesięcy wcześniej miałam nieprzyjemne spotkanie z pewnym duchem, a potem cały dniami łążyły za mną tabuny.

Duchy to zazwyczaj szczątkowe strzępy ludzi, emocji, które po sobie zostawili, więc czułam się tak, jakby włóczyły się za mną zombie. Chciały, żebym coś dla nich zrobiła, były jednak zbyt fragmentaryczne, żeby wyartykułować, o co im chodzi.

Zresztą i tak, nawet jeśli dowiadywałam się, czego potrzebują, nie było to coś, co leżałoby w zasięgu moich możliwości. Nie mogłam naprawić ich życia, naprostować ludzi, których zawiedli. Nie mogłam przywrócić ich z martwych.

Nie wiedziałam, czym dokładnie jest golem, poza tym, że to skomplikowana sprawa. Ale bez wątpienia zasilił coś, co było moim źródłem przyciągania duchów, wzmacniając to do oszałamiającej potęgi. Sądząc z efektów, po spotkaniu z golemem zaczęłam świecić dla duchów jak latarnia morska. Długotrwałe efekty uboczne sprawiły, że moja bezpieczna kryjówka przy rzece roiała się w nocy od duchów. A w miejscu tak starym jak Praga mieszkało mnóstwo duchów. Najgorsi byli topielcy.

Staralam się ze wszystkich sił ignorować ich obecność, lecz prawda była taka, że duch topielca wonieje tak samo jak woda, w której dokonał żywota. Wełtawa z wierzchu pachniała jak każda inna rzeka, ponieważ jednak ludzie mieszkali przy niej od ponad tysiąca lat, na jej dnie

poniewierało się mnóstwo różnych gnijących rzeczy. Zeszłej nocy dowiedziałam się jeszcze czegoś. Najwyraźniej duchy topielców bywały takie jak w horrorach – ociekały prawdziwą wodą. Towarzystwo kąpiących, podlewających mnie smrodliwych duchów to niesprzyjające warunki do spania.

Choć i podczas mojego pochodu przez piekarnię za wilkołakiem pojawiło się parę duchów, nie ociekały ani nie śmierdziały jak te przy rzece. Były po prostu wyblakłymi wspomnieniami ludzi, którzy pracowali albo mieszkali w tych budynkach. Przenikały przeze mnie i przez gości. A cokolwiek obudził we mnie golem, przygasło na tyle, że nie zwracały na mnie uwagi. Odwdzięczyłam się im tym samym.

W nasłonecznionym ogródku nie było żadnych duchów. Z zewnątrz dobiegały przytłumione odgłosy zatłoczonych turystami uliczek. Cokolwiek mnie czekało, na tym zacisznym podwórku nie groził mi atak, rabunek ani aresztowanie, dopóki nie przyjdzie się ze mną zobaczyć praski Alfa.

Rozsiadłam się przy „moim” stoliku, wsparłam głowę na blacie i zamknęłam oczy, pozwalając słodkim woniom owocowego nadzienia i lukru ukołysać się do snu.



Rozdział 5

Adam

Podczas gdy ja podróżowałam autobusami, Adam pławił się w luksusach prywatnego samolotu. Tak właśnie wygląda moje życie.

Udało ci się z nią skontaktować? – zapytała Elizawieta po rosyjsku, oddając Adamowi do ręki naszyjnik Mercy.

Elizawieta zazwyczaj mówiła do niego po rosyjsku i zazwyczaj Adamowi to nie przeszkadzało, bo jego matka w domu mówiła w tym języku i znał go prawie tak dobrze jak angielski.

Jednak zostawienie Mercy tam, gdzie ją znalazł, było dla niego bardzo bolesne. A cokolwiek stara wiedźma uczyniła, żeby umożliwić mu rozmowę z Mercy, teraz, kiedy dobiegła ona końca, pozostawiło magię wilkołaczą, magię więzi partnerskiej i stadnej w stanie wzburzenia, w bardzo przykrym stanie. Aliaż straty i cierpienia odebrał Adamowi mowę zarówno rosyjską, jak i angielską.

Zacisnął w pięści naszyjnik i odetchnął głęboko. Kiedy i to nie wystarczyło, przymknął oczy i odchylił głowę na zagłówek fotela. Jego wilk od dawna nie walczył o kontrolę tak zażarcie, od czasu kiedy został wilkołakiem. I trwało to w zasadzie przez cały czas, odkąd Mercy zniknęła.

Adam zdążył już zapomnieć, jak męczące jest zmaganie się, żeby unieruchomić bestię. Minione dekady utwierdziły go w samozadowoleniu, w przekonaniu, że może utrzymać władzę bez względu na to, jak zły obrót przyjmują sprawy. Ale przez ostatnie godziny, kiedy odzyskanie Mercy wcale nie wydawało się przybliżyć, wilk walczył nieustannie.

Skontaktowawszy się z Mercy tuż po wejściu do samolotu, za pomocą więzi partnerskiej, choć było to słabe połączenie, Adam zakładał, że wszystko wróci do normy. Ale kiedy wilk zorientował się, jak daleko znajduje się Mercy i jak fatalnie działa ich więź... Adam zaszył się w odosobnionym kącie samolotu zaprojektowanego tak, aby wychodzić naprzeciw wszelkim zachciankom ludzi, którzy tego typu jednostki wynajmowali. Właśnie próbował ułagodzić i utrzymać wilka w ryzach, kiedy podeszła do niego Elizawieta.

Usiadła obok Adama na podłodze ze swobodą, której kobieta w jej wieku mieć nie powinna, i wręczyła mu buteleczkę rosyjskiej wódki.

– Dziękuję, ale nie teraz – odmówił, oddając flaszkę.

Przyjęła ją, pociągnęła długi łyk, zakręciła i schowała w przepastnych warstwach ubrania.

– Przerwanie więzi partnerskiej to trudna sprawa – zaczęła wiedźma – ale zablokowanie? – Zaśmiała się, klepiąc Adama łagodnie po policzku. – To dziecięca igraszka dla takich jak ja. Wiedźmy od dawien dawna chodzą po tej samej ziemi co wilkołaki. Wiedza związana z wilkołakami jest w moim i podobnych rodach przekazywana od pokoleń.

Mówiła po rosyjsku i wilk wyciszył się, uspokojony przyjemnymi Adamowymi wspomnieniami z dzieciństwa o matce, która siadywała blisko i w tym samym języku wyjaśniała, jak działa świat.

– Mam księgę spisana przez moją praprababkę – ciągnęła Elizawieta. – Całą o wilkołakach. Jeden rozdział jest poświęcony w całości więziom partnerskim i stadnym, które są zresztą różnymi obliczami tej samej magii. Jestem przekonana, że wiele wiedźmich rodzin ma kopie tej książki albo inne, podobne. Zawarte są w niej informacje na temat pewnego kręgu ochronnego, który nie pozwala przedostawać się magii w żadną stronę i blokuje działanie więzi. Wystarczyłby mi dzień, żeby zrobić taki, który działałby przez parę godzin, a gdybym miała na to tydzień i odpowiednie składniki, nawet dłużej.

– Czyli to, że teraz czuję Mercy, oznacza tylko, że wyczerpało się to, czego użyli, aby zablokować połączenie? – zapytał Adam.

– Oznacza, że zaszła jakaś zmiana. – Elizawieta wydeła usta i skinęła do siebie głową. – Może moglibyśmy o to zapytać Mercy.

– Próbowałem. Myślę, że więź działa już normalnie, tylko dzieli nas zbyt duża odległość. Bez watahy, od której mógłbym czerpać moc, musimy być w obrębie tego samego miasta, żeby nawiązać prawdziwy kontakt.

– Nie doceniasz mnie, Adamuszka – prychnęła wiedźma. – Jeśli masz coś, co należy do Mercedes, mogę wykorzystać twoją więź i zapewnić ci chwilę rozmowy.

W tej chwili oddałby serce, wyrwałby je sobie z piersi, żeby tylko móc usłyszeć głos Mercy. Ale to byłoby głupie, skoro Elizawieta potrzebowała

jedynie naszyjnika jego żony.

Nie był głupcem, przeszli więc do największego przedziału w samolocie, żeby wiedźma odczyniła swoje czary w obecności wampirów i Honey, na wypadek gdyby coś poszło źle i Adam straciłby nad sobą kontrolę. Elizawieta znów mu pomogła, jak zawsze. Teraz już wiedział, że Mercy żyje.

Z zamkniętymi oczyma, z łomoczącym sercem, Adam wciskał się w skórzany fotel. Mercy udało się nawet wyrwać z łap potworów. Ale teraz była nie wiadomo gdzie, zdana na siebie. I człowiek, i wilk uważali, że to niedopuszczalne – ale i tak lepsze niż wcześniejsza świadomość, że jest ranna i wykrwawia się gdzieś pośród wampirów.

Jego bestia nie chciała lecieć do Włoch i pertraktować z wampirem. Pragnęła jechać tam, żeby wampiry zabijać. Wszystkie. Wszędzie. A potem odnaleźć Mercy, zabrać ją do domu i zabarykadować tam, żeby już nikt nigdy jej im nie odebrał. Problem z utrzymywaniem wilka w ryzach wynikał po części właśnie z tego, że ich pragnienia się pokrywały. Rozsądek podpowiadał, że to groziłoby katastrofą. Ale serce trzymało stronę bestii.

Elizawieta – rozpoznał wiedźmę po zapachu, mieszaninie olejku herbacianego i ziół – pocałowała go w czoło. Potem wyprostowała się.

– Jestem stara, i to połączenie mnie zmęczyło.

– I jeszcze ta rana... – dodał Adam, otwierając oczy i spoglądając na Elizawietę. Wiedźmy czerpią moc z cierpienia, własnego albo innych. Wbiła ostrze noża w poblížnione ramię i wycięła sobie kawałek skóry. Zaciskała zęby, kiedy paliła fragment siebie w kadzidle, jakby ogień ranił ją jeszcze bardziej. – Przykro mi.

– Nie przejmuj się, Adamuszka. To tylko mały ból, już zniknął. Jestem z bólem za pan brat. Pójdę do jednego z pomieszczeń na ogonie i zdrzemnę się nieco na kanapie.

Mercy bała się starej wiedźmy – i prawidłowo. Elizawieta była niebezpieczna. Jej własna rodzina się jej bała. Ale Adamowi kojarzyła się z matką – jej akcent, zapach, melodia zdań – i nie mógł się zdobyć na lęk wobec wiedźmy.

– Śpij dobrze – życzył Elizawiecie. Odpowiedziała mu uśmiechem oczu. Nikt się nie odezwał, dopóki nie wyszła.

– Czego się dowiedziałeś? – zaczął indagować go Stefan.

– Bonarata coś jej zrobił? – dopytywała Marsilia.

Adam zdał sobie sprawę, że właściwie nic nie wie – co znów rozdrażniło wilka. Zacisnął zęby, walcząc o zachowanie kontroli. Poczulby, gdyby Bonarata zrobiłby coś Mercy. Była cała. Zmęczona. Smutna. Ale butna – nawet wobec niego. I zabawna. Cała i zdrowa.

– Adam? – wyrwała go z zamyślenia Marsilia.

– Dajcie mu spokój – warknęła Honey. – Potrzebuje chwili dla siebie.



Honey nie przyjęła z zachwytem, że Adam właśnie ją wybrał jako towarzyszkę podróży z wampirami. Nie miała z nimi zbyt wiele doświadczenia i wolałaby, żeby tak pozostało.

Adam wyjaśnił, że potrzebuje Honey, bo Władca Nocy jest uzależniony od wilkołaczej krwi – krwi wilkołaczy – w stopniu niespotykanym pośród istot tak wiekowych. Większość drapieżników po paru wiekach życia zaczynała mieć bardzo utylitarne podejście do swojego pożywienia. Adam zamierzał wykorzystać Honey, w miarę możliwości, żeby rozproszyć Bonaratę. Wierzył, że Honey będzie w stanie obronić się przed Władcą Nocy, gdyby cokolwiek poszło nie tak.

Jakby na dowód tego, że bez względu na to, ile przeżył, Adam nadal nie rozumiał kobiecej duszy, fakt, że miała być przynętą na najgroźniejszego wampira na planecie, zdecydowanie poprawił Honey nastawienie do całej tej wyprawy.

– To nie tylko przez Mercy – powiedziała.

– Co nie przez Mercy?

– Mój status w hierarchii się podniósł – wyjaśniła. – Myślałam, że to przez to, że zatrzęsała całą strukturą watahy.

– Oczywiście, że nie, Honey – potwierdził. – To ty sama to sprawiłaś. Tylko ty.

– Bonarata ma swoją maskotkę, wilkołaczkę – rzekła Honey.

– Wiem. – Cekał, aż rozwinie wypowiedź, bo Honey nie lubiła gadać po próżnicy.

– Lenkę. Nie znałam jej dobrze, była kochanką Petera, zanim się poznaliśmy. Była jego pierwszą, jako człowieka i wilkołaka. Nie byli w sobie zakochani, ani on, ani ona, ale lubił ją, nawet kiedy wybrała ich Alfę zamiast niego. Lecz to przez nią opuścił stado i włóczył się, zanim natknął się na moją watahę. I na mnie. Zawsze byłam jej za to wdzięczna.

Adam położył Honey rękę na ramieniu. Wilkołaki potrzebują dotyku bardziej niż ludzie. Długo zajęło mu zrozumienie, ile kontakt fizyczny dla nich znaczy, jednak teraz już o tym nie zapominał.

– Była silna – podjęła wilczyca cicho. – Silna, odważna i szczera. Miała kompas moralny, który zawsze wskazywał północ. Była w tym podobna do Mercy, tyle że bez tego poczucia humoru. Lenka siebie i świat traktowała bardzo poważnie.

Honey przymknęła powieki i oparła policzek o dłoń Adama.

– Kiedy Bonarata ją uprowadził, byliśmy w Rosji. Peter nie potrafił usiedzieć na miejscu, lubił podróżować.

Uległe wilki – i ich towarzysze – były chętnie przyjmowane do każdej watahy, którą postanowiły zaszczyścić swoją obecnością. Alfom trzeba

było dosłownie machać przed nosem koniecznym traktatem, żeby się gdzieś ruszyli. Jedynie to, że Mercy została porwana, sprawiło, że Adam nie musiał przejmować się układami politycznymi, które zazwyczaj były głównym celem jego podróży.

– Nie słyszeliśmy o tym przez dziesięć lat – kontynuowała Honey. – O tym, że Bonarata zabił całą watahę, pierwsze stado Petera. Prawie całe. Zostawił przy życiu Zanobiego i Lenkę, a z tego, czego się dowiedzieliśmy, sprawił coś gorszego niż śmierć. Peter szalał. – Honey dyszała ciężko, jakby oddychanie sprawiało jej ból.

Nie zająknęła się, dlaczego Peter nic nie zrobił albo że podjął jakieś działania i co z nich wyniknęło. Znając Petera, nie stał z założonymi rękami, trudno było uwierzyć, że czegoś nie próbował, czegokolwiek.

– Bonarata może cię rozpoznać? – zapytał Adam.

– Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy.

Honey wysmyknęła się spod jego ręki. Otarła kciukami policzki, a Adam udawał, że tego nie widzi. Na chwilę odwróciła wzrok, a potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Myślisz, że dam radę? Nie wiem nic o wampirach.

– Myślę – odrzekł Adam powoli – że w całym swoim życiu nigdy nikogo nie zawiodłaś. Jeśli to się nie uda, to tylko dlatego, że ten stary wampir okaże się zbyt potężny albo zbyt sprytny. Albo dlatego, że my zawiedziemy ciebie. Naprawdę, Honey, jestem przekonany, że jesteś naszą najlepszą szansą na zwycięstwo.

Po chwili zastanowienia skinęła potwierdzająco.

– Dobrze, postaram się zrobić wszystko, co będę mogła.

Do tego czasu, zgodnie z przewidywaniami Marsilii, Bonarata przysłał już drugiego e-maila. Przyszedł przed świtem, tuż przed tym, zanim wampiry udawały się na spoczynek. Wiadomość była... fantastyczną bajeczką.

Bonarata był w drodze z wizytą towarzyską do Marsilii, kiedy zdarzył się straszny wypadek. Towarzyszka znanego Alfya, Adama Hauptmana, umierała od obrażeń doznanych w kraksie. Żeby ją ratować, zabrał ją do swego domu, gdzie jego uzdrowicielka ją uleczyła. Po tym Bonarata bał się, żeby towarzyszce Alfya znów nie stała się jakaś krzywda – jako jej wybawca czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo Mercedes. Dlatego zaprasza Marsilię oraz Adama do swego domu w Mediolanie, aby przekonali się, że Mercedes jest cała i zdrowa pod jego opieką. Zezwala każdemu z nich zabrać ze sobą dwóch ludzi, a oprócz tego pilota i drugiego pilota.

Czyż to nie wspomniałobyś ze strony Bonaraty? Problem w tym, że Władca Nocy był na tyle potężny, że musieli grać w te jego gierki, dopóki wampir będzie miał ochotę unikać bezpośredniej konfrontacji. Adam nie wierzył w tym, ot tak, Marsilii na słowo, zadzwonił do Charlesa.

Informacje nie były jedyną rzeczą, o jakiej chciał z nim porozmawiać.

– Potrzebuję pilota – oświadczył Adam, wysłuchawszy wszystkiego, co Charles wiedział na temat Pana Mediolanu. Obaj zdawali sobie sprawę, że prosi, aby to Charles pilotował ich samolot.

– Ojciec mówi, że nie mogę z tobą lecieć. – Ostra nuta w głosie syna Marroka wskazywała, że nie jest on z tego zadowolony. Adam nawet nie zapytał, jak Bran dowiedział się o kłopotach Mercy. Wataha Adama wiedziała i pewnie ktoś zadzwonił do Marroka, żeby informować go na bieżąco. Może i wataha dorzecza Kolumbii nie była już powiązana z Marrokiem, jednak stare nawyki trudno wykorzenić. – Zachowuje wobec was dystans – ciągnął Charles – żeby nas wszystkich chronić, tak mówi. Poza tym zbyt wiele osób wie, kim jestem. I ma co do tego rację. Mówi, że Bonarata prawdopodobnie spodziewa się, że będę pilotował, inaczej nie zawarłby w wiadomości wytycznych co do załogi. Tacy jak oni nie zwracają uwagi na obsługę.

Jasne. Adamowi to umknęło. Był rozkojarzony.

– Ma rację – przyznał Hauptman. – Oczywiście, że ma. A skoro nie byłbyś zaskoczeniem, to stałbyś się...

– Ojciec nazywa to „skomplikowanym zakładnikiem” – dokończył Charles sucho. – Przekonywałem go, że potrafię się bronić, ale dostałem w zamian wykład o dyplomacji. Najwyraźniej nie jest to kwestia mojego bezpieczeństwa. Lecąc z wami, byłbym nitką prowadzącą do ojca. A to czyni ze mnie osobę niezwykle interesującą, zbyt interesującą, jak na delikatną równowagę uprzejmości i siły, którą Marsilia stara się utrzymać, aby sprowadzić wszystkich, łącznie z Mercy, całych i zdrowych do domu. Bonarata mógłby zmieść wszystkich, żeby tylko mieć szansę na pokonanie ojca. Dlatego muszę trzymać się od tego z daleka. Może nawet mógłbym zaryzykować, ale tak się składa, że Bonarata mnie zna. – Charles odchrząknął. – Wpadliśmy na siebie raz czy dwa. Ojciec kazał ci przekazać, że oczekuje i ufa, że przywieziesz Mercy do domu w jednym kawałku.

W tym momencie zaczął mścić się na Adamie brak snu – nie zmrużył oka, odkąd wampiry uprowadziły jego żonę. Ale był jeszcze na tyle przytomny, żeby zaufać osądowi Brana.

– Skoro Marrok twierdzi, że nie będziesz naszym atutem, to pewnie ma rację. – I co teraz? Ach tak. – Masz jakiś samolot, który możemy wynająć na przelot do Włoch? Kogoś, kto nie będzie się dziwił ani obawiał przewozić na pokładzie wampiry i wilkołaki?

Przedsiębiorstwo Adama korzystało z usług dwóch czy trzech firm czarterowych. Jednak wampiry stanowiły dodatkowy problem w całej sprawie – nie można było pozwolić, aby ludzkość dowiedziała się o ich istnieniu. Wietnam byłby imprezą dla przedszkolaków wobec tego, co by się rozpełtało, gdyby ludzie odkryli, że wampiry żerują na nich i bawią

się w pranie ich mózgów.

– Z tym mogę ci pomóc – stwierdził Charles i podał Adamowi numer telefonu. – To mała firemka, ale do tego najodpowiedniejsza. Pilot i właściciel, Harris, jest goblinem, więc nie będziesz musiał przed nim niczego ukrywać. Lata z północnej Kalifornii. – Jego głos złagodniał. – To dobry pilot. Zabierze was tam, gdzie potrzebujecie. Zabierzcie stamtąd Mercy, zanim rozpirzy siedzibę Władcy Nocy i wywoła wojnę.

Adam mimowolnie się roześmiał. Rzeczywiście, Mercedes dałaby radę. Ale nawet jeśli ona uważała się za niezniszczalną, on nie miał złudzeń.

– Dzięki – powiedział wyraźnie zmęczony. – Potrzebowałem przypomnienia. Mercy jest całkiem niezła w uchodzeniu z życiem z każdej kabały.

– Umiejętność przetrwania to cecha Kojota – rzekł Charles i Adam naraz zdał sobie sprawę, że prawdziwa tożsamość ojca Mercy nie jest dla syna Marroka tajemnicą. – Prześpij się porządnie. Zaczyna ci się mącić w głowie, a nie możesz sobie pozwolić, żeby nie być w swojej najlepszej formie.



Adam poszedł za radą Charlesa w kwestii samolotu, a także snu. Zdecydował się na Honey. Potem dokonał trudnego wyboru drugiego towarzysza podróży. Aiden skreślił od razu – Dotknięty Ogniem nadal był celem pradawnych. Bez względu na to, jak Aiden by nie był przydatny, Adam nie miał zasobów pozwalających mu chronić chłopaka i jednocześnie odzyskiwać Mercy. Joel odpadał w przedbiegach, bo bez pomocy Aiden nie potrafił jeszcze kontrolować tibicena, ducha ognia, który w nim tkwił, i Joel był zbyt nieprzewidywalny, by na nim polegać.

W innych okolicznościach Adam zabrałby Warrena albo Darryla, zostawiając stado pod pieczęą jednego z zastępców, ale teraz w powietrzu znalazło się zbyt dużo pilek, którymi należało żonglować.

Najbardziej palącym problemem był status Aiden – numeru jeden na liście gończym magicznego ludu. Co prawda Szarzy Panowie zgodzili się zostawić go w spokoju, ale ostatnie wydarzenia podkopały wiarę Adama w ich absolutną kontrolę nad społecznością pradawnych, a nawet współczłonkami rady.

Aiden stanowił zbyt potężną siłę, a nieobecność obu przybocznych Adama mogła okazać się zbyt kuszącą okazją dla jakiegoś niezależnego pradawnego, żeby nie wykonał ruchu. Szczególnie że uprowadzenie Mercy mogło zostać poczytane za przejaw osłabienia watahy. Podobnie jak wilkołaki, również pradawni byli drapieżcami i słabość była dla nich

pokusą prawie nie do odparcia.

Do tego zasoby stada zostały napięte do granic możliwości ze względu na potrzebę ochrony terytorium przed nadprzyrodzonymi drapieżnikami. Krucha równowaga wymagała obecności obu, i Warrena, i Darryla, żeby pilnować pokrywki, pod którą będą kotłowały się domowe kłopoty podczas wyjazdu Adama.

Ten atak, bez względu na to, jak osobisty, nie był wymierzony jedynie w wilkołaki. Bonarata wziął na cel koalicję nadprzyrodzonych, która według niego istniała w Tri-Cities, a w czym Marsilia utwierdzała go od dłuższego czasu.

A więc powinni podróżować w obstawie reprezentacji tej wyimaginowanej grupy wsparcia, nieprawdaż? Jak na ironię, to atak Bonaraty urzeczywistnił nieistniejące do tej pory przymierze, to właśnie Pan Mediolanu, porywając Mercy, stał się jego katalizatorem. Dlatego Adam skontaktował się z Marsilią i zasugerował, że powinni zabrać ze sobą kogoś spoza wampirów i wilkołaków.

Marsilii nie trzeba było długo przekonywać. Tak jak mówiła, poza nią w Tri-Cities mieszkały tylko dwa potężne wampiry, z tego jeden szalony, o nieokreślonej lojalności, którego nie chciała zabierać przed oblicze Bonaraty. Stefan zgodził się lecieć, zostawało jednak jeszcze jedno miejsce, więc musiałyby zdecydować się na któregoś z pomniejszych wampirów, co w języku strategii oznaczałoby przyznanie się do słabości.

Zgodzili się na reprezentanta goblinów. Adam nie wiedział, kto jest ich przywódcą w Tri-Cities, ale Marsilia owszem, i uzyskała jego zgodę. Gobliny nie należały do ras długowiecznych, jak pradawni, lecz były sprytniejsze i silniejsze, niż innym się wydawało. Adamowi podobało się to, że były niedoceniane. Marsilii to, że były jej starymi sprzymierzeńcami. Adam odkrył, że na goblinach można polegać i że są bardziej honorowymi istotami niż pradawni.

Jeśli chodzi o drugiego swojego towarzysza, Adam z miejsca pomyślał o Zee. Stary pradawny gderał i zrzędził – bo bardzo chciał wziąć udział w wyprawie – lecz w końcu przyznał, że nie byłby atutem. Podobnie jak Aiden, przyciągałby ataki z zewnątrz, spoza kręgu zainteresowanych, którzy w innej konfiguracji pozostaliby niezainteresowani sprawą, skoro ich nie dotyczyła. Co więcej, również Zee zetknął się kiedyś z Bonarata. I w zetknięciu owym stary wampir nie był górą. Skoro więc zamierzali negocjować – a i Marsilia, i Charles (doszli do tego wniosku każde z osobna) uważali, że najlepszym sposobem na wyciągnięcie Mercy z tej kabały żywej jest dyplomacja – to Zee odpadał. Adam nie poprosił też o pomoc Tada. Tad również mógłby stać się celem europejskich pradawnych żądnych mocy. Prawdopodobne też było, że ściągnąłby na siebie ostrzał wymierzony w Zee. A Adam nie ufał na tyle innemu pradawnemu poza nimi, żeby go w to wciągać. Dlatego zwrócił

się do Elizawieyty Arkadiewny Wyszniwieckiej, a stara rosyjska wiedźma z chęcią się zgodziła.

Z wielką chęcią.

Adam również był bardzo zadowolony, że ona z nim poleci.

Jego bestia, jego serce i sterana magia stadna wreszcie się wyciszyły. Otworzywszy oczy, Hauptman zauważył, że poza wiedźmą pozostali nadal skupiają się razem na niewielkiej przestrzeni pasażerskiej samolotu.

Honey siedziała na lewo od niego, Stefan na prawo. Marsilia naprzeciwko Honey, środkowy fotel, Elizawieyty, był chwilowo pusty, a goblin kuczał w przejściu i zadawał się tym całkowicie ukontentowany.

W zacienionym roletami pomieszczeniu tylko cichy warkot silników świadczył o tym, że znajdują się w powietrzu. Samolot został stworzony do przewożenia bogatych przemysłowców, szejków i książąt. Podłogę wyłożono dywanem, a fotele obito kremową skórą i wykończono drewnem orzechowym.

– Adam? – zagadnęła Marsilia po chwili z niezwykłą łagodnością. – Wszystko w porządku? Skontaktowałeś się z nią?

Potarł twarz i przesunął się na skraj siedziska.

– Tak. – Uśmiechnął się do towarzyszy zupełnie szczerze. – Znacnie Mercy. Uciekła i jedzie teraz dokądś w bagażniku autobusu. W jaki sposób to zmienia nasze plany?

– Będzie wściekły – stwierdziła Marsilia. Też się uśmiechnęła, zaskakująco słodko, jak na kobietę tak niebezpieczną. – Ciekawe, że kiedy psuje misternie ukute plany innym, nie wydaje się już tak irytująca.

– Fantastycznie – ucieszył się goblin. – Sprytny kojot z tej naszej Mercy.

Mercy wydawała się wykończona, ale Adam nie wyznałby tego w tym towarzystwie. „Nigdy nie pokazuj wrogom swojej słabości”. Takie było jego motto jeszcze przed Przeistoczeniem i nigdy nie zdradziłby Mercy. Goblina dopiero co poznał, a Marsilia nigdy nie była fanką jego żony.

– Nadal lecimy do Mediolanu? – zapytał. – Czy zmieniamy trasę i lądujemy w innym kraju, a potem poszukamy Mercy, zanim on ją znajdzie?

– Do Mediolanu – oświadczył Stefan stanowczo. – To nie jest jakiś odosobniony wypadek, jednorazowy wyskok. Jego następny ruch może pociągnąć za sobą trupy.

– A jeśli pradawni by nas wsparli? – zastanowiła się Honey. – Czy to by go powstrzymało?

Goblin, który posługiwał się ludzkim imieniem i nazwiskiem Larry Sethaway, pokręcił głową.

– To niemożliwe – odarł wilkołaczycę z nadziei. – Pradawni są z tych,

co obserwują przebieg bitwy, a potem zerują na truchłach, jak kruki i wrony, którymi zresztą są. – Błysnął uśmiechem w pełni świadom, że to właśnie gobliny były w magicznej społeczności postrzegane jako padlinożercy. – Nie wskazałoby w jednym kierunku, nawet gdyby umierali z pragnienia, a na świecie było jedno źródło wody. Nie przeszkadzają mi jako cywilne wsparcie, ale wolałbym trzymać ich z dala od pola bitwy. Nigdy nie wiadomo, kogo zechcą zabić w pierwszej kolejności, ciebie czy wroga.

Gobliny odcinały się od magicznego ludu, ale w drugą stronę to tak nie działało. Większość pradawnych uważała gobliny za rodzaj nisko urodzonych, słabych, głupich kuzynów. Niektórzy nawet traktowali je jako pokarm. Gobliny o tym nie zapominały.

Larry mógłby na upartego uchodzić za człowieka, choć nie wszyscy z jego rasy tak wyglądali. Kiedy Adam zobaczył go na lotnisku, goblin ukrywał za ciemnymi okularami żółto-zielone oczy, a czteropalczaste dłonie w rękawiczkach. W samolocie zdjął jedno i drugie.

– Zgadza się – zabrała głos Marsilia. – I ze Stefanem, i z Larrym. – Uśmiechnęła się trochę jak kot. – Udawajmy, że nie wiemy o jej ucieczce. Zobaczmy, co robi teraz, kiedy jej nie ma.

– Uwierzy, że nie wiemy? – zaniepokoiła się Honey. – W końcu Mercy jest towarzyszką Adama.

– Ale dowiedzieliśmy tylko dzięki temu, że Elizawieta przelała swoją magię w ich więź – odbiła piłeczkę Marsilia.

Stefan skinął potakująco.

– Poza tym Wulfe powiedział mu, że wasza więź jest niestabilna. Jeśli będziesz się zachowywał tak, jakbyś nie wiedział, prawdopodobnie uwierzy.

– Istnieje szansa, że powie nam o jej ucieczce – rzekła Marsilia – choć nikła. To byłoby przyznaniem się do słabości, do błędu, a Bonarata nie przyznaje się do prawdziwych pomyłek, tylko do wymyślonych.

– Na przykład do takiej, że zabił Mercy – mruknął Stefan. – Ups, przypadkowo zabiło mi się twoją żonę, biedactwo. Mam nadzieję, że nie była ci bardzo potrzebna. Po prostu sam nie znam swojej siły.

– Mógłby to zrobić? – zapytała Honey. – Gdyby Mercy nie uciekła?

Stefan popatrzył na Marsilię, a ta z kolei zerknęła ukradkiem na Adama.

– Bardzo się cieszę, że Mercy udało się uciec – odpowiedziała w końcu.

Adam rozpoznał dyplomatyczną odpowiedź.

– Co byś zrobiła – zaczął Adam bardzo cicho – gdyby on naprawdę zabił ją podczas naszego lotu?

Spojrzała wilkołakowi w oczy.

– Zginęłabym tu z całą resztą, gdybyś stracił kontrolę i zniszczył

samolot – odparła. – Ale nie dałbyś Iacopo... Jacobowi – poprawiła się z chłodnym uśmiechem – takiego łatwego zwycięstwa. Znam cię. Poza tym Mercy żyje. – Pochyliła się do przodu. – Nie kłamałam, że mamy do czynienia z bardzo niebezpieczną sytuacją. Nadal uważam, że to wszystko może się jedynie skończyć na nieplanowanej wycieczce do Europy. Ale istnieje równe prawdopodobieństwo, że Bonarata zacznie zabijać, a wtedy zginiemy wszyscy.

Larry kiwnął głową w stronę kokpitu.

– Nawet nasi piloci? Szkoda by było. Ten nasz jest taki śliczny. – Miał na myśli pierwszego pilota, bo drugi był wilkołakiem, choć nie był to Charles.

Marsilia uśmiechnęła się do goblina i Adam ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że Pani Chmary naprawdę go lubi. Nie przywykł kojarzyć Marsilii z tak łagodnymi uczuciami.

– Żadnego flirtowania, dopóki nie wrócimy i twoja żona nie będzie mogła mieć do mnie o to pretensji – oświadczyła.

– Ej, to już popatrzeć sobie nie można? – Larry wzruszył ramionami.

Stefan nagle zeszywniał. Spojrzał na Adama.

– Mercy próbuje się ze mną skontaktować. Chcesz jej coś przekazać?

– Żeby na siebie uważała – odpowiedział Adam z miejsca. – Zapytaj, czy już wie, gdzie jest.

Zanotował sobie, że więź Stefana z Mercy działa na większą odległość niż więź partnerska. Bardzo mu się to nie spodobało.

Stefan uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– To działa na prostszych zasadach – wyjaśnił. – Więź pomiędzy wampirem a ofiarą jest mniej skomplikowana niż pomiędzy partnerami, podobnie jak układ pan–niewolnik jest prostszy od małżeństwa. Poza tym Mercy krwawi. – Uspokoił Adama gestem ręki. – Z kilku drobnych zadrapań. Ale krew zasila jej przyzwanie.

Wyjął scyzoryk i zaciął się płytko w kciuk. Przytknął ranę na opuszcze do ust i zamarł.

Adam obiecał sobie, że nie będzie zazdrosny. Za bardzo martwił się o Mercy, żeby pozwolić sobie na zazdrość. Jeśli mogła skontaktować się z wampirem, to mieli już dwie drogi dotarcia do niej.

Dwie to lepiej niż jedna. Gdyby Adam zginął, jeszcze Stefan mógł uratować Mercy. Nawet wilk był co do tego zgodny.



Była noc, kiedy wylądowali na wskazanym przez Bonaratę prywatnym lotnisku. Nie musieli przejmować się odprawą. Pilot, a zarazem właściciel samolotu, zapewnił Adama, że zajmie się dokumentami. Ten

sam pilot tak wycyrklował przelot, żeby wylądowali bliżej poranka. Adam miał niemal pewność, że lądowisko nie należy do Bonaraty, ale nie musiało. Tytuł Władcy Nocy oznaczał, że Bonarata miał całe mrowie pomagierów.

Kiedy Adam i reszta wysiadali, czekał już na nich komitet powitalny Pana Mediolanu. Składał się z sześciu wampirów, ubranych w jednakowe kosztowne garnitury. Ich ciemne włosy zostały przycięte w ten sam sposób, na podobieństwo lalek Kena, choć nie z takim samym przystojniackim efektem.

Jeden z wampirów wystąpił naprzód i przemówił w brytyjskim angielskim:

– Mój pan wita was we Włoszech. Wyszedłby powitać was osobiście, lecz niestety, zatrzymały go niezwykle ważne sprawy. Proszę nie martwić się o bagaże i zostawić to mnie. Natychmiast dostarczymy je do waszych pokoi.

Dał znak gestem i trzy wampiry wyminęły Adama, zmierzając ku samolotowi. Jeden z nich pachniał znajomo.

Należał do porywaczy, którzy odebrali Adamowi Mercy. Adam dokładnie zapamiętał sobie twarz krwiopijcy. Nie było w niej nic szczególnego, ale Hauptman był pewien, że na długo wryła mu się w pamięć. Wampir zauważył, że Adam mu się bacznie przygląda, i nieopatrznie spojrział mu w oczy. Adam pozwolił wilkowi wyłonić się na chwilę, aby dać znać wampirovi, że został rozpoznany.

Sekretną słabością wampirów – sekretną, ale potężną – był strach przed śmiercią. Każdy nowy wampir powstawał dlatego, że przemożny lęk przed utratą życia popychał człowieka do rezygnacji ze wszystkiego, żeby tylko je zachować. Wszystkiego, nawet osobowości.

Wilkołak z zadowoleniem dojrzał przerażenie przepełniające oczy krwiopijcy.

– Adam? – Ton Honey wskazywał, że umknęło mu coś istotnego.

Przeniósł uwagę na tu i teraz.

– Nie dano nam wyraźnych wskazówek – powtórzył wampir – co do waszych preferencji w kwestii sypialni. – Tak wyraźnie przy tym unikał patrzenia w stronę Marsilii, że Adam aż odwrócił się do niej, unosząc brew.

– Nie wiedziałam, jak będziesz wolał spać – wyjaśniła przepaszająco. A więc zamierzała grać drugie skrzypce. Nie tylko Adam był zdeterminowany wykorzystać wszelką dostępną broń w starciu z Bonarata. Zastanowił się, jak on sam by się czuł, wiedząc, że Mercy udawała oddaną adoratorkę innego mężczyzny, i musiał zdławić niestosowne warknięcie.

Marsilia uśmiechnęła się do Adama i był to uśmiech świadczący o zażyłości, uśmiech kochanki, choć niepozbawiony szacunku.

Wampir Bonaraty dostrzegł w nim to, co miał dostrzec.

Gdyby Mercy w ten sposób zachowywała się wobec jakiegoś mężczyzny, Adam miałby pewność, że właśnie zamierza wsadzić rzezonemu mężczyźnie nóż w plecy. Mercy była gotowa uciekać się i do odgrywania ról, i do nieczystych zagrań, kiedy przeciwnik miał nad nią przewagę. Dopóki wierzyła, że stoi po stronie aniołów, nie była wybredna co do sposobu, w jaki przegrywali jej wrogowie.

Marsilia wykazywała się w tej kwestii podobną etyką, choć kierowała nią bardziej mściwość. Bonarata przedłożył swoje uzależnienie ponad nią, a ona mu tego nie wybaczyła i nie zapomniała. Władca Nocy pogryzłby kieliszek na widok Marsilii karmiącej Adamowe... Co? Potrzeby? Ego? Zdekoncentrowanie Bonaraty działałoby na ich korzyść. Przecież Adam sam zamierzał wykorzystać do tego Honey. Marsilia mogła grać w tę samą gierkę.

Szkoda tylko, że go nie uprzedziła. Jednak już w trakcie tej ostatniej myśli Adam zrozumiał, dlaczego tego nie zrobiła. Wiedziała, że nie zgodziłby się na odbijanie jej piłeczki. Nie zdradzał Mercy, nawet jeśli miał to być jedynie subtelny, pozorowany flirt.

Jaki miał wybór teraz? Wydać Marsilię? Odrzucić ją? Zastanowił się nad tym. Mógłby to zrobić, nie obnażając wybiegu Pani Chmary, ale przecież chodziło o to, by Bonarata widział ich zjednoczonych wspólnym frontem, a nie o to, by odsuwać się od Marsilii, wystawiając ją jako cel.

Liczył, że Honey potrafi obronić się przed każdym poza sobą. Marsilia... była silna jak diabli, lecz bezbronna wobec Bonaraty.

– Adamie? – ponagliła go Marsilia, tym razem dotykając lekko ramienia wilkołaka. Nie odsunął się spod jej ręki, choć miał na to ochotę.

Spojrzał na Honey i Larry'ego, a potem wzruszył ramionami. Skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Niewykluczone, że jakiegoś kiepskiego dnia Mercy może mieć chwilę słabości, która każe jej uwierzyć, że Adam mógłby zdradzić ją z Marsilią, ale...

– Daj nam apartament, w którym pomieścimy się wszyscy – odpowiedział. Bo Mercy w życiu nie uwierzy, że baraszkował również ze Stefanem, Honey, jakimś nieznanym goblinem i, na litość boską, Elizawietą. Zrozumie, że był to najłatwiejszy sposób na zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa. I przy okazji zadanie Bonaracie bobu. Adam spojrzał po towarzyszach. – Równie dobrze możemy od razu zamieszkać wspólnie, zamiast ganiać po korytarzach przez całą noc. – Odwrócił się z powrotem do głównego sługi Bonaraty i pozwolił, ażeby myśl o pobycie w gnieździe wampirów, jako ciekawa koncepcja, a nie powód do niepokoju, pojawiła się w jego oczach i zniknęła. A potem dodał nonszalancko: – Czy tam dzień.

– Mercy może mieć coś przeciwko Larry'emu – mruknął Stefan,

wpasowując się w konwencję.

– Larry może mieć coś przeciwko Mercy – prychnął goblin w tym samym tonie.

– Miałbyś szczęście, gdyby Mercy zechciała cię wybrać – odpalił Stefan zupełnie, jak zauważył wilk Adama z nagłym zainteresowaniem, szczerze.

Adam znów wzruszył ramionami.

– Mercy robi sobie przetasowania wedle ochoty, kiedy już do nas wróci.

– Będzie jak na wakacjach! – ucieszyła się Honey lubieżnie, bo była bystra i umiała świetnie grać. – Tak dawno nie byliśmy na wakacjach!

Honey sprzedała kłamstwo głosem i językiem ciała – włożyła w nie dokładnie tyle, ile trzeba, żeby stało się wiarygodne. Wśród istot nadprzyrodzonych panowało przekonanie, że wilkołaki, które traktowały dotyk znacznie swobodniej, niż na normy ludzkie przystało, sypiają ze sobą w obrębie watahy. Przekonanie to podsycali historie nielicznych już Alf, którzy uważali, że to jedyny sposób na utrzymanie hierarchii w stadzie. I w zasadzie w Europie mogło to stanowić powszechny obyczaj, bo przecież nie było tu Marroka, który by się z tym rozprawił.

– Nie jesteś znana z tej strony... – powiedział wampir Bonaraty nieco... zszokowany. Choć nie powinien, biorąc pod uwagę opowieści, jakie Adam słyszał o przyjęciach Bonaraty. Jednak sługus patrzył na Marsilię i Adam miał przebłysk zastanowienia, czy aby wampir nie był na tyle stary, by znać Marsilię sprzed jej wyjazdu.

– Apartament – powtórzyła Pani Chmary krótko, przechylając się w stronę Adama. Jej serce łomotało szybko, rzecz niecodzienna u wampirów, lecz od samego początku była zdenerwowana całą sytuacją. Adam o tym wiedział, zapewnił więc Marsilii wytłumaczenie tej palpacji, lekko gładząc ją po policzku.

Pozwolił, by wilk odrobinę podniósł łeb – gniew i żądza pachniały podobnie. Z doświadczenia wiedział, że wampiry nie były zbyt biegłe w rozróżnianiu emocji, choć wyczuwały je niemal tak dobrze jak wilki. Ale emocje wampirów charakteryzowało wynaturzenie, bo wampiry były z definicji egoistami, a to powodowało trudność z wyznawaniem się na uczuciach innych.

– Mamy apartament z trzema sypialniami – podsunął jeden z wampirów. – Obu pilotów możemy umieścić w pokojach dla służby.

– Moich pilotów? – powtórzył Adam. – Oni zostają w samolocie.

– Obawiam się, że to niemożliwe – zaprotestował główny pomagier. – Mój Pan wydał wyraźne polecenie, by również ta dwójka zatrzymała się u nas. – Uśmiechnął się chytrze. – Oczywiście możemy dostawić jeszcze dwa łóżka w apartamencie, jeśli i piloci mają z wami spać.

Adam spojrział przez ramię na samolot, z którego wychodzili właśnie obaj piloci, niosący niewielkie torby podróżne. Pierwszy był przystojniakiem, tak jak twierdził Larry. Wysoki jak na goblina, o słomkowych włosach, miał intensywnie turkusowe oczy, którymi bacznie obserwował eskortującego go wampira. W jego postawie dało się dostrzec napięcie, jednak Austin Harris był zbyt mądry, by sprzeciwiać się ludziom Bonaraty. Nie patrząc nawet, wyciągnął rękę, żeby podtrzymać towarzysza, który zachwiał się na rampie, zbyt zajęty wlepianiem spojrzenia w wampira, żeby patrzeć pod nogi. Drugi pilot, średniego wzrostu, o przeciętnej twarzy, był tak przerażony, że prawie leżał bokiem na Harrisie. Drugi pilot był też wilkołakiem. Sposób, w jaki szukał bezpieczeństwa w bliskości goblina, powiedział Adamowi – i wszystkim, którzy obserwowali pilotów – że jest uległym wilkołakiem. W otoczeniu wampirów uległemu osobnikowi groziło niebezpieczeństwo.

Główny sługus Bonaraty odchrząknął. A tak, czekał na odpowiedź.

Umieszczenie pilotów we wspólnym apartamencie wyglądałoby tak, jakby goście bali się gospodarza. Co było faktem. Ale stałoby się również przyczynkiem do obrazy dla honoru Bonaraty, sugerując, że goście z góry spodziewają się, że ich gospodarz nie dochowa praw gościnności.

Adam uniósł brew, udając zdziwienie.

– Czy Władca Nocy sypia z każdym, kogo zatrudnia? Dajcie im własne pokoje. – Zerknął jeszcze raz na pilota goblina i pilota wilkołaka.

Harris odpowiedział zatroskanym spojrzeniem i wskazał wzrokiem swego towarzysza.

– Wolelibyśmy wspólny – powiedział.

– Tak, lepiej jeden dwuosobowy – poparł go Adam. – Ktoś, kto wygląda na tak wystraszonego, nie wyśpi się samotnie dobrze w gnieździe wampirów. A jeśli nie zadbamy o jego wygodę, pierwszy pilot będzie musiał sterować sam, bo mu drugi zaśnie.

– Załatwimy to – zgodził się sługus, patrząc na Harrisa z zainteresowaniem. Drapieżnym zainteresowaniem.

– Zakładam, że Władca Nocy ręczy, że tych dwóch nie będzie niepokojonych przez chmarę? – dodał Adam łagodnie.

Zaskoczony sługus zerknął na Adama i zmieszał się, zdając sobie sprawę, że Adam zauważył jego wygłodniałą pożądlivość. Zamknął oczy, jego twarz straciła wyraz, a ciało całkowicie znieruchomiało.

– Obaj będą naszymi gośćmi – rzekł, obudziwszy się z posągowego stanu. – Mój Pan daje na to słowo.

A więc Bonarata mógł odbierać i przekazywać informacje przez swoje sługi – a przynajmniej przez tego. Adam postanowił sobie to zapamiętać.

Jeszcze raz przyjrzał się Harrisowi i wilkołakowi. Oddać

śliczniutkiego goblina i bezbronnego wilka w łapy chmury... Jeśli Bonarata nie trzymał swoich wampirów żelazną ręką, to oznaczało kłopoty.

Do tego Adam przypomniał sobie, co Marsilia mówiła o Bonaracie w kontekście błędów – nie lubił ich popełniać, lecz nie miał nic przeciwko, żeby robić uniki przeprosinami i przyznawać się do pomyłek, które wcale nimi nie były.

Wampiry Bonaraty nie zaatakowałyby pilotów przypadkiem. Jednak gdyby w najlepszym interesie Władcy Nocy leżało zatrzymanie ich tu bez możliwości swobodnego poruszania się na długie dystanse...

Adam westchnął głośno.

– Niech będzie. Umieście ich gdzieś blisko nas. Przynajmniej usłyszymy, gdyby zaczęli krzyczeć.

Sługus wyprostował się gwałtownie.

– Wątpisz w honorowość mojego Pana?

– Skądże. Nie ufam samokontroli wampirów w pobliżu takiego ślicznego kąska. – Machnął w stronę Harrisa, który uniósł idealną brew.

– Przykro mi, ale naprawdę tak wyglądam. Nie posiadam tyle magii, żeby potrzymać iluzję aparycji.

Jeśli robi się gorąco, będę potrzebował każdego okrucu swojej mocy – tego pilot goblin nie powiedział. Prawdopodobnie wampiry nie dostrzegły niewypowiedzianego przekazu – a nawet jeśli, mało prawdopodobne, że zrozumiały kryjący się za nim podtekst.

Harris nagle naburmuszył się na Adama.

– Poza tym kto jak kto, ale ty nie powinieneś mi wypominać urody.

– Właśnie – wtrąciła Elizawieta zjadliwie. – Wszyscyśmy tu piękni. Możemy już iść? Czy mam wyjąć swoje lustreczko, żeby wasza dwójka mogła się popodziwiać jeszcze trochę? – Zwróciła się do wampira. – Mam nadzieję, że w tym apartamencie jest odpowiednia liczba łazienek? Nie znoszę się dzielić – łypnęła z rozbawieniem na Adama – łazienką.

Sługus Bonaraty skinął potakująco, lecz nie poświęcił uwagi Elizawiecie, co było błędem, którego wkrótce mógł pożałować. Warto było pamiętać, że wiedźma posiadała moc zdolną zmusić nawet Szarych Panów do odwrotu. Zamiast patrzeć na kogoś, przy kim trzeba się było modlić, żeby chciał jedynie zabić, krwiopijca wgapiał się w drugiego pilota, który dość skutecznie starał się być niezauważalny.

– To wilkołak – oznajmił sługus Bonaraty, jakby właśnie dokonał tego odkrycia.

Harris zmarszczył brwi.

– Powiedziano mi, że będę miał w samolocie wampiry. Poza mną w firmie jest pięciu pracowników, którzy mogą latać ze Stanów do Europy. Czwororo to ludzie, zabrałem więc wilkołaka. Nie należy do watahy dorzecza Kolumbii. Wyjaśniliśmy to sobie z panem

Hauptmanem. – Zwrócił swój mars do Adama.

– Otrzymałem zapewnienie, że mogę zabrać pilota i drugiego pilota – rzekł Adam chłodno. – Nie zostało sprecyzowane, do jakiego gatunku mają należeć.

Wampir znów się wyłączył. Kiedy wrócił, język jego ciała zmienił się diametralnie, a bestia mieszkająca w sercu Adama nagle podniosła łeb, czujna. Adam nie miał pewności, kto wyziera teraz z oczu sługusa, lecz miał całkiem trafne podejrzenia. Jedno wiedział na sto procent, nie był to już ten wampir, z którym rozmawiał do tej pory.

– Ty jesteś Charles Cornick? – zwrócił się wampir do mężczyzny stojącego za Harrisem.

Wilkołakowi opadła szczęka.

– Och nie, proszę pana – odpowiedział drżącym głosem, zderzając się barkiem z ramieniem goblina.

Równie dobrze mógł oznajmić: „Jestem ofiarą!” największemu drapieżnikowi w Europie. Adam widział, jak żądza ataku wsącza się w ciała wszystkich znajdujących się w pobliżu wampirów – łącznie ze Stefanem i Marsilią.

Adam przymknął oczy i potarł palcami nasadę nosa, czując, jak przygniata go ciężar dodatkowej odpowiedzialności. Miał obowiązek chronić swoich ludzi, a oni robili wszystko, żeby dać się zabić. Niektórzy dlatego, że sam ich o to poprosił. Jedyne jasne punkciki w tym całym bajzlu stanowił fakt, że Mercy udało się zbiec – Bonarata nie miał jej w swoich łapskach.

Drugi pilot Harrisa nie przestawał paplać, w powietrzu rozszedł się zapach jego paniki.

– Widział pan kiedyś Charlesa? To trzymetrowy bydlak i jest rdzennym Amerykaninem. Czy ja wyglądam na Indianina?

– Zostaw go w spokoju, Bonarata – powiedział Adam. – To nie karma dla ciebie. On jest... – Adam spojrzał na trzęsącego się wilkołaka bez sympatii i westchnął. – On jest pod moją ochroną.

– A mówiłeś chyba, że nie należy do twoich wilków – zauważył wampir.

– Nie należy do mojej watahy, ale biorąc udział w tej podróży, nadstawia dla mnie karku. A to znaczy, że jest mój i że go chronię.

Marionetka Bonaraty odwróciła się do Adama.

– Wybacz więc – powiedział Bonarata ustami sługusa. – Wystawiłeś na próbę moje opanowanie, rozczarowałeś mnie bardzo. Byłem przekonany, że zabierzesz ze sobą ten sławetny wilkołaczy postrach. Z niecierpliwością czekałem na spotkanie z nim.

– Owszem, proponowałem mu to – odparł Adam zimno. – Ale Marrok się nie zgodził. Charles jest świetnym pogromcą... potworów, że tak powiem, a Marrok najwyraźniej sądził, że zabranie go tutaj, gdzie jest

cała horda potworów do gromienia, to fatalny pomysł. Może tak właśnie uważa? A może uważa, że ta sprawa to tylko mój problem, a nie jego, i nie chciał ryzykować utraty Charlesa? A może nie bardzo spieszy mu się do bólu głowy, o jaki przyprawiałaby go próżnia w Europie po twojej śmierci z rąk Charlesa? Zrobiłby się z tego pewnie tak samo wielki bałagan, jak po śmierci Jeana Chastela, Bestii z Gévaudan.

– To nie Charles przecież zabił Bestię – zaprotestował Bonarata, lecz bez przekonania, jakby wiedział, że to, co mówi Adam, jest faktem.

Hauptman wzruszył ramionami.

– Nie było mnie przy tym, kiedy Chastel zginął.

Ale Charles owszem, a wieść niosła uparcie, że to syn Marroka położył kres życiu starego wroga. Tak jakby jego reputacji potrzebne było dokładanie śmierci, do których się nie przyczynił. Jednak to, czy Bestia padła z rąk Charlesa, czy też nie, nie było teraz najważniejsze. Adam wyciągnął ten temat tylko dla przypomnienia Bonaracie, że nawet prastare potężne potwory mogą umrzeć.

– Panie – odezwał się ktoś cicho. Głos należał do wampira, który brał udział w porwaniu Mercy. – Prosiłeś, żebym ci przypomniiał, jeśli będziesz blisko zrobienia krzywdy jednemu z twoich.

Bonarata, nadal kontrolując sługę, przytaknął.

– *Grazie*, Ignatio. Hauptman, nie mogę się doczekać, aż spotkamy się osobiście. Moi ludzie odeskortują cię do mojego domu.

Wampir zachwiał się, opadł na kolana i zaczął telepać się jak w napadzie padaczki. Na znak Ignatia – Adam zapamiętał sobie imię na przyszłość – dwa wampiry podeszły i podniosły osłabłego towarzysza. Ignatio skłonił głowę.

– Proszę za mną.

Kiedy ruszyli w stronę samochodów stojących tuż przy pasie lądowiska, Adam zbliżył się do Ignatia i siedł za jego plecami, po prawej stronie.

– Twój zapach był w samochodzie mojej żony, razem z jej krwią – mruknął, choć wszyscy mogli go usłyszeć. Odkrył jednak kiedyś, że szept może być bardziej złowieszczy niż krzyk.

Wilk chciał zabić wampira, lecz Adam rozumiał, co to znaczy być żołnierzem i wykonywać rozkazy. Mimo to...

– Będę o tym pamiętał – obiecał.

– Wataha też nie zapomni – dodała Honey.



Rozdział 6

Mercy

Od tego momentu czasu akcji mojej i Adama opowieści się rozmijają. Ten rozdział zaczyna się późnym popołudniem nazajutrz, zanim jeszcze Adam wylądował w Mediolanie. Śpię sobie z twarzą na kawiarnianym stoliku. Cóż mogę powiedzieć – cała ja, chodząca dystynkcja.

Kiedy się obudziłam, okazało się, że policzek przykleił mi się do blatu, bo pociłam się (i prawdopodobnie śliniłam) przez sen. Nie oderwałam go od razu, bo nade mną stał wilkołak, a ja nadal tkwiłam w półśnie, w którym pomykałam na trollu po Cable Bridge, ścierając się z praskim golemem, a duchy topielców-wampirów wspinały się po moście, prosząc zawodząco o żelkowe fasolki.

Potrzebowałam chwili, żeby stanąć oko w oko z rzeczywistym wilkołakiem. Rozumiałam trolla i golema, ale nie mogłam dojść, dlaczego te wampiry chcą akurat żelków.

– Wiem, że już nie śpisz, Mercedes Hauptman – zawarczał cichy tenor, zmysłowo artykułując samogłoski, charakterystycznie dla języków słowiańskich. Czeskie akcentowanie różniło się od rosyjskiego, z którym byłam obznajomiona, było bardziej gardłowe, dźwięczniejsze.

Westchnęłam, wyprostowałam się, przetoczyłam głowę po ramionach, a potem poruszałam barkami, żeby rozluźnić mięśnie.

– Teraz nigdy się już nie dowiem, dlatego to były żelkowe fasolki – powiedziałam.

– Fasolki?

Wzięłam głęboki oddech.

– Coś mi się śniło – odparłam i przyjrzałam się dokładnie Liborowi

z Pragi, Alfie, który miał jakiś tajemniczy zatarg z Marrokiem.

Pachniał wilkołakiem, masłem, drożdżami i białkami jaj. I troszkę tym owocowym nadzieniem wypieków, którymi nakarmił mnie wcześniej. Zapach był słodki i bogaty – jak zapach żelkowych fasolek.

Nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałam – w każdym razie nie tak, jak wyobraziłam go sobie jako dziecko. Na szczęście dla niego.

Miał włosy w tonacji średniego brązu, obcięte niemal brutalnie krótko. Ogolił się gładko, ale tak jak u Adama, jego policzki i brodę pokrywał już po południu cień zarostu.

Libor, Alfa Pragi, okazał się wielkim facetem, choć może nie tak wysokim, co masywnym. Było w nim coś bardziej lwiego niż wilczego. Twarz miał średnio atrakcyjną, nie piękną i nie brzydką, rysy znamionowały siłę i inteligencję. Przypominał mi na pierwszy rzut oka Bonarata w tym, że patrząc na niego, ludzie spodziewaliby się brutalności i rzyzykanctwa, całkiem pomijając mądrość.

Jednak Bonarata był zimny aż do szpiku kości. Każda krztyna ciepła, które w nim dostrzegłam, to tylko iluzja stworzona przez tego mistrza manipulacji.

Kojot podsunął mi, że o Liborze można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest zimny. Uśmiechnął się, kiedy spojrzałam mu w oczy i podtrzymałam kontakt wzrokowy. Był to uśmiech oczekiwania, że odwrócę spojrzenie i pozwolę mu dominować. Czekало go jednak rozczarowanie, bo po tych kilku paskudnych dniach miałam serdecznie dość bezradności i zagubienia. Minęła minuta. Dwie.

– Stąpasz po kruchym lodzie, mały wilczku – powiedział łagodnie.

– Wybacz – odpowiedziałam nieszczerze, nie spuszcając z Libora oczu. Jedną z fajniejszych cech mojego kojota jest to, że pojedynki woli nie są dla mnie problemem. Mogę gapić się na wszystkich, oprócz Marroka. Libor nie był moim Alfą i nie zamierzałam się poddać.

Po chwili mój mózg wreszcie zastartował.

Gapienie się na wilkołaka było idiotycznym pomysłem. A przecież całe życie próbowałam nie być większą idiotką, niż to konieczne.

Po kilka sekundach, w których trakcie przyznałam przed sobą, że właśnie zrażam do siebie osobę, od której zamierzam uzyskać pomoc, i że mojej głupocie nie ma końca, dodałam:

– Staram się być na tyle silna, żeby warto było zwrócić na mnie uwagę, i na tyle grzeczna, żeby nie sprowokować walki. Jak mi idzie?

Przestał się uśmiechać, na szczęście, bo ten uśmiech nabierał już ostrości na brzegach, a potem zmrużył oczy. Poczulałam, jak jego moc gniewnie we mnie uderza.

– Jak już mówiłem – jego ton był pełen swobody, ale oczy już nie – to niebezpieczne. Powinnaś mieć na uwadze, jak jestem... rozemocjonowany? Tak, to odpowiednie słowo. Jak jestem

rozemocjonowany wizytą córki Brana na moim terytorium. Z którego to faktu jestem niezmiernie zadowolony.

Nie wyglądał na kogoś zadowolonego. Wyglądał na wygłodniałego wilka, któremu mignął właśnie zraniony jelen. Zadowolenie to mdłe określenie na tego rodzaju emocję.

Musiałam się zastanowić, jak mu odpowiedzieć.

Groźenie śmiercią – a to właśnie Libor uczynił, nawet jeśli nie wprost – należało potraktować tak lekko, jak to możliwe. Zauważyłam, że jeśli przykładałam do tego typu gróźb zbyt wielką wagę, sprawy przyjmują jeszcze gorszy obrót.

Byłam zmęczona, zbyt długo zwlekałam z zaprzeczeniem, że Bran wcale nie traktował mnie jak córki nawet przed tym, zanim odciął się ode mnie i mojej watahy z powodów politycznych. Nasze stado jako jedyne w Ameryce Północnej nie było powiązane z Marrokiem. Odstawaliśmy jak wielki bolący kciuk i pewnego dnia, zapewne niedługo, ktoś się tym zainteresuje i zechce sprawdzić, co się stanie, kiedy w nas uderzy – czego nie śmiałyby uczynić w wypadku watahy należącej do Marroka.

Nabrałam powietrza do płuc. Czyżbym źle odczytała intencje Bonaraty? Czy właśnie to robił? Czyżby moje uprowadzenie nie miało nic wspólnego z Marsilią?

Ale Bonarata mieszkał we Włoszech, a ja siedziałam właśnie naprzeciwko wilkołaka i to na nim powinnam się skupiać, a nie na fantazjach pod tytułem „dlaczego wielki zły wampir mnie porwał”.

Zaprzepaściłam szansę oświadczenia, że nie obchodzę Brana. Zresztą Libor pewnie i tak by w to nie uwierzył, bo w zasadzie byłam jedyną osobą, która w to wierzyła. Bran nie odstawił nas dlatego, że przestał mnie kochać, wybrał po prostu Większe Dobro, przedłożył ponad nas swoją większą miłość – przetrwanie wilkołaków.

Tak. A wracając do groźenia mi śmiercią...

Libor prawdopodobnie nie zamierzał mnie zabijać, dopóki go do tego nie sprowokuję. Po pierwsze, wysłał mnie do niego Charles. Choć Charles utrzymywał, że nie jest najlepszym psychologiem, nie przeszkadzało mu to całkiem celnie oceniać ludzi. Po drugie, co ważniejsze, nie byłam jeszcze martwa. Alfy nie są typami przeżywającymi rozterki.

Zdałam sobie sprawę, że wpatruję się we własne palce, którymi stukalam o blat. Zadumana spuściłam oczy. Nie zrobiłam tego dlatego, że mnie zastraszył – przynajmniej tak nie sądziłam. Cóż, jeśli się już decyduje na pojedynki spojrzeń z dominującym wilkiem, pewnie trzeba się do tego porządniej przyłożyć.

– Słyszałam, że ty i Bran nie rozmawiacie ze sobą – zaczęłam. – Więc... już byś mnie dawno zabił, ale chcesz wcześniej zaspokoić swoją

ciekawość – zaryzykowałam. Nie boję się dużego złego wilka, proszę pana, o nie. – Chcesz wiedzieć, co tu robię sama, na twoim terytorium i dlaczego wspomniałam o Władcy Nocy? – Wzruszyłam ramionami. – Bo inaczej już bym była trupem, a nie kimś, kogo się karmi, a potem daje się spokojnie zdrzemnąć.

Libor rozparł się wygodnie na krześle, które zatrzeszczało niebezpiecznie, ale milczał.

– Jestem tu z powodu Bonaraty – powiedziałam beznamiętnie. – Porwał mnie niedaleko mojego domu w Ameryce. Najwyraźniej uległ mylnemu wrażeniu, że jestem najpotężniejszą nadnaturalną istotą na terytorium jego porzuconej kochanki i jedynej prawdziwej miłości. Myślę, że przypomniał sobie o niej, kiedy ostatnie wydarzenia w Tri-Cities sprawiły, że nasze miasto pojawiło się w krajowych i międzynarodowych wiadomościach. A kiedy już sobie przypomniał o tej swojej miłości, to postanowił się do niej zbliżyć, uprowadzając mnie. – To była moja aktualnie najlepsza teoria. A może był to cios wymierzony w Brana albo w watahę. Lecz instynkt podpowiadał mi tę pierwszą wersję. Skinęłam do siebie, ponieważ Libor nadal nic nie mówił, i podjęłam: – Tak, ja też uważam, że to głupie. Ale nie jestem wiecznie młodym wampirem, więc staram się być wyrozumiała.

– A jesteś? – zapytał.

– Czym jestem?

– Najpotężniejszą nadnaturalną istotą w Tri-Cities?

– Przemieniam się w kojota. To moja supermoc. Sam sobie odpowiedz.

Pytanie zadał w sarkastycznym tonie, lecz moja odpowiedź sprawiła, że wyprostował się odrobinę jakby... zaintrygowany.

– Całkiem o tym zapomniałem – rzekł z wolna. – I chyba jednak nie odpowiedziałś na moje pytanie. A uważam, że to ciekawe. Czy jesteś najpotężniejszą nadprzyrodzoną istotą w swojej okolicy?

Wzruszyłam ramionami. Czułam się nieswojo, bo nie mogłam go okłamać.

– Może. Niewykluczone. Jednak nie z powodu tego, czym jestem. Raczej z powodu moich powiązań i znajomości. Wychowałam się w stadzie Marroka. Jestem żoną Adama Hauptmana, Alfya stada dorzecza Kolumbii, nie takiego znów byle jakiego Alfya. Mam przyjaciela, pradawnego, z którym nie zadziera nawet Szara Rada. – Nadal szukali jeszcze kawałków jednego z Szarych Panów, który wkurzył Zee. Mój przyjaciel Tad mówił, że w końcu je poznajdą. Kiedyś. – Przyjaźnię się z jednym policjantem-człowiekiem z naszego miejskiego wydziału i z jednym wampirem z lokalnej chmary. – Znów wzruszyłam ramionami. – Tak czy siak, Bonarata doznał wielkiego rozczarowania, bo spodziewał się kogoś... – Nie bardzo wiedziałam, jak to ująć.

– Bardziej potężnego – podsunął Libor.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie, kogoś, kogo siła nie leży w znajomościach, tylko jest wewnętrzną, przyrodzoną mocą. – Machnęłam ręką, wskazując po sobie. – A przynajmniej silniejszego fizycznie. Ostatecznie zaplanował dla mnie ucieczkę, podczas której miałam dogodnie dla niego zginąć, a potem chciał obarczyć mnie winą za własną śmierć. Przy okazji chciał upokorzyć mojego towarzysza, że nie udało mu się mnie ocalić. Tyle że naprawdę udało mi się uciec. Wskoczyłam do autobusu i tak znalazłam się tutaj. Bez grosza. Bez przyjaciół. I bez paszportu.

– Żałosne – podsumował oschle.

Otworzyłam szerzej oczy i potaknęłam, odpowiadając na wesołość w oczach Libora całkowitą szczerością.

– Ach, byłabym zapomniała, do tego zostałam okradziona. Świsnęli mi połowę pieniędzy. Zostało mi jakieś dwieście koron. – Które wcześniej sama ukradłam. Niby pożyczyłam, bo przecież zamierzałam je zwrócić z nawiązką, ale zabranie czegoś bez wiedzy właściciela jest, ujmując wprost, kradzieżą. – Bardziej żalosna chyba nie mogłabym być – podsumowałam uczciwie.

Skrzyżował ramiona na piersiach.

– Masło orzechowe – powiedział.

– Słucham? – Udałam, że nie wiem, o co mu chodzi. Naprawdę? Ta głupia historia dotarła aż tutaj? O święta Petronelo! Gdybym przewidziała, ile się to będzie za mną ciągnąć, wymyśliłabym inny sposób zemsty na Marroku.

– To ty – zaczął – jesteś tą małą kojocicą Brana, która wysmarowała mu krzesło masłem orzechowym, bo doprowadził jej matkę do płaczu.

Matkę zastępczą, ale nie zamierzałam poprawiać Libora. Nie, dopóki nie poznam go lepiej. Albo póki nie będzie chodziło o coś ważniejszego.

Obdarzył mnie wilczym uśmiechem.

– Owinęłaś jego nowy samochód na drzewie. Ludzie nadal opowiadają sobie z podziwem o tej sprawie z czekoladowym króliczkiem wielkanocnym. I mimo to Bran cię nie zabił. Uciekłaś właśnie Władcy Nocy, Panu Mediolanu. I chcesz, żebym wziął cię za żalosną osobkę? – Pochylił się ku mnie. – Wiem o tobie nieco więcej, pani Hauptman, niż ten stary wampir. Ode mnie nie zdołałabyś tak łatwo uciec.

– Ale ty mnie nie uwięziłeś – przypomniałam, starannie pomijając końcówkę „jeszcze”. – Więc nie mam powodu uciekać. Charles powiedział, że mam się zdać na twoją łaskę i poprosić o pomoc, żebym mogła utrzymać się przy życiu i z dala od szponów Bonaraty, dopóki Adam po mnie nie przyjedzie.

– Charles tak powiedział – powtórzył obojętnie.

– No. – Staralam się absolutnie trzymać prawdy. – Tak mi przekazano i w sumie wymiana zdań z przekazującym była z konieczności oszczędna, ale potrafię czytać pomiędzy wierszami. Ja osobiście wolałabym, żebyś mi pomógł wejść szturmem do chmury Pana Mediolanu i wydostać stamtąd mojego męża i grupę ludzi, którą zabrał, żeby wynegocjować moje uwolnienie, które to negocjacje są już niepotrzebne.

– Nie.

Spojrzałam na Libora znacząco.

– Wyglądam ci na głupią? Jestem zmęczona. Żalosna. Owszem. Ale nie głupia. Zazwyczaj, w każdym razie. Nie zamierzam cię prosić, żebyś bił się z wampirami w ich gnieździe, a już na pewno nie z Władcą Nocy. Proszę, z pełnym szacunkiem, o azyl na trzy dni. Charles sugerował chyba, że przyniesie ci to puchar zwycięstwa w rozgrywce z Branem, jeśli dasz mi ochronę, której on nie był w stanie mi zapewnić.

– Jesteś towarzyszką innego Alfya – rzekł, przyglądając mi się groźnie spod półprzymkniętych powiek. – Wdarłaś się na moje terytorium bez uprzednich ustaleń. Już za to samo mógłbym cię zabić.

W sumie myślałam, że etap grożenia mi śmiercią mamy już za sobą. Jednak najwyraźniej się myliłam.

– To prawda – przyznałam. – Ale nie zrobiłam tego celowo, a gdybyś mnie zabił, wyszedłbyś na totalnego drania.

Zaśmiał się.

– Myślisz, że obchodzi mnie, czy wyjdę na totalnego drania? – Posmakował ostatnich słów na języku, jakby nigdy wcześniej ich nie wymawiał. – Naprawdę? – Ale postawa Libora była zrelaksowana. A kiedy zaczynają się śmiać, są już moi. Zazwyczaj.

– Gdybyś chciał mnie zabić, już byś to zrobił.

– Stanowisz zagrożenie dla moich ludzi – stwierdził spokojnie. – Jeśli udzielę ci azylu, a ty zginiesz, Marrok przyjdzie tu i będę musiał patrzeć, jak zabija moich ludzi. Jeśli Bonarata trafi tu za tobą, zrobi, co w jego mocy, żeby pozabijać wszystkich moich ludzi, i nigdy nie da mi spokoju.

– Libor, Libor – rozległ się łajający głosik – jesteś niedobry dla tej milej pani. Przestań już.

Popatrzyłam. Nie mogłam się powstrzymać. Nie słyszałam, żeby ktoś nadchodził, nie czułam po zapachu, żeby ktoś nadchodził, a powinnam, nawet jeśli byłam wykończona.

Spodziewałam się ujrzeć dziecko, zobaczyłam jednak kobietę o jasnoniebieskich oczach i kręconych włosach kilka tonów jaśniejszych niż siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Miała na sobie strój regionalny, autentyczną wersję ubiorów obsługi – białą bluzkę o dekolcie ściągającym sznurkiem, częściowo zakrytą przez bogato haftowany gorset, a do tego wiele cienkich spódnic różnej długości. Jej twarz była wesoła i okrągła,

jak jej figura.

Odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Mój Libor zrobił się marudny. Trzeba mu porządnego posiłku i dobrej żony, zaraz się rozchmurzy.

– Na mnie nie patrz – powiedziałam. – Nie jestem wcale taka młoda, za to bardzo zamężna.

Dokładnie w tej samej chwili uświadomiłam sobie kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, że jej angielski jest nazbyt dobry, mówiła jak rodowita Amerykanka z północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Po drugie, że stoi jakieś półtora metra ode mnie, a ja nadal nie czuję jej zapachu. I po trzecie, że Libor zerknął za siebie, ale jego spojrzenie nie zahaczyło o kobietę, której dłoń spoczywała na jego ramieniu, natomiast kiedy odwrócił się do mnie, jego oczy złościły się obecnością wilka.

– Szlag by to – zaklęłam z uczuciem. Byłam w tym niezła. Bardzo dobra w dostrzeganiu duchów. Myślałam, że już dawno minęły czasy, kiedy mówiłam do różnych ludzi, dopiero potem zdając sobie sprawę, że tylko ja ich widzę. Najwyraźniej jednak nie.

Dziwny golemowy efekt wzmocnienia mojej umiejętności dostrzegania duchów wciąż uprzykrzał mi życie.

– Słyszałam również o tym, że mała kojocica Brana widzi duchy – odezwał się Libor, marszcząc czoło.

Zjawa kobiety za nim uśmiechnęła się i przyglądała włosy Libora, jakby jakiś kosmyk odstawał, co było niemożliwe przy tej długości. Odchyliła się nawet, jakby sprawdzała, czy odpowiednio zadbała o fryzurę wilkołaka, a ja w tym momencie doznałam olśnienia w kwestii tego, co poróżniło Libora i Marroka.

Zack.

Gdyby ta kobieta była mężczyzną, który głodował przez pół roku, bardzo przypominałaby naszego uległego wilka, Zacka. Nie chodziło tylko o zwykłe podobieństwo. Widywałam bliźnięta, które bardziej się różniły.

Zanim Zack przyłączył się do nas, był niespokojnym duchem, wędrowcem, z wyraźnymi objawami traumatycznych przeżyć. Stopniowo wrósł w stado, tracąc większość rezerwy, jaką miał na początku.

Ale Zack nadal żył z myślą, że niedługo, lada dzień znów wyruszy w drogę. Tyle że to „lada dzień” zmieniło wydźwięk, jakby stopniowo wydłużało się z „może jutro” do „w przyszłym tygodniu”, a w końcu stało się punktem w nieokreślonej bliżej przyszłości.

Zack pomieszkiwał z Warrenem i jego partnerem – człowiekiem, Kyle'em. Była to kolejna tymczasowość, która zmieniała się w zakorzenienie. Stado poczuło zadowolenie, że Warren dba o naszego uległego wilka (coś, co było istotne i zaprzętało myśli wilków w sposób,

którego nie rozumiałam, dopóki Adam nie uczynił mnie częścią magicznej siatki stadnej), a opiekuńczość Warrena była wystarczająco subtelna. W przeciwieństwie do innych starych wilkołaków (Zack powiedział mi, że jest nim już od stulecia) Zack nie był homofobem i wydawał się zadowolony z gniazdka, które uwił sobie w domu Warrena i Kyle'a.

Cała wataha stawała na głowie, żeby Zack zadomowił się u nas na stałe, i wstrzymywaliśmy oddechy, licząc, że tego nie zauważy, aż będzie za późno, bo będzie do nas należał już pełną gębą. Uległe wilki to prawdziwy dar dla stada. Miały one zwyczaj wyciszać i eliminować utarczki, które były nieodłącznym elementem życia w gromadzie dominujących osobowości. Uspokajały watahę, wywoływały w ludziach uczucie, że stado to nie tylko konieczność, że dobrze jest być jego częścią. Dzięki uległemu wilkowi szanse na przetrwanie wszystkich członków watahy rosły.

Nie wiedziałam, w jaki sposób Zack stał się kością niezgody pomiędzy Liborem i Marrokiem, lecz gotowa byłam założyć się o wszystkie pieniądze, których chwilowo nie miałam, że to jego osoba leżała u podstaw ich konfliktu. Bo nie ma opcji, żeby ta kobieta, która tak kojarzyła się z Zackiem, nie była z nim spokrewniona.

– Tam jest jakiś duch – stwierdził Libor.

Popatrzyłam na Alfę z westchnieniem.

– Staram się nie zwracać na nie uwagi. Nic dobrego z tego nie wynika.

– Kto to? – zapytał.

Nie mów mu – ostrzegła mnie duszyca, która nadal brzmiała, jakby dorastała w Aspen Creek w Montanie, tak jak ja. Niektóre silniejsze duchy to potrafiły. Komunikowały się z taką mocą, że nie słyszałam żadnych zakłóceń, jakby po śmierci zyskiwały umiejętność porozumiewania się w uniwersalnym języku albo mogły podłączać się bezpośrednio do mojego mózgu, bez mówienia, trudno stwierdzić. Czulałam się przez to strasznie nieswojo. *Bolałoby go, gdyby wiedział, że nadal się nim opiekuję.*

Tak naprawdę wcale tego nie robiła. Nie była już kobietą, którą przypominała, tylko skorupą, jaką zrzuciła, umierając dawno temu, a jej dusza odeszła tam, gdzie odchodzą dusze. Nie miałam pojęcia, dlaczego niektóre duchy pozostawały wyraźne i silne, kiedy większość bledła, ale czasami przyczyną było to, że żyjący przywiązywali zbyt dużą wagę do zmarłych. To jednak nie czyniło z ducha osoby, której oblicze nosił; czyniło to z niego jedynie silniejszego ducha. Widziałam dusze przywiązane do duchów i nigdy nie popełniłabym błędu, biorąc normalnego ducha za prawdziwą osobę. Dusza tej kobiety odeszła już bardzo dawno temu.

Zaczynałam jednak wierzyć, że duchy są swego rodzaju bytami, które

mogą myśleć, planować i działać. Nie żyły naprawdę, ale i nie pozostawały całkiem bierne. To negowało wszystko, co kiedykolwiek słyszałam o duchach, choć z drugiej strony przecież wchodziłam z nimi w silniejsze interakcje niż większość ludzi.

Mimo że duszyca nie była już zmarłą żoną Libora, kiedyś była jej częścią. Znała Libora, postanowiłam więc pójść za jej radą.

– Nie wiem i nie zamierzam o tym rozmawiać, żeby nie dać temu duchowi więcej mocy. One są jak porzucone ubranie, które zostawia po sobie umierający. – Tego przynajmniej byłam jeszcze pewna. – Przepraszam, że oderwałam cię od tego, co ważne. Nie dopuściłabym do tego, gdybym nie była tak zmęczona.

– To moja żona? – zapytał cicho. – Była drobna, ale krągła tam, gdzie kobieta powinna mieć ciało. I miała oczy błękitne jak u wikinga.

– Nie rozmawiam o duchach, które widzę – powtórzyłam. – Nic dobrego z tego nie wynika.

Duch jego żony uśmiechnął się do mnie. *Nie lubi, kiedy ludzie mu się sprzeciwiają. Na twoim miejscu bym uważała.*

Kolejny duch znalazł drogę na podwórko, przyciągnięty uwagą, jakiej starałam się nie poświęcać duchowi żony Libora. Tego trudno było nazwać ładnym. Wilkołak, zmarły od odniesionych ran, jak sądziłam. Gdybym była normalnym człowiekiem, widok ten wstrząsnąłby mną bardziej. Ale jestem po części kojotem i choć może nie zabijam ludzi – ani większej zwierzyny – zjadłam w życiu niejedną mysz polną czy królika. Prześliznęłam po nim wzrokiem.

– To moja żona? – naciskał Libor i tym razem w jego głosie zadźwięczały warkliwe nuty.

– Nie rozmawiam o duchach – podtrzymałam uparcie. – Nie opisuję ich. Nie nazywam imionami. I nie patrzę, jeśli się da.

Znow stoczyliśmy krótką bitwę na spojrzenia. Do ogródka wpłynęły trzy inne duchy, w tym jeden, którego widziałam w piekarni. Wpijałam wzrok w Libora, więc zaskoczyło mnie, że wiedziałam o ich przybyciu. Zazwyczaj potrzebowałam oczu (albo uszu, nosa czy innego normalnego zmysłu), żeby zauważyć ich obecność. Najwyraźniej jednak nie dzisiaj. Głupi golem.

– Słuchaj – spróbowałam jeszcze raz. – Skupianie się na duchach to naprawdę niebezpieczna sprawa. Zaczynają się do ciebie przyczepiać, a potem ciągną w nieodpowiednią stronę. – Przyrodni brat mówił mi, że dla takich jak my, z tą szczególną spuścizną, jest to jeszcze groźniejsze niż dla zwykłych ludzi. Zbyt dużo uwagi wzmacniało duchy i pozwalało im się zakotwiczyć w świecie żywych. A nasza uwaga energetyzowała je jakoś mocniej.

– Jestem bardzo stary, moje dziecko. Jeśli duchy miałyby mnie zabić, uczyłyby to dawno temu. – Libor przyjrzał mi się z zastanowieniem. –

Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, dam ci te twoje trzy dni.

– Mam ci opisać ducha, którego tu widzę? – doprecyzowałam. – Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. A ty w zamian udzielisz mi azylu na trzy dni?

– Tak – oświadczył na wpół poirytowany, na wpół rozbawiony. – Krótka wymiana zdań, opis, może mała rozmowa. Potem moja wataha da ci ochronę na trzy dni. Nie jest to interes życia, ale niech będę stratny.

Że będzie stratny, w to nie wątpiłam. Ale niech będzie. Uczciwie go uprzedziłam, więc to jego problem. Skoro był tak pewien tego, czego chce, postanowiłam mu to dać. Przymknęłam oczy i postarałam się zgromadzić wokół siebie tę moc, której celowo dotknęłam tylko raz czy dwa.

W ogródku na tyłach Liborowej piekarni wałęsało się sporo duchów. Więcej, niż wcześniej wyczuwałam. Kiedy sięgnęłam w ich stronę, miałam wrażenie, że je wdycham – drobiny bólu, lęku, grozy, większość tak słaba, że wyblakła już z resztek osobowości czy spójności.

Otworzywszy oczy, rozejrzałam się. Może zirytował mnie trochę upór Libora w ignorowaniu moich ostrzeżeń, jednak nie chciałam też jeszcze bardziej zasilać swoją mocą kobiety, która nadal go pieściła. Skoro sama z siebie potrafiła dostać się do mojej głowy tak, żeby mówić czystą amerykańszczyzną, była też wystarczająco silna, żeby wpływać na rzeczy w świecie materialnym. Gdybym dodała jej jeszcze więcej sił, to jej mąż, który tu siedział i nadal ją kochał, mógłby się jej nigdy nie pozbyć.

I tak była już przywiązana do Libora. A ludzie mocno połączeni z duchami czasami robili dziwne rzeczy, na przykład wjeżdżali w drzewa, strzelali do siebie albo zapijali się na śmierć. Umarli pragnęli być bliżej żywych.

Dlatego wybrałam kogoś innego.

– Wygląda na ofiarę twojego stada – powiedziałam z nie do końca udawaną niechęcią. Nie chciałam, żeby nawiedzał mnie ktoś taki. – Ubranie ma jak z lat pięćdziesiątych. I miał je na sobie, kiedy umierał, bo jest całe poszarpane i zakrwawione.

Dan – wyszeptał duch boleśnie częścią ust, bo brakowało mu dołu twarzy. *Dan*. Pod moim wzrokiem mgliste zarysy przejrzystego ciała zebrały się, zagęszczając i zestalając.

– Nazywa się Dan...

Danek. Głos ducha wzmocnił się, jakbym wypowiadając jego imię, dodała mu siły.

– *Danek* – powiedział jednocześnie Libor.

W tej samej chwili, kiedy wilkołak to uczynił, duch zmaterializował się, nabierając wyglądu żywego człowieka. Czułam jego zapach, cierpienie i pot. Widziałam splot przesiąkniętego krwią krawata.

Gdybym zobaczyła Dankę na ulicy, rzuciłabym się wzywać pogotowie.

Co ten golem mi zrobił? I dlaczego?

– Danek jest duchem? – zapytał Libor, który najwyraźniej nie odbierał tego wszystkiego tak jak ja, bo kiedy obrócił głowę, nie patrzył we właściwym kierunku.

– Najwyraźniej.

Stary wilkołak roześmiał się niewesoło.

– No jasne. Za życia Danek nigdy sam nie wiedział, gdzie iść, jeśli ktoś mu nie powiedział. To logiczne, że tak samo ma po śmierci.

Omówiłam mu kolejnego wykładu o tym, że duchy nie są osobami, które umarły, ale ugryzłam się w język. Libor należał do tych, którzy lubią tłumaczyć innym, jak działa świat, i nie są skorzy do słuchania ludzi o odmiennym zdaniu.

Wilkołak uśmiechnął się gorzko.

– Danek działał w tutejszym ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej. Do jego komórki należało paru ludzi z watahy, a reszta ich wspierała. Dopiero później, po wojnie, dowiedzieliśmy, że Danek pracował na dwa fronty. To on powiedział nazistom, że spiskowcy planujący zamach na Reinharda Heydricha są z Lidic. To nie była prawda i Niemcy też o tym wiedzieli, a mimo to mu zapłacili. Wiesz, co się stało z tą wioską, z Lidicami?

Tak się składało, że wiedziałam. Pisałam pracę zaliczeniową o zamachu na Reinharda Heydricha, do którego doszło w Pradze w 1942 roku. Heydrich przeżył próbę zabójstwa i gdyby nie obstawał, że mogą go operować jedynie niemieccy lekarze, może by przeżył. Z drugiej strony, pewnie słusznie się obawiał. Gdybym była czeskim chirurgiem, dopilnowałabym, żeby ten potwór się wykrwawił. Przy nim Hitler wyglądał jak zwycięzca konkursu na humanitarystę roku. Odrażający typ. Koniec końców Heydrich umarł. Podobnie jak mieszkańcy Lidic.

– Naziści z miejsca rozstrzelali wszystkich mężczyzn powyżej piętnastego roku życia – podjął Libor, nie czekając na moją odpowiedź. – Wybrali garść dzieci pasujących do typu aryjskiej urody, żeby wychować je na dobrych Niemców. Resztę kobiet i dzieci wysłali do obozów koncentracyjnych. Zabili wszystkie zwierzęta w wiosce. Splądrowali ją, łącznie z tym, że przetrząsnęli cmentarz i obrabowali trupy ze złotych zębów i biżuterii. Potem spalili domy. Ale jeszcze im było mało, więc wysadzili resztki w powietrze. Potem zaorali ziemię i obsiali. Zmienili trasy dróg prowadzących do wioski i bieg strumienia, który przez nią przepływał. Kiedy skończyli, nie było śladu, że Lidice kiedykolwiek tam istniały.

Carthago delenda est – powiedział duch tuż przed tym, zanim zrobił to Libor.

– Rzymianie, niszcząc Kartaginę, zrównali ją z ziemią tak, że nie

został kamień na kamieniu – ciągnął praski Alfa. – Lidice miały być wielowymiarową wiadomością od nazistów. Po pierwsze, skierowaną do narodów okupowanych, że wszelkie zamachy będą surowo karane, a kara nie spadnie tylko na bezpośrednich spiskowców, lecz także ich rodziny. Po drugie, do Niemców, że Heydrich został odpowiednio pomszczony i że to Czesi, a nie Hitler, zorganizowali zamach. Heydrich przygotowywał się, albo też był przygotowywany, stanowiska w tej sprawie nie są jednolite, aby przejąć władzę w Trzeciej Rzeszy. W przeciwieństwie do Hitlera był wysokim blondynem o atletycznej budowie i był inteligentny. Ideał prawdziwego Niemca, a tym Hitler poszczycić się nie mógł.

Pytali mnie, czy zabiliśmy Heydricha – powiedział duch Danki. Jak mogłem przyznać się nazistom? Zabiliby mnie, mimo że dla nich pracowałem. Za to, że ich nie ostrzegłem. Gdybym nikogo nie oskarżył, zaczęliby coś podejrzać. Dlatego dałem im coś innego. Plotkę, która niosła, że zamachowcy ukrywają się w małej wiosce, w Lidicach. Nie potrzebowali prawdziwego zabójcy, skoro mieli już kogo ukarać. Lidice nie zostały zniszczone przez kłamstwo. Nie przez moje. Nie do końca. Zostały zniszczone, żebyśmy dalej mogli walczyć z Niemcami. I zwyciężyliśmy. Pokonaliśmy ich. Postąpiłem słusznie. Dla Pragi. Dla ruchu oporu.

Inne duchy, włącznie z kobietą, która sądząc po wyglądzie i zachowaniu, była żoną Libora, odsunęły się od Danki, jakby było w nim coś odstręczającego. Odpływały jakby od niechcenia, znikwały w ścianach, aż pod koniec usprawiedliwiającej przemowy Danki pozostał w ogródku tylko jeden duch, sam Danek.

Wiele wysiłku kosztowało mnie zachowanie fasady spokoju. Nigdy nie robiłam czegoś podobnego. Byłam pewna, że powinnam posłuchać rady brata, a nie poddawać się złości wywołanej przez naciski Libora.

– Zabiliśmy Dankę, natychmiast gdy dowiedzieliśmy się, że zdradził. Dobrze wiedział, co zrobią Niemcy, a mimo to podsunął im przypadkowy cel, byle oddalić od siebie zagrożenie. Wioskę na tyle małą, żeby ją zmieścić z powierzchni ziemi, bo właśnie to Hitler chciał dostać.

Potwory – powiedział mi Danek do ucha. Chyba podskoczyłam, bo nie znajdował się wtedy blisko mnie. Współpracowałem z potworami i nawet o tym nie wiedziałem. Myślałem, że to naziści są potworami, i strasznie się ich bałem. Ależ się myliłem.

– Tak bardzo bał się Niemców, że wydał im całą wioskę – powiedział Libor. – O, oczywiście wziął też za to pieniądze. Ale zrobił to głównie dlatego, żeby chronić własną skórę. Nie dowiedzielibyśmy się o tym, gdyby nie zaczął spotykać się z jedną z moich wilkołaczyc i gdyby jej o tym nie nakłamał.

Wypowiedzi Libora i ducha były takie podobne, że zaczęłam się zastanawiać, czy duch nie wpływa jakoś na praskiego Alfę, mimo że ten nie mógł go słyszeć.

– Zresztą nie tylko Lidice wydał Niemcom – ciągnął Libor. – Sprzedał też paru ze swojej własnej komórki. Jednym z nich był nasz łącznik, dziesięcioletni chłopiec.

Nie wydałem nikogo ważnego – bronił się Danek. Tylko paru nic nieznaczących działaczy, żeby przekonać Niemców, że dla nich pracuję. Żeby mnie nie zabili. Ale bałem się nie tych potworów, co trzeba.

– Był tchórzem – stwierdził Libor. – Ale bał się nie tych potworów, co trzeba.

Wojna się skończyła. Wygraliśmy. Zwyciężyła moja strona. A oni mnie zabili. I tak zginąłem. To niesprawiedliwe. Nie zrobili mi nawet normalnego pogrzebu. Nie mam nagrobka. Nie było żałobników.

– Miał zbyt lekką śmierć. Ale wojna już się skończyła, minęło tyle czasu, że nie mogliśmy porzucić ciała. Dlatego zakopaliśmy je tutaj. – Libor wskazał kąt podwórka. – Leży pod brukiem, pod tym zielonym stolikiem.

– Ach tak – skomentowałam. Efekt tej podwójnej narracji wydał mi się upiorny.

– Danek jest tu jedynym duchem?

Udałam, że rozglądam się bacznie.

– Tak. Jest jedynym duchem w tym ogrodzie.

Danek zacisnął dłoń na oparciu krzesła stojącego przy zielonym stoliku. Z jego palców wypełził mróz, ale szybko stopniał. Nie zostawił po sobie wilgoci, więc może nie był to mróz, tylko jakiś inny osad. Nigdy nie widziałam czegoś takiego u ducha.

– Dobrze, więc daję ci azyl, który ci obiecałem – oświadczył Libor z wawo.

– Dziękuję – powiedziałam, nie spuszczać wzroku z Danki. – I daj znać, jak już się zmęczysz tym duchem. Zobaczę, czy będę mogła coś z tym zrobić.

– Z czym? – zdziwił się Libor.

– Mówiłam ci przecież, że niemądrze jest poświęcać duchom zbyt dużo uwagi. A szczególnie, jeśli ja to robię.

Krzesło, które trzymał Danek, przewróciło się na ziemię. Libor drgnął i popatrzył w jego stronę.

– Wątpię, by Danek należał do tych miłutkich duchów, które pomagają odnaleźć zguby i poprzestają na nieco głośniejszym zamykaniu drzwi. Damy mu parę tygodni, może sam zblednie. A jeśli nie, zobaczymy, czy będę mogła pomóc.

Liczyłam, że za parę tygodni będę już dawno w domu. A to by oznaczało, że muszę tu znów przyjechać. Mogłabym zabrać Adama

i z nim zwiedzić porządnie Pragę. Przynajmniej jeśli przetrwamy tę całą aferę.



Gorąca woda i pachnące mydło wydatnie poprawiły mi nastrój. Nie zmieniły tego, że utknęłam w Pradze bez dokumentów i pieniędzy, ale byłam przynajmniej czysta i mogłam się przebrać w niekradzione ciuchy. No i miałam łóżko, w którym mogłam się bezpiecznie przespać.

Strój, który dostałam, był typowym, jak się okazało, wilkołaczym kompletem, jak świat długi i szeroki – spodnie dresowe plus koszulka bokserka, nieco bardziej przy ciele niż te, których używało nasze stado, lecz na tyle elastyczna, żeby pasowała na różne sylwetki, i męskie, i kobiece.

Dostałam mały pokoik na szczycie schodów, nieco oddalony od reszty mieszkania nad piekarnią. Nadal był jeszcze dzień i otaczali mnie obcy – w tym jeden na mnie zły, pomimo świadomości, że przecież uprzedzałam go kilka razy, iż spełnienie jego zachcianki jest kiepskim pomysłem. Mimo to zasnęłam, zanim przyłożyłam głowę do poduszki.

Ocknęłam się w ciemności, bo ktoś delikatnie gładził mnie po policzku. Odsunęłam się od dotyku, zakrywając kocem głowę.

– Zostaw mnie – zażądałam z mocą.

A potem zdałam sobie sprawę, że jestem w pokoju sama, i byłam także wtedy, gdy czułam dotyk na policzku.

Żywiłam nadzieję, że to tylko pozostałości po spotkaniu z golemem, które uczyniło ze mnie magnes na praskie duchy. Jeszcze bardziej liczyłam na to, że to chwilowy efekt i wkrótce zniknie.

Poczułam wyrzuty sumienia.

Starałam się zazwyczaj nie wydawać duchom rozkazów, chyba że w ostateczności, bo nie mogły mnie nie posłuchać, szczególnie jeśli naprawdę skupiałam wolę. I nie zrobiłabym tego teraz, gdybym nie była zaspana. Ale stało się, jak się stało, i duch zniknął.

Prawdopodobnie chciał mnie ostrzec, bo parę minut później otworzyły się drzwi pokoiku. Byłam już na nogach, próbowałam znaleźć broń, której oczywiście nie było, nie do końca świadoma, gdzie jestem, kiedy w progu stanął całkiem mi obcy wilkołak.

– Zbieraj się – burknął.

Był szczupły i krępy jak gimnastyk. W garniturze w ogóle nie byłoby widać jego masy mięśniowej, ale obcisły T-shirt i dżinsy mocno uwydatniały atletyczne kształty. Przypominał trochę tamtego wilkołaka, który mnie gonił aż do ogródka przyjaznej mastiffki. Mogli być nawet spokrewnieni. Należał do tego typu mężczyzn, którzy wyglądają jak

nastolatki, dopóki nie zaczną siwieć, co w przypadku wilkołaków nie następowało nigdy. Zastanowiłam się przelotnie, czy już nauczył się to wykorzystywać.

Wychowując się w stadzie Brana, szybko zrozumiałam, że nie należy oceniać siły po powierzchowności. Marrok w ogóle nie wyglądał na kogoś, kto trzyma wodze tysięcy wilkołaków, gotowych dla niego ponieść śmierć. Przypominał raczej dostarczyciela pizzy albo chłopaka ze stacji benzynowej – aż do momentu, kiedy przestawał ich przypominać.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Libor kazał ci przekazać, że przyszły wampiry i wypytują o ciebie bardzo stanowczo. Musimy cię przenieść. Zabierz rzeczy, pójdziesz ze mną. – Brzmiał jak rodowity Brytyjczyk, ale nie musiał nim być. Zdążyłam zauważyć, że Europejczycy uczyli się raczej brytyjskiego angielskiego, a nie amerykańskiej odmiany.

Odwrociłam się do nocnego stolika i zdałam sobie sprawę, że moje ubranie jest w praniu. Wzulałam szybko pożyczone buty na bose stopy i podniosłam plecaczek z resztką pieniędzy i niedziałającym czytnikiem.

– Jestem gotowa – oznajmiłam.

Danek czekał na nas u podnóża schodów, wskazując w odwrotną stronę, niż kierował się mój przewodnik. Zawahałam się. Duchy, podobnie jak pradawni, nie kłamały. Były do tego stopnia dosłowne, że należało uważać, wierząc, w co mówiły. Danek mógł równie dobrze wskazywać drogę ucieczki, jak i wroga.

Zanim zdążyłam go o to dopytać, pojawiła się żona Libora i pokazała w tę samą stronę.

Powiedz, żeby wyprowadził cię przez kuchnię. Wampiry obstawiły pozostałe przejścia.

– Duchy mówią, że wampiry czekają przy normalnych wyjściach i żebyś wyprowadził mnie przez kuchnię – oznajmiłam.

Zdębiał.

– Im bliżej mnie poznajesz, tym robi się dziwniej – zacytowałam napis z koszulki, którą dostałam na ostatnie urodziny.

Jego nozdrza zafalowały, rozejrzał się nieco spłoszonym spojrzeniem, usiłując chyba dojrzeć te duchy. Danek oparł się o stół i szurnął go po posadzce. Wilkołak podskoczył.

Wywróciłam oczyma (nauczyłam się tej miny od mojej nastoletniej pasierbicy). Czasami tylko w ten sposób mogłam wyrazić opinię. Naprawdę? Wilkołak, który boi się duchów?

Wyminęłam go, ruszając w stronę, którą wskazywała żona Libora, przez pokój i dalej ciemnym korytarzem.

– Myślałem, że duchy to tylko echa po nieżyjących – powiedział wilkołak, wyprzedzając mnie i już zdecydowanie prowadząc znaną

sobie drogą.

– Bo tak jest. Nie zawsze. Zazwyczaj. – Powiedział prawie to samo, co ja Liborowi, więc domyśliłam się, że usłyszał to od Alfy. Dobrze, że Libor zrobił swoim ludziom pogadankę o duchach, bo choć jego żona była stosunkowo łagodna, obawiałam się, że obecność Danki może stać się problematyczna.

– To dlaczego ostrzegają nas przed czymś, co dzieje się teraz? – zapytał.

Podłoga nagle uskakiwała z pięć centymetrów w dół i ostro skręcała w prawo. Parę metrów dalej trzeba było wejść po trzech płaskich stopniach, które w sumie dałoby się pokonać jednym krokiem. Wilk, nie przestając mówić, podtrzymał mnie, żebym się nie potknęła.

– No bo skoro są tylko pozostałością, to raczej powinny pojękiwać i poruszać przedmiotami, a nie ostrzegać nas przed wampirami, nie?

– Niektóre zachowują sporo z wcześniejszej osobowości – wyjaśniłam, choć sama dokładnie z tych samych powodów rozmyślałam nad naturą duchów. Wszystko idzie dobrze i gładko, odpędza się je, jakby były... niczym, dopóki nagle jeden nie zostawia wiadomości, a inny nie próbuje pomóc ocalić życia. Wilkołakowi odpowiedziałam na podstawie tego, co sama wiedziałam. – Te, które żywią silną niechęć, i te, które są do kogoś przywiązane, wydają się posiadać większą niezależność, niż zakładałam.

Kuchnia okazała się ogromna, a zasadzie było ich dwie. Pierwsza wyglądała nowocześnie, pełna piekarników, różnych powierzchni gastronomicznych i wielkich mikserów, większych ode mnie, których misy stały na podłodze. Wszystko było nieskazitelnie czyste.

Za przepierzeniem zaopatrzonym w szerokie przejście znajdowała druga, jakby wyjęta wprost ze średniowiecza. Pod najdalszą ścianą stało gigantyczne palenisko z rożnem, a obok półki z metalowymi garnkami przypominającymi kociołki, do których czarownice wrzucały oczy traszek i ogony węzów. Jedną ze ścian zasłaniał w całości ogromny piec chlebowy z rzędami równo rozmieszczonych kwadratowych otworów o ponadpółmetrowych bokach.

Mój przewodnik potruchtął prosto do ostatniego otworu i wlażł przezeń do środka. Kiedy podążyłam za nim, okazało się, że wnętrze pieca jest jak osobne pomieszczenie. Przy jednej ze ścian zamontowana była metalowa drabinka, po której wilkołak już się wspinał. Wdrapałam się za nim jakieś dwa piętra wyżej, wychodząc na dach budynku.

Wilkołak przestał gadać i poruszał się bardzo cicho, więc poszłam za jego przykładem. Lawirowaliśmy pomiędzy kominami piekarni, a kiedy dotarliśmy na kraniec dachu, przeskoczyliśmy na sąsiadujący budynek. Posuwaliśmy się tak jakieś kilkaset metrów, zanim zeszliśmy na ziemię.

Wilkołak, nadal cichy i milczący, utrzymywał równe tempo

niespiesznej przebieżki, jakim pokonywaliśmy dachy, i w ten sposób zawiódł mnie do nowszej dzielnicy. W sumie przebiegliśmy może z dziesięć kilometrów, wystarczająco, żebym pożałowała braku skarpetek. Potem zesliśmy do podziemnego garażu budynku zbudowanego w zeszłym stuleciu. Wilkołak zatrzymał się przy motocyklu, zaczął wsiadać, ale rozmyślił się.

– Bez kasków będziemy za bardzo zwracać na siebie uwagę – wyjaśnił. – Zaczekaj, zaraz wracam.

Dotrzymał słowa, wracając błyskawicznie z dwoma kaskami. Jeden rzucił mnie, a drugi założył na głowę.

Kask nie pasował na mnie za dobrze i nie podobało mi się, jak ogranicza mi pole widzenia, ale nie marudziłam. Kiedy wsiadłam na motocykl, klapnęłam na siodełko z tyłu i przytrzymałam się wilkołaka w pasie.

Ostatnim razem jechałam na motocyklu jako pasażer jeszcze na studiach. Char, moja współlokatorka, miała harleya. Robiliśmy sobie na nim czasem wypadki na łono natury, żeby oderwać się od nauki.

Ta maszyna była o połowę mniejsza od harleya i znacznie cichsza, ale jazda w roli pasażera wilkołaka nie różniła się zbytnio od jazdy z Char.



Rozdział 7

Adam

Mediolańska willa Bonaraty przed świtem, pierwszej nocy, którą spędziłam w Pradze. Właśnie wtedy kulłam się na brzegu Wełtawy, okapywana szczerze wodą przez jakiegoś ducha. A więc ten rozdział zaczyna się, zanim rozpoczął się poprzedni.

Dostali wielki apartament z trzema sypialniami, każda z wielkim małżeńskim łóżem i osobną łazienką. Pomieszczenia, czyste jak łąka, wyglądały jak świeżo po remoncie, ale cały budynek był stary i był świadkiem masy przemocy. Adam wyczuwał delikatną woń strachu i rozkładu oraz żelaziste nuty starej krwi, jakby zapachy te, podobnie jak kamień, drewno i farba, stanowiły nieodłączną część budulca konstrukcji.

Kiedy dotarli na miejsce, tuż za drzwiami czekała już na nich sterta bagaży. Adam doszedł do wniosku, że wieziono ich z lądowiska okrężną drogą, aby bagaże przybyły wcześniej.

– Przebrać się do kolacji? – powtórzył Larry po wyjściu wampira, który ich przyprowadził. – W Mediolanie jest czwarta rano!

– Trudno, żeby wampiry jadały za dnia – zauważyła z przekąsem Marsilia.

– Raczej żeby w ogóle jadały – odpaliła Honey. – Chyba że to my mamy być tą kolacją?

– Ostatni posiłek jada się tu o piątej rano – wyjaśnił Stefan. – Kolacja to określenie na użytek gości. Możecie to równie dobrze uznać za śniadanie. Przychodzą nań goście niewampiry. Będzie świeża krew dla wampirów i dobre jedzenie dla reszty.

Elizawieta chodziła po saloniku, mrużąc coś pod nosem. Kiedy weszła do pierwszej z sypialni, Larry ruszył za nią.

– Zostaw ją samą – zatrzymał go Stefan. – Sprawdź, czy nie użyto tu jakiejś magii. Bonarata ma na usługach kilka wiedźm. Kiedyś miał jedną bardzo dobrą, a plotki mówią, że pracuje dla niego jakiś półpradawny. Taka wiedźma może nam nieźle zaszkodzić, nie łamiąc przy tym praw gościnności. Nie muszę ci chyba mówić, żebyś czyścił szczotkę i palił wyczesane włosy?

– Norma – odmruknął Larry uprzejmie. – Zjadanie obciętych paznokci stóp i takie tam.

Honey wydała dźwięk obrzydzenia i goblin błysnął w jej stronę uśmiechem.

– Zawsze możesz swoje spuszczać w toalecie. Ja tam wolę nie ryzykować. Wiedzmy to suki, jak im pozwolisz, spalą ci gacie, to pewne jak pchły u kota.

Elizawieta znajdowała się w sypialni i mogła nie słyszeć Larry'ego, ale Honey stała tuż obok.

– Ja też jestem suką – zauważyła grzecznitko.

– Jesteś, słonko – zaśmiał się Larry. – Nie bierz do siebie czegoś, co nie było do ciebie.

Niegłupi ten goblin, pomyślał Adam. W tej wymianie zdań chodziło o zaznaczenie granic. Larry ogłaszał wszem wobec, że jest pewny swoich możliwości na tyle, by nie obawiać się obrazić tu każdego.

Dobrze wiedzieć. W innych okolicznościach Adam z pewnością doceniłby taką informację. Podobnie jak w innych okolicznościach doceniłby i byłby pod wrażeniem apartamentu, który im przydzielono.

– Tak tylko mówię, żeby było jasne – podsumowała Honey, ale nie zwracała tak naprawdę uwagi na goblina. Obserwowała kątem oka Adama.

Ich zapoznawcze przekomarzanki drażniły go jak papier ścierny na skórze. Adam podejrzewał, że zanim to wszystko się skończy, będzie marzył o pojedynczym pokoju w hotelu. Albo podwójnym, z Mercy. Sprawdził, jak ktoś z bolącym zębem, czy więź nadal działa. Nie było lepiej. Wiedział, że nie może uzyskać wyraźniejszego połączenia, bo nie wzmacniała jej magia stadna, a Mercy już uciekła z tego miejsca.

Adamowi kończyła się cierpliwość. Jego wilk... w zasadzie nie tylko wilk chciał rozszarpać Bonaracie gardło. Oddalenie od watahy też nie robiło dobrze ani wilkowi, ani bezpieczeństwu ludzi w pokoju.

Honey musiała zdawać sobie z tego sprawę. Nie omijała Adama ostentacyjnie, jednak bardzo uważała, żeby nie spojrzeć mu w oczy i dać wystarczająco dużo przestrzeni osobistej. Jak tak dalej pójdzie, to albo Adam zabije Bonaratę, albo Bonarata jego – a przecież przyjechali tu po to, by temu zapobiec, prawda?

Hauptman po części zastanawiał się, a była to znacznie większa część i wcale nie należała do wilka, dlatego stoi w buduarach wampirzej twierdzy, a nie nad wampirzym trupem albo nie szuka właśnie Mercy.

Odwrócił się gwałtownie do Marsilii, która prowadziła ze Stefanem przyciszoną rozmowę na temat konfiguracji rozlokowania się w apartamencie.

– Powiedz mi, dlaczego pozostawienie Bonaraty w stanie ożywionym przez kolejną godzinę ma sens – zażądał. – I zrób to tak, żebym uwierzył. – On tego nie potrafił, ale może ktoś inny? Bo jeśli nie, to...

Adam nie wiedział, co Marsilia ujrzała w jego twarzy, ale zamarła, i to Stefan odpowiedział na pytanie.

– Iacopo Bonarata to potwór – zaczął. – Robi potworności, a potem sam siebie okłamuje, bo nie chce wierzyć, że wcale nie różni się od księcia żyjącego w dobie renesansu, którym był kiedyś.

– To prawda – przyznała Marsilia nieco smutno. – Nigdy nie był typem bohatera, jak ty, Stefanie, bez względu na to, co nam próbował wmówić.

Stefan podjął, nie spojrzawszy na nią.

– Iacopo Bonarata jest uzależnionym, który szczeni się tym uzależnieniem, bo zapewnia mu to moc. Złamał wilkołaka, na którym żeruje, żeby nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że jego uzależnienie stanowi słabość albo problem dla kogoś innego poza tym biednym wilczyskiem.

Wszyscy, łącznie z Elizawietą, oderwali się od swoich spraw i zaczęli słuchać Stefana.

– Jest potworem – powtórzył Stefan. – I jest w tym bezkonkurencyjny. Jest mistrzem przetrwania. A to dobrze, jeśli chodzi o resztę populacji potworów, które muszą żyć pomiędzy ludźmi, na widoku bądź w ukryciu, a które zrobiły się dużo bardziej niebezpieczne, odkąd europejska społeczność wiedźm została w zasadzie wytrzebiona.

– Głównie w wyniku wewnętrznych konfliktów pomiędzy rodami – wyjaśniła Elizawieta. – Ale i inkwizycja nie zasypiała gruszek w popiele i tępiła zawzięcie pozostałe z pogromu wiedźmy.

Stefan przytaknął jej, a potem wrócił do swojej odprawy.

– Bonarata jest inteligentny, zmyślny, obrzydliwie bogaty i wszystko to wykorzystuje, żeby zapewnić sobie przetrwanie. Ale ponieważ w ocenie Iacopa własne przetrwanie nierozzerwalnie wiąże się z ogólnymi stosunkami panującymi pomiędzy ludźmi i nadprzyrodzonymi drapieżnikami, jest silnym gwarantem równowagi.

Marsilia wyciągnęła rękę i dotknęła Stefana, który umilkł.

– Zabicie go pociągnęłoby za sobą śmierć tysięcy. Nie tylko wampirów, ale wszystkich ludzi, którzy padli ofiarą jego gierki o wpływy i władzę. – Marsilia zawahała się na moment. – Mercy nie

potrzebuje ani nas, Adamie, ani nawet ciebie, żeby ją ratować czy pomścić. Sama się uratowała. I czyniąc to, dała nam możliwość zbudowania mostów, które pomogą utrzymać wszystkie potwory – w tym miejscu skłoniła się szyderczo, unosząc brew – w ryzach.

To była dobra odpowiedź. Adam nie widział jednak, czy wystarczy mu, by przy pierwszej sposobności nie rzucić się Bonaracie do gardła. To, że Mercy zdołała się sama uratować, nie znaczyło, że Bonaracie powinno się odpuścić jej porwanie. Adam wciąż miał przed oczami swój samochód, całą tę krew i rozbite szkło, krew Mercy na skórzanym siedzeniu kierowcy, zerwany naszyjnik, który nosił w kieszeni.

– Omal nie zabił mojej żony – warknął.

– Ale tego nie zrobił – zaznaczył Stefan.

– To za mało – stwierdził Adam. – To niewystarczający powód.

Zapadło milczenie, które przerwał Larry.

– Nie nawykłeś do radzenia sobie z przeciwnikami, którzy są o wiele bardziej niebezpieczni od ciebie – zaczął. – Bez urazy. W przypadku jeden na jednego walka byłaby całkiem wyrównana. Ale Bonarata to nie pojedynczy stary wampir. Jest głową kolektywu krwiopijców, tak jak Marrok jest przywódcą społeczności wilkołaków. I to ten kolektyw liczy się bardziej w aspekcie twojego dzisiejszego wyboru.

Adam spojrział na goblina, który spuścił wzrok, nie zmieniając jednak postawy. Larry się go nie bał. Robił, co tylko w jego mocy, aby uniknąć konfrontacji.

– Tak? – zwrócił się Adam do goblina, który zdawał się czekać na jakąś reakcję ze strony wilkołaka, bo skinął i mówił dalej.

– Bonarata od dawna nie wskazał swojego dziedzica.

– Bo ci, których wskazywał, stawali się zbyt ambitni – mruknęła Marsilia. – Znużyło go zabijanie ulubieńców. Teraz ma oddział przybocznych, z których każdy jest potężny na swój sposób, ale żaden nie jest wice-Bonarata. Nie ma swojego Darryla.

– A więc w przypadku śmierci Bonaraty – odebrał jej pałeczkę Larry – każdy Pan Chmary w Europie i niemała część tych za oceanem uzna, że powinni zająć jego miejsce. Większość popchnie do tego ambicja, bo wampiry, nie wyłączając tu obecnych, są z natury ambitne. Ale będą też i tacy, którzy sięgną po władzę, żeby nie jeść resztek z pańskiego stołu i nie giąć karku przed przywódcą głupszym czy straszniejszym niż Bonarata.

– Wnioski? – burknął Adam.

– Jak sądzisz, jaki będzie ich pierwszy krok w drodze do opuszczonego przez Bonaratę tronu?

– Zabicie głupiego wilkołaka, który zamordował króla – odrzekł Adam powoli.

– Jeśli chodzi o ciebie, może się uda, może nie, ale któryś z pewnością

weźmie na cel swoją watahę i rodzinę, żeby sobie zdobyć imię. Zabicie Bonaraty nie ochroni Mercy. Wystawi ją na niebezpieczeństwo ze strony pretendentów do spuścizny Iacopa, podobnie jak swoją córkę Jesse, resztę swojego stada, chmarę Marsilii i każdego człowieka czy nadprzyrodzoną istotę, która jest z tobą powiązana. Najlepszym sposobem zapewnienia im wszystkim bezpieczeństwa jest przekonanie Bonaraty, że w jego najlepszym interesie jest, aby twoja żona, córka i wszyscy inni w tym pokoju pozostali przy życiu.

Wybrzmiało to wystarczająco prawdziwie dla Adamowej bestii, żeby wziąć to pod rozwagę.

– Też się zgadzam, że najlepsze byłyby rozmowy z Bonaratą – wtrąciła się Honey. – Gdybyś jednak zdecydował się go zabić, to ci pomogę.

– Ja również – zadeklarowała się Elizawieta. – Z przyjemnością, Adamuszka.

Ze wszystkich przedstawionych Adamowi argumentów przemawiających za pozostawieniem starego wampira chodzącego i mówiącego, właśnie te głosy gotowości morderczego wsparcia pozwoliły mu zaczerpnąć pierwszy od momentu wyjścia z samolotu głęboki oddech.

– Bardzo wam dziękuję – zwrócił się do obu kobiet z niekłamaną wdzięcznością – ale Larry ma rację. Bez Marroka i tarczy jego reputacji nasi ludzie staliby się celami.

Bez względu jak bardzo przyjemnie byłoby zabić Bonaratę, nie chciał napuszczać na swoich bliskich hordy wampirów. Larry miał też rację co do tego, że Adam przywykł negocjować z pozycji swojej siły wspomaganej poparciem Marroka. Było to tak nierozłączną częścią wilkołaczego Alfego, że nawet się nad tym nie zastanawiał. Teraz przyszło mu zmienić swoje myślenie.

Wszyscy obecni nadal wpatrywali się w niego bacznie, więc uspokoił ich gestem i zmienił temat, wracając do ustaleń lokalowych.

– Elizawieta dostaje oddzielną sypialnię, Marsilia dostaje oddzielną sypialnię, a Stefan i Larry mogą się bić o ostatnią. Przegrany dostaje kanapę w salonie. Ja i Honey możemy też spać tutaj w wilczych formach.

– Jeśli mamy nadal podtrzymywać pozory naszej małej gierki, powinieneś trzymać swoje rzeczy w mojej sypialni – zauważyła Marsilia. – A Larry może zająć ostatnią sypialnię. Ja i Stefan podzielimy się łóżkiem.

– Zamawiam złoty pokój – oświadczyła Elizawieta spokojnie, zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć wampirzycy. – Marsilio, różowy jest największy. Skoro będziesz go dzieliła ze Stefanem, wasz rzekomy trójkącik powinien zająć największą sypialnię. Niebieski nada się akurat dla króla goblinów.

– Nie mówimy tak o sobie – zaprotestował Larry ozięble. – To był tylko jeden mały filmik. Larry, król goblinów nie brzmi szczególnie dobrze. Niebieski jest super. Dzięki.

Adam skonstatował, że złoty pokój jako jedyny nie sąsiaduje z korytarzem. Gdyby Bonarata postanowił nasłać na nich kogoś przez ścianę, napastnicy mogli się wdrzeć do saloniku, różowej albo niebieskiej sypialni. Może Elizawieta nawet tego nie zauważyła, choć szczerze w to wątpił, bo stara czarownica umiała o sobie zadbać.



Zaprowadzono ich nie do jadalni, a do wielkiego pomieszczenia, które niegdyś było biblioteką. Adam wyczuwał aromat kleju introligatorskiego i skóry, którą oprawiano księgi, oraz cały konglomerat lekko zatęchłej woni bibliotecznej zalegający tu przez wieki, bo papier wchłania zapachy.

Ich wejście było bardziej dramatyczne, niżby Adam sobie życzył, ale wszystko odbyło się poza nim i za późno zorientował się, co się święci. Prawdę mówiąc, nie był do końca pewien, jak i kiedy wdrożono ów teatralny element, ale miał całkiem mocne podejrzenia co do jego reżysera.

W którymś momencie grupowego pochodu korytarzem Marsilia wzięła go pod ramię, najwyraźniej uznając, że skoro nie zaprotestował, nadal będą podtrzymywali tę farsę, że są kochankami. W tym samym czasie zorientował się też, że wszyscy – łącznie z Elizawietą – są dopasowani kolorystycznie strojami.

On sam miał na sobie ulubiony szary garnitur Mercy. Wybrała go dla niego, twierdząc, że Adam kupuje sobie takie garnitury, żeby specjalnie wyglądać mniej atrakcyjnie. Założył go na to spotkanie dla Mercy. Oczywiście nie mogła go widzieć, ale najważniejsze, że on wiedział. Do tego zdecydował się na czarną koszulę i brązowo-srebrny krawat. Mógłby przysiąc, że nikt poza nim nie wiedział, co zapakował, dopóki w tym nie wystąpił.

Mimo to półoficjalna suknia Marsilii była w kolorze srebrnym z brązowym oblamowaniem. Do swojego jasnobrązowego garnituru Stefan dobrał popielatą koszulę i srebrno-czarny krawat. Garnitur Larry'ego był czarno-srebrny ze srebrzystą kamizelką, pod którą goblin założył brązową koszulę i brązowy krawat. Sukienka Honey, ciemnobrązowa, z czarnymi obszyciami, nie była tak wieczorowa, jak ta Marsilii, choć zakrywała jeszcze mniej.

Elizawieta wyłamała się z konwencji, spowijając się w samą czerń. Zazwyczaj nosiła się jak rosyjska babuszka z bajek wychowana przez

Cyganów – dużo spódnic, chust i jaskrawej biżuterii.

Mercy powiedziała kiedyś Adamowi, że jej zdaniem Elizawieta była niegdyś piękną kobietą, nie po prostu atrakcyjną, tylko piękną na światową miarę. W tej chwili zrozumiał, co miała wtedy na myśli.

Adam nie interesował się modą jako formą sztuki, ale wiedział, jak wykorzystać styl w świecie biznesu jako broń przeciw kobietom i mężczyznom, którzy siłę oceniali po bogactwie. To oznaczało, że był zorientowany w modzie męskiej, lecz nie przywiązywał wagi do strojów damskich, poza tym, że zauważał, które wyglądały dobrze na Mercy, a które nie, co w jej oczach czyniło z niego modowego ignoranta.

Nie żeby kobiety w świecie biznesu nie posługiwały się aparycją jako bronią, jednak Adam, ponieważ po prostu nie oceniał nikogo po bogactwie stroju, mógł modę damską swobodnie ignorować, jako nieniosącą dla niego żadnego zagrożenia. Jednak to właśnie nieobeznanie sprawiło, że nie potrafił znaleźć słów na określenie ubioru Elizawiety.

Na pewno było jedwabne – znał tę tkaninę, znał jej specyficzny zapach i szelest, jaki wydawała, trąc o siebie. Było też czarne i świetnie skrojone, a Elizawieta nosiła je stylowo. Nie pasowało również do żadnej nazwy garderoby, jakie znał – suknia, spodnie, garnitur.

Od góry przypominało długą, skrojoną na miarę bluzkę sięgającą kolan, wykończoną czarnym, opalizującym haftem. Pod bluzką była wąska spódnica, rozcięta do połowy uda, by umożliwić stawianie kroków. Elizawieta szła na bosaka, ze znanych tylko sobie powodów, prawdopodobnie związanych z magią. Miała piękne stopy, wypielęgowane, o wypolerowanych, pomalowanych mieniącym się srebrzystym lakierem paznokciach.

Elizawieta była stara, chyba tak stara, jak Adam, a w przeciwieństwie do wilkołaków więdźmy starzały się jak zwykli ludzie. Jednak Elizawieta miała świetną figurę, same mięśnie, żadnego zbędnego tłuszczu. Zawsze wiedział, że jest silna, bo zwracał uwagę, jak się poruszała. Nie wiedział jednak, że ma tak piękne ciało. Zazwyczaj ograniczała się do pudru, tym razem jednak zrobiła pełny makijaż i wyglądała świetnie. Nie ubrała się tak, by się odmłodzić – nie musiała niczego udawać. Wyglądała dokładnie na taką, jaką była – piękną i śmiertelnie niebezpieczną.

Jedynie piloci idący z tyłu odstawali kolorystycznie od reszty. Obaj mieli na sobie uniformy, w jakich siedzieli za sterami – czarne spodnie, białe koszule i zielone krawaty – ale Adam wiedział, że to świeże zestawy na zmianę. Tak czy owak, nie pasowali strojami do pozostałych.

Na obiad prowadziła ich wampirzyca w smokingu, która prawdopodobnie myślała, że obsługa samolotu będzie jadła w kuchni, z resztą służących ludzi, lecz Adam wyprowadził ją z błędu.

Harris ryzykował o wiele bardziej, niż on i Adam początkowo

zakładali, kiedy wampiry nie pozwoliły im pozostać w samolocie. Dlatego Adam nie zamierzał pozwolić, żeby goblin i wilkołak włóczyli się bez ochrony po chmarze Bonaraty. Zdecydował, że będą jedli z nimi, bezpieczniejsi, o ile nie całkiem bezpieczni.

Wampirzyca napisała SMS-a i dostała zgodę na „dodatki do kolacji”, jak to ujęła, co Larry skomentował uśmiechem i kłapnięciem zębami za plecami przewodniczki.

Te ustalenia okołokolacyjne rozproszyły Adama tak, że wspólny motyw kolorystyczny dostrzegł dopiero w drodze na miejsce. Za późno, by mógł zawrócić i przebrać się w niebieski garnitur.

Nie był całkowicie pewien, czy ta koordynacja barw nie jest przypadkowa, ale instynkt (oraz krztyna poczucia winy w oczach Honey) podpowiedziały mu, że całe to przedstawienie zostało zaplanowane za jego plecami – łącznie z tym, jak Marsilia kleiła mu się do ramienia.

Taki dramatyzm pasował do wampirów, a w każdym razie do Marsilii. Adam był żołnierzem, którego, jak dobre buty, można było wypastować i nadać poloru, jednak w głębi duszy wolał być bronią niż dziełem sztuki.

Już drugi raz Marsilia zmieniła kierunek działania, nie konsultując z nim tego. A skoro tak chciała pogrywać, Adam uznał, że może robić to samo.

Koniec końców, ich wielkie wejście zostało zrujnowane, bo w pomieszczeniu, do którego ich zaprowadzono, nikogo nie było. Ich przewodniczka wymamrotała, że mają poczekać tu na Bonaratę, ukloniła się i wyszła.

Adam potoczył ponurym wzrokiem po swoich towarzyszach.

Pierwszy złamał się Stefan – prawdopodobnie dlatego, że wszystko to go bawiło.

– Mówiłem, że to kiepski pomysł z tymi kolorami – zwrócił się do Marsilii.

– Nie tutaj – syknął Adam, choć przewodniczka już zniknęła. Jego gniew przycichł, choć nie ze względu na przeprosiny Stefana. Jeśli Bonarata przywłaszczył sobie prawo wielkiego wejścia, cały wysiłek ubraniowy poszedł na marne. Uznał, że to kara godna przewiny.

A skoro już musieli czekać, Adam postanowił się rozejrzeć.

Jakiś czas temu, w ostatnim dziesięcioleciu, pomieszczenie zostało rozprute, naszpikowane elektrycznością i poskładane z użyciem tynków gipsowych i drewna. Były tylko dwa okna, prawdopodobnie ze względu na ograniczenie dostępu światła i płowienia książek, kiedy pokój służył za bibliotekę.

Dobry architekt zrobił, co mógł, żeby pomimo nowoczesnego oświetlenia, kratki wentylacyjnych i energooszczędnych okien

biblioteka wyglądała jak sprzed wieków. Środek był prawie pusty, pod ścianami zaś stały krzesła, a w rogu sekretarzyk.

Wątek przewodni wystroju tego pomieszczenia stanowiło malarstwo. Na ścianach w trzech rzędach wisiały obrazy olejne różnych formatów, pochodzące z wielu okresów. Wszystkie oryginalne i na przeciętnie wykształcone oko Adama, całkiem dobre. Jeden czy dwa nawet wybitne. Brakowało sygnatur i żadnego z nich Adam nie rozpoznał, co go zaskoczyło. Zdawałoby się, że ktoś o reputacji Bonaraty chciałby podkreślić swój status malowidłami znanych artystów.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, skąd zna modelkę z portretu, przy którym przystanął. Marsilia, z ocienionymi oczyma, kuciała z wdziękiem na skale przy strumieniu. Długie włosy, dłuższe, niż Adam widział u niej kiedykolwiek, nie zakrywały jej nagości. W ręce swobodnie trzymała sztylet.

Widząc ten słynny w pewnych kręgach obraz, Hauptman zrozumiał, że galeria ta podkreślała status Bonaraty wręcz dosadnie. Wszystkie zebrane tu dzieła wykonał sam gospodarz.

Otworzyły się drzwi – inne niż te, którymi zostali wprowadzeni – i do biblioteki wszedł sam Bonarata.

Adam nie spotkał go wcześniej osobiście, lecz widział parę szkiców, a jeden jego portret (możliwe, że autoportret) wisiał w siedzibie chmary Marsilii. Nawet jeśli dzięki temu nie byłby w stanie wyłowić Władcy Nocy z tłumu, wystarczyło, żeby rozpoznać go we wchodzącym.

Podobnie jak reszta mężczyzn w towarzystwie, poza pilotami, wampir miał na sobie garnitur. Największa różnica pomiędzy strojem Bonaraty i Adama polegała na tym, że ubranie tego pierwszego podkreślało brutalność zaznaczającą się w rysach wampira. Nie wyglądało źle, po prostu robiło wrażenie skrojonego tak, by uwydatnić wojowniczość, groźność noszącego.

Ubiór Adama, który przydawał mu ogłady, raczej to ukrywał i takie też było zamierzenie.

Pan wampirów uklonił się lekko Adamowi.

– Jestem Bonarata. Miałem cię już okazję spotkać poprzez mojego sługę, ale ty nie spotkałeś mnie.

Adam przedstawił ceremonialnie swoich ludzi, łącznie z Marsilią i Stefanem. Oba wampiry Bonarata pozdrowił uprzejmym skinieniem, jakby byli obcy. Dla bezpieczeństwa Adam ustawił pilotów w środku szeregu, żeby nie pozostawić cienia wątpliwości, że należą do jego ludzi. Nie przedstawił ich z imienia, co podkreślało ich przynależność do kręgu chronionych przez Adama towarzyszy. Wmieszanie ich w grupę łamało też motyw kolorystyczny, co bardzo mu odpowiadało.

Przez cały ten czas on i Bonarata taksowali się spojrzeniami.

– Twoja żona nie pozostaje już pod moją opieką – oświadczył Władca

Nocy, postanawiając najwyraźniej przyjąć strategię bezpośredniej szczerości.

Adam czekał uprzejmie na ciąg dalszy. W każdym razie miał nadzieję, że jego twarz zachowuje pozory uprzejmości.

– Mam wrażenie, że opacznie zrozumiała moje intencje – dodał wampir z lekkim uśmieszkiem. – Inaczej by stąd nie uciekła. Nawet nie miałem okazji, żeby powiedzieć jej o twoim przyjeździe.

Może jednak nie tak do końca bezpośredniej szczerości.

– Czyżby? Opacznie zrozumiała, że wjechałeś w jej samochód ciężarówką, prawie ją zabiłeś i na dodatek porwałeś?

– Adamie – odezwała się Marsilia, wzmacniając boleśnie uścisk na jego ramieniu.

Kiedy przemówiła, jakieś uczucie przemknęło przez oblicze Władcy Nocy. Marsilia to dostrzegła, Adam poczuł, jak zacisnęła palce, ale nie widział jej twarzy.

– Wiemy, że Mercy tu nie ma – oświadczył Adam i ze starannie obojętnej miny rozmówcy wyczytał, że Bonarata liczył na ich zaskoczenie.

Nie chcąc dać Bonaracie szansy na zapytanie, skąd wiedzą o ucieczce Mercy – nie, dopóki ukochana była całkiem sama – płynnie kontynuował:

– Odzyskanie mojej żony nie jest już powodem naszej wizyty tutaj. Powinniśmy za to porozmawiać o tym, dlaczego w ogóle postanowiłeś ją wprowadzić.

– Miałem nadzieję, że przejdziemy do interesów dopiero po ostatnim posiłku.

– Ach tak – skwitował Adam neutralnie. Nie było to pytanie, jedynie przyjęcie do wiadomości stwierdzenia.

Dobrze, że Larry’emu udało się przekonać go do zachowania rozsądku, zanim wyszli na kolację, bo emocje Adama buchnęły żywym płomieniem i wilk wyjrzał z jego oczu.

Hauptman wziął głęboki oddech.

– Tak postępują cywilizowani ludzie – zauważył Bonarata łagodnie.

– Którymi nie jesteśmy – zripostowała Marsilia filuternie.

Bonarata spojrział na nią ostro, zatrzymując dłużej wzrok na ręce Marsilii i dostrzegając jej kontakt fizyczny z wilkołakiem.

Tym razem Adam rozpoznał uczucie, które przełamało fasadę półuprzejmości gospodarza – zazdrość.

– Dlaczego porwałeś moją żonę? – zapytał stanowczo.

Władca Nocy spojrział mu w oczy i Adam na ułamek chwili poczuł, jak pochłania go spojrzenie wampira. Przeklął się za to w duchu. Przecież wiedział, że tak będzie. Przygotował się do wyzwolenia się spod uroku, czerpiąc moc z więzi z Honey – i Mercy.

I spojrzenie Bonaraty ześliznęło się po wilkołaku bez efektu.

– Dlaczego – powtórzył Adam z łagodnością, pod którą wrzał gniew na wspomnienie samochodu zmasakrowanego przez ciężarówkę – uprowadziłeś moją towarzyszkę.

Cisza zapadła po tym pytaniu aż dźwięczała w uszach.

– Iacopo – przerwała ją w końcu Marsilia, puszczając ramię Adama.

– Jacobie – skorygował ją wampir chłodno.

– Jacobie – poprawiła się, nie przeprasząc – nie zamierzałeś przecież zabić towarzyszki Adama. To byłoby głupie i bezsensowne, a mężczyzna, którego znam od wieków, jest zbyt inteligentny i na jedno, i na drugie.

– Jak również na nabranie się na pochlebstwa – dopowiedział.

Wyrzuciła ręce w górę.

– To nie żadne pochlebstwo, to prawda – kontynuowała, opuściwszy już dłonie. – Jestem pewna, że nie chciałeś jej zabić, więc po co ją zabrałeś?

– Zawiniłeś, Jacobie – mruknął Stefan. – Każdy w tym pomieszczeniu zdaje sobie z tego sprawę, łącznie z tobą. Udawanie jest nielogiczne.

– Niechaj niebiosa strzegą nas przed nielogicznością – burknął Bonarata, a potem odwrócił się do Adama. – Jak wiesz, zasięgnąłem informacji od Wulfe’a. To był błąd i za to przepraszam. Od dawna znam Wulfe’a i wiem, że lubi sprawiać kłopoty, ale myślałem, że zdołałem mu wpoić, że nie należy sprawiać ich mnie. Dopilnuję, by to już nigdy nie miało miejsca.

Marsilia znowu chwyciła Adama za ramię, wbijając mu paznokcie. Jednak Adam nie potrzebował zachęty.

Pokręcił stanowczo głową.

– Wulfe przebywa na moim terytorium. Znajduje się pod moją ochroną. W dodatku wcale cię nie okłamał. Moja towarzyszka jest najpotężniejszą osobą na naszym terenie. – Zatoczył ręką, wskazując towarzyszy. – Sam zobacz, kto jest gotów dla niej zaryzykować życie, a odrzuciłem wiele ofert pomocy. – Nie dał Bonaracie możliwości odniesienia się do tej obrony Wulfe’a, obrony, której Bonarata, jeśli Adam dobrze go rozszyfrował, się spodziewał. Mówił więc, nie pozwalając sobie przerwać. – Dlaczego uprowadziłeś najpotężniejszą, jak się spodziewałeś, osobę w Tri-Cities.

Bonarata przymknął oczy.

– Ta twoja zdobycz terytorialna to ciekawa sprawa, Hauptman. Miejsce, gdzie możemy prowadzić rozmowy z ludźmi, gwarantujące obustronne bezpieczeństwo, to prawdziwa gratka. Ale twierdzenie, że jest twoje albo że jesteś w stanie naprawdę zapewnić tam bezpieczeństwo wszystkim, to zupełnie co innego.

– Zgadza się – zgodził się Adam.

Bonarata podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek czegoś, co pachniało Adamowi jak porto.

– Masz ochotę? Oczywiście alkohol nie ma na mnie wpływu, tak jak i na ciebie, lecz lubię ten smak.

Adam lekko przymrużył oczy, a Marsilia uspokajająco poklepała go po ramieniu. Adam obserwował Władcę Nocy, któremu ten gest nie uszedł. Obserwował, jak wampir wlewa w siebie alkohol. Nie do końca było tak, że alkohol nie działał na wampiry i wilkołaki. Wilkom dawał chwilowego kopa, lecz efekt natychmiast zniknął.

Sherwood Post, wilkołak, którego Bran przysłał do stada Adama, odkrył, że wilkołak jednak może się upić spirytusem rektyfikowanym, jeśli go pije odpowiednio szybko. Pozostawał w takim stanie upojenia przez dwa dni, zanim Bran nie odebrał mu napitku i nie kazał wydorosnąć.

– Nie, dziękuję – odmówił Adam. – Nie doceniałem takich smaków przed Przeistoczeniem i nie widzę powodu, żeby zaczynać teraz. Miałeś mi wyjaśnić, dlaczego porwałeś moją żonę.

Bonarata odstawił pusty kieliszek.

– Tak. Na czym to ja skończyłem?

– Uznałeś, że sprawdzisz, czy potrafimy chronić swoich ludzi – podsunęła Marsilia cicho. – Zapytałeś Wulfe'a, kto z nas jest najsilniejszy, a on, kierując się swoją pokrętną logiką, którą nam przedstawił, odpowiedział ci, że tą osobą jest Mercedes, towarzysza Adama. Dlatego zmiażdżyłeś jej samochód za pomocą ciężarówki, zraniłeś ją śmiertelnie, a potem porwałeś.

– Ale Mercy żyje. – Głos Adama, mimo jego najszczerzych wysiłków, bardziej przypominał warkot niż dźwięki wydawane przez ludzkie gardło. – Choć bardzo się starałeś.

– A tak. Ta legendarna więź partnerska. – Bonarata uśmiechnął się cierpko. – Omal nie umarła, bo Wulfe mnie zwiódł. Skoro jednak nie chcesz, żeby poniósł konsekwencje swego czynu, to widać nie tylko ja padłem ofiarą jego gier. Kiedy moi ludzie zadzwonili i powiedzieli, jaki jest problem, miałem ją tam zostawić. Koniec końców śmierć Mercedes stanowiłaby odpowiedź w kwestii, którą chciałem zgłębić. Okazało się, że nie potrafisz ochronić swoich bliskich.

Adam milczał, cierpliwie obserwując Bonaratę. Jego wilk był przekonany, że wampir nie przetrwa już zbyt długo, bez względu na możliwe konsekwencje jego odejścia. Bonarata ustawiał się frontem do nich i wystawiał na cel. W którymś momencie opanowanie zawiedzie Adama i wilk będzie ucztował.

Bonarata próbował mierzyć się z Adamem na spojrzenia, ale Marsilia prychnęła porytowana i wstąpiła pomiędzy nich, przerywając kontakt wzrokowy. Adam zdał sobie nagle sprawę, że w szpilkach, które

założyła, jest wyższa od nich obu.

– Ale ostatecznie nie zostawiłeś jej na śmierć – zauważyła.

– Nie. – Postawa i głos Bonaraty złagodniały, kiedy zwrócił się do Marsilii. – Bo przecież moim celem było wykorzystanie tego, co stworzyliście, a nie zniszczenie. Nie planowałem jej zabić. Dlatego kazałem ludziom zabrać ją do Portland, gdzie mam wiedźmę na usługach. Zdołała utrzymać Mercedes przy życiu na czas jej podróży tutaj, gdzie moja osobista uzdrowicielka mogła odsunąć od niej widmo śmierci.

Adam podejrzewał, że pauza, jaka nastąpiła po tym oświadczeniu, miała dać mu szansę na podziękowanie, której to szansy nie zamierzał wykorzystać.

– Ja również współpracuję z wiedźmą – stwierdził Adam. – Niezwykle potężną wiedźmą. – Elizawieta mruknęła, zadowolona. – Skoro Mercy była tak ciężko ranna, lepiej było zostawić ją w Tri-Cities, a nie targać na koniec świata.

Zadzwieczyła dzwoneczek.

– O, nasza kolacja – stwierdził Bonarata. – Mój szef kuchni nie toleruje spóźnień. Ostatnio po takim incydencie musiałem mu podwoić pensję, żeby został. Obawiam się, że musimy odłożyć naszą rozmowę, dopóki nie zasiądziemy do waszego posiłku. Dobrze?

Adam skinął uprzejmie na zgodę i przepuścił Marsilię oraz Stefana, którzy podążyli za Bonarata przez jeszcze inne wyjście. Sam zwlekał, żeby znaleźć się na końcu pochodu. Elizawieta, przechodząc, pocałowała go lekko w policzek, zapewne w podziękowaniu za komplement.

Larry i Harris pogrążyli się w rozmowie w języku, którego Adam nie znał, a który brzmiał z germańską nutą. Jakby norweski albo nordycki, a może staroislandzki. Drugi pilot szedł za nimi, przysłuchując się konwersacji najwyraźniej ze zrozumieniem. Honey, która wzięła na siebie rolę ochroniarza drugiego pilota, zrównała się z Hauptmanem.

– Jak on się nazywa? – zapytał Adam, wskazując gestem głowy na człowieka Harrisa.

Został mu on przedstawiony na lotnisku przed wylotem, ale zmagał się wtedy ze swoim wilkiem i co wpadło mu jednym uchem, drugim wypadło – coś, co mu się prawie nie zdarzało. Jednak skoro drugi pilot dołączył do kręgu osób, za które Adam brał odpowiedzialność, należało znać jego imię.

– Matthew Smith – przedstawił się pilot cicho, nie odwracając się do Adama. – Może pan mówić do mnie Matt. – Spojrzał przez ramię i uśmiechnął się nieśmiało do wilkołaków. – Już słyszałem wszystkie żarty na ten temat. Zresztą i tak wolę Toma Bakera.

Honey popatrzyła na Adama skonfundowana.

– Chodzi o „Doktora Who” – wyjaśnił. – Matt Smith grał jedenastego

doktora. Tom Baker był piątym albo szóstym.

– Czwartym – skorygował Harris z uśmiechem. – To ten z szalem.

– „Doktor Who”... – powtórzyła Honey powoli, bo całe stado wiedziało, że Adam nie przepada za telewizją.

– Mercy każe mi to oglądać – bronił się Adam. – Mówi, że to dla mojego dobra. – Matt parsknął cichym śmiechem, Adam zaskoczony uzmysłowił sobie, że sam również się uśmiecha. – Nie wiem, w czym tkwi to dobro, ale serial mi się podoba. – „Doktor Who” okazał się naprawdę niezły, Adam jednak oglądałby i talk-show, a nawet operę mydlaną, jeśli oznaczałoby to, że może siedzieć przez godzinkę z wtuloną w niego Mercy.

Sprawdził więc – Mercy tam była, zbyt daleko, by się z nią skontaktować, ale była. Podobnie jak za każdym z setki razów, kiedy sprawdzał.



Jadalnia znajdowała się za podwójnymi drzwiami. Dobrze oświetlone pomieszczenie z wysokim sufitem przypominało główną salę w niezwykle wykwintnej restauracji. Zamiast jednego długiego stołu po całej przestrzeni porozstawiano w rozmyślnym nieładzie małe stoliki na dwie do sześciu osób.

Jadalnia mogła pomieścić setkę gości, lecz na tym posiłku nie oczekiwano tak wielu uczestników. Liczne czteroosobowe stoliki zostały nakryte różowymi obrusami i niebiesko-białą zastawą. Na każdym talerzu znajdowała się ciemnoróżowa wizytówka. Pierwsza, jaka wpadła Adamowi w oko, dowodziła, że Bonarata sprawdził dokładnie jego ludzi. Widniało na niej imię i nazwisko – Matthew Smith.

Obszedł stolik, odczytując pozostałe wizytówki – Stefan Uccello, Larry Sethaway i Austin Harris.

– Matt, tu masz miejsce – powiedział, starając się nadać głosowi łagodności, bo uległy wilkołak nie zasłużył sobie na ostrość, którą wyzwolił opór Alfego czującego, że ktoś chce mu odebrać watahę. Nie chodziło tylko o to, że Bonarata znał imię Matta, ale przede wszystkim, że otoczył bezbronny wilk ludźmi, których przydzieliliby do niego sam Adam – Stefana ze względu na siłę, Harrisa, bo się znali, i Larry’ego, ponieważ nikt nie poczytywał go za istotę niebezpieczną. Zastanawiałby się, czy zamiast Larry’ego nie dosadzić Honey, ale dwa gobliny prawdopodobnie walczyłyby ramię w ramię znacznie składniej.

Bonarata wyświadczył Adamowi przysługę, a taka impertynencja doprowadzała wilka Adama do szału, bo tego rodzaju decyzje należały do przywódcy gromady. Jego zadaniem było chronienie towarzyszy.

A może tylko przesadzał, bo nadal nie wiedział, gdzie jest Mercy... Pewnie przesadzał.

Drugi pilot usiadł na krześle wskazanym mu przez Hauptmana. Położył rękę na kolanie Adama i zapytał:

– Wszystko w porządku? – tak cicho, że nie mógł słyszeć go nikt poza Alfą.

Ten wilk był jedyną istotą poza Honey, którego Adamowa bestia nie postrzegła jako przekąski ani ewentualnego zagrożenia. Dotyk uspokoił bestię tak, jak nic nie mogłoby tego uczynić w tych okolicznościach. Adam miał zadanie i zadanie to nie polegało na odgrywaniu głupich gier z prastarym wampirem.

Odetchnął głęboko.

– Dziękuję. – Skinął do drugiego wilkołaka głową.

Pilot spuścił wzrok i przygarbił się, jakby próbował stać się jeszcze mniejszy – a nie był wcale duży.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Już bardziej opanowany – choć nie tak jak zazwyczaj i tak miało pozostać, dopóki nie odzyska Mercy całej i zdrowej – Adam poklepał Matta po ramieniu, a kiedy Harris zajął miejsce, zostawił go w dobrych rękach.

Sprawdził, co z Elizawietą i Honey, które posadzono pomiędzy wampirami. Elizawieta brylowała, flirtując swobodnie po rosyjsku, ale reszta grona wyglądała, jakby wolała być gdzie indziej.

Honey ignorowała swoje współbiedniczki – bo tak się składało, że towarzyszące im wampiry również były kobietami. Wpatrywała się demonstracyjnie w stolik, przy którym siedzieli Matthew Smith i Harris. Jej zachowanie wydawałoby się nieuprzejme, gdyby nie fakt, że wampirzyce również ignorowały ją ostentacyjnie. Można by pomyśleć, że wrażliwa Honey jest urażona... Adam uśmiechnął się w duchu – Honey była równie pragmatyczna, co każdy wilkołak

Ocecił pobieżnie, że na sali znajdowało się około sześćdziesięciu osób, nie licząc obsługi. Małe stadko Adama wręcz przygważdżała przewaga przeciwnika. I prawdopodobnie nie przez przypadek. Część gości była ludźmi. Niektórzy czym innym, ludźmi posiadającymi moce, ale niewpisującymi się w powszechnie przyjęte kategorie.

Najbardziej jednak Adama interesowali ci, których nie widział. Bonarata przetrzymywał Lenkę, wilkołaka-niewolnicę. Ale nie tylko tego niewampira miał w swoim arsenale Władca Nocy. Kiedyś pracowała dla niego potężna wiedźma, która chyba gdzieś zniknęła, ale zatrudniał też inne. Jedynymi wilkołakami na sali były te towarzyszące Adamowi, a jedyną wiedźmą – Elizawieta.

Zanim Adam dotarł do stolika Bonaraty, bo założył, że właśnie z nim będzie jadł, reszta już zajęła swoje miejsca. Zajął krzesło naprzeciwko

Władcy Nocy, Marsilię miał po prawej, a po lewej jakiegoś nieznanego wampira.

– Spodobała ci się moja jadalnia? – zapytał Bonarata znacząco. – Długo ją podziwiałeś.

– Lubię zadbać w pierwszej kolejności o moich ludzi – oświadczył Adam ze spokojem zaczerpniętym z dotyku Matta, widoku Honey ignorującej ignorujące ją wampiry i stabilności swojej więzi partnerskiej. Uznał nawet, że stać go na wielkoduszność. – Sala jest elegancka i interesująca.

– Miałaś wyjaśnić, co działo się z Mercy, kiedy ją tu ściągnęłaś – przypomniała gospodarzowi Marsilia.

Bonarata westchnął.

– Nie wiedziałem o niej nic poza tym, że Wulfe twierdził, że jest potężna. Masz rację, nie silna, ale potężna. Dlatego umieściłem ją w bezpiecznym pomieszczeniu poza tym budynkiem, gdzie nie mogli jej zagrozić moi ludzie, ani ona im. Kiedy się ocknęła, odbyliśmy uprzejmą pogawędkę. Myślałem, że wszystko jest w porządku, kiedy musiałem ją opuścić, wezwany pilnymi sprawami. Zostawiłem mojego wilkołaka, żeby jej pilnował. Wtedy już bardziej niepokoiłem się o jej bezpieczeństwo wśród moich niż na odwrót.

Niepokoić się, pomyślał Adam, to takie niekonkretne określenie.

– Kazałaś swojej dojrzałej suce pilnować towarzyszkę Hauptmana – powtórzyła Marsilia autentycznie zagniewana i zwróciła się do Adama. – Wykradł ją Alfie Mediolanu tylko dlatego, że mógł. Kiedy ten się sprzeciwił, Iacopo kazał go tu sprowadzić i torturował, aż złamał oboje. Ale Iacopo...

– Jacob – poprawił ją Bonarata łagodnie. – Jacob jest wygodniejszy w kontaktach z Amerykanami.

– Jacob – ciągnęła Marsilia, nie zająknąwszy się nawet – nie żeruje na samcach. Dlatego kazał zabić Alfę, lecz zatrzymał sobie jego towarzyszkę. Była całkiem szalona, kiedy stąd odchodziłam. Parę wieków z nim pewnie jej nie pomogło.

To wszystko Adam wiedział i Marsilia zdawała sobie z tego sprawę, a skoro więc wyciągała tę sprawę, liczyła widać na reakcję Bonaraty. Ale się jej nie doczekała.

– Gdyby Mercy nie rzuciła się do ucieczki, wilczyca nie rzuciłaby się za nią – wyjaśnił Bonarata spokojnie. Nie zareagował ani też nie zaznaczył, że zauważył atak Marsilii, poza poprawieniem jej w brzmieniu swojego imienia. – Nie mogłaby mi się sprzeciwić. Mercedes była absolutnie bezpieczna, dopóki nie zaczęła uciekać.

Adam zrozumiał, co właśnie usłyszał. Mercy okazała się nie tym, na co liczył Bonarata, więc postanowił się jej pozbyć. Bardzo pragmatyczne podejście, zaiste. Gdyby tylko jedna osoba opowiadała tę historię, nie

byłoby dyskusji co do jej przebiegu.

W tej właśnie chwili podano potrawy. Adam w milczeniu obserwował, jak stawiają przed nim niezwykle wykwintny stek, a tymczasem walczył o utrzymanie w ryzach swojej bestii. Następnie kelnerzy wnieśli na tacach złote puchary i postawili je przed każdym wampirem, na samym końcu obsługując Bonarata.

Gospodarz uniósł kielich.

– Jedzcie i pijcie, przyjaciele. Dziś jest wspaniała noc, jutro będzie jeszcze lepsza. – A potem powiedział coś po włosku. Adam przypuszczał, że powtórzył swoje poprzednie słowa.

Bonarata upił łyk, Adam również, bo nie widział nic złego w toaście za lepsze jutro. Kiedy tylko Bonarata odstawił puchar, wszyscy zaczęli jeść.

Większość sztucców była srebrna, natomiast te leżące przed Adamem złote. Adam spojrzał na Honey, jej sztucce również były złote. Założył, że ta sama uprzejmość została wyświadczona Smithowi. Adam wkroił się w mięso z nadzieją, że robi wrażenie zamyślonemu i nie widać po nim, jak bardzo stara się odzyskać panowanie. Jeśli Mercy nie udałoby się uciec, zastaliby ją po przyjeździe martwą.

– A gdzie ta twoja ulubienica, wilkołaczycy, która miała... pilnować Mercy? – zapytał łagodnie.

Na moment zawisła cisza, a potem odezwał się piękny wampir siedzący obok Adama.

– Wpadła pod autobus, dochodzi do siebie – odpowiedział z nutą rozbawienia w głosie.

I nagle Adam z łatwością odzyskał równowagę.

– Ludzie, którzy wejdą w drogę mojej towarzysze, kiedy próbuje wykaraskać się z jakichś tarapatów, często czują się tak, jakby wpadli pod autobus. Chyba jednak po raz pierwszy los zadziałał z taką dosłownością. – Adam spojrzał na rozmówcę. – Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni?

– To Guccio – zaprezentował wampira Bonarata. – Jest odpowiedzialny za conocne sprawy chmary. Wybacz, że nie przedstawiłem ci go wcześniej.

– Wiele o panu słyszałem, don Hauptman – odezwał się przystojniaczek.

Adam już otwierał usta, żeby powiedzieć, że nie nazywa się „Don”, ale Bonarata go uprzedził.

– Signore Hauptman jest młodym wilkiem, nawet nie stuletnim. – Potem spojrzał na Adama. – Don to tradycyjny tytuł grzecznościowy, Guccio użył go w tym sensie.

Wyjaśnienie, choć potrzebne, zostało wygłoszone z protekcyjną nutą.

– Autobus – mruknęła Marsilia. – Żadnego z moich ludzi Mercy nigdy nie potraktowała autobusem. Ciekawe, czy to oznaka szacunku, czy może przeciwnie. Nie opłaca się lekceważyć Mercy, Jacobie, szybko się tego musiałam nauczyć. Wygłosiła do ciebie przemowę o tym, jak to nie ma w sobie więcej mocy niż przeciętny człowiek? Od czasu do czasu lubi to powtarzać. Jest tym bardziej przekonująca, że ona sama chyba w to wierzy.

Bonarata spojrział na Marsilię, marszcząc brwi.

– Jest słaba – rzekł. – Łatwo ją zranić, łatwo zabić.

Potem przeniósł swoje marsowe spojrzenie na Adama.

– Nie możesz pozwolić sobie na słabą towarzyszkę, jeśli chcesz zdobyć władzę. Zabaweczka może być słabeuszką, bo zawsze można ją zmienić. Ale partnerka musi być atutem.

Mercy słaba? – pomyślał Adam.

– A jednak Mercy tu nie ma – stwierdził chłodno – a ta twoja wilkołaczycza, którą na nią nasłałeś, liże swoje rany.

– Powiem ci coś, Jacobie. – Marsilia nieco mocniej akcentowała zangielszczone imię wampira, niż było to konieczne. – Wielu już ludzi, potworów i innych istot próbowało zabić Mercedes Thompson Hauptman i większość zginęła. Mercedes nie jest ani bezbronna, ani słaba.

– Wcale nie próbowałem jej zabić – zaprzeczył Bonarata.

Adam popatrzył na wampira z niedowierzaniem. Bardzo wyraźnie usłyszał kłamstwo. Czyżby Bonarata nie wiedział, że wilkołaki wychwytyują fałsz? Chwilowo Adam nie mógł zaufać sobie na tyle, żeby się odezwać.

– Wcale tego nie powiedziałam – rzekła Marsilia wymijająco. – Ani tego, że ja próbowałam. Ale widziałam Mercedes w akcji. Twoja wilkołaczycza ma szczęście, że to był tylko autobus.

– Wiesz, gdzie jest teraz? – zapytał Adam Bonaratę. – Zakładam, że próbowałaś ją odnaleźć.

W samolocie Marsilia oświadczyła, że Władca Nocy nie spocznie, póki nie znajdzie Mercy. Obnażyła jego niekompetencję, a jego ego nie pozwoliłoby, żeby uszło jej to na sucho.

Bonarata rozłożył ręce, wzdychając z żalu.

– Oczywiście, moi ludzie nie przestają jej szukać. Wygląda na to, że opuściła Włochy, prawdopodobnie pojechała autokarem. Wyśledziliśmy ją do dworca w Austrii, gdzie prawdopodobnie się przesiadła do innego albo całkiem zmieniła środek lokomocji. Mam informacje, które mogą świadczyć, że znajduje się obecnie w Pradze albo w Berlinie, może w Monachium.

– Kogo za nią wysłałeś? – zapytała Marsilia.

– Nie znasz ich. Ale to dobrzy tropiciele. Znajdą ją i sprowadzą

z powrotem.

– Nieprecyzyjne informacje skłoniły cię do podjęcia działań, w wyniku których uprowadziłeś moją żonę – rzekł Adam powoli. – Pozwól więc, że udzielię ci takich, które oszczędzą ci popełnienia większego błędu.

– Tak? – zainteresował się Bonarata.

– Mercy została wychowana przez Brana.

– Tak, wiem, że dorastała w jego watasze – przyznał Bonarata. – Mieszkała z rodzicami zastępczymi, z których jedno było wilkołakiem. – Uśmiechnął się. – Tak, masz rację. To wszystko zaczęło się od tego, że nie posiadałem wystarczających informacji. Już to nadrobiłem.

– Doskonale – stwierdził Adam. – Więc wiesz już, że jeśli mojej żonie coś się stanie, nie spocznę, póki nie znikniesz z powierzchni ziemi. Wiem, że cię to nie przeraża, a powinno. Bo nie wiesz jeszcze tego, że Bran myśli tak samo. A tylko głupiec nie bałby się Brana.

– Bran odciął twoje stado – oświadczył Bonarata.

Adam przechylił głowę.

– Widzisz? Znowu masz błędne informacje, tak jak sądziłem. To prawda, lecz tylko po części. To kwestia polityczna. Rodzina jednak to co innego. Bran nie mógłby kochać Mercy bardziej, niż gdyby była jego rodzoną córką. A ma osobliwy stosunek do rodziny. Kiedyś jego matka próbowała skrzywdzić jedno z jego dzieci. Ta historia jest nadal żywa. Słyszałeś o Beowulfie?

Po szczególnie obojętnej minie wampira dało się poznać, jak dobrze zdawał sobie sprawę, że wątek szaleństwa Brana, którego matka wiedźma usiłowała zmusić do wyrządzenia krzywdy własnemu synowi, Samuelowi, został wpleciony w legendę o Beowulfie.

– Bran jest pragmatykiem – ciągnął Adam. – Fanatycznie dąży do celu, którym jest przetrwanie wilkołaków. Poświęci w imię tego niemalże wszystko. Wierzy, że poświęciłby nawet obu swych synów, oni również w to wierzą. Ale okazuje się, że kiedy wydaje się to konieczne, sprawy przyjmują inny obrót. A Bran nie jest nawet w części tak opiekuńczy wobec swoich synów, jak wobec Mercy. Powinieneś mnie posłuchać, bo to absolutna prawda. – Przeżuł kolejny kęs steku, opierając się chęci spojrzenia Władcy Nocy w oczy, bo magia Mercy już raz go ocaliła, a nawet u samej Mercy działała nie za każdym razem. – Jeśli Mercy zginie przez ciebie, nie ma na świecie tak głębokiej dziury, w której mógłbyś się przed nim schować.

– Jeśli Bran wystąpi otwarcie przeciwko mnie, rozpęta wojnę pomiędzy wampirami i wilkołakami – stwierdził Bonarata.

– Nie będzie się na to oglądał – oświadczył Adam z pełnym przekonaniem. Nie każdy wampir umiał odróżnić kłamstwo od prawdy, lecz wampir w wieku Bonaraty z pewnością to potrafił. – Później,

owszem, będzie się tym przejmował. Może weźmie pod uwagę, że nie chciałeś jej śmierci. Ale to później. Nie prowokuj go.



Rozdział 8

Mercy

I znów uciekam przed wampirami. Niezmiennie. Naprzód ja!

Nie miałam zegarka, a ponieważ była noc, nie mogłam określić czasu po położeniu słońca. Zdawało mi się, że nasza motocyklowa przejażdżka trwa niecałą godzinę, jednak nie miałam możliwości, by stwierdzić to z całą pewnością. Szybko oddalaliśmy się od Pragi, jadąc przez wiejskie tereny, gdzie droga wiodła przez kolejne miasteczka.

Skręciliśmy z głównej drogi i, minąwszy nowoczesny most o niebieskich balustradach, wjechaliśmy w labirynt uliczek w następnym miasteczku. Minęliśmy zamek – wyglądało na to, że w Republice Czeskiej każde porządne miasteczko musi mieć swój zamek.

W Tri-Cities nie ma zamków. Do tej pory jakoś nie odczuwałam ich braku.

Mój wilkołaczy anioł stróż zwolnił i potelepaliliśmy się przez senną dzielnicę mieszkaniową. Gdyby to było w Stanach, opisałabym ją jako sypialnię Pragi, ale pamiętając o zamku, wahałam się stosować nazewnictwo Nowego Świata do miejsc w Starym Świecie.

Niektóre budynki były w stylu starych Czech, inne bardzo nowoczesne. Minęliśmy dwa osiedla z blokami, skręciliśmy ostro za drugim i znaleźliśmy się w okolicy, gdzie po jednej stronie ulicy ciągnął się szereg domków z wielkimi ogrodami i zadrzewionymi terenami przydomowymi, druga zaś otwierała się na wielką przestrzeń. Było trochę za ciemno, więc nie widziałam dobrze, wydawało mi się, że to pastwiska. Jednak równie dobrze mogły tam rosnać jakieś zboża – nie

dość, że było ciemno, to jeszcze nie jestem rolnikiem.

Zatrzymaliśmy się na podjeździe wielkiego dworzyszczka, które mogło być świetnie zachowanym czterystuletnim budynkiem, jak i dwudziestoletnią stylizacją – miałam kłopot, żeby to stwierdzić w środku nocy.

Kierowca wilkołak prawie nie zwolnił, przejeżdżając obok dekoracyjnego dworu, basenu, stajni, i zatrzymaliśmy się przy małym domku, który mógł być niegdyś powozownią. W przeciwieństwie do głównego budynku, który był rzęsiście oświetlony od zewnątrz, natomiast w środku ciemny, w małym nie świeciły się lampy zewnętrzne – we wszystkich wykręcono żarówki.

Pomruk silnika zamarł, wilkołak zdjął kask i spuścił stopy na ziemię. Uznając to za zaproszenie, zeskoczyłam z siodełka, zdjęłam swój kask i oddałam wilkowi.

Czułam i słyszałam znajdujące się opodal konie – leniwe chlastanie ogonów i sporadyczne rzenie. Konie, jako potencjalna zwierzyna, nie zapadały na długo w głęboki sen.

W zagrodzie sąsiadującej z domkiem ktoś urządzał ogród. Ogrodnik oczywiście o tej porze nie pracował, ale całość została wprawnie ścięta kosą, a siano złożone na kupce, prawdopodobnie miało posłużyć jako karma dla koni. Darń pocięto i częściowo zrolowano, odkrywając ciemną, żyzną glebę. Obok w tekturowym pudle czekały torebki z nasionami i siatkowate worki z bulwami.

Wiedziałam, że trawę zżęto kosą, bo narzędzie stało oparte o płot. A że wprawnie, bo sama kiedyś za karę – chyba po incydencie z królikiem wielkanocnym – musiałam skosić mały kawałek pastwiska. Mój skrawek w niczym nie przypominał równiutko przystrzyżonej trawki w zagrodzie.

Podczas gdy ja rozglądałam się po okolicy, mój towarzysz zapukał cicho do drzwi domku. Po chwili uchyliły się i w progu stanęła kobieta ubrana tylko w białą męską koszulę. Powiedziała coś po czesku wyraźnie poirytowana, choć nie podniosła głosu. Miała ciemne włosy, przycięte asymetrycznie na boba, która to fryzura podkreślała jej kości policzkowe.

Wilkołak odpowiedział coś pojednawczo, ale nie uległ. Kobieta też była wilkołakiem, towarzyszką członka stada, jak oceniłam po języku jej ciała. Prawie równa statusem mojemu kierowcy. O ile poprawnie odczytywałam sygnały.

– Jesteś Angielką? – zwróciła się do mnie.

– Amerykanką.

– To co tu robisz? I dlaczego ścigają cię wampiry? – Mówiła płynnie po angielsku, jakby często używała tego języka. Ale wymowę miała typowo słowiańską.

Ze znużeniem przetarłam twarz.

– Zostałam wplątana w ciemne wampirze sprawy – wyjaśniłam.

Ze złością wyrzuciła ręce w górę.

– Wszystkie wampirze sprawy są ciemne. Co to za ciemność?

– Władca Nocy staranował mnie samochodem, porwał z Waszyngtonu, tego stanu w Stanach Zjednoczonych, i przywiózł do Mediolanu. Uciekłam goła, wsiadłam do jakiegoś autobusu, potem następnego i trafiłam do Pragi. Tego rodzaju ciemność.

– Nie jesteś wilkołakiem – stwierdziła podejrzliwie. – A mimo to Libor ci pomaga?

Mężczyzna, który mnie przywiózł, powiedział coś, co sprawiło, że mars kobiety się jeszcze pogłębił. A w każdym razie stał się surowszy.

– Przestań, Martin, to niegrzeczne. Mów po angielsku – zbeształa go. – Dlaczego ci pomagamy? – zapytała mnie.

Czyli mój obrońca miał na imię Martin.

– Jestem towarzyszką Alfya dorzecza Kolumbii – wyjaśniłam.

Kobieta gapiła się na mnie przez moment.

– Jesteś przybraną córką Brana Cornicka? – zdumiała się.

Przytaknęłam ostrożnie, nie spuszczać z niej oczu, bo jej reakcja wydała mi się nieco dziwna.

– Spodziewałaś się, że będę ładniejsza? – zapytałam. – Mądrzejsza? Wyższa?

Zawiało, zaszeleściły trawy i wiatr przyniósł do mnie jej zapach. Oprócz tego, że była wilkołaczką, kobieta niedawno używała kasku, w którym tu przyjechałam. Po ciężkim zapachu ziemi i świeżo skoszonej trawy poznałam, że to ona przemienia padok w ogród.

– Hm – skwitowała po chwili milczenia, które zaczęło się robić niezręczne. – Więc to ty musisz być tą Mercedes zwaną Mercy. Jestem Jitka. – Podała mi też nazwisko, ale dźwięki miały mało wspólnego z angielskimi, więc nie zrozumiałam.

Spojrzałam na młodzieńca, który zaśmiał się lekko.

– No tak – przyznał. – Okoliczności nie sprzyjały uprzejmościom. Jestem Martin Zajíc, Drugi Libora. A Jitka jest...

– ...podrzedną kobietą – weszła mu w słowo z warkliwą nutką. – Ale po pierwszej wojnie światowej Libor powiedział, że głupio postępuję, nie biorąc sobie towarzysza i pozostając najniżej w hierarchii. Najwyraźniej byłam bystrzejsza i bardziej zawzięta niż reszta w stadzie. Postawił mnie za Martinem, jako Trzecią. Uznałam, że to do przyjęcia. Tych, którzy mieli coś przeciwko, pogrzebałam własnymi pazurami.

– Pavel nie umarł – zauważył Martin z uśmiechem.

– Albo uwiodłam – przyznała spokojnie. Nie była szczególnie piękna, ale nie była też niepiękna. Robiła wrażenie łagodnej, ciepłej i silnej. Seksownej kobiety. Wyglądała na taką, która potrafi pocieszyć

w potrzebie, lecz też mocno ściągnąć wodze, kiedy należało. – Pavel to porządny facet, który musiał sobie parę spraw przemyśleć. Nie on jeden. – Spojrzała na Martina. – Pójdę się ubrać. Potem możecie wejść, to omówimy, co się wydarzyło i co trzeba zrobić.

Zostawiła nas, nagle znikając we wnętrzu domu.

Martin chciał coś powiedzieć, rozmyślił się, a potem zaśmiał.

– Miałem zamiar cię ostrzec, jak każdego, żebyś nie lekceważyła naszej Jitki. Od urodzenia zjada facetów na śniadanie. Ale w sumie to chyba sama wiesz, jak to jest.

– Jak być niemeńczyzną? – zapytałam.

– Jak być osobą zazwyczaj niedocenianą – doprecyzował. – Libor uważa, że go przechytrzyłaś. Jesteśmy... towarzyszami w stadzie już bardzo długo. Libor nie dąsa się jak dziecko, nie pokazuje tego po sobie. Ale kiedy nie dostaje tego, czego chce, dąsa się wewnątrz. Jeśli komuś uda się ograć Libora, ma...

– Szczęście? – odpowiedziałam.

Znów się uśmiechnął.

– Szczęście może zadziałać raz. Albo w przypadku Libora, albo Iacopa Bonaraty. Ale nie w przypadku obu, raz za razem.

– Nie boisz się wymawiać jego imienia na głos? – zdziwiłam się. Marsilia chyba miała z tym problem. Ilekroć mówiła o Władcy Nocy z imienia i nazwiska, słyszałam w jej głosie nuty oporu. – Poza tym nie jesteś na bieżąco. Chyba zmienił imię z Iacopo na Jacob.

Większość nieśmiertelnych z upływem czasu zmieniała imiona. Myślałam zawsze, że to po to, by ludzie nie odkryli, ile mają lat. Ale ostatnio doszłam do wniosku, że po tak długim czasie ludzie zaczynają być sobą zmęczeni. Nowe imię daje im szansę odkrycia siebie na nowo, stania się inną osobą, przemiany. A czasem, jak chyba w przypadku Bonaraty, wybierali sobie imię łatwiejsze do wymówienia dla przyszłych sług.

– Jacob – powtórzył Martin w zadumie. – Rzeczywiście, nie słyszałam o tym. – Wzruszył ramionami. – Nie jestem wampirem, nie muszę się bać potęgi Bonaraty. Nie zaatakuję ot, tak sobie Libora ani wełtawskiej watahy. Nie oznacza to, że kiedyś nie dojdzie między nami do walki, ale na pewno nie o coś tak nieistotnego, jak wypowiedzenie jego imienia. – Uśmiech rozświetlił jego oczy. – Prędzej o coś takiego jak ty. Choć też niekoniecznie.

– W porządku – oznajmiła Jitka, otwierając drzwi. – Może...

I właśnie w tej chwili z dachu wprost na nią spadł wampir niczym fortepian na Królika Rogera.

Wampiry są trudne do wykrycia, bo potrafią zastygnąć w bezruchu i w ogóle ich wtedy nie słyszać. Nie mam pojęcia, co zrobiły, żeby zamaskować swój zapach, ale widziałam już tyle wampirów, że nie

pomyliłam ich z niczym innym. Kiedy pierwszy wylądował na Jitce, zaroilo się od innych.

Przez całe życie słyszałam, jak ludzie próbują porównywać wampiry i wilkołaki. Wampiry są szybsze, wilkołaki silniejsze. Albo odwrotnie: wampiry silniejsze, wilkołaki szybsze. Widywałam je w walce tyle razy, że sama zdołałam sobie wyrobić na ten temat opinię – liczyło się tylko, że i jedne, i drugie są ode mnie silniejsze. Jedyne, w czym mogłam się z nimi równać, to prędkość – z tego właśnie wtedy skorzystałam, rzucając się do biegu.

Nie pobiegłam drogą – nie chciałam narażać niewinnych ludzi. Nie pognałam też w las, bo nie znałam terenu i nie chciałam zgubić się z pościgiem wampirów na ogonie, a mój kojot nie wpisywał się w tutejszą faunę.

A ponieważ z zasady nie przypatruję się beczynnemu, jak inni toczą za mnie moje bitwy, rzuciłam się ku padokowi, przetoczyłam pod ogrodzeniem i złapałam kosę. A już na pewno nie oddalam się z pola bitwy, gdy tuż obok leży całkiem zdatna broń.

Odpowiednio już uzbrojona, obróciłam się, żeby ocenić sytuację, która rozgrywała się podczas mojej parusekundowej nieobecności. Jitkę i Martina otaczała czwórka wampirów – prawdopodobnie doszły do podobnych wniosków, co ja przed momentem. Wilkołaki stanowiły dla nich większe zagrożenie niż ja.

Zakładając, że byli to ludzie Bonaraty, wiedzieli tylko, że mu uciekłam i że jestem znacznie słabsza od wilkołaka. Musiałabym długo biec przez pola i lasy, żeby ich zgubić, więc zignorowały mnie, skupiając się na wilkach.

Walka zazwyczaj odbywa się błyskawicznie, szczególnie taka pomiędzy istotami nadprzyrodzonymi. Byłam świadkiem jednej czy dwóch, które trwały dłużej, bo przeciwnicy okazali się niezwykle twardzi, ale nawet w takich przypadkach liczyły się sekundy.

Stałam za ogrodzeniem, obserwując wszystko, jak mi się wydawało, dziesięć minut, a tak naprawdę może trzydzieści, czterdzieści sekund. Już myślałam, że będę musiała wymyślić coś innego, bo potyczka toczyła się za daleko.

I wtedy Jitka miotnęła jedną z napastniczek jak kulą. Wampirzyca uderzyła w ogrodzenie i zachwiała się. Przytrzymała się słupka, nie spuszczając jednak oczu z wilkołaczycy.

Zamachnęłam się kosą pomiędzy żerdziami, celując w szyję, tuż pod szczęką.

Nigdy, przenigdy nie przeszło mi przez myśl, że doświadczenie z koszeniem pastwiska może mi się kiedyś przydać. Kto, na niebiosa, używa jeszcze kosy w erze kosiarek i traktorów?! Pamiętam, że aby podkreślić wymiar mojej kary, Bran zaparkował jezdnię kosiarkę tuż

obok mojego poletka. Postanowił kłuć mnie w oczy tym, że cała ta moja ciężka, okupiona litrami potu harówka mogła zostać wykonana w godzinkę wygodnie, za pomocą traktorka ogrodniczego. Do zakończenia roboty miałam już pęcherze na dłoniach, na plecach w okolicy barków odkryłam boleśnie mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia, za to zdecydowanie się pogłębiła moja praktyczna wiedza o działaniu kosy.

Pierwszą zasadą użytkowania starożytnego narzędzia rolniczego jest to, że ostrze musi być ostre, bo inaczej, uderzając w źdźbła, będzie je kładło, a nie ścinało. Krawędź tnąca znajduje się od strony kosiarza, wobec czego koszenie odbywa się płynnymi hakowatymi zamachami, wymagającymi pracy całego ciała, jak u golfistów. Tak sędzę. Sama nie gram w golfa, ale wiem, że golfiści, uderzając w piłkę, wykonują skręty całym ciałem, tak samo jak robiłam ja, dochodząc do tego metodą prób i błędów, wycinając chaszczę po pas.

Ten właśnie sposób wykorzystałam na wampirzycy. Wzięłam ją z zaskoczenia, bo była skupiona na wilkołakach.

Jitka najwyraźniej znała zasady kosiarzy, bo ostrze weszło w ciało jak nóż w masło. Łatwo i przyjemnie, stał zwolniła tylko odrobinę na kości i było po wszystkim. Spodziewając się trudniejszego zadania, włożyłam w zamach więcej siły, niż trzeba, zachwiałam się, podparłam nogą na granicy pasa bez darni i klapnęłam tyłkiem na glebę.

Tak bardzo bałam się zaciąć kosą, że nawet nie próbowałam się przetoczyć, tylko niezgrabnie pozbierałam się z ziemi najszybciej, jak potrafiłam. Okazało się, że potrafiłam jeszcze szybciej, co odkryłam, kiedy odcięta głowa wylądowała tuż obok mnie.

W zasadzie wszystko, co pozbawi się głowy, umiera i pozostaje w stanie dekapitacji, nawet istoty normalnie nieśmiertelne. Ciała wampirów po śmierci obracają się w proch – zazwyczaj, bo w ciągu ostatnich paru lat dowiedziałam się, że jednak nie zawsze. Istniały najwyraźniej jakieś odmiany wampiryzmu, które nie podlegały tej zasadzie. Na przykład młodsze wampiry miały ciała, które zachowywały się jak ludzkie. Zresztą wampiryzm to efekt magii, a magia nie działa według niezmiennych zasad jak nauka.

To oznaczało, że jeśli kiedyś obciąłabym głowę Wulfe'owi, prawdopodobnie obróciłby się w proch, bo był bardzo stary. Jeśli nie, spaliłabym jego ciało oraz głowę. Tak czy tak, zebrałabym jego prochy i rzuciła do Atlantyku i Pacyfiku – sól to skuteczny środek powstrzymujący magię. Zakładałam, że dekapitacja w połączeniu z całopaleniem załatwiłyby sprawę, ale z Wulfe'em nigdy nic nie wiadomo i lepiej nie ryzykować.

Ucieszyłam się, że skoszony wampir nie żyje. Wpatrujące się we mnie oczy były zamglone i puste. Nie znałam wampirzycy na tyle, żeby bać się

jej tak, jak bałam się Wulfe'a, ale przyjął, że nie powstanie z martwych.

Ścięcie głowy trwało zaledwie sekundy, a walka toczyła się dalej. Prawdopodobnie nikt nie zauważył, co zrobiłam, bo wampirzyca nie narobiła hałasu, a uczestnicy bijatyki byli pochłonięci sobą nawzajem. Błyskawiczne ruchy wymagają pełnego skupienia. Chyba tylko ktoś taki jak Charles czy Adam dałby radę rejestrować cokolwiek poza własną walką.

Jitka trzymała w jednej ręce nóż, a w drugiej coś, czego nie byłam w stanie dojrzeć. Może wkręta? Jej przeciwnik walczył krótkim mieczem. Jitka nie przesadzała, mówiąc o swoich umiejętnościach. Pomimo nierówności w uzbrojeniu szala zwycięstwa nie przechylała się na stronę wampira.

Martin unieszkodliwił jednego z przeciwników. Wielkie wampirzysko nie wybierało się nigdzie ze swoim złamanym kręgosłupem, leżąc w drgawkach, których źródłem były losowe sygnały wysyłane przez system nerwowy.

Krótkie miecze musiały być ulubioną bronią tutejszych, bo Martin też taki miał – walczył nim z drugim napastnikiem, podobnie uzbrojonym. Wilk musiał zdobyć swoją broń po unieruchomieniu wroga, bo nie miał jej, kiedy jechaliśmy motocyklem. Zauważyłabym.

Wampir uskoczył przed ciosem Martina. Wskoczyłam na górną żerdź ogrodzenia, zamachnęłam się i wbiłam czubek kosy przez bark aż do brzucha wampira, gdzie utknęło, prawdopodobnie zaczepiając się o pasek. Szarpnęłam się w tył, zeskakując na ziemię i całym ciężarem ciała wbijając ostrze głębiej. Gdyby wampir spanikował czy zastygł, wypatroszyłabym go, ale ten złapał za stylisko i musiałam puścić kosę, inaczej mógł pociągnąć mnie gdzieś, gdzie nie chciałam się znaleźć. Nie mogłam dopuścić, żeby mnie zaatakował.

Dopiero kiedy zderzyłam się z glebą i przetoczyłam, zrywając na nogi, ujrzałam, że wampir wcale się nie zamierzał na mnie – ani na nikogo innego – rzucić. Martin wykorzystał moją dywersję i użył swojego miecza do tego, czego ja nie zdołałam osiągnąć. Rozpłatał wampira od brzucha po obojczyk. Miecz ugrzązł pomiędzy żebrami i odłamał się. Martin wyszarpnął niekompletne ostrze i odciął nim głowę przeciwnika.

Ostatni napastnik osunął się bezwładnie ze sterczącym z oka wkrętakiem. Wilkołaczycyca z zaciętą miną sięgnęła po jego miecz i dokonała dekapitacji z taką wprawą, jakby od lat pracowała na linii fabrycznej jako odcinaczka wampirzych łbów – precyzyjnym, beznamiętnym ruchem. Trup zmiał się i rozpadł w pył w błysku ognia, który strawił całe ubranie, z wyjątkiem butów. W tym samym czasie wampirzyca, którą pokonałam, zwiędła i zamieniła się w proch znacznie

mniej dramatycznie niż jej towarzysz.

Jitka z mieczem w dłoni rozejrzała się spokojnie. Podeszła do miotającego się spazmatycznie wampira, przyjrzała się ponuro jego twarzy, a potem odrąbała mu głowę. Ścięcie komuś głowy bez gilotyny czy najwyraźniej kosy nie jest czynnością łatwą, jak by się wydawało, patrząc na wilkołaki, dlatego właśnie ludzie dysponujący jedynie ludzką siłą lepiej radzili sobie, wbijając kołki w serca śpiących krwiopijców.

Martin i ja obserwowaliśmy Jitkę, podskoczyliśmy więc, kiedy wampir nadziany na kosę buchnął płomieniami, przypalając trawę, stylisko kosy, ogrodzenie, ale na szczęście nie dosięgając Martina, który stał za blisko.

Kosa upadła na ziemię z poczerniałym w jednej trzeciej ostrzem.

Jitka spojrzała na mnie.

– Wiesz, ile mi zajmie naostrzenie jej po czymś takim?

Trąciłam narzędzie czubkiem buta i metal pękł w pół.

– Hm... Czy jeśli czegoś się nie da zrobić, to oznacza, że robienie tego zajmuje wieki, czy że w ogóle nie zabiera czasu?

Roześmiała się.

– Dobrze walczyłaś – pochwaliła mnie. – I mądrze, co jest znacznie rzadsze.

– Chyba mamy problem – stwierdził Martin. Jitka spojrzała na niego.

– Rozpoznałaś któregoś z nich?

Prychnęła, wskazując wampira, którego unieruchomił, a ona dobiła. Z tym krwiopijcą stało się to upiorne coś, co polegało na tym, że w jednej chwili leżał trup, a w następnej zamienił się w pył, który rozwiął wiatr.

– Tego idiotę poznałabym nawet z zawiązanymi oczami. Powinno się go zetrzeć z powierzchni ziemi już pół wieku temu. To Ivan Novák.

– A co, jeśli ci powiem, że wampiry, które zaatakowały piekarnię, były z chmury Kocourka?

Zdecydowanie coś to Jitce mówiło, w przeciwieństwie do mnie, bo zeszytniała i stęknęła.

– Dobra, posprzątajmy tu i wejdźmy do środka, zanim wyjrzy ktoś z dworu i zacznie się zastanawiać, co tu robimy.



Wnętrze mieszkania Jitki przypominało bardziej loft niż dom. Sypialnia, kuchnia i salon znajdowały się na otwartej przestrzeni. Gospodyni usiadła na łóżku, a Martin i ja usadowiliśmy się na kuchennych krzesłach. Poza nimi brakowało innych mebli – Jitka nie była zbieraczem. Jediną ozdobę stanowiła ściana kwiatów stojąca jakieś pół metra od wychodzących na północ okien.

– Co ty na to, Martin? – zapytała. – Myślisz, że te dwie chmary współpracują?

– Zaraz – wtrąciłam się. – Myślicie, że wampiry, które zaatakowały piekarnię, i te tutaj to dwie różne grupy?

– Owszem – przytaknęła Jitka.

– Nie myślimy, ale nawet wiemy to na pewno – stwierdził Martin. – Problem w tym, że to tak, jakby współpracowali ze sobą...

– Bośniacy i Serbowie – podsunęła Jitka. – Rosjanie i Niemcy. O, albo kowboje i Indianie.

– Łapię, łapię – powstrzymałam ją przed dalszym wymienianiem. – A może jedni i drudzy działają na rozkaz Bonaraty, a to zgranie w działaniach to jedynie przypadek?

Oboje pokręcili przecząco głowami.

– Nie – dodał Martin. – Kocourek jest Panem Pragi. I tak samo jak reszta europejskich Panów chmar jest posłuszny Bonaracie. Bo inaczej zostałyby unicestwiony.

– Bonarata nie jest taki jak Marrok – mruknęła Jitka z dezaprobatą. – Nie chroni swoich. Rozkazuje tylko, a oni albo wykonują rozkazy, albo giną. Kocourek jest Panem Chmary dłużej, niż ja żyję. Tylko Libor jest od niego starszy. Kocourkowi nawet nie przeszłoby przez myśl, żeby sprzeciwić się Bonaracie. Kocourek jest mistrzem przetrwania, a wampiry, które lekceważą Bonaratę, umierają.

– Ivan należał do drugiej praskiej chmary – podjął Martin. – Kobieta, która nią rządzi, nazywa siebie Mary. – Wymówił to imię z wyraźną brytyjską manierą. – Od czterdziestu czy pięćdziesięciu lat gromadzi wokół siebie wampirze szumowiny. Z tego, co wiemy, przybyła do Pragi w trakcie drugiej wojny światowej, ale zauważyliśmy ją dopiero w latach pięćdziesiątych, kiedy Kocourek wysadził w powietrze starą fabrykę, żeby się pozbyć jej i tej drugiej chmary. Od tamtej pory stara się ją zgładzić.

– Ktoś jej pomaga – powiedziała Jitka.

– Tak, wiem – westchnął Martin z irytacją. Najwyraźniej nie raz toczyli już tę dyskusję. – Ale nie mamy bladego pojęcia kto, prawda?

– To co robimy? – zapytałam. – Może powinnam znaleźć sobie hotel, hostel czy coś? Naprawdę nie przypuszczałam, że będę sprawać tutaj jakieś kłopoty. Praga jest daleko od Mediolanu. Uznałam, że mogę iść do Libora, do waszego stada, i poprosić o nocleg czy dwa. Nie chciałam, żeby przez to ktoś zginął.

– Spokojnie, nikt nie zginął – oznajmiła Jitka.

– A te cztery wampiry? – przypomniałam. – Gdybym nie przyjechała do Pragi, biegałyby sobie nadal wolne i beztroskie.

– Z tego, co opowiadałaś, nie miałaś za bardzo wyboru – pocieszył mnie Martin.

– Nie warto ich żałować – odezwała się jednocześnie Jitka. – Krwiopijcy Mary żerują bez ograniczeń. Biorą więcej, niż im trzeba, bo muszą uzupełniać szeregi przetrzebione przez Kocourka. Są też powiązane z handlem narkotykami. Większość jej wampirów jest młoda. Nie zdążyły zgromadzić bogactwa, więc mają się najgorszych zajęć, żeby je zdobyć. – Popatrzyła na Martina, który z westchnieniem wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci już, Libor pozwala, żeby wampiry tłukły się między sobą. Wreszcie Kocourek znajdzie tamtych i ich zniszczy albo tamci osłabią Kocourka i Libor wykończy jednych i drugich.

– Tak, wielu ludzi przy tym zginie – przyznała Jitka, a Martin jej przytaknął.

– Libor jest stary i w sprawach poza watahą działa niespiesznie. Ludzie nie są dla niego ważni. Czy się to komu podoba, czy nie, ma prawo to przeczekiwać. Skoro Kocourek nie może znaleźć ludzi Mary, my tym bardziej. Niech Kocourek odwali całą robotę.

– Podczas wojny zależało mu na ludziach – podkreśliła Jitka.

– To nie tak – zaprzeczył Martin łagodnie. – Po prostu nienawidził Niemców i nie mógł znieść, że okupują Pragę. W tamtym czasie zginęła jego żona, a syn, Radim, odszedł.

Ach, więc Zack ma na imię Radim, pomyślałam.

– Hm – zaczęłam – wszystko pięknie, ale wychodzi na to, że polują na mnie co najmniej dwie chmary wampirów, przynajmniej tu, w Pradze. I przy okazji atakują wasze stado. Muszę stąd zniknąć, zanim ktoś zginie.

Spojrzeli na mnie z minami, jakbym mówiła od rzeczy.

– Mercy – odezwał się Martin – Kocourek zaatakował bazę watahy. Nieważne, czy będziesz tutaj, czy w Niemczech, pomiędzy nami i Kocourkiem i tak poleje się krew. A jeśli chodzi o chmarę Mary... – Wzruszył ramionami. – Szarpią nas i tak, odkąd jedna z nich uwiodła Pavła i próbowała z niego zrobić swojego niewolnika. Naszym zdaniem doszli do wniosku, że to krew wilkołaka daje taką moc Bonaracie.

Jitka się wzdrygnęła.

– Bonarata jest potężny, bo po prostu jest potężny. A jeśli chodzi o tę wilkołaczącę... Tak, to, że był w stanie zrobić coś takiego Alfie i jego towarzysze, to świadczy o jego mocy i jest przerażające, ale... – Spojrzała na Martina.

– To też świadczy o tym, że ma słabości – dokończył ten cicho. – Pamiętam, jak wszyscy uważali, że Władca Nocy nie ma słabych punktów. Miał wtedy przy sobie Ostrze, Żołnierza i Zaklinacza. Byli jak Avengersi, tylko że źli.

Wampiry przyjmowały jednowyrazowe pseudonimy jeszcze przed Madonną i Prince'em. Wiedziałam, że Żołnierz to Stefan, a Zaklinacz Wulfe. Pewnie Ostrze to Marsilia.

– Nie jestem aż tak stara – przyznała Jitka. – Wyjechali z Europy, zanim przyszedłem na świat. Ale wiem, że ktoś, kto jest tak silnie uzależniony jak Bonarata, musi mieć słabości.

– Tak czy siak, co minutę rodzi się nowy głupiec – podsumował żywo Martin. – I ktoś taki z chmary Mary, może nawet ona sama, uznał, że krew wilkołaka dodaje wampirom mocy. Dlatego nasłali na Pavla ślicznotkę, żeby go uwiodła.

– Co nie było trudne – podkreśliła Jitka. – To porządny facet, ale... – uśmiechnęła się krzywo – ma słabość do spódniczek.

– I co? Co się stało? – zaciekawiałam się.

– Libor się stał – stwierdziła Jitka, a jednocześnie Martin powiedział:

– Libor ją zabił i zabronił sypiania z wampirami. – Mówili jedno przez drugie, nawet tego nie zauważając, widocznie robili to nawykowo.

– I w jaki sposób tego pilnuje? – chciałam wiedzieć.

Oboje spojrzeli na mnie zdumieni.

– No przecież wie dzięki więzi stadnej.

Zamrugalam, zaskoczona.

– Libor wie poprzez więź stadną, kiedy jego wilkołaki uprawiają seks z wampirami?!

– Oczywiście – przyznał Martin. – To przecież część mocy Alfy. Nie tylko w przypadku seksu, wszystkich intensywnych doznań. Żalu, radości, grozy, wszystko to odbiera.

Wedle mojej wiedzy Adam nie miał tego rodzaju więzi z watahą. Byłam tego prawie pewna. Bo... Fuj. Naruszenie prywatności to mało powiedziane. No chyba że mi o tym nie powiedział, wiedząc, jak bym zareagowała. Zmęczenie brało górę i w moim, i w ich przypadku, bo odeszliśmy daleko od istoty kwestii.

– To co mogę zrobić, żeby chronić wasze stado? – zapytałam.

– To nie twoja broszka – prychnęła Jitka. – Libor udzielił ci trzydniowego azylu, czyli to chronienie ciebie jest zadaniem naszego stada.

– Ale gdybyś miała ochotę skosić jeszcze parę wampirów, to się nie krępuj. – Martin uśmiechnął się do mnie szeroko.

– To był tylko jeden – przypomniałam, lecz Martin patrzył już na Jitkę.

– Skasowała jednego i pół – wyliczał. – Ja dwóch w połowie, i ty też półtora.

– Nie – zaprzeczyła Jitka. – Jednego. Tamtego tylko dobiłam, był twój.

– No to wychodzi, że słabeuszka ma na koncie półtora, czyli tyle samo lub więcej niż każde z nas, wilkołaków. – Martin popatrzył na mnie znacząco. – Dalej twierdzisz, że to kwestia szczęścia? Bo chyba jednak nie szczęście wykończyło te wampiry, hm?

– Wszyscy potrzebujemy odpoczynku – zauważyła Jitka łagodnie. –

Musimy znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. My też nie przypuszczaliśmy, Mercy, że wampiry wiedzą o tym miejscu. Dopiero co się przeprowadziłam do Dobřichovic, to dość daleko od ich terenów łowieckich.

– Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce przede wszystkim dla Mercy – powiedział Martin.

Nie wiem, dlaczego akurat to mnie tak dotknęło. Przecież dokładnie to właśnie robiłam, odkąd znalazłam się w Pradze – szukałam przystani, gdzie mogłabym spokojnie poczekać na Adama.

Ale przed chwilą zabiliśmy cztery wampiry. Nie byłam bezbronna. Bezbronnym ludziom dzieje się krzywda. Na mgnienie przeniosłam się do przeszłości, kiedy magiczny artefakt pradawnych pozbawił mnie możliwości obrony, a świr o imieniu Tim...

– Mercy? – Głos Jitki sprowadził mnie do teraźniejszości.

Zdałam sobie sprawę, że siedzę na podłodze w kącie pokoju. Martin odsunął się najdalej jak mógł i patrzył na mnie zatroskany. Jitka kucała jakiś metr ode mnie, dając mi przestrzeń.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Nienawidzę stresu pourazowego – stwierdziłam. Przypomniawszy sobie, że mam do czynienia z wilkołakiem, spuściłam oczy. Zresztą i tak czułam się mniej upokorzona, mówiąc do podłogi. – To było tak dawno... W dodatku zabiłam drania. I w zasadzie nie byłam ciężko ranna. Ostatnio znalazłam się w szpitalu po spotkaniu z bogiem wulkanu i nic. Mój mąż ma przez to koszmary, a mnie nic nie jest.

Jitka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Uraz urazowi nierówny. Ja przynajmniej raz w roku budzę się prześladowana wspomnieniem sprzed stu dwudziestu dwóch lat, które rozbija mnie na wiele godzin. Od tamtej pory widziałam i robiłam gorsze rzeczy. Wtedy nawet nie chodziło o mnie, a mimo to...

Nie powiedziała, o czym śni, a ja nie pytałam. Powietrze w pomieszczeniu przesycala woń strachu. Mojego strachu.

Prawie mi się to już nie zdarzało. Może raz, dwa razy w miesiącu, a to nic w porównaniu do tego, co dawniej, kiedy panika atakowała kilka razy dziennie. I zazwyczaj nie było to tak intensywne. Od paru miesięcy nie przeżyłam czegoś takiego.

Martin nagle przestał spoglądać na mnie z szacunkiem, na jego twarzy malowały się współczucie, troska i litość.

Wstałam. Poszłam do małej łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Obmyłam twarz i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze Jitki. Wielki siniec na lewym policzku rozlał się jeszcze bardziej, odkąd rano widziałam go po raz ostatni. Po czarnych podkawkach pod oczami widać było, jak bardzo jestem niewyspana.

Wyglądałam jak ofiara.

Do diabła, skończyłam już z tym, nie byłam już ofiarą.

Wyszłam z łazienki i usiadłam z powrotem na podłodze.

– Nie możemy zostać tutaj, bo wampiry już wiedzą o tym miejscu, prawda? – Wiedziałam, czułam aż nadto dobrze, że nie powinnam tego robić. Jednak w mojej głowie nadal tkwił obraz ofiary.

Byłam wykończona, zdawałam sobie sprawę, że kiedy się poruszę, poczuję ból mięśni i urazy spowodowane walką, których nawet nie pamiętałam. To nie był mój pierwszy raz, dobrze znałam efekty po bijatyce. Powinnam odpuścić, pozwolić, żeby Libor wynajął mi pokój w hotelu, a potem oddać mu pieniądze. Powinnam się tam zaszyć i poczekać na Adama.

– Tak – potwierdziła Jitka.

Nie chciałam jednak nikogo wciągać w kłopoty.

– W tej chwili, bez względu na to, czy ucieknę do Port-au-Prince, czy do Timbaktu, nie zapobiegnie to konfrontacji pomiędzy waszą watahą i wampirami.

– Ten dzisiejszy atak i szturm na dom watahy świadczą, że konfrontacja zbliża się wielkimi krokami. I nieważne, czy będziesz tutaj, czy w Chinach, Libor tak tego nie zostawi.

– Tak – przyznał Martin jednocześnie. Jitka mówiła, a on obserwował mnie bacznie. W jego ramionach widać było napięcie. Może nie tylko ja w tym towarzystwie miałam potrzebę działania?

– Chcielibyście uwolnić Pragę od chmary Mary... – ciągnęłam.

– Tak. – Jitka ściągnęła brwi. – Tyle że nie możemy jej znaleźć. Śledziliśmy ich, jednak trop rozplywa się w wampirzej magii.

– Hm, może da się coś z tym zrobić – zasugerowałam. – Jakie są szanse, że wampiry przyjechały tu samochodem wyposażonym w GPS?

W Stanach szanse byłyby spore. GPS – albo komórka z GPS-em, choć to byłoby trudniejsze.

Martin wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Wampiry miewają kosztowne gadzety, szczególnie te od Mary, które próbują urządzić się jakoś wśród ludzi.

– Jeśli uda wam się doprowadzić mnie do miejsca w Pradze, gdzie ta banda wsiadła do samochodu, to zakładając, że doszli do niego na nogach, dam radę je znaleźć – oświadczyłam.

Martin obrzucił mnie nieco lekceważącym spojrzeniem.

– Nie raz tego próbowaliśmy, a jesteśmy wilkołakami.

– Ale magia wampirów nie działa w stosunku do mnie tak, jak powinna – wyznałam. – A czasem w ogóle nie działa.

– Poważnie? Jakim cudem? – zdziwiła się Jitka.

– Nie mam pojęcia – przyznałam szczerze. – Widzę także duchy. Może jedno ma coś wspólnego z drugim? – Nie dodałam, że mogę też robić inne rzeczy, jeśli chodzi o duchy. Dopóki trzymałam to w tajemnicy, nikt

nie spróbuje zmusić mnie do czegoś, czego robić nie chciałam.

– Czym jesteś? – zapytał Martin.

– No, nie wilkołakiem. Czy odkrycie siedziby chmary wam pomoże?

– Moglibyśmy tam pójść i wszystkie zabić – ucieszyła się Jitka, aż wibrując ochoczością. – No, zabić ponownie. Na dobre, żeby już tak zostały. Zniszczyć jednym pociągnięciem Mary i całą tę jej zgraję.

– Tak! – Oczy Martina rozbłysły.

Nie wydawało się to nawet takie głupie. Mary już dawno wyzwałaby Pana Pragi, gdyby mogła. A nie urosła na tyle w siłę, skoro jedyne, co robiła, to gromadziła nowe wampiry, a to był powolny i kłopotliwy proces, którego szanse na powodzenie były mniejsze nawet niż w wypadku wilkołaczego Przeistoczenia. Z tego, co wiedziałam, większość chmar składała się z paru silnych wampirów i kilkunastu pomniejszych, których podtrzymywał przy życiu tylko przywódca.

Właśnie zabiliśmy czterech członków gromady Mary. Wszyscy musieli być wampirami od długiego czasu, inaczej ich ciała nie rozsypałyby się w proch. Nie oznaczało to, że nie należeli do tych pomniejszych, ale żyli co najmniej wiek, a może dłużej. Gotowa byłam jednak się założyć, że Mary nie ma więcej krwiopijców na tym poziomie, co zgładzeni, skoro jej gromada liczyła sobie zaledwie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat.

Poza tym Jitka i Martin zamierzali chyba włączyć resztę watahy w proces pozbycia się chmary.

Nie wiedzieli jednak, z iloma wampirami przyjdzie im się mierzyć. Zostałam wychowana przez mistrza strategii, który nauczył mnie, że nie wolno iść do bitwy z wrogiem, o którym nic się nie wie.

Wilkołaki pewnie również znały tę zasadę. Albo więc wiedziały o chmarze Mary więcej, niż się wydawało, albo, co bardziej prawdopodobne, frustracja wywołana długim i bezowocnym polowaniem popychała je do lekkomyślności. I najwyraźniej moim zadaniem było ostudzić ich gorące głowy.

Adam uznałby to za niezły dowcip, lecz tak naprawdę wcale nie byłam impulsywna. Zawsze najpierw analizowałam sprawę w myślach, a potem starałam się postąpić właściwie. Fakt, że właściwe postępowanie nie zawsze okazywało się najbezpieczniejsze czy najłatwiejsze, nie czynił ze mnie ryzykanta.

Przez kolejną godzinę dyskutowaliśmy i robiliśmy plany. Ponieważ Jitka nie mogła się dodzwonić do Libora – coś, co nie wydawało się niezwykle – obmyśliliśmy alternatywny plan frontального ataku, który, choć miło się go przegadywało, był (jak uznaliśmy zgodnie) mało użyteczny, szczególnie przy braku wsparcia.

Ogromnego taktu wymagało ode mnie pokierowanie wilkołakami. W końcu nie należałam do ich watahy, nawet nie byłam wilkołakiem.

Słuchały mnie wyłącznie dlatego, że tylko ja mogłam doprowadzić je do wampirów.

Martin zaproponował, żeby wyrwać kartkę z podręcznika taktyki Bonaraty, chwytając pojedynczego wampira, przesłuchując go, a potem odsyłając Liborowi do dalszego przesłuchania.

Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl. Co innego zabić napastnika w walce, a co innego poddać go torturom. Na szczęście Jitka storpedowała ten pomysł, więc nie musiałam brać tego na siebie.

– To idiotyzm – zawyrokowała. – Już tego próbowaliśmy. Sam wiesz, że nie mówią. Po trzecim Libor położył temu kres. Powiedział, że skoro nie sypią po tym, co im robimy, to nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że nie mogą. Są różne czary, które właśnie tak działają. Może to też jakaś wampirza magia?

Staralam się nie analizować za bardzo słów Jitki.

Nie byłam gotowa uciekać się do tortur, żeby dowiedzieć się, czemu dwie praskie chmary postanowiły współpracować. Może jako prażanka myślałabym inaczej, choć raczej w to wątpiłam. Nie wykluczałam, że w pewnych okolicznościach rozważałabym takie posunięcie, ale jak na razie nie były to tego rodzaju okoliczności. Może powinnam czuć się nieswojo, że Jitka i Martin nie dopuszczali innego rozwiązania poza całkowitym zniszczeniem chmary, ale faktem jest, że wampiry są czystym złem. Owszem, lubię jednego czy dwa, jako osoby, ale koniec końców każdy wampir żeruje na ludziach, żeby samemu utrzymać się przy życiu.

– Dobra, to zacznijmy od znalezienia ich bazy – podsumowałam. – Poobserwujemy, zdobędziemy więcej informacji i pójdziemy z tym do Libora.

Uznałam to za w miarę bezpieczną opcję. W końcu udało mi się uciec największemu, najzłośliwzemu wampirowi w Europie, więc przy tym to powinna być betka. A jednocześnie mogłam się ruszyć i działać.

Zaczęliśmy od wysledzenia miejsca, w którym nasi czterej napastnicy zostawili samochód. A w zasadzie to ja zaczęłam od przeszukania prochów. Staralam się znaleźć kluczyki, pilota czy inny samochodowy uruchamiacz. Jitka i Martin spakowali tymczasem parę rzeczy pomocnych w schwytaniu i uwięzieniu jednego wampira, które minimalizowały ryzyko, że się uwolni i nas pozabija. Tak na wszelki wypadek, wyjaśnili, kiedy zgłosiłam moje obiekcje.

Samochód stał trzy kilometry dalej, kosztowny, nowoczesny, zaopatrzony w równie kosztowny i nowoczesny system nawigacji satelitarnej. Jitka i Martin zaczęli pomstować na bogactwo gromady Mary. Zdawali się traktować luksusowy samochód jak osobistą zniewagę i w końcu musieli mi przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno temu, jak

na standardy długowiecznych istot, Czechy należały do sowieckiego bloku komunistycznego. Ówczesny reżim traktował własność prywatną jako upadek moralności.

Nie byłam do końca pewna, czy to całkiem niesłuszne podejście.

Mieliśmy szczęście z tymi kluczami. Znalazłam je w trzeciej kupce popiołów. Był to właściwie sam pilot, w dodatku na wpół stopiony, ale okazało się, że ta prawidłowa połowa ocalała, bo zamki odblokowały się, kiedy Martin przytrzymał urządzenie blisko drzwi.

Wiem oczywiście, jak uruchomić samochód bez kluczyków, nawet te nowe modele, jednak potrzebowałabym do tego paru rzeczy, których nie miałam pod ręką, a tak problem rozwiązał się sam.

Nie przestając marudzić – tak sędzę, bo wilkołaki kontynuowały swoje tyrady już w ojczystym języku – Martin odpalił silnik, włączył nawigację i znalazł zapamiętaną lokalizację, uprzejmie przypisaną do ikony „dom”.

Gdyby nawet samochód nie miał GPS-a, Martin wiedział o paru miejscach, w których widziano ostatnio jednego z zabitych przez nas wampirów. Mogłam tam podjąć trop i pójść za nim. Jednak w takim wypadku pewnie zarzucilibyśmy cały projekt i poszukalibyśmy sobie pokoju w jakimś hotelu, żeby przespać resztę nocy. GPS był przełomowym odkryciem.

– Ha, gdyby nie pławili się w luksusie, musielibyśmy zrezygnować – stwierdziła Jitka z satysfakcją. – Tak to jest z nadmiernym bogactwem. Rozleniwia ludzi i osłabia.

Władowaliśmy się do auta i Martin powiózł nas statecznie uliczkami Dobřichovic, obok zamku i dalej na autostradę.

Trasa „dom” zawiodła nas na parking w dzielnicy Pragi, zabudowanej starszymi kamienicami. W Tri-Cities „starsze” oznaczałoby pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnie, ale tutaj budynki miały dwieście, trzysta lat.

Na parkingu były dwa wolne miejsca. Zajęliśmy jedno z nich. Wokół unosiły się wonie samochodów, miasta i całej masy ludzi. Od razu wiedzieliśmy, że trafiliśmy w dziesiątkę, bo samochody po obu stronach naszego również pachniały wampirami.

Mniej szczęścia mieliśmy, jeśli chodzi o skontaktowanie się z Liborem.

– Tym razem zostawiłam mu wiadomość – powiedziała Jitka, chowając telefon do kieszeni. – Libor nie uznaje SMS-ów. Nagrałam mu się, że jesteśmy na Józefowie i wiemy, jak odnaleźć Mary i jej wampiry. I że to sprawdzimy, a potem zadzwonimy, jeśli się czegoś dowiemy.

Martin skinął głową.

– Dasz radę wyłuskać z tego jakiś trop? – zapytał Jitkę, zataczając ręką wokół, żeby podkreślić chaos zapachowy.

Wciągnęła nosem powietrze i pokręciła przecząco głową.

– Czuję wampiry, ale musiałabym się przemienić, żeby je wyśledzić.

– Tak samo ja – zgodził się Martin. – Nie przemieniałem się ze trzy dni. Mogę to zrobić, ale musiałbym zostać w wilczej formie przez cztery, pięć godzin.

– Hola – powstrzymałam ich. – Lepiej zostańcie w ludzkiej skórze, skoro nie chcemy z miejsca wdawać się w bitwę. Może ja to zrobię.

– Czym ty jesteś? – zapytała ponownie Jitka. W jej głosie pobrzmiwała ostrzejsza nuta, jakby wilkołaczyca była już zwarta i gotowa do przemiany.

Zrzuciłam pożyczone ciuchy i rozejrzałam się nieco zagubiona. W normalnych okolicznościach wrzuciłabym wszystko do najbliższego śmietnika, ale zaczęłam czuć przywiązanie do swojej skromnej garderoby.

Pospiesznie – wątpiałam, by ktoś się tu kręcił o tak późnej porze, jednak wołałam nie świecić golizną przed tymi, którzy na to nie zasłużyli – zrobiłam z ciuchów zawiniątko i wręczyłam Jitce. Czułam się mniej skrępowana, niż gdybym miała dać je Martinowi.

– Nie jesteś wilkołakiem – stwierdziła Jitka z pełnym przekonaniem, nie pierwszy raz.

– Wiem, istnieją inni zmiennokształtni – wyszeptał Martin. – Czytałem o tym. Na przykład tygrysołaki. I smoki.

– Jeśli spodziewasz się smoka, będziesz rozczarowany – rzuciłam i przemieniłam się w kojota.

Jako nastolatka zmieniałam się w tę i we w tę przed lustrem, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Jednak jedną z rzeczy, które zmieniały się we mnie całkowicie, był wzrok, więc obraz był zamazany. Nigdy nie widziałam wszystkiego dokładnie, lecz Adam twierdził, że nie ma wiele do zobaczenia – w jednej chwili jestem człowiekiem, w następnej kojotem.

Może nie udało mi się zobaczyć swojej przemiany, ale widziałam ich wiele w przypadku wilkołaków i byłam bardzo zadowolona, że moja przebiega błyskawicznie i bezboleśnie.

Martinowi opadła szczęka.

– Czym ty jesteś?! – Jitka zrobiła wielkie oczy. – Jakimś psem?

Położyłam uszy i pisnęłam ze zniecierpliwieniem.

– Nie jesteś wilkiem – skonstatował Martin. – Może czymś, co żyje w Ameryce?

– Kojotem? – podsunęła Jitka. – Takim jak z tej kreskówki o Strusiu Pędziwiatrze!

Postawiłam uszy i wyszczerzyłam się w uśmiechu.

– Hmm – mruknęła Jitka, taksując mnie przeciągłym spojrzeniem. – Myślałam, że kojoty są większe.

– Może te od Pędziwiatra są mniejsze? – zastanawiał się Martin. – Ale najważniejsze, jak tam twój węch?

Pisnęłam raz, przytknęłam nos do ziemi i zaczęłam niuchać. Tropienie na węch można wyćwiczyć. Zawsze miałam problem z nadmiarem zapachów, informacje wychwytywane przez nos mnie przytłaczały. Charles poświęcił dużo czasu i wysiłku, kiedy byłam nastolatką, żeby nauczyć mnie rozdzielania woni. Podchwyciłam zapach naszych napastników, najsilniej jednak utkwił mi w pamięci ten należący do wampirzycy, którą załatwiłam kosą, więc skupiłam się na nim.

Wyłowiłam go bez trudu, lecz nie poszłam za nim od razu. Najpierw się rozluźniłam, wyciszyłam umysł i pokręciłam się, żeby złapać możliwie świeży trop. Niósł w sobie nutkę aromatu absyntu, jakby wampirzyca była blisko z kimś, kto go pił, albo jakby się poplamiła piołunówką. Mogła ją pić nawet sama, chociaż wampiry zazwyczaj nie piły alkoholu.

W każdym razie absynt wyróżniał trop spośród innych. Zawierał najwięcej niuansów zapachowych, co oznaczało, że był najświeższy, bo z czasem wonie się ulatniają.

Korzystała ze schodów, nie z windy. Skupiłam się na wybranym celu i ruszyłam, zostawiając wilkołakom na głowie dotrzymanie mi kroku.



Rozdział 9

Mercy

Tak się złożyło, że po ulicach Pragi chadzałam głównie nocami. Nie najlepszy sposób zwiedzania miasta, ale przynajmniej nie natykałam się na wielu turystów.

Kamienice stojące rzędem po obu stronach ulicy nie były pewnie jakoś szczególnie stare, jak na Pragę, bo nie zbudowano ich raczej w średniowieczu, ale nie wzniesiono ich też w obecnym wieku. Miały po sześć, siedem pięter i tłoczyły się tak blisko jedna drugiej, że między nimi i mysz by się nie przecisnęła.

Wydawały mi się też mgliście znajome. Znajdowaliśmy się niedaleko Starego Miasta, bo uliczki były wyłożone brukiem, więc z początku założyłam, że kojarzę je z zesłonocej samotnej przechadzki. Po części tak było.

Zrozumiałam, o co chodzi, kiedy spojrzałam w dół uliczki. Ktoś może wiek, może więcej temu starał się, by to miejsce przypominało Paryż – stąd wrażenie rozpoznawania okolicy. Nie byłam też nigdy w Paryżu, bo inaczej zorientowałabym się wcześniej.

Kocie łby wyglądały malowniczo, ale moje łapy tęskniły za domem, gdzie mogłam biegać po polach. Nawet stokłosa i buzdyganek nie wydawały się z tej perspektywy takie straszne, bo przecież mogłam je omijać. A powierzchnie z nierównego kamienia były wszędzie, twarde, niejednakowe, o nieregularnych krawędziach, urażały mi poduszki łap.

Kiedy mijaliśmy Synagogę Staronową, zdałam sobie sprawę, że znajdujemy się w dzielnicy żydowskiej, nieopodal miejsca, gdzie wpadłam na golema, a to z pewnością wzmacniało wrażenie

rozpoznawalności. Jitka mówiła, że jesteśmy na Józefowie, po niemiecku Josefstadt, a ta nazwa obila mi się o uszy.

Miejsce wydawało się zaskakująco w centrum... wszystkiego, jak na fakt, że chmarze przez pół wieku udawało się unikać Pana Pragi. Spodziewałabym się, że wybiorą siedzibę z kilkoma dodatkowymi kryjówkami w pobliżu, w odludnej okolicy, bez tysięcy turystów pod oknami.

Ale zapachy zazwyczaj nie kłamią, a woń wampirzycy wyraźnie prowadziła mnie przez dzielnicę żydowską. Zaczęłam wyłapywać kolejne jej ślady zapachowe, jakby często chadzała tą drogą. Nie była też jedynym krwiopijcą uczęszczającym tą trasą.

Wonie wampirów z wolna zagęściły się czymś znacznie gorszym. Ktoś nie był szczególnie dobrym gospodarzem, bo odór krwi, starej śmierci i rozkładu zaczął oblepiać mi nos. Był tak czytelny, że aż popatrzyłam na wilkołaki, ale oba skupiły się na mnie i nie rozglądały po budynkach, w których mogła zamieszkiwać liczna gromada wampirów.

Biorąc pod uwagę natężenie smrodu, wydawało mi się dziwne, że wilkołaki wpatrują się tak intensywnie we mnie, ale nie mogłam ich o to zapytać. Skręciłam za róg i znalazłam to, czego szukaliśmy, dosłownie po drugiej stronie ulicy.

Przed nami rozciągał się wielki park. Każdy kawałek przestrzeni w Pradze pokrywała bujna zieleń, czy to był park, czy niezagospodarowane wały rzeczne. Zieleń nie była tak obfita, jak w Seattle czy w Portland, gdzie władze przegrywały batalię z gąszczami jeżyn, które zdawały się przejmować każdy skrawek odsłoniętej gleby, ale i tak robiła wrażenie.

Miejsce, do którego dotarliśmy, przypominało mi Howard Amon Park. Potężne stare drzewa ocieniały dostojnie ścieżki i całą masę trawników. W większości praskich parków dominowały rabaty. Ten został zaprojektowany i wypielęgnowany, aż nagle porządek zniknął, zupełnie jakby istniało tam niewidzialne ogrodzenie, poza którego wyraźną linią zatrzymywały się kosiarki, pozostawiając po drugiej stronie gęstwinę przerośniętej trawy i krzewów.

Pośrodku tej dziczy stała jedna z tych wszechobecnych szarawych kamienic, jakie wszędzie mijałam. Ten budynek jednak nie wpisywał się ani w paryskie klimaty, ani w zadbane, czyste (poza graffiti) uliczki Pragi – był w katastrofalnym stanie.

Przystanąłam po schludnej stronie linii demarkacyjnej. Przez większość ostatniej godziny oddawałam panowanie raczej kojotowi niż człowiekowi, bo trop nie należał do łatwych. Sytuacja z przerośniętą trawą zaskoczyła mnie i nieco zaniepokoiła, co wywołało na wierzch moją ludzką część. Nie postrzegałam siebie jako istoty dualnej, jak

wilkołaki, ale kiedy zdawałam się na instynkt, czasem potrzebowałam chwili, żeby powrócić do człowieczego sposobu myślenia.

Stojąca pośrodku zielonego chaosu ruina wyglądała jak z horroru. I naprawdę nikt nie sprawdził, czy nie zamelinowały się tu wampiry? I to nie jakieś tam zwykłe wampiry, ale brudni, zdegenerowani krwiopijcy.

Siedziba Marsilii lśniła tak, że nie obawiałabym się jeść z podłogi. Nawet chłodnia Bonaraty, służąca za więzienną celę, była nieskalana. To miejsce cuchnęło jak chałupa ludzi mieszkających z dwiema setkami psów i czterdziestoma pięcioma kotami w maleńkich, nigdy nieczyszczonych klatkach. Jakim cudem wataha Libora nie zorientowała się, że to tutaj?

Nie wiedziałam, czy Praga została zbombardowana podczas ostatniej wojny, ale budynek w centrum dziczy wyglądał właśnie tak, jakby zrzucono na niego bombę, a potem zostawiono wraz z resztkami murów przyległych kamienic. Trudno uwierzyć, że tak to tutaj stało pośród zadbanych uliczek żydowskiej dzielnicy. Może to miejsce pamięci albo coś w tym stylu...? Miejsce pamięci opanowane przez wampiry. Jednak nie wydawało mi się to prawdopodobne.

Już miałam się przemienić, żeby zapytać Jitki i Martina, co się stało z wilkołaczymi nosami ich watahy, kiedy w budynku coś się poruszyło. To było dosłownie mgnienie, lecz wystarczyło, żeby przywrócić równowagę. Kojot, który polował na wampiry, a także był ścigany przez wampiry przez całą noc, odstawił na bok ludzką logikę, bo ujrzał zdobycz.

Przekroczyłam niewidzialną barierę, przechodząc z wystrzyżonego trawnika na chwastowisko, instynktownie pragnąc wtopić się w otoczenie, choć beżowo-szare umaszczenie, które służyło mi na stepowych łąkach w Tri-Cities, okazywało się mało przydatne w soczystej zieleni Pragi.

Przypadłam do ziemi i porzucając ostatecznie trop wampirzycy, wpełzłam głębiej w gąszcz. Czułam, że choć ślad poprowadził nas przez cały Józefów, nie znajdujemy się zbyt daleko od parkingu, na którym zaczęliśmy.

Ukryta w zieleni obserwowałam budynek, lecz postać, która zwróciła uwagę kojota, już się nie pokazała. W tej właśnie chwili zorientowałam się, że jestem sama pośrodku terytorium wampirów. Niemożliwe, żebym zgubiła dwa wilkołaki, przecież szłam wolnym kroczkiem za tropem. Niemożliwe, żeby nie wiedziały o tych wampirach tutaj. Niemożliwe... Chyba że...

Przebiegł mnie lodowaty dreszcz, kiedy uświadomiłam sobie, co się stało i w jakich znalazłam się tarapatach. Głupi, nierozważny kojot wciągnął mnie do wampirzej chmary bez wsparcia.

Starając się zachować ciszę, wycofałam się z kryjówki w zaroślach. Zabrało mi to więcej niż wejście, ale w końcu wyłoniłam się z zieleni i zobaczyłam moje wilkołaki. Zawędrowałam dalej, niż mi się wydawało.

Martin i Jitka krążyli niespokojnie wzdłuż niewidzialnej linii przebiegającej pomiędzy parkiem i gniazdem wampirów, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie. Spotkałam się już z podobnym zachowaniem, choć samą moc kojarzyłam tylko z potężnymi pradawnymi, a ta magia cuchnęła wampirami. I wiedźmą. W zasadzie, kiedy zaczęłam odbierać otoczenie wszystkimi zmysłami, nie tylko nosem, zdałam sobie sprawę, że wokół mnie pulsuje potężna magia wiedźm.

Zrozumiałam, z czym mam do czynienia.

Mary bądź ktoś z jej sług parał się czarami. Nie znoszę, kiedy czarne charaktery mają podwójne moce. Z tego, co wiedziałam, a wiedziałam to dobrze i z całą pewnością, nie wolno zmieniać w wampira istoty innej niż śmiertelnika. Ta wiedźma ustanowiła barierę wokół chmury, nieprzenikalną dla wzroku, węchu i innych zmysłów. Jitka i Martin nie mogli wyczuć siedziby gromady – albo raczej nie wiedzieli, że właśnie ją czują. Bardziej w tę stronę.

Zakłęcie, które działało na wszystkich znajdujących się w pobliżu i sprawiało, że nie zdawali sobie sprawy, że wyczuwają wampiry, wymagało mniejszego natężenia magii niż bariery, które Szarzy Panowie wzniesli wokół Walla Walla. Nikt, kto się tu zapuścił, nie poświęcał uwagi temu, co wiedźma uczyniła celem czaru. Przechodnie prawdopodobnie widzieli ruinę, ale po prostu jej nie zauważali.

Słyszałam o tego rodzaju magii.

W czasach mojego dzieciństwa Bran wymagał, aby członkowie watahy i ich rodziny brali regularnie udział w muzycznych wieczorkach. Wszyscy występowaliśmy.

Czasami zastanawiałam się, ile powściągliwości od Brana, urodzonego muzyka, wymagało słuchanie mnie, wścieklej jedenastolatki, męczącej na pianinie kawalek Beethovena, który nawet idealnie zagrany nie był szczytem osiągnięć kompozytora.

Przez całe dwa lata rzępoliłam tę samą melodię, robiąc wszystko, co w mojej mocy, by robić to jak najgorzej, na przykład grać pół raza wolniej niż w przewidzianym tempie, i wyglądać przy tym niewinnie. Do tej pory słyszę to czasem w koszmarach, nie wątpię, że Bran również. Wreszcie, ku mojej ogromnej satysfakcji, przestał mnie zmuszać do grania.

Zwykle na zakończenie Bran śpiewał coś sam albo z Charlesem lub Samuelem. Czasem zamiast tego opowiadał nam jakąś historię. Snuł te opowieści jak baśnie – przekazywane z ust do ust, powtarzane tak często, że ich słowa w każdej wersji pozostawały niemal niezmiennie.

Jednak większości jego legend nie znalazłam nigdzie indziej.

Jedna z nich, a opowiadał ją kilkakrotnie, dotyczyła zamku zaklętego przez złą wiedźmę. W historiach Brana wiedźmy zawsze były złe. Czar polegał na tym, że wszyscy omijali wzrokiem zaklęty zamek, nie wspominali o nim, nie myśleli, choć był na widoku. Zupełnie jakby był otoczony nieprzeniknionym murem i gęstwiną jeżynowych chaszczy. Kilka pokoleń później nikt z miejscowych nie wiedział o zamku, choć ten stał na wzgórzu pośrodku miasteczka.

Może Bran i Mary zetknęli się z tą samą skarbnicą baśni i wampirzyca znalazła jakąś wiedźmę do wynajęcia. Z pewnością nie chciałam mieć do czynienia z żadnym wampirem, który potrafiłby rzucić taki czar albo skłonić wiedźmę, by go rzuciła. A już na pewno nie z powodu ciekawości.

Jeśli Mary miałyby się mną z jakiegoś powodu zainteresować, wolałam omawiać to, siedząc przy Adamie w bazie tutejszej watahy, w otoczeniu wilkołaków. A jeszcze bardziej przez telefon, siedząc przy Adamie w naszym własnym salonie.

Niewrażliwość na magię wampirów miała swoje zalety, ale też i wady. Jedną z zalet była odporność na wampirze psychomanipulacje. Do wad należało ryzyko, że mogę, tak jak teraz, nieświadomie zapędzić się do ich domostwa.

Cofnęłam się kolejny krok i coś z brutalną szybkością opadło mi na szyję. W niechlubnej przeszłości zetknęłam się raz czy dwa z rakarzem, wiedziałam więc, jakie to uczucie mieć na szyi pętlę chwytaka. Zamarłam. Skąd chmara miałyby mieć chwytak na psy?

Kobięcy głos wymruczał coś uspokajająco po czesku. Nie miałam pojęcia, co mówi. Szarpnęła chwytak, dusząc mnie. Zaczęłam się krztusić.

Jitka i Martin stali kilkadziesiąt metrów ode mnie, ale po drugiej stronie bariery. Nie mogli mi pomóc. Widziałam, jak coś do siebie mówią, kręcąc głowami, a potem szybkim krokiem wychodzą z parku. Zaklęcie prawdopodobnie sprawiało, że ludzie odchodzili. Właśnie tak bym to zaplanowała, gdybym wymyśliła tego rodzaju czar.

Teraz żałowałam, że Jitka się nie uparła i nie zabraliśmy całej bandy wilkołaków, i nie wzięliśmy szturmem bazy chmary. Oczywiście zakładając, że mój kojot nie dałby się odseparować od wilkołaków, tak jak przed chwilą od Jitki i Martina.



Zatrzęłam się załóżnie w psiej klatce ustawionej w piwnicy wampirzego gniazda.

Piwnica, oświetlona dwiema nagimi żarówkami w oprawach wiszących pod wysokim sufitem, miała nierówne betonowe ściany i klepisko. Klatka stała obok starego pieca, tak zrujnowanego jak cały budynek. Prawdopodobnie nie działał od co najmniej pół wieku.

Obecność klatki wyjaśniała chwytak na psy. Kojec został zespawany z metalowej siatki, prawdopodobnie stalowej, pokrytej warstwą srebra, i naszpikowany magią. Trzymano w nim wilkołaki – wyczułam pięć, sześć różnych woni, jednak zbyt zwietrzałych, żeby je analizować. Nie należały do nikogo, z kim bym się zetknęła. Srebro na mnie nie działało, magia również, byłam jednak skrajnie zmęczona. Widok dzielących ze mną piwnicę rozkładających się trupów również nie pocieszał. Ale najgorszy był wampir przykuty łańcuchami do ściany całkiem niedaleko ode mnie.

Miał na sobie dżinsy i koszulę z krótkim rękawem, a pod nią podkoszulek. Ubranie wyglądało na czyste, mógł je nosić dzień lub dwa, czyli że jeszcze niedawno mógł swobodnie je na siebie założyć. Obserwował mnie wygłodniałym wzrokiem szaleńca, nie przestając wydawać z siebie w miarowych odstępach nieartykułowanych krzyków.

Sięgnęłam do Adama. Nie mogłam się z nim jeszcze komunikować, ale czułam stabilne ciepło jego obecności. Chwyciłam się tego najmocniej jak mogłam.

I przyciągnęłam uwagę czegoś innego.



Jakoś godzinę później do piwnicy zawitała Mary. Pani Chmary zeszła po schodach pewnym, zdecydowanym krokiem zawodowego żołnierza. Nie przedstawiła się, ale maszerowała dziarsko przez półmrok w stylu „ja tu dowodzę” – skojarzenie nasuwało się samo.

Nie bardzo tylko wiedziałam, jak mogła być żołnierzem, skoro przebywała w Pradze od końca lat czterdziestych. Jednak dość moich znajomych wilkołaków służyło w armii czy innych jednostkach militarnych, potrafiłam więc rozpoznać wojskowego. Takiej postawy i ruchów nie dało się pomylić. Jeśli była Niemką, może należała do żeńskiej sekcji Hitlerjugend? Bund Deutscher Mädel była nazistowską organizacją zrzeszającą dziewczęta i młode kobiety, w której szkolono je do służby Trzeciej Rzeszy.

Mary nie grzeszyła urodą. Miała płaską twarz, małe oczy i szerokie, ale nie wydatne usta. Jako człowiek pewnie była grubokoścista. Teraz miała typową dla wampirów niekształtą, wyniszczoną sylwetkę wychudzonej modelki. Jasne włosy związane zostały z tyłu w kok. Nawet ja wiedziałam, że to dla niej wybitnie nietwarzowa fryzura.

Mary towarzyszył dwuszeręg osób, które postępowyły za nią niczym druhny niosące welon panny młodej. Para najbliższej Pani Chmary składała się z dwójki śmiertelników, przystojnego mężczyzny o pustej twarzy i ładnej dziewczyny o prawie pustej twarzy.

Oboje byli nadzy, ich ciała pokrywały ślady ukąszeń w miejscach, gdzie przebiegają tętnice powierzchniowe, oraz w wielu innych. Na skórze dziewczyny widoczne były ślady po stroju kąpielowym, jakiś żartowniś zaznaczył linie górnej części kostiumu czarnym pisakiem. Chłopak miał ciemną karnację, która utrudniała rozróżnienie jego rysów w słabym oświetleniu piwnicy.

Staralam się nie spoglądać im w oczy, bo mało prawdopodobne, bym zdołała im pomóc. Mało prawdopodobne także, żebym samą siebie zdołała ochronić przed tym, co mogło wydarzyć się w nocy. Tych dwoje młodych przebywało tu na tyle długo, że niektóre z ran zdążyły się zabiżnić, a więc niewiele w nich zostało do ocalenia.

Wampiry jak Stefan, troszczące się o ludzi, na których żerowały, potrafiły utrzymać swoje ofiary w dobrej formie przez całe dziesięciolecia, lecz większość krwiopijców była na to zbyt niecierpliwa. Mogłam się założyć, że wampiry z tej chmary nie przejmowały się swoimi ofiarami. Kondycja fizyczna dziewczyny porysowanej mazakiem świadczyła o tym dobitnie.

Resztę świty Mary stanowiły wampiry obojga płci i o różnorodnej aparycji. Nie było wśród nich kobiety, która mnie złowiła i wsadziła do piwnicy. Kiedy wreszcie przestali spływać po schodach, naliczyłam ich dziesięcioro, poza ludzką parką.

Zastanawiałam się, czy uważa mnie za tak groźną? Przecież chyba nie chadzała ciągle po domu z dwunastoosobowym oddziałem służby? A może chciała zrobić wrażenie? Albo po prostu była to swego rodzaju deklaracja.

No chyba że rzeczywiście ciągnęła za sobą wszędzie pełną obstawę. Podobnie jak smród czarnej wiedźmy. Co za skretyniały wampir uznał, że przemienienie wiedźmy jest dobrym pomysłem? Mary albo potrafiła ukryć swój zapach, albo sama nigdy nie wychodziła, bo inaczej każdy wilkołak natychmiast zorientowałby się, czym jest. Choć z pewnością wiedźma umiejająca ukryć swoją chmarę w środku Pragi potrafiła ukryć też swoją moc.

Wataha Libora postrzegala Mary jako pomniejszego wampira, ale krwiopijca, który potrafi czerpać moc z wiedźmiństwa, jest wedle wszelkich definicji najstraszniejszym potworem w mieście.

Wczepiłam się w więź z Adamem, czerpiąc z niej siłę i stanowczość. Obiecałam sobie, że nie pozwolę, by to miejsce było ostatnim, jakie zobaczę na ziemi. Że nie dopuszczę, by widok roześmianego Adama, kiedy zabiła mnie jego córka, był ostatnim, jaki zapamiętam. Że nie

przystanę, by ostatnim zapachem, jakim odetchnę, był ohydny fetor tej rzeźni.

Że przeżyję. Jakoś...

– Mercedes Thompson Hauptman – powitała mnie Mary. Mówiła z wyraźnym akcentem, zdecydowanie słowiańskim, ale trudno powiedzieć, czy czeskim, serbskim, czy może nawet rosyjskim. To kładło kres moim rozważaniom na temat przynależności Mary do nazistowskiej organizacji. Na pewno jednak nie był to typowy czeski akcent.

Patrzyłam na Panią Chmary, nie krzyżując z nią spojrzenia. Prawdopodobnie nie mogłaby podzielać na mnie poprzez kontakt wzrokowy, ale spotkałam jednego wampira, który to potrafił. Niewrażliwość na większość wampirów czasami wydawała się równie użyteczna, co jej brak.

Powiedziała coś jeszcze. Wpatrzyłam się w nią jeszcze intensywniej i po chwili prychnęła poirytowana. Jeden z jej wampirów podszedł, ukląkł przy niej twarzą do mnie. Położyła mu dłoń na głowie i rozpoczęła przemowę.

Kłęczący krwiopijca zaczął tłumaczyć, z wyraźnym akcentem brytyjskich wyższych sfer, podobnym do angielskiego Bena.

– O, jakże spadaś z niebios, córo wilkołaczego króla.

Nadal gapiłam się na Mary. Wiedziała, kim jestem. Prawdopodobnie powiedział jej Bonarata. Mniej prawdopodobne, że wiedziała więcej o amerykańskich wilkołakach i naszych więzach rodzinnych niż reszta nadprzyrodzonej społeczności, z którą się tu zetknęłam.

Co chciała przekazać, trawestując werset z Biblii? Nie widziałam związku pomiędzy sobą a Lucyferem, którego dotyczył cytowany fragment. A może podkradanie i okaleczanie słów proroka miało być jakimś dowodem potęgi – swego rodzaju wyzwaniem? Choć wiedziałam, że Biblia nie działa na wampiry, nie wszyscy, łącznie z niektórymi wampirami, mieli tego świadomość.

A może to tłumacz pozwolił sobie na pewną dowolność? Sporym wysiłkiem woli powstrzymałam się przed zerknięciem na wampira-tubę. To Mary była zagrożeniem.

– Widziałam filmy przyrodnicze o kojotach – ciągnęła wampirzyca poprzez tłumacza. – Myślałam, że będziesz większa. Bardziej imponująca. Powiedział, że uciekłaś Władcy Nocy, więc powinnam dopilnować stosownych warunków twojego więzienia.

Pomyślałam sobie, że w sumie chyba trudno wygłaszać należyte czarnocharakterskie przemowy do niemej ofiary, w dodatku niebezpośrednio, bo poprzez inną. Mary jednak to nie przeszkadzało. Podobnie nie wytrącał jej z równowagi szcęk łańcuchów szarpiącego się więźnia. Wampir przestał wyć, ale targał łańcuchem w iście

heavymetalowym rytmie, który łomotał mi w uszach.

Mary pozornie nie zwracała na niego uwagi, lecz rytm jej wypowiedzi zrównał się ze szczękiem żelastwa. Choć rytmiczne „brzęk, brzęk” doprowadzało do szału, i tak wolałam to od wrzasków.

– Tak sobie myślę, Mercy... Bo tak cię zwa, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się do mnie, jakby uznała mnie za istotę niezwykle czarującą albo coś. Stawiałam raczej na „albo coś”. Odczekała, aż sługa przetłumaczy jej słowa. Możliwe, że czekała na moją odpowiedź, ale nie drgnęłam nawet.

– Takie zdrobnienie – podjęła. – Mercy. „Litość” w twoim języku, prawda? Największa słabość wśród cnót. I jakże, o ironio, trafna.

Podniosła rękę i przesunęła dźwięcznie długimi paznokciami po siatce klatki. Zauważyłam, że ma francuski manicure, ale na małym palcu zobaczyłam odpryśnięty lakier.

– Tu nie ma miejsca na litość – szepnęła. – Za to na tę, której służy za imię, owszem. Za kratami, za srebrem, stałą i magią.

Jakby nikt nigdy nie robił uwag na temat mojego imienia.

– Myślę sobie – powtórzyła – że nie powinnaś żywić nadziei, iż stąd uciekniesz. Trzymaliśmy tu twoich większych kuzynów całymi miesiącami i nie wyszedł stąd żaden, którego nie wypuściliśmy. Zachowamy cię przy życiu, bo on tego chce. Powinnaś o tym pamiętać, zawdzięczasz mu życie.

Komu „mu”? Bonaracie? Jakoś nie sądziłam. Jego wsparciem cieszył się drugi praski Pan, Kocourek. Bonarata, choć zły i zepsuty do szpiku kości, kierował się swoistym kodeksem honorowym. Słyszałam opowieści na ten temat, niektóre makabryczne. Ale to powszechna wiara w niezłomność słowa Władcy Nocy umożliwiało mu tak długo gromadzenie potęgi. Jeśli wspierał jakąś chmarę, nie podałyby tego w wątpliwość, dając to samo drugiej, przebywającej na tym samym terenie łowieckim.

O kim więc mówiła?

Zastrzygłam uchem. Dostrzegła to. Opuściła nieco powieki i uśmiechnęła się ukradkiem.

– Guccio – powiedziała.

Nie od razu skojarzyłam imię. Ale czy właśnie tak nie nazywał się wampirzy piękniś od Bonaraty? Przez ostatnie parę dni poznałam bardzo dużo ludzi, miałam jednak niemal pewność, że Ciacho miał na imię Guccio.

– Widzę, że wiesz, o kogo chodzi. Spotkałaś go przelotnie, robi niezapomniane wrażenie. – Mary zbliżyła się do klatki i przykucnęła tak, że nasze oczy znajdowały się teraz na tym samym poziomie. – Mówił, że jesteś gruba i brzydka. Że woli mnie.

Ju-huuu! Jak dla mnie bomba. Mężatka czy nie, nie umawiałam się

z martwiakami.

Mary wydeła smutno usta, taksując mnie uważnie.

– Nie wydajesz się gruba. Wątła, głupawa, ale nie gruba. Chyba mnie okłamał. A po co miałby to robić, jeśli nie dlatego, że cię pragnie, i nie chciał, bym o tym wiedziała? Jesteś brzydka?

Niechaj niebios strzegą mnie przed zazdrosnymi wampirzycami. Zawsze uważałam wampiry za stworzenia zimne, które postrzegają inne istoty jedynie w kategorii pożywienia.

Nie popełniłam błędu, usiłując odpowiedzieć Mary. Na takie pytanie nie było prawidłowej odpowiedzi. Na szczęście w kojocie formie miałam idealną wymówkę, by zmilczeć.

– Przywlokłś ze sobą inną wiedźmę – oświadczyła po chwili.

Nie miałam bladego pojęcia, o co jej chodzi. Czyżby Bonarata kazał jakiejś wiedźmie ze Stanów przylecieć tu ze mną?

– Powiedział – skarżyła się, krzywiąc smętnie – powiedział, że nie szuka innej, skoro ma mnie. – Świdrowała mnie przenikliwymi oczkami.

– Ale ja nie jestem głupia. Na pewno nie tak głupia, jak on uważa. Skłamał, jeśli chodzi o ciebie. Nie ściągałby tu wiedźmy, gdyby nie był nią zainteresowany.

Ach, więc chciał trzymać Mary w niepewności. Żeby musiała tańczyć, jak jej zagra. Łatwiej kontrolować kogoś, kto ma świadomość, że nie jest niezastąpiony.

– Powiedział, że tak dobrze się spisuję, że zastanawiał się też nad skaptowaniem jej. Ale to starucha, a choć wampiry się nie starzeją, to też nie młodnieją. – Przysunęła się i wymruczała cicho: – Poza tym wygląda na to, że tamta położyła łapska na twoim towarzyszu. Sypiają ze sobą.

Mój towarzysz. Czyli Adam dotarł do Mediolanu, żeby rozmawiać z Bonarata. Czyżby przywiózł ze sobą Elizawietę? Ale po co? Głupie pytanie. Elizawieta była silną strzałą w naszym kołczanie, w każdym razie dopóki uznawała, że chce celować w korzystną dla nas stronę. Lubiała Adama. Uświadomiłam sobie, że nie powinnam się dziwić jej obecności, to pewnie magia Elizawiety umożliwiła nam kontakt, kiedy jechałam w luku bagażowym autobusu.

Mary westchnęła z żalem. Prawdopodobnie oczekiwała, że zareaguje zazdrością na jej komentarz o Elizawiecie i Adamie. Ale jeśli było cokolwiek stałego w moim życiu, to był tym czymś Adam. Prędzej piramidy utonęłyby w piachu, niż Adam złamał swoje słowo i zdradził kogokolwiek, o mnie nie wspominając.

– Masz szczęście, że Guccio nie był pod wrażeniem tej wiedźmy – oświadczyła wreszcie, nie rezygnując z nieatrakcyjnej nadąsanej miny. – Powiedział, że raczej nie jest skłonna do współpracy, więc nie byłaby tak użyteczna jak ja. Nie zniosłabym, gdyby wybrał inną do robienia tego, co ja dla niego robię. Mógłby ci się wtedy przydarzyć jakiś wypadek.

Elizawieta potrafiła się bronić. Podejrzewałam, że jeśli Guccio próbował ją przekabacić, odkrył, że do pięć jej nie dorasta. Niewiele wiedziałam o nim, ale Elizawietę znałam całkiem, całkiem.

– Będzie ze mnie zadowolony – powiedziała najwyraźniej do siebie, bo podniosła się i odwróciła tyłem do klatki, choć jej wampirzy sługa nadal tłumaczył jej słowa.

Wzrok Mary padł na skutego więźnia.

– A ten czemu tu jeszcze jest? Mówiłam wam, że ten eksperyment się nie powiódł.

Ktoś coś powiedział.

– To nie tamten?

Tłumacz przekładał jedynie to, co mówiła Mary, rozumiałam więc tylko jedną stronę konwersacji.

Przyjrzała się bliżej wampirowi pod ścianą.

– To Weis? Myślałam, że dobrze mu idzie.

Tłumacz spojrział na mnie i wyszedł z roli, wykorzystując, że Mary skupiła się na czymś innym.

Zaczął szeptać bardzo szybko:

– Stосуje magię, żeby prędzej przemieniać ludzi w wampiry. Ostatnio jej się udało. Tego tam stworzyła w dwa tygodnie i działał dobrze przez trzy miesiące. Ale każdy z nich w końcu się degeneruje nagle i bez ostrzeżenia. – Zawiesił głos. – Skoro uciekłaś Panu Mediolanu, może i to uda ci się przetrwać. Ktoś musi się dowiedzieć, co ona tu robi, i przygotować się na kłopoty, które się przez to pojawiają. Powinno się zniszczyć każdego wampira, który do niej należy, żeby nie wyciekła informacja o tym, co się tu dzieje.

Skróciła proces tworzenia wampirów do dwóch tygodni? Aż tak przyspieszyła to, co normalnie wymagało wielu lat? Gdyby inne wampiry dowiedziały się, jak to zrobić, groziłby nam zalew krwiopicjów, zanimbyśmy się zorientowali, z czym mamy do czynienia. Powódź wampirów, które w każdej chwili mogą zmienić się w bezrozumne monstra.

Skinęłam łbem, dając znać, że usłyszałam.

W tym czasie Mary podeszła do skutego wampira. Uspokoił się, kiedy się zbliżyła. Wyciągnęła rękę, podstawiając przegub, a on rzucił się naprzód gwałtownie, przytrzymując ją z całej siły szponami, jakby bał się, że zabierze dłoń.

Choć odrobinę zeszywniała, nie cofnęła się. Zapach wiedźmiej magii wzmógł się, a ja przypomniałam sobie, że wiedźmy czerpią moc z bólu, nawet własnego. Mary poklepała więźnia drugą ręką.

Powiedziała coś, ale mój tłumacz milczał, więc nie zrozumiałam. Brzmiało łagodnie, czule, jak coś, co matka mówi do chorego dziecka.

Żerowanie trwało i trwało, lecz nikt poza Mary nawet nie drgnął. Nie

było to raczej przedstawienie na mój użytek, więc podniosłam lokatę Pani Chmary w dziedzinie straszności, choć i tak plasowała się już bardzo wysoko.

Schyliłam łeb, starając się robić wrażenie małej i nieszkodliwej, a jednocześnie mieć oko na wszystkich obecnych. Jedyną zaletą klatki z mojej perspektywy było to, że zanim któreś z nich zdołałoby mi się dostać do skóry, musiałyby przedtem otworzyć drzwiczki.

Pomrukując kojąco, Mary wyszarpnęła rękę spod ust żerującego wampira. Ten zachwiał się, mrugając w oszołomieniu, a potem rozejrzał się i coś powiedział.

– Skąd się tu wziąłem? – przetłumaczył mój sprzymierzeniec, jeśli nim był. – Dlaczego tu jestem? Rozgniewałem cię czymś, pani?

Mary poklepała go po policzku zdrową ręką, podczas gdy naga dziewczyna obwiązywała jej nadgarstek drugiej czystawą, niegdyś białą szmatką. Mary odpowiedziała wampirovi coś, co wywołało jego uśmiech.

A potem nagle, w mgnieniu oka, uśmiech zniknął i krwio pijca rzucił się naprzód. Tym razem zatopił zęby w szyi dziewczyny, którą Mary zasłoniła się jak tarczą. Wampirzyca cofnęła się poza zasięg szaleńca, sięgnęła, łapiąc dziewczynę za ramię, i odciągnęła ją brutalnie, nie bacząc, że wyrządza jej tym jeszcze większą krzywdę. Dziewczyna przez moment zastygła z bólu czy zaskoczenia w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się Mary. Krew buchała z jej rozdartego gardła, zalewając opaleniznę i ściekając na klepisko. Złapała się za szyję, a potem runęła twarzą na ziemię. Padła z głuchym łoskotem, martwa, jak przypuszczałam, choć ciało drgało jeszcze przez chwilę.

Mary odwróciła się do wampira, który zwisał teraz bezwładnie w okowach, i uniosła na niego rękę zalaną krwią – swoją, dziewczyny i więźnia. I zaczęła śpiewnie recytować.

Odprawiała magię.

Piwnica wypełniła się jej głosem. Czułam jego przyciąganie. Magia pełzła po mnie niczym usta poszukujące czegoś smacznego, ale ześliznęła się, zostawiając jedynie osad mocy.

Skuty łańcuchami wampir znów zaczął krzyczeć, ale był to krzyk innego rodzaju. Jego ciało skręcało się i miotano, jakby więźnia rażono prądem. Po kilku minutach głos załamał mu się z napięcia, ale nadal wrzeszczał.

Wiedzmy karmią się bólem.

W końcu umilkł, umierając. Wiedziałam, że nie żyje dzięki pozostającym na mnie resztkom magii Mary. Nie zaczął się rozkładać ani nie obrócił się w proch. Musiał być bardzo nowym wampirem, bo nawet nie śmierdział jak gnijący trup. Pachniał po prostu jak martwy.

– Widzisz? – tłumacz odezwał się do mnie cicho. – Wynaturzenie.

Tym razem Mary go usłyszała. Okręciła się i utkwiała w nim zimne oczy. Powiedziała coś.

– Co tam do niej szepcesz, Kocourku? – przełożył jej słowa.

Kocourek. Kocourek, Pan głównej praskiej chmary? Co on tu robił, klęcząc u stóp Mary? Ciekawe, jak długo już był w jej mocy.

Libor powinien przykładać więcej wagi do wampirzego towarzystwa w tym mieście. Kiedy Kocourek odpowiedział, Mary przyjrzała mu się bacznie, a potem potoczyła wzrokiem po reszcie, mówiąc coś.

– Kto z was jeszcze zna angielski? – przetłumaczył.

Nikt się nie zgłosił.

Wymówiła jakieś słowo, składając palce w pobliżu ust. Kocourek skłonił głowę i wstał. Kiedy Mary zaczęła wchodzić po drewnianych stopniach, ruszył za nią, nie oglądając się na mnie. Teraz, bez dziewczyny, jej dwuszeregowy pociąg był nieco krzywy, ale chyba nikt poza mną nie zwracał na to uwagi.

Na wierzchołku schodów zatrzymała się i odwróciła.

– Guccio mówi, że twój taworzysz przekonał Bonaratę, że twoja śmierć rozpętałaby wojnę pomiędzy królem wilkołaków i ludźmi Władcy Nocy. Prosił, żebym nie zabijała cię, dopóki tego nie sprawdzi. – Uśmiechnęła się i tym razem był to promienny uśmiech, dzięki któremu jej pospolita twarz wypiękniała. – Ale wkrótce się ze mną skontaktuje. Za to mogę się zabawić. Teraz jestem zajęta, ale możesz się mnie spodziewać za parę godzin. Nigdy wcześniej nie miałam okazji pobawić się kimś z twojego rodzaju.

Wyszli, zostawiając dwa nowe trupy. Nie byli to jednak wszyscy martwi w tej piwnicy. W mieście tak starym jak Praga, w domu tak starym jak ten, było dużo duchów. A martwi z tej części Pragi obserwowali wizytę Mary w piwnicy. Po jej zakończeniu, podobnie jak i ja, zwrócili uwagę ku innemu potworowi, czekającemu, aż ci, którzy nie widzą zmarłych, zakończą swoje sprawy.



Prawie godzinę wcześniej, kiedy sprawdzałam więź z Adamem, licząc, że zadziała tak, jak powinna, że uda mi się z nim skontaktować, przekazać, jak bardzo go potrzebuję, jak bardzo go kocham i że jestem sama, i że się boję... poczułam coś, co dotknęło połączenia i ześliznęło się z niego, niezdolne go spenetrować, przedostać się w głąb mnie lub więzi. Ale istota ta zdołała z jej pomocą, poprzez magię więdźmy, przedostać się do piwnicy, w której mnie przetrzymywano.

Było inaczej niż za pierwszym razem. Jego obecność wydawała się jeszcze przemożniejsza. Czułam jego magię, jednocześnie znajomą

i obcą, płynęła strumieniem energii przeze mnie i wokół nas wszystkich, poruszając duchy. A było ich bardzo dużo.

Wampir przy ścianie nabrał powietrza, żeby wznowić swój koncert wrzasków, zamilkł jednak, jakby wyczuł golema. Przyłgął do ściany i odwrócił od nas twarz.

Największą różnicą pomiędzy tym a wcześniejszym spotkaniem było to, że golem do mnie przemówił.

Mercy – rozbrzmiało mi w głowie. Nie wymówił mojego imienia, raczej zidentyfikował moją tożsamość, znacznie dogłębniej, niż mogło to oddać samo imię.

Jego moc przypominała... Przełknęłam nerwowo ślinę, uświadamiając sobie, skąd to wrażenie, że ją rozpoznaję. Magia golema była podobna do tej Guayoty, boga wulkanu, który niedawno omal mnie nie zabił. Kostka nadal rwała mnie przed burzą.

Od urodzenia żyłam z magią – choć nie układało mi się z nią tak wesolutko jak Harry'emu Potterowi. Owszem, magia działała według określonych zasad, ale były one elastyczne i różne rodzaje mocy funkcjonowały w różny sposób, a różnorodność tę tworzyły istoty, które korzystały z jej aspektów, każda po swojemu. Istniała więc magia watahy, magia wampirów. Magia wiedźm. Magów, szamanów, pradawnych...

A jeśli chodzi o mnie? Ja posiadałam zaledwie jej strzępek, niteczkę. Mogłam przemieniać się w kojota. Należałam do zmiennokształtnych, potomków „awatarów” reprezentujących świat zwierząt w wierzeniach rdzennych ludów Ameryki. Do naszych zadań, między innymi – w czasach przed zalewem europejskich najeźdźców i ich chorób, które prawie całkiem zmiotły Indian z powierzchni ziemi – należało zajmowanie się duchami zmarłych. Właśnie z tego powodu – tak przynajmniej sobie to poukładałam – magia nieżyjących bytów nie działała na mnie, natomiast odwrotnie było z moim wpływem na nie.

Obecność martwego golema wzmocniła natężenie mojego przyciągania duchów do maksimum, aż dosłownie w nich tonęłam. Jeśli jeszcze miałam jakieś wątpliwości, czy to naprawdę efekt spotkania z golemem, sytuacja, która miała miejsce tu i teraz, pozbawiła mnie ich raz na zawsze.

Duchy załazy piwnicę pomimo bliskości wampirów. Duchy nie lubiły wampirów. Kiedyś sądziłam, że to dlatego, iż były ofiarami tych ostatnich. Ale później dowiedziałam się o predyspozycjach niektórych krwiopicjów, pozwalających im na kontrolowanie duchów albo pochłanianie ich substancji w celu zasilenia własnej mocy.

Choć równie dobrze mogło też chodzić o coś tak prostego jak instynktowna niechęć do wampirów, jaką żywiły na przykład koty (z wyjątkiem mojej Medei).

Zmarli zebrali się wokół mnie i golema, jakbyśmy byli ogniskiem podczas zimy w Montanie. Powietrze zgęstniało od niematerii tworzącej ich bezcielesne postaci tak, że czułam jej wibracje w kościach.

Jesteśmy podobni – oświadczył golem. Chronimy przed złem. Ty odnalazłaś tę moc ukrytą przede mną, ten wrzód, tego raka, zgniliznę toczącą serce mojej dziedziny i oświeciłaś dla mnie ścieżkę do niej. Czy możesz zniszczyć te demony?

Do tej rozmowy potrzebowałam przemienić się w człowieka. Pewnie mogliśmy porozumiewać się bezgłośnie, bo golem nie artykułował słów, ale ja wolałam mówić normalnie, ubierać myśli w konkretniejsze kształty, niż posługiwać się niezbornym chaosem myślowym, który zazwyczaj kłębił mi się w głowie.

Początkowo pojawienie się golema rozpało we mnie iskierkę nadziei, że może uda mi się wyjść z tego cało. Jednak po przemianie nadzieja ta zniknęła wraz z ogrzewającym mnie futrem. W piwnicy zrobiło się dużo zimniej, kiedy klęczałam naga w klatce z duchowym golemem obok.

Golem był bytem bez konkretnej formy, a fakt, że przeniknął przez barierę wiedzy, oznaczał, że nie mógł wpływać na świat materii, tak jak materia nie oddziaływała na niego.

Nabrałam tchu i poczułam golema wszystkimi zmysłami. Nie był widmem jak cienie zmarłych, nie dosłownie, miałam wrażenie, że jest raczej esencją, projekcją. Niby to samo, a jednak nie do końca. Pozostałość po golemie rabina Löwa była podobna do ducha. Ale nie potrafiłam ocenić, czy to magia rabina stała za elementem wywołującym różnicę w odbiorze, czy może to przez ten sam rodzaj magii, co u Guayoty.

Nie posiadał żadnej mocy sprawczej, bo tej pozbawił go stwórca, rabin Löw, odbierając bytowi życie, którym wcześniej go obdarzył.

Zawsze postrzegałam golemy – choć nie analizowałam tego gruntownie, bo w Tri-Cities golemy nie chodzą stadami, więc okazji do zastanawiania się nad nimi raczej brakowało – jako coś w rodzaju magicznych robotów, ożywionych kawałków gliny, posłusznych woli tego, kto powołał je do istnienia.

Nasze wcześniejsze spotkanie w dzielnicy żydowskiej zachwiało tym przekonaniem. Dostrzegłam w golemie cząstkę... samostanowienia, świadomości, które nie należały do robota. Poza tym roboty nie miały duchów, które włóczyły się po ulicach długo po tym, jak maszyna przestała istnieć.

Mój umysł rozpracowywał gdzieś w tle zagadkę golema, odkąd natknęłam się na niego po raz pierwszy.

Nie potrafię sprawnie posługiwać się magią. Nie wiedziałam niczego o kabalistycznej magii użytej przez rabina do stworzenia praskiego

golema. Ale zetknęłam się w życiu z wieloma rodzajami mocy.

Nie miałam pojęcia, czym golem się stał, lecz sądząc po otaczającej go magii, byłam prawie pewna, że zaczął jako Manitu.

Manitu, według Kojota (tak, tego Kojota), to cząstki sił przyrody. Ziemia miała gigantyczne Manitu, które mogło zespolić się w jedną siłę, zbyt wielką, by ingerować w pomniejszych rzeczy. Manitu Ziemi głównie śpi i wszyscy powinniśmy za to dziękować naszym szczęśliwym gwiazdom.

Każdy dmuchawiec i kamyk posiadają okruch Manitu, okruch, który jest niezależną częścią całości. Ale Manitu dmuchawca jest maleńkie i nie ma mocy wpływania na otaczający go świat. Również góry i jeziora posiadają Manitu, o wiele potężniejsze i, podobnie jak Manitu Matki Ziemi, groźne, kiedy się przebudzą. Zazwyczaj jednak tego nie robią.

Kojot wyjaśnił, że on i inne awatary są powiązani z Manitu – jak koń i osioł, zobrazował. Wyszczrzył się wtedy do mnie, leżącej w łóżku szpitalnym, gdzie trafiłam przez Guayotę, który, również według Kojota, był Manitu wielkiego wulkanu.

Może nie jestem znawczynią kabały, byłam jednak przekonana, że rabin Löw, stwórca golema, znalazł Manitu czegoś pomiędzy górą a kamykiem. Potężne na tyle, by stać się golemem, lecz odpowiednio słabe, by mógł je kontrolować ktoś władający kabalistyczną magią. Prawdopodobnie nie Manitu Wełtawy, które byłoby wielkie i potężne, ale może jakiegoś podziemnego strumienia albo wzgórza, albo czegoś rodzimego dla Józefowa.

Dla mnie ten czyn był złym postępkim, ponieważ polegał na zniewoleniu żywej siły. Wątpiłam jednak, by człowiek urodzony i wychowany w Europie postrzegał tę siłę jako coś żywego. Prędzej jako magiczną energię. Fakt, że Manitu związane było z konkretnym miejscem, wzmocnił magię rabina.

Z opowieści wynikało, że rabin był dobrym człowiekiem. Z pewnością byłby wstrząśnięty, wiedząc, co zrobił. Ale większość Kościołów judeochrześcijańskich nie wierzyła w Manitu. Zapewne, podobnie jak i ja wcześniej, sądził, że golem to robot, przedmiot bez uczuć i prawdziwego życia.

Posługując się tą robotyczną analogią, kiedy rabin musiał wyłączyć golema, uwięził Manitu w sztucznej, przykłej egzystencji. Golem był martwy i niemarty. Po części, jak mi się zdawało, ze względu na naturę działania wyłącznika.

W zależności od przekazu – istniało kilka sposobów na ożywienie golema – rabin Löw wyciął na czole golema wyraz emet, po hebrajsku „prawda”. Chcąc go dezaktywować, rabin usunął pierwszą literę, pozostawiając met, czyli „martwy”.

Problem w tym, według mnie, że Manitu nie może umrzeć. Ono po

prostu istnieje, jak słońce czy deszcz. Można je zmienić albo ukryć, ale nie można uśmiercić. Jednak magia rabina zbyt mocno wpoila rozkaz, żeby golem mógł go zignorować, a więc nie mógł dalej żyć.

Golem śledził mój proces myślenia, bezgłośnie przebiegający mi w głowie. Trudno orzec, czy zgadzał się z moimi wnioskami, czy też nie, ani czy w ogóle je pojmował, ale coś skłoniło go do odezwania się.

Nie jako siła natury, nie jako golem i nie jako duch – powiedział. Jednocześnie jako po trosze każde z nich nie przestałem strzec ulic Pragi. Byłem bezsilny wobec zła szerzonego przez ludzi i wampiry, tych, którzy mnie nie widzą i nie wyczuwają. Ale musiałem czynić to, czego nie mogłem. Rabin Löw nakazał mi dbać o bezpieczeństwo Józefowa. Dlatego dryfowałem nocami przez praskie ulice, niezdolny zarzucić wyznaczonego zadania ani też go wypełnić. I nagle natknąłem się na ciebie. A potem zdołałem odstraszyć złodzieja – ja, którego nikt wcześniej nie spostrzegł. Coś się stało dzięki tobie, uczyniłaś mnie bardziej realnym, na tyle, bym zdołał wyrwać drzwi z zawiasów.

Nasza interakcja wzmocniła moją magię tak, że grzęzłam w duchach, gdziekolwiek się nie pojawiłam. To kolejny dowód, utwierdzający mnie w przekonaniu, że golem został stworzony z Manitu. Gdyby nie nasze powinowactwo – jak konia i osła – prawdopodobnie nie wpłynęłoby na mnie w ten sposób. Nie wzięłam natomiast pod uwagę, jak ja wpłynęłam na niego.

Golem powtórzył swoje pierwotne pytanie:

Czy możesz zniszczyć te monstra?

Zaśmiałam się z niedowierzaniem.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto może coś zrobić wampirom?

Klatka była powleczone srebrem, które nie robiło na mnie wrażenia, ale zespawana metalowa siatka trzymała mocno. Przez małe oczka mogłam precyzyjnie co najwyżej dwa palce. Nawet gdyby ktoś podał mi klucz, nie mogłabym otworzyć zamka z zewnątrz.

Poklepałam drzwiczki klatki.

– Nawet bez tego nie dałabym im rady. Nie mam żadnej mocy, golemie.

Golem wydał tak grzmiący dźwięk, aż wampir przy ścianie się wzdrygnął.

Kroczysz ścieżkami umarłych – rzekł golem. Martwi słyszą cię i muszą robić, co im każesz. Te demony, wampiry, połknęły śmierć, by zostać na ziemi. Nie mogą oprzeć się twojej mocy.

Tym jednym zdaniem golem objaśnił to, z czym zmagalam się całe życie – stwierdzając, że mój rodzaj miał cel, że istniał po coś.

Zatchnęłam się, gapiąc na niego. Przypomniałam sobie po chwili, że przecież pochodzę z innego kontynentu i golem nie mógł spotkać tu kogoś takiego jak ja.

Wiem, czym jesteś. Mercy. I znów nie wypowiedział mojego imienia. To było coś znacznie więcej. I lepiej mnie opisywało.

– Z mojego doświadczenia wynika – rzekłam ostrożnie – że może mogłabym zmusić do posłuszeństwa pojedynczego wampira, ale tylko na krótką chwilę. W tym miejscu jest ich wiele. – Czułam ich przytłaczającą obecność.

Wampir spod ściany znów wrzasnął, jak to czynił co jakiś czas, odkąd zostałam tu uwięziona. Tym razem aż podskoczyłam, bo długo już zachowywał się cicho, a ja skupiałam się na golemie.

Odwróciłam się do wampira i przywołując autorytet, z jakim nauczyłam się wyrażać w stadzie, powiedziałam:

– Zamilcz.

Krzyknął jeszcze głośniej, wkładając w to więcej uczucia.

Powtórzyłam komendę. Tym razem golem sięgnął przez siatkę i dotknął mojej piersi. Przepeliła mnie moc i wampir się uciszył.

– Przestań na mnie patrzeć – szepnęłam, napędzana raczej życzeniem golema niż własnym, i wampir odwrócił głowę.

Zacisnęłam usta. Czułam, że to niewłaściwe posiadać taką moc nad inną istotą, nawet wampirem, i używać jej, jakby nie była stworzeniem myślącym. Nie dawać jej wyboru, zmuszać, by mnie słuchała.

Zimna ręka pogładziła mnie po ramieniu. Jeden z duchów podpełzł do mnie i dotknął. Zadrżałam, ale nie rozkazałam mu się cofnąć.

Współpraca to jedno, niewolnictwo to co innego. Zdawałam sobie sprawę z rzeczy, o których nie wiedział rabin Löw, więc nie miałam wymówki na takie postępowanie.

To nie tak, że nigdy nie zmusiłam ducha do postąpienia wedle mojej woli. Duchy nie były ludźmi, których śmierć zmusiła do trwania. Ale czułam się coraz mniej przekonana, że to oznaczało, iż nie są prawdziwymi bytami. A to znowu oznaczało, że poza sytuacjami obrony własnej bądź innej osoby nie mogę już zmuszać ich do posłuszeństwa.

Skoro mój szept tak mocno wpłynął na wampira, to żaden duch nie miał szans mi się oprzeć.

Wampir, nie patrząc na mnie, zaczął szarpać łańcuchami. Brzęk, brzęk, brzęk, poszczekiwał rytmicznie niby tamburmajor. Brzęk, brzęk, brzęk.

– Widzisz? – zwróciłam się do golema. – Wyzwolił się. A teraz wyobraź sobie, jak próbuję panować nad kilkunastoma naraz. Ten w dodatku jest szalony, a to z pewnością nie pomaga mu się mi opierać.

Golem popatrzył na mnie. Nie miał oczu – odbierałam go raczej innymi zmysłami niż wzrokiem. Jednak czułam na sobie jego spojrzenie.

Mam inną propozycję. Miałem bardzo dużo czasu na myślenie o tym, jak mógłbym sobie radzić. Mój mistrz przy mnie posługiwał się magią i nauczał przy mnie swoich uczniów. Mam wiedzę, ale nie moc.

– W tym ci nie pomogę. Nie mam żadnej mocy.

Czyżby?

Golem skierował uwagę na duszycę przy mnie. Skurczyła się przed nim, wtuliła we mnie, jakby uważała, że mogę jej pomóc. Trudno powiedzieć, jak długo była duchem, może dzień, a może wiek. Mogła być ofiarą wampirów, nazistów lub jednego z pogromów, które sprawiły, że rabin Löw postanowił chronić dzielnicę żydowską z pomocą golema.

Około dwudziestu, trzydziestu duchów wokół widziałam na tyle wyraźnie, by rozpoznawać ich rysy. Dodatkowo jakiś tuzin innych, jako smugi substancji stanowiącej ich postaci. Ale poza tym czułam, że całą piwnicę wypełniają duchy. Zdałam sobie sprawę, że zwracam na nie uwagę dlatego, że tego właśnie chciał ode mnie golem.

Nie masz mocy? – powtórzył golem. Skarm mnie nimi, a będę w stanie się odnowić. Wiem, jak to uczynić. Mógłbym znów chronić moje miejsce.

– Skarmić cię? – zdziwiłam się.

Nakarm mnie duchami – wyjaśnił, jakby myślał, że nie zrozumiałam go za pierwszym razem.

– Nie – zaprotestowałam. – Nie są moją własnością.

Jakby popierając moje słowa, duszyca wtuliła twarz w moje ramię i zaszlochała. Jej łzy spływały mi po skórze.

Nakarm mnie nimi, a oczyszczę to miejsce z robactwa, które żeruje na moich ludziach. Jeśli im powiesz, duchom, że mają mi się pozwolić pożreć, oddadzą mi się. Zamilkł na moment. Nie mogę ich do tego nakłonić sam, choć próbowałem od czasu naszego spotkania, kiedy to powziąłem ten pomysł.

Kiedy już otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, szcęknęła kłamka w drzwiach na szczycie schodów. Duchy odeszły szybciej, niż przybyły. Przemieniłam się w kojota i czekałam na spotkanie z Mary, żeby przekonać się, w jak fatalnej znalazłam się sytuacji.



Przed wizytą Mary byłam pewna swojej odpowiedzi golemowi, ale informacje od Kocourka zmieniły wszystko.



Gdy tylko Mary i jej świta odeszli, przemieniłam się na powrót w człowieka i spojrzałam na golema, który niezauważony obserwował całe zajście.

Nie rozkazałam duchom oddać się golemowi na pożarcie. On

najwyraźniej potrzebował tylko ich zgody, obojętnie jakiej – czy to świadomej, czy nieświadomej, dobrowolnej bądź nie.

Ja jednak tak nie mogłam. Ponieważ w odróżnieniu od rabina Löwa wiedziałam dobrze, co robię. Znałam różnicę pomiędzy dobrem a złem, wiedziałam, że ludzie na tej planecie nie są jedynymi istotami zasługującymi na traktowanie wedle zasady „nie czynź drugiemu, co tobie niemiłe”.

Przyzwałam do nas duchy, i to nie tylko te, które przybyły wcześniej, przyciągnięte przez naszą połączoną obecność. Wezwałam wszystkie duchy, jakie wyczuwałam. Kiedy golem mnie dotknął, bym sięgnęła dalej, nie wzdragałam się. To, co robiliśmy, było straszne, ale jedyną straszniejszą rzeczą niż odarcie tych bytów z nikłych resztek egzystencji, byłoby zebranie niewystarczającej energii, by skutecznie działać. Przybywały, wypełniając coraz ciasniej piwnicę, aż musiałam zacząć bardzo ostrożnie oddychać, żeby nie wciągnąć ich do płuc z powietrzem, którego potrzebowałam do życia.

– Posłuchajcie. – Podobnie jak w przypadku duchów Libora nie było pomiędzy nami bariery językowej. Zamilkły. Czułam ich wyteżoną uwagę jak ciepło letnich promieni słonecznych na karku. – Mam dla was propozycję. Zgoda na nią jest równoznaczna z końcem waszego istnienia na tym świecie. Nie wiem dokładnie, jak to pojmiecie i co to tak naprawdę dla was oznacza.

Ignorując zniecierpliwienie golema, wyjaśniłam, czego potrzebujemy i dlaczego. Chyba co najmniej połowa duchów mnie zrozumiała. Reszta była zbyt fragmentaryczna, by myśleć logicznie albo zakomunikować swoje wnioski, nawet jeśli rozumiały mój przekaz. Niektóre duchy były bardzo stare, starsze niż kamienica. Napływały przez cały czas, kiedy mówiłam, aż ich zagęszczenie sprawiło, że temperatura w piwnicy znacznie spadła. W końcu widziałam już parę mojego oddechu, a metal klatki pokrył się szronem.

Wyjaśniłam wszystko dwukrotnie. A kiedy skończyłam, czekałam. Czułam napór zmarłych na piersi.

Tak – odpowiedziały wszystkie jednym głosem. Te, które miały głos.

– Nakarmcie go – rzekłam, a golem przydał mocy mojej komendzie i magii, która była jego działaniem.

Zbliżyły się do niego. Niektóre wyglądały tak żywo, że dałabym się oszukać. Inne stanowiły ledwie echo jakiejś emocji lub pojedynczego momentu. Jednak nawet pomimo wzmocnienia, jakie zapewniał mi golem, większość mogłam tylko wyczuć.

Siła golema otoczyła je, wchłaniając w czern, aż pozostał tylko jeden – duch dziewczyny, która do mnie przylgnęła i nie opuszczała przez całą wizytę Mary. Ukryła twarz przed golemem.

Ta też – powiedział.

Nie – szepnęła mi do ucha, aż mnie przeszły ciarki.

– Nie – sprzeciwiłam się stanowczo. – Tylko te, które się na to godzą.

Potrzebuję ich wszystkich – zagrzemiał głos, który przeniknął mnie do szpiku kości.

Nie odezwałam się już. Łzy duszycy były na tyle realne, że czułam, jak spływają po mojej nagiej skórze. Golem nie był materialny, jeszcze nie, ale jego bytność zagęściła powietrze, kiedy próbował nagiąć mnie do swojej woli – bezowocnie.

W końcu odszedł.

Powiedziałam sobie, że nie oddałabym mu duchów, gdybym nie dowiedziała się, że Mary knuje coś znacznie gorszego, niż mogłam sobie wyobrazić. Powiedziałam sobie, że byłam odpowiedzialna za zło, które mogło wydarzyć się w Pradze, bo jeśli informacja o tym, co robiła Mary, wydostałaby się na świat, zło dotknęłoby wszystkich. Każdego człowieka, wampira i każdą inną istotę.

Wampiry, których liczebność ograniczała trudność w tworzeniu kolejnych, z zapalem wykorzystwałyby okazję, żeby zwiększyć szybkość i efektywność powstawania nowych istot ich rodzaju. Zaczęłyby rekrutować wiedźmy.

Próbowałam sobie wyobrazić Elizawietę jako wampira i natychmiast przestałam, bo musiałam trzeźwo myśleć, a nie kiwać się skulona w kącie klatki.

Nowo tworzone w ten sposób wampiry miały krótki termin istnienia, które kończyło się eksplozją. Ludzie prawdopodobnie szybko dostrzegliby, co się dzieje.

Wybuchłaby wojna. Urodziłam się na tyle dawno, że pamiętam paranoiczne szaleństwo, jakie ogarnęło świat, kiedy wyszło na jaw istnienie magicznego ludu. Pamiętam agresywne bandy w małych miasteczkach podpalające domy swoich sąsiadów, których podejrzewali o przynależność do pradawnych. Pamiętam, jak ludzi rozrywano dosłownie na strzępy. Nie bez powodu, kiedy pradawni zaproponowali utworzenie dla siebie rezerwatów, rząd tak szybko wszystko zaaranżował. A przecież magiczne istoty, upodobnione do ludzi, nie były wtedy uważane za groźne. Nie musiały zabijać ludzi, by przeżyć.

Ale wampiry już tak.

Całe masy ludzi straciłyby życie, gdyby społeczeństwo śmiertelników uwierzyło, że wampiry istnieją naprawdę, tak samo jak magiczny lud czy wilkołaki. Chyba jednym z powodów, dla których Bran tak długo zwlekał z ujawnieniem istnienia wilkołaków, była właśnie obawa, że ludzie, którzy uwierzą w wilkołaki, będą bardziej skłonni uwierzyć również w wampiry.

Istniały więc dobre przesłanki, by napuścić golem na wampiry i liczyć, że nie zwróci się on przeciwko niczego niepodejrzewającym

prażanom. Rabin Löw próbował ostatecznie uśmiercić golema. A sama pamiętałam żar dotyku palców golema na moim policzku.

Obawiałam się jednak, że tak naprawdę uległam prośbie golema, bo nie potrafiłam znieść myśli, co stanie się z Adamem, jeśli tu zginę. Wierzyłam mocno, że śmierć to nie koniec ostateczny. Oczywiście nie cieszyła mnie perspektywa tortur – mieliśmy raz w stadzie wilkołaka torturowanego przez wiedźmy – ale nie mogły trwać wiecznie. Natomiast Adam...

To o niego się martwiłam. Obiecałam mu kiedyś, że uczynię wszystko, co możliwe, żeby przeżyć, dla niego, i obietnica nadal mnie obligowała.

Tak, poprosiłabym duchy o poświęcenie się, zapewniłabym golemowi możliwość odnowy ze względu na Adama. To, że istniały inne ważne powody, ułatwiało sprawę, lecz nie czyniło ze mnie lepszego człowieka.

Pod ścianami piwnicy przemykały szczury. To chyba ja stanowiłam przyczynę ich stropienia, kiedy znów się przemieniłam. Może i nie znały kojotów, ale znały psy – widać niepokoiłam je bardziej, niż przyciągał zapach świeżego truchła.

Złożyłam pysk na łapach i zamknęłam oczy. Zgłodniałam po takim wydatku energii, ale nie mogłam polować na szczury zamknięta za siatką. One też nie mogły mnie podgryzać.

Czekałam na golema z nadzieją. Z nadzieją, że postąpiłam słusznie. Z nadzieją, że to zadziała tak, jak golem tego oczekiwał. Z nadzieją, że posiadając materialną postać, również będzie mógł przeniknąć magiczną barierę, którą wiedźma otoczyła to miejsce, i że je odnajdzie. Z nadzieją, że poradzi sobie z mieszkającymi tu wampirami. I że wyniknie z tego coś dobrego.

Ale głównie? Głównie się martwiłam.



Rozdział 10

Adam

Historia Adama toczy się o poranku, pierwszego po przybyciu do Mediolanu. W tym mniej więcej czasie wstałam, ubrałam się i poszłam do kafejki z darmowym wi-fi, żeby spróbować się z kimś skontaktować. A Adam i jego towarzysze rozeszli się do wcześniej wyznaczonych pokoi.

Adam znał wiele sposobów na radzenie sobie ze zmianą strefy czasowej, ale najlepszym, jaki odkrył, było czuwanie, kiedy musiał być na nogach, i spanie, kiedy tylko się dało wypoczywać. Liczył, że nie pozostanie w Europie na tyle długo, żeby się przestawić.

Ponieważ gościli u wampira, spać położyli się o świcie. Biorąc pod uwagę, że jego wewnętrzny zegar dobowy i tak rozszalał się przez zmianę długości geograficznej, przestawienie się na funkcjonowanie w odwrotnych porach dnia i nocy było pestką.

Nie podobało mu się, że jego ludzie zostali rozdzieleni, ale nie mógł zabrać Harrisa i Smitha do apartamentu, nie suponując równocześnie, że nie ufa w siłę Bonaraty do upilnowania swoich wampirów. Adam miał niemal pewność, że Bonarata jest w stanie to zrobić. Nie do końca jednak wierzył w szczerą chęć Władcy Nocy zapewnienia bezpieczeństwa gościom.

Poza tym nie był całkiem przekonany, czy ta farsa z udawaniem jednej wielkiej objazdowej orgii pomagała ich sprawie. Posiłek w towarzystwie wampirów obudził w Adamie podejrzenia, że intrygi Marsilii dotyczyły rozgrywki pomiędzy nią a Bonarata i nie miały nic wspólnego z kwestią lepszej obronności przez posiadanie wspólnej przestrzeni mieszkalnej.

Przewidywał, że Bonarata, choć zazdrośnik i pies ogrodnika, zdawał sobie doskonale sprawę, że jego goście śpią ze sobą w najbardziej niewinnym sensie tego słowa. Każdy bystrzejszy wilkołak zorientowałby się w tym teatrzyku. Coś w języku ciała i zapachu sprawiało, że takie rzeczy stawały się oczywiste.

Tyle chociaż, że dzięki tym machinacjom Marsilii wystarczyło pilnować dwóch miejsc. Dwaj wygnańcy mieszkali niedaleko, dzielił ich krótki korytarz i schody w górę. Ale Adamowi się to nie podobało – za daleko, jak na strategiczne bezpieczeństwo. A postawa ofiary czyniła ze Smitha cel dla tutejszych drapieźców.

Z pewnością w apartamencie usłyszałyby krzyki, gdyby coś stało się w pokoju pilotów. Lecz to nie uspokajało bestii żyjącej w jego sercu, zresztą samego Adama również nie, jednak musiał sobie z tym radzić.

– Zaraz świta – powiedziała Marsilia do Stefana, który zamykał drzwi apartamentu. Wampiry zgłosiły się, żeby odeskortować pilotów do ich pokoju. – Mamy mało czasu.

– Dobrego odpoczynku – życzył im Adam, wiedząc, że tak naprawdę nie był to odpoczynek. Wampiry umierały o wschodzie słońca.

Stefan, który podążał za spieszącą do sypialni Marsilią, przystanął i uśmiechnął się do niego cierpko.

– Pilnujcie się – rzucił, a potem zniknął za drzwiami dzielonego z Marsilią pokoju.

Larry w zadumie potarł dłoń o dłoń wpatrzony w zamkniętą sypialnię wampirów. Jednak jego wypowiedź nie dotyczyła bezpośrednio tych dwojga.

– Chyba poszło nam tak dobrze, jak tylko mogło. – A potem dodał coś, o czym Adam właśnie myślał: – Nie wiem natomiast, czy ktokolwiek poza zaczadzonym miłością głupkiem, którym Bonarata nie jest, uwierzyłby, że dzieje się cokolwiek pomiędzy tobą i Marsilią. Tyle z tego, że Władca Nocy i tak był zazdrosny, to pewne. Słyszałem, że otworzyłeś naszemu gospodarzowi oczy na relację, jaka łączy twoją żonę z Marrokiem. To prawda? Marrok nadal wyruszyłby na wojnę z jej powodu?

Jeśli goblin to słyszał, to nie tylko miał słuch jak wilkołak, ale również większą zdolność do wyławiania informacji niż Adam. Hauptmanowi rozmowy w tle podczas przyjęcia zlewały się w jeden niezrozumiały gwar.

W odpowiedzi na pytanie goblina skinął potakująco.

– Bran nie byłby zachwycony, gdyby coś złego spotkało Mercy. Bardzo nie zachwycony.

Larry przekrzywił głowę ni to na ludzki, ni to na wilkołaczy sposób.

– Bran był Grendelem?

Adam pomyślał o Larrym, królu goblinów, i o tym, jak bardzo

wszyscy nie doceniali goblinów. Uznał, że lepiej, by goblini władca miał pojęcie o tym, czym był Marrok.

– Nie do końca. Z tego, co rozumiem, historia Beowulfa została spisana na długo po rzekomych wydarzeniach, na których została osnuta. Celem tej opowieści było uwiecznienie czynów wielkiego bohatera, Beowulfa. Gdzieś po drodze ktoś postawił go naprzeciw najstraszliwszym potworom, o jakich słyszano, w miejsce przerażających potworów, które go zabiły. Potem ta legenda splotła się z oryginalną.

Pewnej pamiętej dla Adama nocy, niedługo po Przeistoczeniu Samuel, syn Marroka zaśpiewał, a potem przetłumaczył kilka wersji historii o Beowulfie.

– W tej legendzie – ciągnął Adam – jest tyle prawdy, co w innych tego typu opowieściach przekazywanych ustnie przez wieki, zanim ktoś je spisał. Czyli niewiele. Bran bardzo dawno temu załamał się. Wiązało się to z niemożnością chronienia własnego syna. Po tym przez długi czas, całe dekady, może dłużej, Bran pozostawał bezrozumnym potworem zabijającym każdą żywą istotę, która zapędziła się na jego terytorium.

– Powiedziałeś Jacobowi, że matką Brana była wiedźma – włączyła się Elizawieta.

Nie, nie powiedział tego. Podpuszczała go.

– Bran nigdy tego nie potwierdził. Ale słyszałem takie plotki. Bonarata z pewnością również.

Samuel powiedział mu, że matka Brana była wiedźmą, a Adam doszedł do wniosku, że jako syn Samuel mógł posiadał taką wiedzę. Lecz nie musiał zdradzać Elizawicie, z jakiego źródła to słyszał. Jeśli Bran życzyłby sobie, by informacja o jego wiedźmim pochodzeniu była powszechnie znana, sam by wyjawił to wszem wobec. A skoro tego nie uczynił, Adam nie zamierzał go wyręczać. Plotki słyszeli wszyscy, a tych Bran nie dementował. Adam nie potrzebował ich potwierdzać.

– Ciekawe – stwierdziła Elizawieta w zamyśleniu. – To wyjaśniałoby niektóre sprawy. – Uśmiechnęła się szelmowsko do Adama. – Na przykład to, że pewnym osobom nigdy nie udało się osiągnąć tego, co próbowali uczynić Branowi Cornickowi.

Adam nie chciał wiedzieć, o co chodzi, szczególnie że Elizawieta bardzo chciała mu o tym powiedzieć. Elizawieta należała do jego ludzi, lecz to nie oznaczało, że zapomniał, czym jest, czyli wiedźmą, wraz ze wszystkim, co się z tym wiązało. Nie zamierzał pozwalać wnosić do tego pokoju jej markowych straszliwości i nieważne, że poza nim w apartamencie byli tylko Larry i Honey, którzy doskonale potrafili o siebie zadbać.

– Jak sobie chcesz – ustąpiła Elizawieta, kiedy stało się jasne, że Hauptman nie zamierza jej ciągnąć za język. Adam widział, że jest

rozczarowana, bo popsuł jej radochę, ale знаła go też na tyle dobrze, że nie oczekiwała, iż wilkołak da się wciągnąć w te gierki. – Jestem już stara i byłam za długo na nogach. Idę spać.

– Czekaj – zatrzymał ją wiedziony impulsem. – Możesz pomóc mi znów skontaktować się z Mercy? – Słabe połączenie, z którego mógł dowiedzieć się jedynie, że Mercy żyje, doprowadzało go do szaleństwa.

– Mogę – westchnęła Elizawieta. – Lecz to niełatwe, Adamuszka. Poza tym to niezbyt mądre odprawiać niełatwą magię pod nosem Bonaraty, jeśli to nie jest niezbędne. Szczególnie że taki wysiłek mnie osłabi, a w tym miejscu możemy potrzebować każdej okruszyny naszych mocy. Czy masz jakieś konkretne powody, które wskazują, że to niezbędne?

– Poza tym, że jest sama, bez przyjaciół, bez pieniędzy, w dodatku w obcym kraju? – Uśmiechnął się oszczędnie.

– Twoja towarzyszka wszędzie potrafi sobie znaleźć przyjaciół – stwierdziła Elizawieta odrobinę zgryźliwie. Sama nie zaliczała się do owych przyjaciół żony wilkołaka. – Uciekła Bonaracie. Uważam, że da radę o sobie zadbać przez dzień czy dwa.

To ja powinienem o nią dbać, pomyślał Adam.

– Chyba masz rację – przyznał jednak Elizawiecie. – I skoro tak, możliwe, że poproszę cię o to później. – Jeżeli wilk tego zażąda.

Skinęła zgodnie głową.

– W porządku, jeśli tylko weźmiesz pod uwagę ryzyko. Życzę wam dobrej nocy. Obudź mnie, Adamuszka, jeśli wydarzy się coś ciekawego.

– Jasne. Jeśli.

Kiedy za wiedźmą zamknęły się drzwi, Larry spojrzął na Adama badawczo, a potem machnął ręką na pożegnanie jemu i Honey, po czym oddalił się do sypialni, którą wybrała dla niego Elizawieta.

Adam rozważał, czy nie pozostać w ludzkiej formie. Za dnia problemy z wampirami stanowiły nikłe prawdopodobieństwo. Wilcza postać spisywała się lepiej w razie niebezpieczeństwa. W przeciwieństwie do słabszych wilkołaków mógł przemieniać się w tę i we w tę kilka razy dziennie, choć z dala od stada miał ograniczone możliwości.

Zaczął się rozbierać. Honey wydała z siebie odgłos zaskoczenia, kiedy zdjął marynarkę, więc spojrzął, sprawdzając, o co jej chodzi.

– Możesz legalnie nosić to we Włoszech? – zapytała. – I jakim cudem ukryłeś zapach? Nic nie wyczułam. Nadal nie czuję.

– Może nie do końca legalnie – odrzekł, zdejmując szelki kabury z HK P2000, którego zawsze nosił ze sobą. – Choć wątpię, żeby mnie tu ktoś aresztował. Jeśli nawet ktoś by to zrobił, to wilk byłby ich większym zmartwieniem niż broń.

– Ano zdecydowanie większym – zgodziła się. Zmarszczyła brwi. – Twój płyn po goleniu pachnie jakby inaczej. To ma coś wspólnego

z niewyczuwalnym zapachem broni?

– Uhm, to Elizawieta – przyznał. – Drobną magią, dodała do niego tylko nuty prochu i smaru.

Honey zaczerpnęła powietrza i skinęła głową, nie mówiąc nic więcej. Jak to Honey. Milczenie jej nie przeszkadzało, a mówiła tylko wtedy, kiedy musiała.

Adam zrzucił resztę ubrania i powiesił garnitur na krześle. Pozostałą odzież złożył w kostkę. Kiedy był nagi, przemienił się.

Honey poszła za jego przykładem. Już po wszystkim Adam zwinął się na dywaniku przed kominkiem, sprawdził, czy Mercy na pewno jest nadal z nim połączona, a potem zastygł w wyczekiwaniu. Honey wskoczyła na kanapę i z głębokim westchnieniem położyła łeb na podłokietniku.

Adam zapadł w płytką drzemkę, podczas której wilk zachowywał czujność, jednocześnie odpoczywając. Nauczył się tego w Wietnamie, kiedy był żołnierzem, nie wilkołakiem. Ale w wykonaniu wilka tego typu odpoczynek stawał się bardziej efektywny.

Telefon zadzwonił późnym rankiem. Powarkując, Adam wstał, podszedł do stolika, gdzie leżała komórka, i strącił ją łapą na podłogę, żeby lepiej było widać wyświetlacz. Ben.

Telefon przestał dzwonić, chwilę później rozległ się dźwięk SMS-a: **PILNE.**

Sprawdził więź, ale nadal czuł Mercy. Odetchnął swobodniej, bez bólu w klatce. **PILNE** nie zniknęło, lecz stało się bardziej znośne.

Mógł oddychać, jednak zdenerwowanie pozostało. W głowie kotłowały mu się możliwe **PILNE** sprawy. Może coś z dziećmi? I kiedy to Aiden stał się jego dzieckiem? Aiden starszy niż... Z pewnością starszy od Brana, mimo że wyglądał na ucznia podstawówki.

A jeśli chodzi o Aiden – może w końcu udało mu się spalić dom? Kiedyś musiało się to stać.

A więc błyskawiczna przemiana, zdecydował. Bolała bardziej, kiedy ją wymuszał, szczególnie przy braku watahy, z której mógłby czerpać moc. Kiedy Honey zaskomlała, zdał sobie sprawę, że machinalnie ciągnie energię z wilczycy. Przestał, a wtedy spowolniła się przemiana. Warcząc, zdwoił wysiłki i w końcu, w niecałe dziesięć minut, według zegarka na telefonie, był znów w ludzkiej formie, nagi, spocony, drżący z bólu i szoku, które sprawiały, że w pokoju zdawało się zimno, za to mógł mówić.

Nie zwracając sobie głowy ciuchami, oddzwonił do Bena.

– Tak?

– Cześć, szefie – powitał go ten wesolutko. – Tarzamy się i pieprzymy w miodzie. Mercy zwinęła średniowieczny czytnik e-booków i skontaktowała się ze mną przez e-maila. Jest w Czechosłowacji, to

znaczy teraz w Czechach, w Pradze.

Adam potrzebował chwili, żeby móc znów oddychać, lecz kiedy nabrał powietrza, smakowało słodko. Wziął się w garść, świadom, że Ben czeka niecierpliwie po drugiej stronie.

– W Pradze? – zdziwił się, sprawdzając miejsce na mentalnej mapie Europy. – To ponad osiemset kilometrów stąd. – No, Mercy, niezła przejażdżka autobusem. Nic dziwnego, że więź jest taka słaba. I tak dziw, że w ogóle ją wyczuwał, bez stada.

– Tak – zgodził się Ben obojętnie. – Zadzwoń do Charlesa, kazał jej się skontaktować z Liborem z wełtawskiej watahy. Nie miałem od niej wiadomości, ale pisała, że czytnik jej się zaraz rozładuje, więc pewnie nie świsnęła zasilacza.

Praga. Adam odetchnął głęboko. I tak musiał poczekać, aż Marsilia i Stefan się obudzą, nie mógł zostawić ich w szponach Bonaraty. Wziął kolejny haust powietrza, starając się powściągnąć wilka, który chciał pędzić do Czech natychmiast, teraz, już!

– Nic jej nie jest? – zapytał.

– Wszystko u niej gra – zapewnił go Ben. – Powiedziałem, że depcesz jej po piętach. Przyczai się na dwa dni u Libora.

Adam zacisnął palce na nasadzie nosa – nawyk, który przejął od Brana, patrząc nań o jeden raz za dużo.

– Mów, co z tym Liborem.

– To Alfa watahy wełtawskiej. Siedzi tam od pieprzonego średniowiecza. Jest chyba piekarzem, cholernie groźny Alfa, postrach wałka. Całe szczęście my nie musimy mówić, że nasz Alfa jest skurkisyńskim piekarczykiem.

Adam mruknął ponaglająco i odczekał, aż Ben wróci do sedna. Ten skupił się natychmiast i Adam zaczął odfiltrowywać informacje z zalewu przekleństw, którymi Ben odreagowywał wychowanie w wyższych, acz piekielnych sferach. Udało mu się wyłuskać z typowej gadki Bena, że różne osoby nie są tak naprawdę pedofilami ani nie popełniają zastanawiających, acz niewykonalnych czynów przy użyciu zwierząt i maszyn. Skończywszy, Ben pozostawił Adamowi poczucie niepokoju.

– Libor ma jakąś zadawnioną urazę do Brana – powtórzył Adam powoli. – I nawet Charles nie wie, o co chodzi. A pytałeś Samuela? – Z pewnością jeden z nich musiał wiedzieć, co jest na rzeczy.

– Przykro mi – stwierdził Ben z żalem. – Próbowałem. W końcu to ja posłałem Mercy w paszczę lwa, więc uznałem, że to mój obowiązek dowiedzieć się szczegółów. Cudem udało mi się go złapać. Samuel też nie wie. Charles twierdzi, że też nie. Że posłyszał kiedyś parę luźnych uwag Brana i to wszystko. Chyba chodzi o jakąś przysięgę, a wiesz, jaki jest Bran, jeśli o to chodzi.

Adam zaklął pod nosem.

– Tyle lat w wojsku i to wszystko, na co cię stać? – skomentował Ben. – Myślałem, że żołnierze wiedzą, jak porządnie przeklinać.

Chcąc nie chcąc, Adam uśmiechnął się do telefonu.

– Za moich czasów nie przeklinaliśmy – skłamał. – Tylko zabijaliśmy.

– Jasne – podsumował Ben. – Mogę coś jeszcze zrobić? Samuel powiedział, że może przyjechać do Pragi, ale zajmie mu to ze dwa dni. Chyba siedzi w Afryce.

– Mieli być z Arianą w Wielkiej Brytanii – zdziwił się Adam.

– Mówił, że wyświadcza przysługę staremu przyjacielowi. Jakąś lekarską, niezwiązaną z wilkołakami ani pradawnymi. Są gdzieś w dziczy i potrzebuje dnia, żeby się stamtąd wydostać.

Adam rozważył propozycję.

– Przekaż Samuelowi, że nie trzeba. Wygląda na to, że kryzys raczej zażegnany. Zdobądź od Charlesa namiar na Libora. – Czy był jakiś zatarg pomiędzy praskim Alfą a Branem, czy też nie, to największe zagrożenie stanowiły wampiry. Choć podobnie jak Larry uważał, że udało się im przekonać Bonaratę, że zabicie Mercy byłoby błędem. Jednak tak czy siak wolałby, żeby Mercy przebywała pod skrzydłami sprzymierzeńców, tak na wszelki wypadek.

– Już się robi. Daj mi kwadrans, prześlę ci SMS-em. Może być?

– Może.

Adam przerwał połączenie i zaczął krążyć niecierpliwie, czekając na wiadomość od Bena. W końcu się ubrał.

Natychmiast po otrzymaniu SMS-a Adam wystukał numer Alfy watahy znad Wełtawy. Libor podszedł dopiero po dłuższej chwili, ale tego się można było spodziewać. Adam, drepcząc nerwowo, zawędrował przed lustro, gdzie stwierdził, że jego oczy lśnią złotem.

Błędem byłoby dopuścić wilka do negocjacji z innym Alfą. Adam wykonał kilka ćwiczeń oddechowych, które pomagały mu się wyciszyć. W pełni już nad sobą panował, kiedy Libor odezwał się w słuchawce.

Trochę zajęło, zanim ustalili, w jakim języku będą rozmawiać. Libor udawał, że nie mówi po angielsku, bo był to język ojczysty Adama. Obaj władali rosyjskim, jednak Libor nienawidził Rosjan. Niemiecki nie wchodził w grę z tego samego powodu – co Adam przyjął z ulgą, bo nie znał niemieckiego wystarczająco biegle, by prowadzić delikatne pertraktacje.

Wreszcie Adam powiedział po angielsku:

– Słuchaj, jestem Amerykaninem i masz szczęście, że mówię płynnie w innym języku. Możemy rozmawiać po angielsku albo po rosyjsku, albo mogę szukać tłumacza. To ostatnie skomplikuje sprawy jeszcze bardziej, szczególnie że dostępny mi tłumacz będzie prawdopodobnie wampirem. – Co prawda znał podstawy wietnamskiego i mandaryńskiego, wątpił jednak, by któryś z tych języków należał do

repertuaru Libora. Poza tym Adam również nie posługiwał się nimi od kilku dekad.

– Niech będzie rosyjski – stwierdził Libor od razu. Prawdopodobnie doszedł do tych samych wniosków, które przedstawił Adam, ale czekał, aż to jego rozmówca przyzna się do niedoskonałości.

To było w porządku, bo to Adam zamierzał prosić o przysługę.

Ben powiedział, że Libor jest człowiekiem honoru, lecz okazał się tak szczywany jak Szarzy Panowie. Adam wolał mieć do czynienia z ludźmi prostolinijnymi, nawet jeśli wrogami, niż z pełnymi subtelności, pokrętnymi sprzymierzeńcami. Ale nie miał wyboru. Znalazł się w tym punkcie przez Mercy i Bonaratę.

To nie oznaczało jednak, że musiał grać w gierki Libora. Zamiast więc krętą ścieżką podążać do tego, co chciał uzyskać, powiedział prosto z mostu:

– Moja towarzyszka jest w Pradze. Ucieka przed Bonarata, z którym aktualnie negocjuję. Potrzebuje bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby na mnie zaczekać. Powinienem się tam zjawić...

Za godzinę, stwierdził wilk. Góra dwie. Dolecimy tam w ciągu dwóch godzin.

Adam przymknął oczy, z wysiłkiem przywołując na myśl fakt, że dwoje jego ludzi pozostawało bezbronnych aż do zachodu słońca. Że jest w trakcie negocjacji z Bonarata, a tym nie przysłuży się pochopny wyjazd. Pertraktacje były niezbędne, by zapewnić rodzinie i przyjacielom bezpieczeństwo. A nadal nie doszli do całkowitego porozumienia dotyczącego sytuacji, wciąż niejasnej, dlaczego Bonarata postanowił wystrzelić serię ostrzegawczą w stronę Mercy.

Dzisiaj Adam nie miał ujrzeć Mercy. Na pewno nie dzisiaj.

– ...najpóźniej jutro wczesnym rankiem – dokończył.

– Zgubiłeś towarzyszkę? – podkreślił Libor rozbawiony.

W lustrze po drugiej stronie pokoju w oczach Adama zabłysło znowu złoto. Adam stłumił warknięcie.

– Znam jej miejsce przebywania – rzekł ostrożnie. – Wkrótce po nią przyjadę. Przydałoby się, żeby mogła gdzieś spokojnie zatrzymać się do mojego przyjazdu. – No. Udało mu się zamienić „potrzebuję” na „przydałoby się”.

– Chcę znać więcej szczegółów – oznajmił Libor. – Muszę w pierwszej kolejności dbać o stado.

Tak więc Adam przedstawił praskiemu Alfie przebieg wydarzeń od staranowania przez wampiry samochodu prowadzonego przez Mercy do chwili obecnej.

– Rozumiem – odezwał się Libor, kiedy Adam skończył. Zapadła chwila milczenia, podczas której Libor prawdopodobnie ważył słowa Hauptmana. – Dopuszczałeś, żeby twoja towarzyszka została porwana

przez najbezwzględniejszego wampira na świecie, a teraz potrzebujesz mojej pomocy.

Tak. Słowo „potrzebować” byłoby pomyłką. Trudno dobrać słowa, rozmawiając z drugim wilkołakiem na odległość. W wypadku Brana „potrzeba” byłaby słowem kluczem. Bran nie odwracał się od tych, którzy go potrzebowali.

Libor stracił w oczach Adama. Jednak lata spędzone w oddziałach zwiadowczych nie poszły na marne – Adam wiedział, jak manipulować aroganckimi dupkami nawet lepiej niż kompetentnymi dowódcami. Z tymi pierwszymi miał zdecydowanie więcej doświadczeń niż z tymi ostatnimi.

– Cóż, zrozumieć, jeśli obawiasz się wampirów – rzekł. – Mercy potrafi o siebie zadbać. – Żarliwie w to wierzył. I tylko dlatego jeszcze został w Mediolanie, wypełniając obowiązek wobec tych, którzy mu zaufali, idąc za nim do jaskini potwora, zamiast złapać jednego z pilotów i lecieć jak najkrótszą trasą do Pragi. – Uciekła Bonaracie, mając do dyspozycji tylko mózg i determinację. Bez trudu przetrwa na twoich ulicach przez dzień czy dwa. Nie jestem tylko pewien, jak to się skończy dla twoich ulic.

Przypomniał sobie, jak Marsilia rzuciła Władcy Nocy w twarz ucieczkę Mercy i dodał:

– Moja towarzyszka wepchnęła wilkołaka Bonaraty pod koła autobusu. Wolę nie myśleć, co wykombinuje pozostawiona sama sobie w Pradze.

Drugi wilkołak nie dość szybko stłumił warknięcie.

– Nie boję się wampirów. Bonarata był dzieckiem, kiedy ja już byłem starym wilkiem, poza tym jego ziemie leżą daleko od moich. Nie ma sprawy, ochronimy ją przed wampirami do twojego przyjazdu. Gdzie mam jej szukać?

– Mercy sama cię znajdzie – powiedział Adam zadowolony, że zepchnął Libora do defensywy. Obaj zdawali sobie sprawę, że granice terytorium Bonaraty są płynne, że macki Pana Mediolanu sięgały w głąb wielu interesów w Europie. Słowa Libora były puste, wiedzieli o tym obaj. Każdy rozsądny w promieniu półtora tysiąca kilometrów od Bonaraty powinien czuć zdrową dozę strachu. Mimo to Adam postanowił uderzyć w pojednawcze tony. – Doceniam twoją pomoc.

Libor rozłączył się bez słowa.

Adam wpatrywał się przez chwilę w komórkę. Najchętniej natychmiast rzuciłby wszystko w diabły i ruszył szukać Mercy. Teraz. Już.

Ale Mercy naprawdę potrafiła o siebie zadbać. Radziła sobie doskonale, zanim ją poślubił. Potem oboje robili wszystko, co w ich mocy, by tak pozostało. Ufał, że sobie poradzi. Jednak kiedy wybierał

kolejny numer, wiedział, że wilk znów wygląda jego oczyma. Tym razem nie zadał sobie trudu, by go uciszyć.

– David? Muszę wylądować prywatnym samolotem jak najbliżej Pragi – rzucił bez wstępów, gdy tylko połączenie zostało nawiązane. – Wiesz, gdzie mogę to zrobić?

David Christiansen, wilk na drugim końcu linii, był najemnikiem z kontaktami na całym świecie. I zarazem jednym z najstarszych przyjaciół Hauptmana.

– Jak się masz, Adamie? – odpowiedział David z teatralną wesołością. – Jak miło, że cię słyszę. Krótkie „cześć, co słyhać” też dałoby radę.

– Mercy jest sama w Pradze. Jestem w Mediolanie, muszę być u niej jutro rano. Jak najwcześniej. Pieniądze to nie problem, w razie czego możemy potrzebować chwili, żeby zdobyć więcej.

David nie był głupi. Usłyszał „Mediolan” i że Adam oraz jego towarzyska byli osobno. Dodał dwa do dwóch i wyciągnął wnioski, że musi być w to zamieszany Bonarata.

– Potyczki z wampirami to nie dla mięczaków. Staraj się wyglądać na przeciętniaka, sierżancie, może wystrzelają się z amunicji.

– Za późno. – Adam uśmiechnął się mimowolnie. Nie takie rady słyszał od czasów Wietnamu, kiedy to oficerowie stanowili ulubiony cel wroga. – Ale chwilowo kule nie latają.

W tle słyszał, jak David skrobie coś na papierze.

– Jaki to samolot?

Adam podał mu szczegóły, które David również zapisał.

– Daj mi chwilę, moi ludzie już nad tym pracują – powiedział David. – Jeśli zabijesz tego drania z Mediolanu, stawiam ci największy stek w Chicago. Albo w Seattle, jeśli nie będzie ci się chciało pofatygować do mnie.

– Nie zapowiada się na mordowanie wampirów w najbliższym czasie – skwitował Adam. – Choć nie miałbym nic przeciwko.

Dawid powiedział coś do kogoś u siebie, a potem wrócił do rozmowy.

– Mam. Zapiszesz czy ci wysłać?

– Wyślij. Dziękuję.

– I tak jeszcze ci wiszę – stwierdził David. – Potrzebujesz wsparcia? Mogę zebrać drużynę albo dwie i będziemy w Pradze za siedemnaście godzin.

Adam rozważył propozycję. Jeśli ci, których miał ze sobą, nie wystarczą, to potrzebowałyby raczej bomby atomowej, a nie kolejnych ludzi ginących podczas akcji ratowania jego i Mercy.

– Wydaje się, że wszystko jest pod kontrolą – podsumował. Choć byłoby mu łatwiej, gdyby Libor był uprzejmym kłamcą w stylu Bonaraty. Dziwne, że bardziej ufa wampirowi niż swojemu. Jednak Bonaratę spotkał osobiście i mógł wyrobić sobie o nim zdanie. Natomiast

miął problem z oceną, czy Libor tylko się drażni, czy rzeczywiście może stanowić realny problem.

– W razie czego daj znać. I głowa nisko.

– Też się nie daj.

Rozłączyli się. Adam miał przed sobą cały dzień i żadnego zajęcia. Spanie nie wchodziło w rachubę.

Zauważył, że Honey już nie śpi i go obserwuje. Słyszała wszystko. Pomachała ogonem, szczerząc się z nadzieją.

Adam przeczesał palcami włosy.

– Tak, to dobre wieści. Mercy jest bezpieczna. Jestem prawie pewien, że Bonarata uwierzył w to, co mówiłem o Branie, i odwołał pościg, zanim się położył. Nie jest zainteresowany wojną, jaką Bran mógłby mu zgotować. – Czyli taką, w której wszyscy są przegrani. Uśmiechnął się do wilczycy, wiedząc, że zrozumie. – Tylko nie jestem pewien, czy teraz, kiedy już wiem, gdzie jest Mercy, będę w stanie zachować cierpliwość. I gadać, i gadać, i nikogo przy tym nie zabić.

Honey położyła uszy w pełnej zadowolenia zgodzie. Ona również nie lubiła gadać i gadać.

– Pójdę powiedzieć pilotom, że przed świtem wylatujemy do Pragi – oznajmił Adam, koniecznie chcąc zrobić coś poza niespokojnym krążeniem po apartamencie. Co prawda obudzi ich, choć powinni odpoczywać, ale płacił im tyle, że nie czuł zbyt dużych wyrzutów sumienia. – Bądź czujna – przykazał wilkołaczycy.

Złożyła pysk na kanapie, przyglądając się, jak Adam zakłada szelki z kaburą i garnitur. Przyjrzał się sobie w lustrze, sprawdził, czy wszystko dobrze leży, krawat jest prosty, a broń nie rysuje się pod marynarką nazbyt ewidentnie.

Usatysfakcjonowany, że wszystko jest w najlepszym porządku, tak jak lubił, wyszedł z pokoju. Nie mógł zamknąć drzwi na klucz, bo go nie dostali. Zajrzał jeszcze do środka i popatrzył na Honey.

– Pamiętaj, że są otwarte, dopóki nie wrócę. Słuchaj, co się dzieje na korytarzu.

Wreszcie opuścił swoje piskłeta. Uśmiechnął się na myśl, jak zareagowałoby towarzysze, wiedząc, że traktuje ich jako wymagających jego opieki. Wszyscy poza Elizawietą, bo ta przyjęłaby troskę Hauptmana jako należną sobie, choćby nawet stanowiła ona jedynie mały dodatek do własnych, znaczących możliwości obronnych wiedzy.

Adam wmaszerował dziarsko po schodach, skręcił i zapukał do kwatery pilotów. Za drzwiami eksplodował ruch.

– To ja – powiedział cicho, co prawdopodobnie powinien uczynić na samym początku.

– Chwileczkę – zawołał Harris napiętym głosem. – Postawiłem parę zabezpieczeń. Daj mi sekundę.

Świetnie, pomyślał Adam.

W końcu drzwi się otworzyły i Adam mógł wejść. Pomieszczenie nie przypominało apartamentu ani nawet pokoju hotelowego, ale wystarczyło w nim miejsca na dwa podwójne łóżka, dwie komody i telewizor. Było czyste, a okno wychodziło na to samo podwórko, co okna saloniku w apartamencie, tyle że z pokoju pilotów można było zajrzeć przez mur do ogrodu sąsiedniej willi. Matt Smith siedział na łóżku po turecku, plecami do ściany. Zdawał się zainteresowany, lecz nieszczęśliwie zaniepokojony.

– Znaleźliśmy Mercy – poinformował pilotów Adam.

Harris uniósł brew.

– Jakim cudem? Przecież ludzie Bonaraty teraz śpią.

– Powinienem powiedzieć, że to Mercy nas znalazła – poprawił się Adam. – Najwyraźniej ukradła czytnik z dostępem do sieci, znalazła kafejkę z darmowym Internetem i przeprowadziła dziesięciminutową, pospieszną wymianę e-maili z jednym z moich wilków, zanim bateria się wyładowała. Jest w Pradze.

– W Pradze? – zadziwił się Smith.

Adam skinął potakująco.

– Nie mogli skontaktować się ze mną, więc Ben zadzwonił do Charlesa, syna Marroka, i ten kazał Mercy szukać pomocy u tamtejszego Alfya.

– Libora? – doprecyzował Smith. – Słyszałem o nim... co nieco.

– Charles go polecił – wyjaśnił Adam.

– Przepraszam – wycofał się Smith. – No to pewnie wszystko w porządku. Charles wie, co mówi.

– Coś nie gra? – zapytał Harris, który patrzył to na jednego, to na drugiego wilkołaka.

– Dzwoniłem do Libora, żeby upewnić się, czy da Mercy schronienie do jutra rana, dopóki tam nie dotrę – podjął Adam, kiedy drugi pilot milczał. – Jeśli to niebezpieczne, jeśli coś wiesz, Smith, powiedz to teraz.

Smith potrząsnął głową.

– Nie Libor jest honorowy, skoro obiecał ją chronić, to tak będzie.

– Możemy być w Pradze za półtorej godziny – stwierdził Harris. – Może troszkę później. Znasz jakieś miejsce, gdzie mogę tam wylądować? Jeśli nie, mogę siadać w Brnie albo w Dreźnie, stamtąd to dwie godziny samochodem. Możemy oczywiście wykorzystać główne lotnisko w Pradze, lecz dyskrekcji to nam nie zapewni.

– Mam namiary na lądowisko – zapewnił go Adam.

– To chyba kiepski pomysł. Bonarata nie przyjmie dobrze takiego wyjazdu bez uprzedzenia – podsunął Smith łagodnie. – Jeśli nie zakończysz z nim spraw, przyprzesz go do muru i nie będzie miał wyboru. Będzie musiał uznać cię za wroga, jeśli złamiesz zasady

gościnnosci.

Harris zmierzył drugiego pilota zdziwionym wzrokiem, a Adam aż się uśmiechnął na widok zaskoczenia goblina.

– Nie zapominaj, że wilkołaki mogą żyć długo – powiedział Harrisowi.
– A to, że któryś jest uległy, nie znaczy, że jest głupi. Z mojego doświadczenia jest wprost przeciwnie. Mamy takie powiedzenie: „Kiedy cisi mówią, nastaw uszu”.

W uśmiechu Smitha był jedynie cień ironii.

– Twoja towarzyszka ma ustaloną reputację – rzekł. – Uważasz, że naprawdę potrzebuje pomocy? Podczas przyjęcia odniosłem wrażenie, że Bonarata zamierza dyplomatycznie o niej zapomnieć.

– Usłyszałeś coś? – zapytał Adam czujnie.

Smith przeciągnął dłonią po włosach, zerknął na Adama, a potem odwrócił wzrok.

– Mówił jednemu ze swoich wampirów, kobiecie o złotorudych włosach, żeby odwołała pościg. Myślę, że chodziło o twoją żonę, chyba że zasada się na więcej osób.

– Też to słyszałem, tylko nie skojarzyłem – wyznał Harris. – Powiedział, że w tym sezonie polowanie straciło już swój smak czy coś równie kwiecistego. Czyli postanowił odwołać ogary. Mój włoski jest nieco prymitywny.

– Przepraszam, powinienem powiedzieć ci wcześniej. – Smith na mgnienie podniósł wzrok na Adama.

Tak, tyle że nie było kiedy. Poza tym Adam spodziewał się tego, choć ulżyło mu, gdy usłyszał konkret.

– W porządku. – Wypuścił powietrze. – Mercy da sobie radę do czasu, aż tam dotrzemy. Wieczorem porozmawiamy z Bonarata, a potem ruszymy odnaleźć moją żonę.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze o Pradze – odezwał się Smith. – Krążą pewne plotki...

– Takie jak o Liborze? – zapytał Harris.

Smith pokręcił przecząco głową.

– Libor jest trudny, ale nie ma na ziemi Alfy, który nie byłby trudny w ten czy inny sposób. – Zawiesił głos. – Oczywiście poza tu obecnym, jak sądzę.

Adam skwitował to parsknięciem.

– W każdym razie – ciągnął Smith – w sercu Pragi działają dwie chmary wampirów.

– Jak to? Przecież wampiry są jeszcze bardziej terytorialne niż wilki – zasępił się Adam. – Jak to możliwe, że Pradze jest miejsce dla dwóch?

– No właśnie – przyznał Smith. – Niby nic takiego, ale... Lepiej by było, żeby twoja towarzyszka znalazła się w Monachium czy w Paryżu, a nawet w Londynie.

– Jak uważasz, Hauptman – stwierdził Harris. – Możemy lecieć do Pragi, zawinąć twoją towarzyszkę i wrócić. W zależności od tego, ile zajmie znalezienie Mercy, możemy wrócić przed zmierzchem.

Adam zastanowił się nad propozycją. Jednakże to oznaczałoby zostawienie tu Marsilii i Stefana, a to byłoby nie w porządku.

– Przywiózłbyś ją prosto w szpony Bonaraty – zauważył cicho Smith. – Odebrałby twój wyjazd jako obelgę albo wyzwanie. I może skłoniłoby go to do jakiejś ciekawej reakcji. A jeśli zostawisz Mercy w Pradze i powiadomisz Władcę Nocy o miejscu jej pobytu, uzna, że wierzysz w jej umiejętności samodzielniego zadbania o siebie. To w efekcie postawi cię w mocniejszej pozycji.

– Mercy naprawdę potrafi o siebie zadbać – warknął Adam, bo to jego przywilejem było dbanie o nią. Odetchnął głęboko i zwrócił się do Harrisa: – Bądźcie gotowi, wyjedziemy dzisiaj w nocy, tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Zostawię Marsilii negocjowanie. Ona lepiej wie, jak działa umysł tego sukinsyna.

– Nikt nie wie, co siedzi w głowie Bonaraty – mruknął Smith. – Dzięki temu jeszcze chodzi po tym świecie.

– Prześpijcie się – zakończył Adam. Sam zaczynał czuć zmęczenie. Od chwili porwania Mercy urywał sobie tylko krótkie drzemki. Teraz miał jakiś plan działania i choć jego wilk nie był tym zachwycony, decyzja została podjęta.

Adam zamknął za sobą drzwi i skierował się ku schodom, ale przystanął, usłyszawszy, że ktoś zbliża się korytarzem z drugiego skrzydła rezydencji. Nie widział kto, lecz słyszał kroki. Obudziły one czujność wilka, ponieważ tamten skradał się jak doświadczony wojownik.

Adam z powrotem pomknął po schodach. W przeciwieństwie do nieznanego, nie czyniąc przy tym najmniejszego hałasu. Tak wycyrklował wyjście z za rogu, żeby pojawić się jakieś dwa metry przed tamtym.

Przed wampirem.

Czarujące oblicze Guccia зміęło się w czarującym uśmiechu, który nie odsłaniał zębów.

– Adamie – powitał go wampir. – Cóż za niespodzianka.

Kiedy to zaczęli sobie mówić po imieniu? Wilk zaprotestował, ale Adam przełknął zniewagę, bo i tak znał tylko pierwsze imię wampira. Zdołał ograniczyć się jedynie do uniesienia brwi, podczas gdy wilczyśko pragnęło definitywnie wyeliminować zagrożenie dla jego ludzi.

– Wampirze – odparł Adam, przechylając głowę w sposób, który Guccio mógł wziąć za powitanie. – Nie większa niż ty tutaj za dnia.

Istniały wampiry zdolne poruszać się jeszcze o świcie czy wczesnym wieczorem, ale teraz dochodziło raczej południe.

Mimo że pozbawione okien korytarze rozjaśniało tylko sztuczne światło, liczyła się obecność słońca. Kiedy wschodziło, duch albo dusza, albo cokolwiek, co ożywiało ciało wampira, przestawało pobudzać je do ruchu. Pozostawał trup, który wyglądał i pachniał jak trup. Wampiry każdego wieczoru umierały – nos wilkołaka nie kłamał.

Guccio uśmiechnął się szerzej.

– Władca Nocy miał kiedyś na usługach potężną wiedźmę. – Podniósł rękę, wskazując na ręcznie szyte zawiniątko na swojej szyi.

Oczom i nosowi Adama, wychowanego na Południu, zdawało się, że to woreczek gris-gris. Wyczuł w nim wiele ziół, lecz główna woń pochodziła od jakiejś rozkładającej się materii organicznej. Może wiedźma Bonaraty praktykowała (bo potężne wiedźmy były zazwyczaj kobietami) voodoo albo hoodoo? Albo pochodziła z Afryki, skąd wywodziły się tradycje robienia gris-gris.

Adam nigdy nie słyszał o wiedźmie, która potrafiła sprawić, że wampir mógł chodzić za dnia. Może dlatego, że nie było wiedźm, które chciałyby to uczynić?

– Gdyby nie to, musiałbym trwać w spoczynku – wyjaśnił Guccio, poprawiając woreczek, by ten spoczywał w zagłębieniu gardła. – Nie chroni mnie jednak przed promieniami słonecznymi.

Adam zastanowił się, czy Guccio zdaje sobie sprawę, z jaką tęsknotą wypowiada słowo „słońce”. Silną obsesję na punkcie światła słonecznego wampiry nazywały „słoneczną melancholią”. Jeśli temu nie zaradzono, dotknięty słoneczną melancholią wampir umierał w ciągu roku lub dwóch, wychodząc z własnej woli wprost na wschodzące słońce. Popelniając coś w rodzaju samobójstwa. Coś w rodzaju, bo przecież wampiry już i tak były martwe.

Guccio należał do tych osobników, którzy upajali się własnym głosem tak bardzo, iż uważali, że tak samo podziwiają go inni. Tokował i tokował, a Adam skupiał się tylko na ocenianiu, jakie potencjalne ryzyko stanowił wampir. Jego nieliczne odpowiedzi krwiopijca uznawał za uprzejme, Adam zaś nieprzerwanie rozważał, czy będzie zmuszony zabić Guccia przed wyruszeniem do Pragi.

W ten sposób odczekał, aż Guccio przestał mówić, odwrócił się i odszedł tam, skąd przybył, wkrótce znikając za zakrętem korytarza. W całej tyradzie wampir ani słowem nie zająknął się o celu swojej wizyty w tej części domu, gdzie spali piloci.

Wilk szalał, kiedy Adam zapukał ponownie do drzwi Harrisa i Smitha.

– Zabierajcie rzeczy – rzucił krótko, kiedy goblin otworzył. – Za dnia też kręcą się tu wampiry. Nie zostawię was tu samych.



Oddawszy do dyspozycji pilotów kanapy, on i Honey w wilczych formach zwinęli się na dywaniku przed martwym kominkiem. Honey zasnęła, ale Adamowy wilk, poruszony i niespokojny, zapadał w krótkie drzemki, z których co chwilę się budził.

Adam uświadomił sobie, że nieustannie sprawdza więź z Mercy. Niestety, mógł tylko stwierdzić obecność Mercy, ale uspokajało to bestię przynajmniej na parę minut. Miał nadzieję, że wilk zareagował tak tylko na spotkanie z Gucciem, a nie na coś, co działo się z Mercy, a co tylko bestia potrafiła wyczuć.

Nikt w sypialniach nawet się nie poruszył, mimo że Adam pilnie nasłuchiwał każdego szelestu. Smith spał jak zabity. Harris... Harris chrapał. Chrapał tak głośno, że Adam niepokoił się, że odgłos zagłuszy dźwięki, które mogły ostrzec o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Ruch na korytarzach zaczął się, kiedy jasność na zewnątrz zakwitła krwistoczerwonym zachodem słońca. Adam przemienił się w człowieka, zabrał rzeczy i poszedł do sypialni wampirów, żeby wziąć prysznic, ogolić się i przebrać.

Kiedy skończył, wampiry zdążyły się już ocknąć. Nie odzywały się, możliwe, że jeszcze nie mogły. Za to Adam widział w ich oczach głód, tak jak oni widzieli jego wilka.

Lepiej, żeby zakończyli sprawę tego wieczoru, inaczej nie tylko Bonarata będą musieli się martwić. Adam nie pomyślał o tym, że wampiry muszą coś jeść. Niewiele o tym wiedział. Dla Stefana był to drażliwy temat, choć pewnie nie dla wszystkich wampirów. Ale może trzeba było zaproponować zabranie jednego z ich dawców ochotników, jak to Mercy ich nazywała? Owiec.

Wątpił jednak, żeby mógł spokojnie przyglądać się żerowaniu świadom, że dobrowolność ofiary mogła być niczym więcej, jak potrzebą zaspokojenia dziwnego i silnego uzależnienia.

Ale ostatecznie wampiry były dorosłymi ludźmi, w dodatku potężnymi, jak na ichniejsze standardy, uznał i skinął im w drodze do drzwi. Był gotów zapewnić wampirom bezpieczeństwo, lecz o pożywienie musiały postarać się same.

W saloniku gobliny już były gotowe i odziane stosownie do swych ról w tej sztuce. Elizawieta miała na sobie stalowoszarą garsonkę ozdobioną diamentową broszką. Wyglądała jak słodka, bogata babunia. Łagodnie. Ciekawe, kogo planowała zwieść tą aparycją.

Dwie osoby nadal nie wyszły z łazienek. Drogą eliminacji – Honey i Smith.

Rozległo się uprzejme pukanie.

Adam ruszył do drzwi, lecz Harris zatrzymał go gestem ręki.

– To chyba moje zadanie, proszę pana. – Błysnął do Adama wesolutkim uśmiechem.

Otworzył drzwi parze wampirów, które wtoczyły dwa wózki kelnerskie.

– Dzień dobry – przywitała się kobieta z przyjaznym uśmiechem, nie podnosząc wzroku. – Mój pan przysłał pozdrowienia oraz podkurek dla twoich zrodzonych z krwi. Dla reszty jest kawa, herbata oraz czekolada do wyboru. Posiłek zostanie podany za godzinę w głównej jadalni. Będzie mniej formalny niż poprzedniego wieczoru, krawaty nie są wymagane. Mój pan prosi, byście do niego dołączyli pół godziny wcześniej w antykamerze. Jeśli potrzebujecie przewodnika, któreś z nas wskaże wam drogę.

– Czy antykamera to dawna biblioteka? – zapytał Adam.

Zaskoczona wampirzyca mimowolnie spojrzała na niego, po czym szybko spuściła oczy.

– Tak, proszę pana.

– Nadal pachnie książkami – wyjaśnił Harris, dotykając nosa. – Wilkołaki zwracają większą uwagę na zapachy niż inni ludzie. Dotrzemy tam sami.

Wampirza obsługa wycofała się na korytarz. Adam podszedł do wózka, na którym stał serwis herbaciany z wielkim, bogato zdobionym czarno-złotym imbrykiem, który, wedle nosa, nie zawierał wcale herbaty.

– Zawiozę im to – powiedział. Wierzył, że Marsilia i Stefan potrafią kontrolować się na tyle, by nikogo nie zaatakować, nawet jeśli doskwiera im głód, ale i tak nie posłałby do nich nikogo. Na wszelki wypadek.

Zapukał raz – z pewnością słyszeli wymianę zdań ze sługami Bonaraty – i wszedł. Marsilia, ubrana, zakładała wiszący diamentowy kolczyk, Stefan dopinał białą jedwabną koszulę.

– Dziękuję – rzekła Marsilia.

W ich oczach ani na twarzach nie było śladu głodu, ale Adam wiedział, co widział. Popchnął wózek w głąb pokoju i już się odwracał, żeby wyjść, kiedy Marsilia go zatrzymała.

– Zaczekaj.

Przystanął i spojrzał na nią.

– Pozwól, proszę, na moment. – Skinęła na Stefana, który zamknął drzwi. Kiedy zostali sami, Marsilia natychmiast podeszła do Adama. – Natknąłeś się na jakiegoś wampira krążącego po domu pomiędzy naszym udaniem się na spoczynek a przebudzeniem?

– Owszem, na Guccia – odparł Adam. – Mercy skontaktowała się z Benem przez Internet za pomocą kradzionego czytnika, więc poszedłem uprzedzić Harrisa, żeby był gotów do odlotu dzisiaj w nocy, kiedy tylko dasz znać, jakiego rodzaju pożegnanie Bonarata uzna za do przyjęcia. I lepiej, żeby w miarę możliwości udało się nam wyjechać

wcześnie niż później.

Marsilia rozważała jego słowa, za to odezwał się Stefan.

– Guccio? W środku dnia?

– Miał jakiś magiczny woreczek. Od wiedźmy. Właśnie miałem o to zapytać Elizawietę.

– Zrobił coś dziwnego? – zapytał Stefan po chwili zastanowienia.

– Nie mam żadnych śladów ukąszenia – odrzekł Adam. – Sprawdziłem. – Bo sprawdził przezornie. Znał sztuczki, za pomocą których wampiry mamły umysł, a wilk był znacznie bardziej pobudzony, niż kiedy dowiedział się o Mercy.

Stefan skinął powoli głową.

– W porządku. To dobrze. W takim razie powinno być dobrze. Tyle że... – Zerknął na Marsilię, która weszła mu w słowo.

– Posługujemy się pewnymi znacznikami zapachowymi – zaczęła. – Nie jest to jakaś wielka tajemnica, ale nie dzielimy się tą wiedzą powszechnie. Zostawiamy je mimowolnie, kiedy się pożywiamy, lecz możemy użyć ich również celowo za pomocą dotyku, muśnięcia. To taki nasz sposób, by oznakować kogoś jako naszą własność. Gdy tylko tu wszedłeś, oboje ze Stefanem zauważyliśmy, że zostałeś przez kogoś oznaczony. Nie znam jednak Guccia tak dobrze, by pamiętać jego zapachową sygnaturę.

Adam zaczął się obwąchiwać, ale żadnej szczególnej woni nie wylapał. Poczul się za to nieswojo, że wampiry potrafią wyniuchać coś, czego on nie umiał. To mogłoby jednak wytłumaczyć zdenerwowanie wilka.

– Brałem prysznic i nadal jest? – zdziwił się.

– Nie przejmuj się – uśmiechnął się Stefan. – Mercy też go nie wyczuje. To swego rodzaju magiczny znacznik, który ma na celu odstraszenie przypadkowych głupców od poczęstowania się ofiarą Pana Chmary. Każdy wampir to czuje, od nowo wyklutego do starożytnego zramolałego geriatryka. – Choć uśmiech Stefana był szczerzy, oczy znamionowały powagę. – Takie coś uznaje się za nieuprzejmość, chyba że robi się to własnym... ludziom, komuś, kto musi przebywać wśród naszych, a chce się chronić przed innymi wampirami.

– To interesujące, żeby oznaczyć tak gościa Bonaraty – zastanawiała się Marsilia. – Ciekawe, o czym to może świadczyć.

Adam uśmiechnął się krzywo.

– Cóż, pewnie niedługo się dowiemy.

Marsilia spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Chodźcie do salonu – powiedział. – Muszę przekazać wszystkim parę rzeczy.

Kiedy wrócili do wspólnego pokoju, Honey nadal stroiła się w sypialni Elizawiety, za to Smith już wrócił i sądząc z wielkich oczu,

jakimi na mgnienie spojrzął na Adama, słyszał całą rozmowę o wampirzym zapachowym napiętnowaniu. Adam był przekonany, że dostrzegł w nich osobliwy błysk, ale pilot zbyt szybko odwrócił głowę, jak na dobrego uległego wilkołaka przystało, żeby Hauptman miał całkowitą pewność.

Biorąc pod uwagę brak śladów ugryzienia, Adam rozumiał ogólną wesołość, jaką wzbudziła wieść, że on, wilkołaczy Alfa, został ocechowany jako ofiara głupiego wampira.

Oba gobliny wymownie wyglądały przez okno, plecami do reszty. Pewnie po to, by Adam nie widział ich szerokich uśmiechów.

Elizawieta spoglądała to na Adama, to na Smitha, to na gobliny, aż w końcu odezwała się głosem pozbawionym całkowicie rosyjskiego akcentu, co znamionowało, że jest naprawdę zła.

– Może podzielicie się tym żarciem, który tak wszystkich rozbawił, żebyśmy i ja wiedziała, o czym rozprawiałeś z wampirami? Wygląda na to, że jedynie ja nie słyszałam waszej rozmowy.

Adam skłonił przed wiedźmą głowę, przechodząc na rosyjski.

– Wybacz, obawiam się, że to ja jestem przedmiotem tego rozbawienia. Zaczekaj, proszę, aż Honey do nas dołączy, a powiem wam wszystkim, czego się dowiedziałem, kiedy spaliście. Liczę, że wesprzesz nas swoją wiedzą, gdy wyjaśnię, o co chodzi.

Uniosła brwi, lecz Adam wiedział, że zwrócenie się do niej po rosyjsku – w języku, którego nikt z obecnych poza nią nie rozumiał – ukoi dumę wiedźmy, która ucierpiała w wyniku wyłączenia jej z powszechnego obiegu informacji. Zaznaczając, że liczy na jej wiedzę, dodatkowo dopieszczał ego Elizawiety. Wiedźma dobrze wiedziała, że Adam bierze ją pod włos, ale postanowiła na to pozwolić.

– Niech będzie – przystała już z typowym dla siebie miękkim akcentem. – Mogę poczekać na Honey.

Wilkołaczyca weszła z nieco jeszcze wilgotnymi końcówkami krótkich włosów. Pachniała odrobinę płatkami róż. Zbyt słabo dla człowieka, ale dla wampira już wyczuwalnie. Miała na sobie różowy top bez rękawów i bez stanika oraz dżinsy, które wyglądały, jakby nie mogła w nich oddychać. Na szyi zawiesiła złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie wilka. Adam wiedział, że dostała go na urodziny od swego towarzysza, Petera, bo pomagał mu przy wybieraniu dla Honey prezentu.

Wyglądała jak wcielenie przynęty.

Odwzajemniła uśmiech Adama, szczerząc wesoło zęby. Cieszył się, że ją ze sobą zabrał, waleczną i silną. Dobrze było mieć taką wilczycę obok siebie.

Opowiedział wszystkim, czego dowiedział się o Mercy. Potem o tym, jak wpadł na Guccia wałęsającego się po korytarzach, uzbrojonego

w zakłęcie pozwalające na aktywność za dnia. A potem wyznał, że został naznaczony tak, by inne wampiry uważały go za pożywienie Guccia.

Honey zbliżyła się i obwąchała go.

– Nic nie czuję? – Łypnęła podejrzliwie na wampiry.

– Ja też nie – zawtórował jej Larry. – Ale wiem, że wampiry mają sposób na oznaczenie swojej ofiary. Postrzegane jest to jako faux pas, ponieważ jeśli nie robi tego Pan Chmary, zazwyczaj dzieje się przez przypadek. To dowód na to, że wampir stracił panowanie nad sobą, napotkawszy wyjątkowo pociągające go – zerknął na Marsilię i Stefana – lub ją pożywienie. To coś w rodzaju naplucia komuś do drinka.

– Dzięki. – Adam uśmiechnął się do goblina ponuro. – Ten obraz zostanie ze mną na zawsze. – Obrócił się do Elizawiety. – Ten woreczek, który Guccio miał uwiązany do szyi, pachniał jak gris-gris. Podobno mimo iż pozwala mu zachować aktywność w ciągu dnia, to nie chroni przed promieniami słonecznymi. – Zamknął oczy i zaczął opisywać z drobnymi szczegółami zawiniątko, wymieniając listę ziół i innych składników, których wonie zapamiętał. – To cuchnące przypominało rozkładającego się gryzonia, ale za długo było obłożone ziołami, żeby stwierdzić z całą pewnością. Głównie pachniało rozkładem. Guccio twierdził, że zrobiła go dla niego wiedźma, którą kiedyś Bonarata wynajmował, i że dzięki temu może być przytomny po wschodzie słońca.

– To możliwe – mruknęła Elizawieta.

– Tak? – skwitowała Marsilia nieco zbyt obojętnie.

– Mogę ci taki zrobić za odpowiednią opłatą – zaoferowała się wiedźma. – Ale tego rodzaju zakłęcia nie są niewyczerpalne. Można ich używać określony czas w ciągu dnia i przez ograniczoną liczbę dni.

– A umiałabyś zrobić takie na promienie słoneczne? – zapytał Stefan, lecz bez pożądliwości, raczej z ciekawości. – Jeśli Bonarata ma dostęp do czegoś, co pozwala mu biegać na zewnątrz za dnia, to umarł w butach i sznurówkach.

To powiedzonko ze sznurówkami podłapał od Mercy.

Elizawieta rzuciła Stefanowi przenikliwe spojrzenie.

– Jasne – oświadczyła uprzejmie. – A jeśli ci takie zrobię, to założysz woreczek i pójdziesz się poopalać?

Stefan popatrzył na nią z rezerwą.

– W życiu – oświadczył dobitnie. – Nie poczytaj tego za ujmę dla twego honoru, donna, ale musiałbym ufać ci daleko bardziej, niż ufam komukolwiek, żeby wymaszerować na słońce uzbrojony w gris-gris.

Zupełnie nieurazona Elizawieta uśmiechnęła się.

– I dobrze, Żołnierzu. Jesteś mądry. Myślę, że każdy wampir chodzący po tym świecie tak długo jak Bonarata byłby tego samego zdania. – Zadumała się na moment. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy w ogóle da

się zrobić takie zaklęcie. Musiałabym zgłębić, dlaczego akurat światło słoneczne, a nie, dajmy na to, pełne widmo światła z żarówki, jest dla waszego rodzaju zabójcze. Jednak to pierwsze, umożliwienie wampirovi chodzenie za dnia, jest pewnie po części jakąś odmianą zaklęcia zamieniającego trupy w zombie.

– Czyli gris-gris mają ograniczoną moc – podsumował Adam.

– Ograniczoną i są niezwykle kosztowne. Zrobienie ich wymaga czasu i określonej mocy oraz umiejętności. Niezwykle potężnych mocy i umiejętności. Mówiłeś, że ta wiedźma nie jest już na usługach Bonaraty?

– Tak to brzmiało – odpowiedział Adam. – A skoro jest to zaklęcie nieodnawialne, wyczerpywalne i drogie, to Guccio nie przechadzał się raczej przypadkiem pod drzwiami Harrisa i Matta.

– Na pewno nie – potwierdziła Marsilia. – Dobrze, że tam akurat byłeś i zabrałeś ich tutaj, inaczej moglibyśmy już nie mieć pilotów.

– Myślisz, że działał na rozkaz Bonaraty? – zainteresował się Adam.

– Może? – Wzruszyła ramionami. – Możliwe, że Guccio wyrwał się przed szereg, żeby przypochlebić się Bonaracie. Iacopo... Jacob... Jacob zawsze cenił sobie kreatywność.

– Myślę, że oznaczył cię kierowany złośliwością – oświadczył Stefan. – Choć z drugiej strony to głupie posunięcie. A głupcy nie pozostają na tyle długo blisko Bonaraty, żeby wspiać się tak wysoko w hierarchii.

– Woreczek gris-gris nie pozostaje również bez wpływu na noszącego – zauważyła Elizawieta. – To bardzo czarna magia, a ta zazwyczaj kała tak zamawiającego zaklęcie, jak i rzucającego. – Zerknęła na zegarek. – Musimy już iść, jeśli nie chcemy spóźnić się na spotkanie z Władcą Nocy.



Rozdział 11

Adam

Wolałabym, żeby Adam bardziej troszczył się o swoje życie niż o życie innych. Ale ponieważ on wielokrotnie mówił to samo w odniesieniu do mnie, pewnie nie mogę mieć do niego o to pretensji. Co nie zmienia faktu, że je mam.

Bonarata miał na sobie eleganckie spodnie i szytą na miarę turkusową jedwabną koszulę. Siedział pochylony nad papierami przy sekretarzyku, który Adam za pierwszym razem ledwie dostrzegł.

– Chwileczkę, proszę – rzekł, nie podnosząc głowy, kiedy weszli.

Ojciec Adama robił to samo, kiedy Adam coś przeszkrobał. Zapraszał syna do gabinetu, lecz po przyjściu Adama – albo któregoś z jego braci – zagłębiał się w jakąś pracę, żeby latorośl w tym czasie mogła sobie przemyśleć sprawki, przez które zasłużyła na wezwanie na dywanik. Tym samym pokazywał, że ani dziecko, ani jego wybryki nie są warte odrywania się od zajęcia, któremu właśnie poświęcał się ojciec.

Działało to na Adama, kiedy miał jedenaście lat.

Adam podszedł zdecydowanym krokiem do biurka i stanął nad wampirem z Honey u ramienia.

Marsilia patrzyła na nich przerażona. Stefan błysnął uśmiechem, po czym zaczął z niezwykłą uwagą oglądać jakiś obraz. Nie był to portret Marsilii. Adam ze swojego miejsca nie widział dokładnie szczegółów malowidła, ale przeważały w nim błękity, więc mógł to być jakiś morski pejzaż. Elizawieta znalazła sobie olej w stylu klasycznym, prawdopodobnie gwałt Ledy, pomyślał Adam, bo przedstawiał

muskularną nagą kobietę splecioną z łabędziem wielkości człowieka. Gobliny i Smith stali po drugiej stronie pokoju i rozmawiali tak cicho, że nawet Adam nie słyszał, co mówią. Co oznaczało, że Bonarata tym bardziej.

Wampir szybko zorientował się, co się dzieje. Jego taktyka zastraszenia obróciła się przeciwko niemu. Natychmiast, gdy Władca Nocy podniósł wzrok, Adam był górą.

Usiłował stłumić rozbawienie przebiegiem sytuacji, kiedy jedne z drzwi otworzyły się, a wilk Adama skurczył się ze zgrozy, żalu i odrazy na widok wchodzącej brunetki.

Mogła być piękna, brzydka, jakakolwiek, a Adam by na to nie zwrócił uwagi. Każdym włoskiem na ciele, każdym zmysłem należącym do wilka, do Alfy, do watahy odbierał, że z wilkołaczą, którą miał przed oczyma, jest coś bardzo nie w porządku.

– Jacobie – powiedziała doskonale obojętnym tonem, kładąc na biurku wielką kopertę – Annabelle dała mi to dla ciebie. Powiedziała, że architekt przeprojektował plany domu w Seattle. – Poniosła oczy na Adama i wpatrzyła się w niego pustym wzrokiem.

Jej wilk był martwy. I nie do końca martwy. Podobnie jak kobieta. Choć może i nie. Czymkolwiek była, jej stan skołował wilka Adama i wprowadził w gorączkę grozy.

– Doskonale – skwitował Bonarata. – Czekałem na to.

Adamowi przemknęło przez głowę, że może powinien zaniepokoić się planami wampira budowy domu w Seattle, lecz nie została mu ani krzta emocji, którą mógłby poświęcić Władcy Nocy – jego wilk był zbyt skupiony na okaleczonej wilczycy. Nosila srebrzystą obrozę, aczkolwiek nie dostrzegał pod nią ran, więc nie mogła być srebrna. Może z białego złota? Za to całą szyję pokrywały blizny po ukąszeniach, podobnie jak resztę ciała z wyjątkiem twarzy. Strój wilkołaczycy został wybrany tak, by odsłaniał możliwie jak najwięcej poznaczonej śladami skóry, nie przekraczając granicy wulgarności.

Nie tylko Adamem wstrząsnął jej widok. Smith w odległym kącie pokoju zapomniał się tak bardzo, że warknął mimowolnie.

– Lenka! – Cichy głos Honey pobrzmiwał tą samą grozą, którą buzował Adam.

Podczas gdy uwagę Hauptmana pochłonęła bez reszty wilkołaczycą, Bonarata podniósł się, skutecznie kończąc pojedynek dominacyjny, który sam zaczął. Jednak Adama przestało interesować, czy to on, czy Bonarata był teraz górą.

– Lenka – powtórzyła Honey, podchodząc do wilczycy, która spoglądała na nią bez śladu rozpoznania.

Honey gorączkowo, w napięciu powiedziała coś w języku podobnym do niemieckiego.

Wilkołaczyca odpowiedziała w tym samym języku, po czym zwróciła się do Bonaraty:

– Wybacz, panie. Kazałeś mi rozmawiać po angielsku. Musisz mnie ukarać.

Wydawała się... ochocza, choć jej zapach niósł ze sobą gorycz przerażenia.

– To nie ma znaczenia – uśmiechnął się do niej Bonarata. – Staralaś się być uprzejma dla naszego gościa.

W tym momencie Bonarata popełnił błąd. Odwrócił się, by powiedzieć coś do Honey.

Poprzedniego dnia, rozproszony obecnością Marsilii, Władca Nocy nie zwrócił uwagi na Honey, a po wejściu skupił się bez reszty na gierkach z Adamem. Na Honey warto było popatrzeć zawsze, zaś teraz ubrana tak, by skupiać na sobie uwagę, mogła sprawić, że ruch uliczny zamierał.

– A ty... – I tyle tylko z siebie wydusił, bo podobnie jak ruch uliczny, słowa zamarły mu na ustach. Jednakże stało się tak głównie dlatego, że Bonarata był uzależniony, zaś Honey wpasowywała się idealnie w jego upodobania.

Za to Honey, co do niej niepodobne, zupełnie nie zauważyła reakcji Bonaraty, skoncentrowana całkowicie na wilkołaczy. Trudno stwierdzić, czy Lenka to dostrzegła, bo ona z kolei obserwowała wampira i Honey, a nie było w pomieszczeniu wilkołaka, który nie poczułby nagłego zainteresowania Bonaraty. Pożądanie ma bardzo szczególny zapach, obojętne, czy to człowieka, wilkołaka, czy wampira.

– Honey... – powiedział Bonarata powoli, coraz głębszym tonem. – Honey Jorgenson, prawda?

Lenka spojrzała na niego, a potem wyciągnęła skądś nóż i rzuciła się na Honey. Honey uchyliła się błyskawicznie, wychodząc z tego ataku z draśnięciem na ramieniu.

Zabij ją – powiedział wilk Adama tak wyraźnie jak nigdy. Adam słyszał od innych wilkołaków, że bestie czasem do nich przemawiają, wśród nich znaleźli się też tacy, których szanował za bardzo, by wątpić w ich słowa. Nigdy jednak w ciągu pięćdziesięciu lat nie doświadczył czegoś takiego.

Jest wynaturzona. Zabij ją.

Honey była urodzoną wojowniczką. Adam spędził większość ostatnich trzydziestu lat, ucząc ją sztuk walki, ale już wcześniej zdobyła solidne podstawy. Lenka nie miała stylu, jednak, podobnie jak po niejednym żołnierzu w oddziale zwiadowców, widać było, że zabiła wielu. Honey poruszała się z większą gracją, za to Lenka szybciej.

Wszyscy ruszyli ku nim w chwili, kiedy Lenka dobyła noża, lecz przystanęli, powstrzymani gestem Adama.

– Honey została zaatakowana. Ma prawo zadecydować sama. Lenka złamała zasady gościnności. – Mogliby się wtrącić, a w takim wypadku skończyłoby się obez władaniem Lenki. Jeśli zaś zostawić rozwiązanie w rękach samej Honey, wilkołaczka miała prawo zakończyć walkę, zabijając przeciwniczkę, gdyż ta pierwsza zaatakowała.

Bonarata wyszedł zza biurka.

– Przerwijmy to!

Adam zagroził mu drogę.

– Nie. Niesprowokowana rzuciła się na Honey. Walka będzie zgodna z prawem gościnności.

– Ona zabije twoją wilczycę! – warknął Bonarata.

Adam cofnął się, dając wampirowi widok na toczącą się walkę. Pozwalając mu na własne oczy przekonać się, czy Honey tak łatwo da się zabić jakimkolwiek wilkołakowi, nie mówiąc o niedożywionym i oszalałym.

Lenka zaczęła się przemieniać, kości jej twarzy przemieszczały się pod nieskazitelną skórą. Zgięła się wpool, kopnięta w żebra, chwytając jednocześnie nogę Honey. Ale ta, widząc, co się święci, rzuciła się na ziemię i przeturlała, wytaczając się na zewnątrz kręgu walki.

Honey się powstrzymywała.

Adam powtórzył do niej słowa swojego wilka.

– Zabij ją, Honey. Kobieta, którą znałaś, już nie istnieje i nic nie może jej przywrócić.

Honey nie spojrzała na niego, lecz po zeszywnieniu ramion poznał, że go usłyszała i nie spodobało się jej, co powiedział. Stojący po drugiej stronie Smith podniósł wzrok, a kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, skinął potwierdzająco. On również rozumiał konieczność, którą wilk Adama wyczuł instynktownie.

– Jest moja – syknął Bonarata do Adama.

Adam założył, że miał na myśli Lenkę, chociaż biorąc pod uwagę uzależnienie, mógł równie dobrze odnosić się do którejkolwiek z walczących.

– To trzeba było lepiej nad nią panować – odciął się Adam. – Zostawilibyśmy ją w spokoju, gdyby nie zaatakowała Honey.

Wampir warknął bezgłośnie, ale Adam i tak to usłyszał.

– Lenka, rozkazuję ci ją zabić – rzucił Bonarata.

Adam był pewien, że Lenka robi, co w jej mocy, by to uczynić. Słowa te skierowane były w Adama.

Po tym już nikt się nie odzywał, wszyscy schodzili tylko w miarę potrzeby z drogi walczących, Elizawieta błyskawicznie i z dużym wdziękiem, jak na *hmm*latkę.

W pokoju znajdował się tylko niewielki sekretarzyk, przy którym siedział Bonarata, kiedy weszli. A i biureczko nie ostało się długo. Lenka

oderwała rzeźbioną nogę i wraziła czubek w udo Honey – choć mierzyła w kolano.

To właśnie ten cios sprawił, że w głowie Honey coś przeskoczyło. Do tego momentu, pomimo nakazu Adama, głównie się broniła, unikając poważnego zranienia przeciwniczki. Honey odłamała drugą nogę, a ponieważ drewno pękło, pozostawiając ostry koniec, użyła jej jak lancy, nie maczugi.

– Bardzo dobrze – mruknął Adam cicho. – Właśnie tak.

Jednak Honey szybko straciła broń. Użyła jej jak tarczy przed wymierzonym w nią nożem, markując wcześniej odsłonę, na który to fortel Lenka się nabrała. Ostrze wbiło się głęboko w drewno. Honey przekreśliła kawał drewna, a Lenka wypuściła rękojeść z dłoni. Honey odrzuciła nogę z wbitym nożem w stronę okna. Szczątki mebla przy dźwięku rozbijanej szyby wyleciały na zewnątrz, wypadając z gry, o ile któraś z wilczyc nie zdecydowała się zanurkować po nie na podwórko.

– Piękna – szepnął Bonarata zafascynowany, a woń jego pożądania przesyciła powietrze. – Jak tygrysica. Same mięśnie i szybkość. – Żądza przemieniła jego oczy tak, że nawet największy racjonalista, widząc to dzikie oblicze, nie pomyślałby o niczym innym, jak o wampirze. Choć wampiry nie potrzebowały oddychać, Bonarata gwałtownie, dużymi haustami wciągał powietrze, przesycone teraz zapachem krwi, potu i żądzy. Jego żądzy.

Stojąca po drugiej stronie Marsilia obserwowała Władcę Nocy oczyma przepelnionymi smutkiem.

Nie zraniona, ze złamanym sercem, nic z tych rzeczy, po prostu smutna. Tak, jak można by patrzeć na pokonanego Ajaksa czy Herkulesa.

Myliła się jednak, Bonarata nie zbliżał się nawet ku upadkowi. Nie było natomiast wątpliwości, że w tej chwili zdominowało go pożądanie Honey czy innej kobiety wilkołaczej krwi.

Nie życzyłby sobie zapewne, żeby Adam i jego ludzie widzieli go w tym stanie. I z pewnością później sobie to uświadomi i zapamięta. Adam również nie zamierzał tego zapomnieć.

Zajęło to chwilę, bo Lenka walczyła jak szatan, lecz Honey wreszcie udało się ją unieruchomić w zapaśniczym uchwycie. Zdyszana, krwawiąc z warg i nosa, Honey odwróciła głowę, ale nie do Adama, a ku Elizawicie.

– Czy można to cofnąć? Czuję magię więdźmy na tej obroży wokół jej szyi – wydyszała.

Adam pomyślał, że chyba powinien dowiedzieć się więcej o tych więdźmach Bonaraty. Sam Władca Nocy twierdził, że ma uzdrowicielkę, która uleczyła Mercy ze śmiertelnych ran. A uzdrawianie to nie

dziedzina, w której celowały wiedźmy parające się czarną magią. Z drugiej strony żadna biała czarownica nie zdołałaby przywołać takiej mocy, żeby stworzyć gris-gris, który zrobił wrażenie na Elizawiecie – a zrobił, Adam potrafił odczytać starą wiedźmę.

Elizawieta podeszła do walczących, kucnęła i obejrzała metalową obręcz na szyi Lenki. Lenka miotła się i wyrwała, jednak Honey trzymała ją w stalowym uścisku, a Elizawieta zdawała sobie nic nie robić z wysiłków przytrzymywanej wilkołaczycy.

– Nie – rzekła z żalem, podnosząc się. – Ta obręcz umożliwia kontrolowanie Lenki, ale to nieskomplikowany artefakt, nawet jeśli potężny. Daje tylko pewność, że dziewczyna zrobi to, co jej rozkazano.

Wtedy dopiero Honey spojrzała na Adama.

– To akt miłosierdzia – zapewnił ją. Skinęła głową.

Musiała rozluźnić chwyt, żeby dobyć noża schowanego w bucie, po który dotąd nie sięgnęła, bo chciała zyskać całkowitą pewność, że to, co robi, jest właściwe.

Lenka niemal się jej wyrwała, ale okazała się niewystarczająco szybka, niedożywienie upośledziło jej zdolność do walki. Nie była tak szybka i silna, jak mogła być. A w dodatku Lence dokuczало zmęczenie i jej reakcje nie były już nawet w połowie tak zborne, jak na początku walki, która wcale nie trwała długo.

Nie zdołała uniknąć małego ostrza, które wbiło się jej w potylicę, pomiędzy kręgiem szyjnym a czaszką. Umarła natychmiast, jej płuca wydały jeszcze ostatnie tchnienie, a ciało przestało się ruszać moment później. Ostrze Honey, choć nie ze srebra, było równie śmiertelne.

Honey wyciągnęła nóż po śmierci Lenki. Z wampirami trudno mieć pewność, ale w wypadku wilkołaków sprawa była prosta – zmieniał się ich zapach.

Otarła do czysta ostrze o dzinsy. Niezbyt rozważny gest w domu pełnym wampirów, ale pewnie Honey nie miała teraz miejsca na rozważę. Schowała nóż i przyjęła pomocną dłoń Adama. Nie potrzebowała jego pomocy, by się podnieść, wiedziała jednak, że dotyk i wsparcie stada pomoże jej wrócić do równowagi. Wstała, jeszcze przez pół oddechu trzymając jego dłoń, po czym ją puściła.

Adam natychmiast odwrócił się z powrotem do Bonaraty. Wiedział, że ryzykuje, stając do niego plecami, ale najważniejsza była dla niego Honey, poza tym liczył, że reszta jego towarzyszy będzie miała wampira na oku.

Jak się okazało, głowę Bonaraty zajmowało coś innego. Władca Nocy wpatrywał się w ciało Lenki z miną narkomana zapatrzonego w działkę, z przemożnym pożądaniem, które wypierało wszelkie myśli i uczucia. Mina ta zniknęła z oblicza wampira wraz z krwią, która opuściła Lenkę. Zastąpiły ją żal pomieszany z ulgą.

– Adam! – krzyknął Stefan.

– Za tobą! – zawołał Smith niemal w tym samym momencie.

Adam wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na ramieniu Honey, powstrzymując ją przed rzuceniem się na Bonaratę.

– Uspokój się – przykazał jej, przyciągając do siebie, żeby poczuła zapach watahy i Alfy, żeby jego komenda przeniknęła ją do kości.

Czuł opór wilkołaczycy, choć nie próbowała się wyrwać. Wsparła się tylko czołem o jego bark.

– Lenka była wilczycą, z którą chciałabym zapolować w świetle księżycy. Nie przyjaciółką. Ale była bystra, twarda. Peter opowiadał o niej... – Urwała.

Adam nie spuszczał oczu z Bonaraty, który zaczął wpatrywać się w Honey tak samo, jak wcześniej spoglądał na Lenkę. Nie chciał obnażać intymnych uczuć przed wampirem, lecz uczynił to ze względu na Honey.

– Peter miał słabość do silnych kobiet.

Zaśmiała się, pociągając nosem.

– Chyba tak. Tęsknię za nim.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Jak my wszyscy. Powinnaś się umyć i przebrać. – Rozejrzał się za kims, kogo mógłby z nią posłać do apartamentu.

– Ja pójdę – zgłosił się Stefan, który również pilnie obserwował Bonaratę.

Robienie z Honey przynęty okazało się głupie i nierozważne. Adam spojrzął na ciało wilkołaczycy. Okazało się głupie, choć i tak nie żałował. Przynajmniej to biedne stworzenie było już wolne.

Zasłaniając sobą Honey przed Bonaratą, przekazał ją Stefanowi. Wampir i wilkołaczycy ruszyli powoli i nikt nie odezwał się, dopóki nie wyszli z pomieszczenia.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Władca Nocy zamrugał, wyrrywając się z zamroczenia. I przeszedł nad leżącym trupem do porządku, jakby Lenka nie była jego... „Owca” wydawała się niewłaściwym określeniem, lecz Adam nie potrafił znaleźć innego. Ofiarą?

– Poprosiłem was o to spotkanie, gdyż mam wam do przekazania niepokojące wieści – oświadczył Bonarata lekkim, swobodnym tonem.

Smith podszedł do Adama, wciągnął nosem powietrze i wydał z siebie stłumiony dźwięk, a Adam zaczął się zastanawiać, czy nie będzie musiał odesłać również jego. Dobrze, że Smith nie należał do jego watahy i że nie byli ze sobą połączeni, bo gniew był jedną z tych emocji, która przetaczała się przez więzi stadne jak kula śniegowa.

– Jakie to wieści? – odezwała się Marsilia. Adam pomyślał, że postanowiła przejąć rolę mediatora, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież sam ją o to prosił. Żeby wyciągnęła ich stąd najszybciej, jak się

da, aby mógł już ruszyć na poszukiwanie Mercy.

Sięgnął poprzez więź do Mercy i odnalazł ją. Sama świadomość, że Mercy żyje, wystarczyła, by uspokoić nieco wilka. Choć podobnie jak Bonarata, Adam starał się omijać wzrokiem leżące na podłodze ciało Lenki, nie mógł nie czuć jego zapachu.

Rozbrzmiał dzwonek, odrobinę różniący się od tego, który był wezwaniem na kolację.

– Och, nasz pierwszy posiłek – powiedział Bonarata. – Może omówimy to przy jedzeniu?

– W porządku – zgodził się Adam. – My również chcemy ci coś przekazać.

Pan Mediolanu ruszył przodem do jadalni. Za nim poszły Marsilia i Elizawieta, następnie gobliny – Harris trzymał się pół kroku za Larrym, jak ochroniarz. Smith, który miał zamykać pochód, przystanął przy martwej wilkołaczycy. Uklęknął na jedno kolano i dotknął jej czoła.

– Co zrobicie z ciałem Lenki? – zapytał bardzo, bardzo cicho, pochyliwszy nisko głowę.

Bonarata zatrzymał się i obrócił. Adam mógłby przysiąc, że malujący się na twarzy wampira smutek jest szczery.

– Służyła mi przez długie lata. Pogrzebiemy ją w ogrodzie, w miejscu, gdzie lubiła wygrzewać się na słońcu, kiedy mogła. To by jej się podobało, nie uważasz?

Smith zadrżał, nadal trzymając dłoń na czole zmarłej. Adam czekał.

– To chyba przyniesie jej spokój – rzekł wreszcie. – Dziękuję.

– Też ją znałeś? – zapytał Harris.

Smith podniósł się i dołączył do pozostałych.

– Wszyscy słyszeli o Lence – odpowiedział.

– To może ktoś powinien wcześniej coś z tym zrobić? – burknął Larry.

– Wielu ktosiów próbowało – odpowiedział mu Bonarata. – Nie grzebaliśmy ich w ogródku. – W jego głosie pobrzmiwały nuty rozbawienia, a jego maska pod publiczność była już na miejscu.

Adam wątpił, by Władca Nocy zachował podobny optymizm, gdyby spojrzął w tej chwili na Smitha. Ale może się mylił. Ludzie zwykli nie doceniać uległych wilków.



Adam liczył, że wyjadą jeszcze przed pierwszym posiłkiem, ale tak się nie stało. Mercy nadal była na drugim końcu więzi, mógł więc znieść godzinę negocjacji, pod warunkiem że nie on będzie je prowadził. Teraz, kiedy mogli odkryć karty, z całą świadomością scedował rolę mediatora na Marsilię.

Pozostawała jeszcze kwestia Guccia, który naznaczył Adama jako swoje jedzenie. Wyjeżdżając teraz, pozbawiłby się przyjemności pokazania Gucciowi, dlaczego wampiry nie powinny nawet myśleć o wilkołakach jako zwierzyńce. W sumie więc Adam nie był całkiem rozczarowany opóźnieniem.

Wchodząc do jadalni, Bonarata przystanął i powiedział coś cicho do jednego ze swoich wampirów, który oddalił się natychmiast, pilnując jednak, by nie wyglądało to na pośpiech.

– Twoja wiedźma była nieostrożna – zauważyła Elizawieta, kiedy znów ruszyli. – Ta obroza coraz... – Zawiesiła głos. – Sądzę, że już nie zmuszała Lenki do posłuszeństwa.

Idący z tyłu Smith warknął znowu, lecz tak cicho, że wampir i wiedźma prawdopodobnie nie usłyszeli.

– Tak, to zaczynało stawać się kłopotliwe – przyznał Bonarata. – Ale nie mam wiedzy, która byłaby zdolna robić takie rzeczy już od drugiej wojny. – Uśmiechnął się do Elizawiety. – Może ty byłabyś zainteresowana?

Nie odpowiedziała natychmiast, więc Adam spojrzał na wiedźmę uważniej.

– Nie – odrzekła w końcu. – Choć jeśli dasz spokój Honey, pozwolę ci sobie zapłacić za usunięcie tego niefortunnego nałogu, którego się nabawiłeś. – Wydeła wargi. – Ostrzegam, nie będzie to tanie.

– Nie podniesie ręki na Honey – oświadczył Adam zimno, bo po minie Bonaraty dało się poznać, że wampir zaczął się zastanawiać, jak położyć łapę na wilkołaczycy.

– Nie? – zapytał Władca Nocy jedwabistym głosem.

– Nie – oświadczyła Marsilia twardo.

Obrócił się do niej. Marsilia stała wyprostowana, ze ściągniętymi ramionami, stabilizując ciężar na piętach – gotowa do walki.

Bonarata zachował jeszcze na moment swoją zwyczajową postawę, potem jego maska nagle opadła.

Adam zdał sobie sprawę, że właśnie dokonali tego, na co liczyli – wyprowadzili z równowagi Bonaratę w środku prowadzonej przez niego gry. Jowialna poza, którą prezentował podczas ich pierwszego spotkania, nie mogła być już zasłoną, zza której Władca Nocy reżyserował swoje przedstawienie. Wszedł z niego potwór w całej okazałości. Jednak w Bonaracie patrzącym na Marsilię Adam widział również mężczyźnę.

Mężczyźnę z milionem żalów, głównie skierowanych do kobiety, która mu się sprzeciwiła.

Jak na ironię, teraz, gdy wiedzieli, gdzie jest Mercy, i pozostało im tylko uwolnić się od Bonaraty, Adam wołałby mieć do czynienia z tamtym układnym gospodarzem. Spokojnie, logicznie porozmawialiby

o interesach i Adam mógłby być już w drodze do Pragi.

A tak Adam czuł satysfakcję swojego wilka, który gotował się na spodziewaną brutalną walkę. Coś musiało się wydarzyć. Energia krążąca wokół pary wampirów skręciła w stronę przemocy. Bo Marsilia tylko czekała, żeby uderzyć Bonarata, jeśli ten skwitowałby sytuację typowym dla siebie protekcyjnym frazesem.

Jednak ważniejsze od usatysfakcjonowania wilka było szybkie zakończenie wizyty, a to oznaczało uniknięcie walki. Dlatego też Hauptman przeciął linię napięcia pomiędzy Marsilią i Bonarata.

– Skoro jednak nie masz na usługach wiedźmy klasy Elizawieży Arkadiewny, w jaki sposób udało ci się uleczyć Mercy ze śmiertelnych ran?

Adam sugerował w ten sposób, że albo Bonarata kłamie w kwestii powagi stanu zdrowia Mercy – a fakty, krew w samochodzie i echo bólu Mercy, potwierdzały jego słowa – albo że kłamie o odejściu wiedźmy. Zamierzał dzięki temu odwrócić uwagę Bonaraty od Marsilii i ściągnąć jego gniew na siebie, zmuszając Władcę Nocy do wycofania się na defensywną pozycję.

Bonarata oderwał wzrok od Marsilii i spojrzał na Adama prawie z wdzięcznością, jaką mógłby w tej sytuacji żywić mężczyzna do mężczyzny. Władca Nocy świetnie zdawał sobie sprawę, że cokolwiek ma do powiedzenia Marsilii, nikomu się to nie przysłuży. A ugryzienie się w język po prostu było ponad jego siły. Adam chętnie przyszedł mu z pomocą.

– Twojej żony nie leczyła wiedźma – wyjaśnił wampir – tylko uzdrowicielka. Chodź, przedstawię ci ją.

Uzdrowicielka?

Bonarata nie czekał na pytania. Rozejrzał się po sali i powiódł ich do stolika z tyłu, gdzie wampir o łagodnej aparycji wymyślał gry mające zachęcić siedzącą obok dziewczynkę do jedzenia. Adam rozpoznał te zabawy, bo sam nieraz robił podobnie, kiedy Jesse była malutka.

Dziewczynka przy stole już dawno wyrosła z pieluch. Miała ciemne włosy, niebieskie oczy i robiła wrażenie, jakby była niedokończona. Człowiekowi nasunęłoby się na jej widok podejrzenie o zespół Downa albo tego rodzaju upośledzenie. Adam zaś przyjrzał się jej dokładniej, a nos podpowiedział mu, że ma przed sobą dziecko człowieka i magicznej istoty. Wyglądała na czternaście, piętnaście lat, lecz dzięki krwi pradawnych mogła mieć równie dobrze czterysta, pięćset i wyglądać tak samo.

Była nieco za chuda, miała ciemne podkowy pod oczami, kiedy jednak podniosła wzrok, rozpromieniła się na widok Bonaraty. Zerwała się z krzesła i pogalopowała – nie dało się inaczej określić tego biegu w radosnych podskokach – pomiędzy stolikami, rozkładając ręce

i wydając wesołe odgłosy.

Bonarata roześmiał się – gromkim, tubalnym śmiechem, który zaskakująco mu pasował, a którego w zasadzie żaden wampir nie powinien mieć w swoim repertuarze, jako zbędnego nieużytku – i objął dziewczynkę, kiedy wpadła mu w ramiona. Okręcił ją dwa razy i odstawił ostrożnie na podłogę. Powstrzymał gestem potok jej paplaniny, który dla Adama nie brzmiał jak mowa.

Umilkła i spojrzała na wampira z radosnym wyczekiwaniem, jak pies corgi czekający na polecenia właściciela.

– Stasia – zwrócił się do niej Bonarata. – To moi przyjaciele. Marsilia. Elizawieta. Adam. Larry. Austin. Matt. Moi drodzy, poznajcie moją przyjaciółkę Stasię.

Uśmiechnęła się do każdego po kolei, aż doszła do Adama. Zmrużyła oczy i zastanowiła się, wystawiając koniec języka. A potem klasnęła, robiąc zdumioną minę. Spojrzała na Bonaratę i zaczęła gestykulować tak zapamiętałe, że Adam dopiero po chwili pojął, że dziewczynka posługuje się językiem migowym.

Wreszcie odwróciła się do Adama i obdarzyła go wielkim uśmiechem. Poklepała go po ramieniu, a Hauptmana przeszła moc dziewczynki od miejsca, gdzie go dotknęła, aż po czubek nosa. Nie wzdrygnął się. Ujął jej dłoń i ucałował.

Wiedział, na kogo patrzy. Tylko dzięki temu dziecku intryga Bonaraty nie zabiła Mercy.

Zarumieniła się, złożyła ręce i przycisnęła je do brzucha. Ale uśmiech, jakim opromieniła Adama, znamionował czysty zachwyty.

– Mówi, że należysz do tej ładnej pani, którą leczyła – przetłumaczył Bonarata. – Uważa, że powinienes ją odnaleźć i przytulić.

Dziewczynka poklepała Bonaratę, który się roześmiał.

– Dobrze, już dobrze. Bardzo mocno przytulić.

Potaknęła gorliwie, ewidentnie rozumiejąc każde słowo po angielsku, choć najwyraźniej nie mówiła w tym języku – i prawdopodobnie w żadnym poza własnym.

– Powinnaś wracać do jedzenia, młoda damo. Jesteś zbyt szczuplutka.

Dziewczynka uśmiechnęła się do Bonaraty, ujęła za rękę swojego wampira opiekuna, który za nią przyszedł, i powiodła go z powrotem do stolika.

Bonarata również ruszył przez salę.

– Natknęliśmy się na nią w getcie jakiegoś małego miasteczka podczas pierwszej wojny – wyjaśniał.

Wiek temu, pomyślał Adam.

– To pradawna – stwierdził Larry.

– Półpradawna – sprostował Bonarata. – Tak przynajmniej sądzimy.

– Dużo więcej niż pół – rzekł Larry z powagą. – Nie pozwól, żeby inni

pradawni dowiedzieli się, że jest tutaj. Chcieliby ją wykorzystać, a nie sędzę, żeby traktowali ją równie dobrze co wy. Nie mają wiele cierpliwości do niedoskonałych istot. – Mówił, jak zazwyczaj, jakby odcinał się od przynależności do magicznego ludu.

– Tak też podejrzywałem – mruknął Bonarata i odwrócił się, prawdopodobnie, by wskazać im miejsca. Nagle zamarł na moment. Spojrzał ostro na Adama, zbliżył się i zaciągnął jego zapachem.

Zanim jednak zdążył uczynić uwagę do woni, którą wreszcie zauważył, pojawiła się przy nich wampirzyca, która wcześniej przywiozła napoje do apartamentu.

– Proszę wybaczyć – zwróciła się do nich. – Musieliśmy w ostatniej chwili przeorganizować wasze miejsca. Pani Arkadiewno, panie Harris, panie Sethaway i panie Smith, proszę tutaj, do tego brzoskwiniowo-różanego stolika. Nie zdążyliśmy znaleźć dla was odpowiednio szlachetnego towarzystwa, uznałam więc, że najlepiej będzie, jeśli zjecie we własnym.

– Chwileczkę, Annabelle. – Bonarata podniósł rękę. – Znajdź, proszę, Guccia i przyprowadź do nas.

– Adam natknął się na Guccia włóczącego się po korytarzach z zaklęciem umożliwiającym poruszanie się za dnia – poinformowała go Marsilia przyciszonym tonem, bo ludzie wokół zaczęli im się przyglądać.

– Ach tak – mruknął Bonarata. – Powiedziano mi, że nie ma już w domu tego rodzaju zaklęć.

Wszyscy obserwowali, jak Annabelle podchodzi do Guccia, rozmawiającego z małą grupką wampirów przy stoliku nieopodal tego, który zajmowali podczas poprzedniego posiłku. Guccio spojrzawszy przez salę na Bonaratę, powiedział coś do Annabelle, poklepał ją po ramieniu i ruszył pomiędzy zebranymi w stronę Władcy Nocy.

– Dlaczego Adam nosi twoją sygnaturę? – zapytał Bonarata nieomal wesolutko, kiedy wampir się zbliżył.

W tej chwili cała sala zamilkła. Nikt nie patrzył na Bonaratę, lecz wszyscy łowili każdy dźwięk.

Guccio zarumienił się i zaklął.

– Wybacz, panie – zaczął skruszony. – Liczyłem, że uda mi się porozmawiać z tobą przed posiłkiem, ale zatrzymał mnie problem z dostawą... To nie ma znaczenia. Popełniłem głupstwo. Szukałem wczoraj czegoś w starym kufrze i natrafiłem na to. – Wyciągnął gris-gris. – Nie wiedziałem nawet, czy jeszcze działa. Mary zrobiła go dla mnie dawno temu. Myślałem, że całkiem zwietrzało. – Nabrał powietrza, a potem powiedział z nieskrywanym żalem: – Tęsknię za słońcem.

Jego wypowiedź odbiła się bezgłośnie echem zrozumienia, które wyraźnie przetoczyło się przez salę. Słowa te były bliskie każdemu wampirovi. Człowiek mógłby tego nie zauważyć, jednak wilk Adama był

pobudzony i czujny, więc Adam odbierał wszystko ze zdwojoną wrażliwością.

– Okazało się, że nadal działa – ciągnął Guccio – ale zaklęcia Mary zawsze wyzwalają we mnie gwałtowność.

Kolejna, nieco lżejsza fala reakcji na sali. Wielu obecnych najwyraźniej wiedziało, o czym mówi Guccio, i się z tym zgadzało. Adam pomyślał o słowach Elizawiety, która wspomniała, że takich przedmiotów należy używać ostrożnie, bo... wysącza się z nich zło.

– Szedłem korytarzem – kontynuował Guccio z półprzymkniętymi oczyma, jakby przeżywał po raz wtóry tę chwilę. – Czułem słońce przenikające przez mury i nagle wpadłem na pana Hauptmana. Dotknąłem go odruchowo, bezmyślnie. – Uśmiechnął się przepraszająco do Adama. – Proszę mi wybaczyć. Sygnatura wywietrzeje za dzień lub dwa, jeśli już pana nie dotknę.

– Nic się nie stało – skwitował Adam.



Podejrzenia Matta Smitha zmieniły się w pewność. Gryzło go to od chwili, kiedy Adam wszedł do nich do apartamentu, oświadczając, że wpadł na Guccia. Takie zachowanie – dopuszczenie do naruszenia granic, do oznakowania jako zwierzyny, a potem potraktowanie sprawy jako nieważnej – wszystko to nie leżało w naturze Alfego.

Matt podszedł do Adama i położył mu rękę na ramieniu, a kiedy Adam na niego spojrział, spuścił wzrok.

– Muszę z panem zamienić słowo – powiedział. – To ważne.

– To chyba może poczekać do po śniadaniu? – wtrącił się Bonarata niezadowolony. – Nie chciałbym urazić kucharza przez jakąś błahostkę.

Matt miał ochotę się wycofać, ale tego nie zrobił. Nie miał pewności, czy później coś zagwarantowałyby mu te pięć minut na osobności.

– Ależ oczywiście – odparł jednak Adam. – Za nic w świecie nie chcielibyśmy narażać się twojemu kucharzowi. Zaczniście bez nas. Zaraz wrócimy.

– Czy mogę jakoś pomóc, Adamie? – zapytała Marsilia.

Adam zerknął na Matta, który pokręcił przecząco głową. Sprawa dotyczyła wilkołaków.

– Zaczniście beze mnie – powtórzył i ruszył w stronę najbliższych drzwi, czyli tych prowadzących z powrotem do galerii Bonaraty.

Matt wyszedł za nim, starając się wyglądać przepraszająco. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nikt poza małą uzdrowicielką nie zacznie jeść, dopóki nie wróci.

Adam zamknął za nimi drzwi.

– W pomieszczeniu są kamery – oznajmił. – Ten model zaopatrzony jest też w mikrofony, więc nie mów niczego, o czym Bonarata nie powinien wiedzieć. – Adam znał się na tym, bo zajmował się tym zawodowo.

– Zostałeś obdarzony Pocałunkiem wampira – oświadczył Matt prosto z mostu.

Adam osłupiał na moment.

– Nie – powiedział wreszcie z całkowitym przekonaniem. – Sprawdziłem. – Nagle jego oddech przyspieszył, podobnie puls. – Nie mam żadnych śladów ukąszenia. – Podciągnął rękawy. – Widzisz? Ugryzienia wampira goją się tak wolno na wilkołaku, jak zwykłe rany na ludziach. Gdybym został ukąszony, zostałyby jakiś ślad. – Jego mowa stała się wolniejsza, mniej wyraźna, jakby coś w środku, prawdopodobnie wilk Adama, walczyło, by ujawnić kłamstwo, którym nakarmiono Hauptmana, kłamstwo, które sprawiało, że nie dostrzegał czerwonych śladów na skórze.

Matt pożałował, że nie łączy ich więź stadna, zazwyczaj ułatwiała mu przekonanie Alfy, by go posłuchał. Podniósł wzrok i skrzyżował spojrzenie z Adamem.

– Zostałeś ugryziony – powtórzył. – Bez watahy, która pomogłaby ci w zakotwiczeniu, odpowiednio potężny wampir może sprawić, że będziesz pamiętał to, co on zechce. Musisz to zwalczyć. Słuchaj swojego wilka i przeciwstaw się temu.

Adam, patrząc Smithowi w oczy, naraz zaczął się pocić, a jego tęczołki zaślniły złotem. W innej sytuacji jego wilk mógł czuć na myśl o tym, że drugi wilkołak nie odwraca oczu, jednak tym razem nie chodziło o dominację. Dzięki statusowi Matta to, co mogło być wyzwaniem, stało się ofertą pomocy akceptowalną dla Adamowej bestii.

Matt miał nadzieję, że to zadziała, choć brał pod uwagę, że Alfy są nieprzewidywalne. Dopuszczał, że może skończyć się rozlewem krwi.

– Cholera – zaklął Adam. Słowa wychodziły mu z ust z trudem, jakby wydostawały się z ruchomych piasków. – Cholera. Niech to szlag! Zostałem ugryziony przez pieprzonego wampira!

– Zmień się, to pomoże – zasugerował Matt.

Adam, zaciskając mocno zęby, pokręcił odmownie głową.

– Teraz nie mogę. Nie mogę stracić twarzy przed Bonarata. Muszę pozostać w ludzkiej postaci. Muszę się stąd dzisiaj wydostać i zacząć szukać Mercy. A wcześniej muszę dowiedzieć się, dlaczego, do cholery, Bonarata ją porwał. Głupie, pierdolone wampiry.

– Zgadza się z tobą – przytaknął Matt. – Acz niezbyt to dyplomatyczne, biorąc pod uwagę kamery. Mogę jakoś pomóc?

– Nie teraz. Zwalczę to sam. Teraz, kiedy już wiem, co się dzieje, dam radę. – Adam odetchnął nierówno. – Dostałem nauczkę, żeby nie

ignorować wilka. Próbował mi powiedzieć, że coś jest nie w porządku, odkąd... – Spojrzał na Matta i uśmiechnął się zaskakująco miło, biorąc pod uwagę ściekające mu po czole strużki potu. – Odkąd Mercy zniknęła. I w tym problem. Trudno odróżnić jeden napad złości od drugiego.

Zamilkł. Matt niepewnie położył mu rękę na ramieniu, a kiedy Alfa jej nie strząsnął, zostawił dłoń na barku. Nie łączyła ich więź stadna, lecz Matt był starszy, niż wyglądał, a istniały sposoby, by przekazać moc poprzez dotyk.

Adam podniósł głowę i otworzył niewidzące oczy, kiedy naraz poczuł pierwsze oznaki przepływu. Zaskoczony, odetchnął głęboko dwa razy.

– Kiedy to wszystko się skończy, musisz mnie nauczyć, jak to się robi – wychrypiał. – Przydałoby mi się w niejednej sytuacji.

Matt uśmiechnął się, mimo że drugi wilk nie mógł tego zobaczyć.

– Zrobi się. – A potem przelał w Adama jeszcze więcej mocy.

Nie było to tak pomocne jak więź stadna, przy której obecności Guccio nie byłby w stanie zyskać takiej kontroli nad umysłem Alfę. Ale to, że krwiopijcy w ogóle się udało, świadczyło o jego wysokiej pozycji w wampirzej hierarchii. Matt wychwycił cień Honey i zrozumiał, że Adam czerpie również tyle, ile się da z watahy.

Zauważył wyraźnie, kiedy Alfa się wyzwolił, ponieważ ciało wilkołaka rozluźniło się, a oddech spłył. Kiedy Adam otworzył oczy, znów były ciemnobrązowe.

– Zostawiłem koniec połączenia na miejscu, nie chcę, żeby Guccio od razu się zorientował. Zobaczmy, co robi.

– To rozsądne? – powątpiewał Matt.

– Pewnie nie. – Adam wyszczerzył się w uśmiechu. – Ale mam to pod kontrolą. Jednak chciałbym cię prosić o przysługę.

– Jasne.

– Jeśli zacznę robić to, co mówi Guccio, złap za tę broń, którą masz przy kostce, i strzel do mnie.

– Załatwione. – Matt błysnął zębami.



Adam wszedł do jadalni pierwszy. Przez to ohydne połączenie, którym Guccio go związał, Adam czuł się jak muszka z wierszyka dla dzieci, która nie może pozwolić sobie na szarpanie się w sieci wielkiego pająka.

Bardzo starał się wyglądać, jakby wyskoczył na moment obgadać ze Smithem ostatni odcinek „Doktora Who”, choć nie mógł nic poradzić na to, że był mokry od potu. Z zapachem nic nie mógł zrobić, na szczęście marynarka ukrywała ślady wilgoci na koszuli.

Zgodnie z przewidywaniami nikt nie zaczął bez nich jeść. Wszyscy

siedzieli nad stygnącymi potrawami na talerzach i w kieliszkach, w zależności od rodzaju potwora.

Smith bez słowa odbił w stronę swojego stolika. Siedząca z goblinami Elizawieta przyglądała się Adamowi spod ściągniętych brwi. Adam poczuł muśnięcie powiewu, który niósł ze sobą jej zapach. Twarz wiedźmy na moment skamieniała, a potem odżyła zadowoleniem. Powitała Matta przyjemnym uśmiechem.

Adam usiadł naprzeciwko Bonaraty, pomiędzy Marsilią po lewej i Gucciem po prawej ręce. Przed nim stał talerz z letnim śniadaniem w stylu amerykańskim w ilości mogącej zaspokoić głód wilkołaka. Ocenił, że konwersacja nie toczyła się zbyt gładko podczas jego nieobecności. Marsilia miała lekko zaciśnięte usta, Guccio wydawał się rozbawiony, natomiast Bonarata zachowywał szczególnie wystudiowaną obojętność.

– Wybacz, że kazałem wam czekać – zwrócił się Adam do gospodarza.
– Pilna sprawa watahy.

– Mówiłeś, że pilot nie należy do twojej watahy – przypomniał Bonarata.

– Bo nie należy – odrzekł Adam uprzejmie, polewając jajka keczupem.
– Ale bywa, że uległe wilki mają kłopot, przebywając zbyt blisko ogniska przemocy. A ponieważ znalazł się tu z mojego powodu, miał prawo prosić mnie o pomoc. – Częściowo była to prawda, atmosfera przesycona przemocą miała wpływ na każdego człowieka poza psychopatami, ale nie było powodu ogłaszać wszem wobec, że to Adam potrzebował pomocy.

Jedzenie smakowało, nawet zimne, i Adam pochłaniał je z zapamiętaniem człowieka wyzutego z sił zmaganiemi z wampirzą napaścią. Gdy tylko wziął do ust pierwszy kęs, wszyscy złapali za sztucce.

Jakiś wampir podszedł do Bonaraty i wręczył mu karteczkę. Władca Nocy zasępił się, przeczytał wiadomość, i spojrzał na Adama.

– To dotyczy tych złych wieści, jakie miałem wam przekazać – zaczął.
– Wczoraj wysłałem słówko do moich ludzi, którzy mieli zadanie zlokalizowania twojej towarzyszki i w razie czego udzielenia jej niezbędnej pomocy. Ale głównie mieli mieć ją na oku i przekazywać raporty.

Zamiast zabić ją na miejscu, pomyślał Adam.

– Skontaktowali się ze mną wszyscy poza jednym, od którego w ogóle nie miałem żadnego sygnału.

– Pewnie to ten z Pragi – domyślił się Adam.

Bonarata spojrzał na niego przymrużonymi oczyma i Adam ocenił, że trafił w punkt.

– Mercy posiada... osobliwy talent do znajdowania się tam, gdzie

kłopoty rosną najęściej – wyjaśnił Adam. Jakiś czas temu uznał, że nie jest to celowe działanie i że ma coś wspólnego ze spuścizną Kojota. Sądził, że Mercy nie jest tego świadoma. – Moja żona jest w Pradze. W mieście, gdzie, jak twierdzą moi ludzie, działają dwie chmury, choć na takim terytorium powinna być jedna. Na szczęście Mercy jest bezpieczna pod skrzydłami Libora znad Weławy.

– Posłałeś przybrane dziecko Brana, jego ukochaną córkę, do Libora znad Weławy? – zdumiał się Bonarata, najwyraźniej wiedząc, że wilkołaki żywią do siebie jakąś anse.

– O, może ty wiesz, co to za waśń? – zaciekała się Marsilia.

Adam podzielił się z towarzyszami wątpliwościami, jakie żywił co do tego pomysłu, wyjawiając istnienie tajemniczego zatargu pomiędzy Liborem i Branem. Marsilia zasugerowała zapytanie o to samego Brana. Adam tylko potrząsnął głową, wyjaśniając, że Charles wspomniał o przysiędze milczenia chroniącej ten sekret. Wypytywanie Brana nic by im nie dało. Adam wytłumaczył, że Bran bez wątpienia wie, iż Charles skierował Mercy do Libora, i gdyby miał jakieś obiekcje, do tej pory by ich powiadomił.

Bonarata pokręcił głową.

– Nie, Libor nie jest zbyt rozmowny. A szczególnie wobec wampirów. Wspomniał o tym, kiedy próbowałem się z nim spotkać, by omówić kwestię dwóch chmar w mieście, w tym jednej, której nie może namierzyć nawet mój... Pan miasta. Mam kilka podejrzeń. – Zachmurzył się. – Widać źle, że tak to zostawiłem, skoro Pan Pragi milczy od tak dawna. Kiedy okazało się, że nie możemy znaleźć naszego wysłannika, próbowaliśmy go złapać jeszcze przed świtem.

– Kto jest Panem Pragi? Nadal Strnad? – zapytała Marsilia.

– Nie – wyręczył Bonaratę Guccio. – Strnad popełnił samobójstwo siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat temu, a miasto przejął po nim Kocourek.

– Nie pamiętam Kocourka. – Marsilia zmarszczyła brwi.

– To było po twoim odejściu – skwitował Bonarata krótko.

– Ten Kocourek to typ buntownika? – wypytywała. – Czy może raczej sam wpadł w jakieś tarapaty? A może po prostu przez parę godzin jest gdzieś poza zasięgiem?

– Może Mercy mu coś zrobiła? – podsunął Adam kpiąco. – Z nią nigdy nic nie wiadomo. Pewnie w Pradze też są jakieś autobusy.

Marsilia spojrzała na niego, unosząc brew – napominając, żeby się zachowywał. Adam w odpowiedzi również uniósł swoją.

– Mało prawdopodobne, żeby Kocourek znajdował się poza zasięgiem telefonicznym – odrzekł Bonarata. – Dlatego mnie to martwi. Ale wszystko inne w tej chwili to tylko spekulacje.

Jednak nie brzmiało to spekulatywnie, raczej jak autentyczna

wściekłość. Adam uznał, że Kocourek pewnie nie pochodzi długo po tym świecie, ale to już sprawa Bonaraty.

– Z pewnością rozumiesz, że Adam chciałby jak najszybciej jechać po żonę – rzekła Marsilia. – Szczególnie że twoje wampiry w Pradze nie dają znaku. Może powinniśmy przejść prosto do sedna. Uprowadziłeś Mercy? Dlaczego?

Bonarata wyduł usta i upił łyk wina, które posmakował niespiesznie. Dopiero potem spojrzął na Adama.

– Śmiało sobie poczynasz – zaczął. – Może przejęcie kontroli nad terytorium Tri-Cities i obietnica chronienia jego mieszkańców była nie tylko odważnym, ale też mądrym ruchem. Uczyniłeś to miasto przestrzenią dla negocjacji i układów pomiędzy ludźmi a magicznym ludem oraz wilkołakami. Przestrzenią, w której wszyscy mogą czuć się bezpiecznie. Ludzie przybywają tam oglądać pradawnych, a pradawni mogą pokazywać swoją prawdziwą twarz, przynajmniej częściowo prawdziwą. I to wszystko dzięki twojemu oświadczeniu, że jesteś w stanie chronić jednych przed drugimi. To optymistyczna sprawa, pełna nieskończonych możliwości i nadziei. – Zaczął bawić się kieliszkiem, który w jego dużych dłoniach wyglądał na bardzo kruchy. Potem odstawił go z westchnieniem. – A jeśli to nie zadziała, stanie się skrą, od której wybuchnie wojna, jakiej ziemia nie widziała od czasów hiszpańskiej inkwizycji, która zapoczątkowała wojnę wiedźm. Kiedy byłem dzieckiem, każda wioska miała swój sabat. W każdym mieście, bez względu na wielkość, rządziła wiedźma potężna jak Elizawieta Arkadiwna. Ludzie rozpętali piekło, doprowadzając wiedźmy do złamania układów działających od wieków. A kiedy było po wszystkim... Przez pięćdziesiąt lat myślałem, że na świecie nie została ani jedna osoba wiedźmiej krwi. – Wampir rozłożył ręce i położył dłonie po obu stronach kieliszka. – Nie wierzę, że szczeniak, który nie ma nawet stu lat, jest w stanie dotrzymać tego, co im obiecał. Nawet Marrok wycofał swoje poparcie dla ciebie, choć twoją towarzyszką jest jego ukochana podobno córka. Marrok spodziewa się twojej porażki, bo gdyby wierzył, że ci się uda, przyłączyłby się do ciebie. Nie masz szans z Szarymi Panami. Nie masz nawet szans wygrać z byle watahą, która wprowadzi się na twoje terytorium, a może to zrobić, skoro straciłeś ochronę Marroka. Nie masz szans ze mną. – Uśmiechnął się do Adama smutno. – I nieważne, jak bardzo byś chciał, żeby było inaczej.

Adam czekał, aż Bonarata skończy, po czym odkroił sobie kawałek rogalika z polewą malinową i zjadł. Nie spieszył się, pogryzł kęs porządnie, a potem splukał go łykiem wody.

– To prawda – odparł w końcu. – Marrok odciął się od nas przekonany, że wkraczamy prosto w wojnę pomiędzy ludźmi i pradawnymi. Musiał trzymać z dala od tego resztę wilków, bo jak

dobrze wiesz, gdyby pradawni postanowili skończyć z wilkołakami, pewnie udałoby im się to, zanim ludzie zdołaliby zniszczyć pradawnych.

Wziął do ust kolejny kawałek i zaczął przeżuwać go powoli.

– Pytanie, które powinieneś sobie w tej chwili zadawać, Jacobie – wtrąciła Marsilia – brzmi, dlaczego pradawni z miejsca nie zmiotli watahy Adama z powierzchni ziemi. Wszyscy tu obecni wiedzą, że mogli to uczynić.

Bonarata zachęcił Adama do wyjaśnień, unosząc brew.

Adam przełknął.

– Patrzysz na to z nieodpowiedniej perspektywy. Uważasz, że trzymam moje terytorium żelazną ręką. Ale tak nie jest. Utrzymuję je za zgodą tych, nad którymi panuję. To niezwykle amerykańskie podejście, dlatego mogłeś go nie brać pod uwagę.

Kolejnemu kawałkowi rogalika, który zniknął w ustach Adama, towarzyszyła głucha cisza. Cała sala, a było w niej może czterdzieści osób poza grupą Hauptmana, zdawała się wyczuwać, że dzieje się coś ważnego, i wszyscy ucichli, by usłyszeć każde słowo.

Adam uznał, że powiedział wystarczająco dużo, i jeśli Bonarata chce wiedzieć coś jeszcze, musi przejąć inicjatywę. Tym razem nie chodziło o pozycję, grę o władzę. Jeśli to Bonarata zada pytanie, łatwiej uwierzy w odpowiedź. A im szybciej zrozumie, jak działa strefa neutralna i na czym opiera się bezpieczeństwo w niej, tym szybciej Adam będzie mógł wsiąść do samolotu i odlecieć do Pragi.

– Wobec tego wyjaśnij to komuś – wycedził wampir – kto jest za stary i za bardzo europejski. Wyłumacz, jakim cudem jeden Alfa może dyktować Szarym Panom, co mają robić. Beauclaire’owi, który włada mocą zdolną przenosić miasta. Dzieciom Danu, których czczono jako bogów.

– O, to całkiem proste – odparł Adam. – To ich pomysł.

Cisza.

– On nie kłamie – poparła go Marsilia. – I przyznam, że obserwowanie całej tej szopki było dość zabawne.

Adam przechylił w jej stronę kieliszek.

– Zapamiętam to. – A potem porzucił niefrasobliwą postawę, usiadł prosto i przeszedł do rzeczy. – Kiedy pradawni uskuteczniłi swój melodramatyczny exodus, byli przekonani, że wycofają się do swoich rezerwatów i już nigdy nie będą musieli mieć do czynienia z ludźmi. Trzy tysiące lat wcześniej to im się udało, odeszli do Podgórza i żyli tam tak długo i szczęśliwie, jak sobie chcieli. Ale ponieważ Podgórze zamknęła przed nimi swoje wejścia, zostali zmuszeni do zawarcia pokoju z ludźmi, którzy mnożyli się bardzo szybko i kochali żelazo, będące przekleństwem większości magicznych istot. Przeniesienie się do Nowego Świata było desperackim krokiem, odkrycie swojego istnienia

przed ludźmi było również desperackim posunięciem, a stworzenie rezerwatów okazało się jeszcze bardziej desperackie. To ostatnie wyszło im na dobre, a przynajmniej tak myśleli. W dziczy Ameryki Północnej, gdzie żelazo nie jest tak długo związane z historią jak tutaj, zdołali otworzyć przejście do Podgórze na terenach znajdujących się pod ich kontrolą. W miejscach, gdzie żelazo i chrześcijaństwo nie trzymało ich w szachu. Pewni swego, stwierdzili, że gwizdzą na ludzi, i wycofali się, zamierzając opuścić ten świat.

Bonarata chłonął to wszystko zafascynowany. Kiedy Adam chciał kontynuować, powstrzymał go gestem dłoni.

– Nie słyszałem, że... Daj mi chwilę, proszę.

Adam wrócił do jedzenia. Może gdyby nie był głodny, gdyby nie był żołnierzem, napięcie w sali odebrałoby mu apetyt. Może.

– Otworzyli stare przejścia – powtórzył Bonarata – ale nie znaleźli tam tego, czego się spodziewali?

– Dokładnie. Podgórze, która nie była nimi zachwycona ani całkiem zrównowazona, nie zamierzała pozwolić im na powrót i wprowadzenie rządów według starych, pełnych arogancji zasad.

– Czyli pradawni utknęli w klatce, którą sami sobie zbudowali – podsumował wampir.

Adam potaknął.

– Po tym mieli parę opcji. Na przykład wszcząć walkę. Może, może sto lat temu jeszcze mieliby szansę na zwycięstwo, choć wątpię. Posiadają moce, ale brak im liczebności, w dodatku całkiem spora część z nich wolałaby raczej zatłuc innego pradawnego niż człowieka. A teraz? Przy takiej broni, jaką dysponują ludzie? Nie sądzę, żeby zdołali wygrać. I oni również. Jednak pradawni posiadają jeszcze tyle mocy, by zdołać wyniszczyć przeciwnika bez względu na ostateczny wynik. – Stuknął pięścią o pięść, wydając odgłos wybuchu, i gwałtownie rozprostował dłonie. – Giną obie strony. Niektórym pradawnym ta perspektywa, śmierć w chwale bitwy, wydawała się niezwykle kusząca.

Bonarata prychnął nieelegancko.

– Kretyni – ocenił. – Gdzie tu chwała, skoro nie ma komu pisać pieśni?

– Całe szczęście większość Szarych Panów podzielała twoje zdanie. Zamknęli się więc w swoich fortecach. Ale pradawni to nie wilkołaki czy wampiry, które mogą żyć w zgodzie ze swoim własnym rodzajem. – Jego wilk zaśmiał się na takie dictum. Pradawni żyjący zgodnie pospołu? Wilkołaki, no może, ostatecznie, jeśli Marrok zaprowadziłby zamordyzm. Ale wampiry? Cóż, czasem trzeba posłodzić gospodarzowi, a w zasadzie wampiry lepiej dogadywały się pomiędzy sobą niż pradawni. – Jeśli jeszcze chwilę potrzymaliby pradawnych w zamkniętych rezerwach, wyginęliby z własnych rąk. – Adam wypowiedział na głos tylko to, co wiedzieli wszyscy znający magiczny

lud. – I tak już zaczęli się wzajemnie mordować i torturować, z czystej nudy, jak sądzę.

– A więc jeśli chcieli wrócić do świata, musieliby wynegocjować to znów z ludźmi – powiedział Bonarata w zadumie. – Lecz tym razem mieliby do czynienia z kimś, komu dobitnie pokazali, jak są straszni i jaką władają mocą. Jak po czymś takim nawiązać komunikację? – Spojrzał na Adama niedowierzająco, wyraźnie okazując, że wątpi w predyspozycje wilkołaka do tego zadania.

– Myślę – wtrąciła Marsilia, widząc minę Władcy Nocy – że nie rozumiesz pozycji Adama w ludzkiej społeczności. Stał się gwiazdorem z marszu, gdy tylko wyjawiono publicznie istnienie wilkołaków. Jest miły dla oka, wie, jak poruszać się w meandrach władzy. Cieszył się szacunkiem wierchuszki wojskowej Stanów, jeszcze zanim wyszło na jaw, że jest wilkołakiem. Ufają mu ludzie na wysokich szczeblach hierarchii militarnej i politycznej. Pomógł zawiązać relacje pomiędzy wilkołakami i ludźmi. – W tym momencie Marsilia przerwała, aby uśmiechnąć się cierpko. – A potem pewnego dnia Mercy zwołała parę wilków Hauptmana i razem obronili ludzi przed wielkim trollem. Ryzykowali życie i zostali ranni w akcji, której mogli uniknąć. Ale zasłonili własnymi pierściami ludzi przed potwornym pradawnym i zostali bohaterami. Teraz są celebrytami.

– Taaa, to nie było zbyt mądre – przyznał Adam. – Bo ta sprawa podsunęła pradawnym pewien pomysł.

– Zostaliście wmanewrowani – odkrył Bonarata, prostując się. – Wmanewrowali was – powtórzył władczym, przyciszonym głosem. – Wrobili was w bohaterstwo, udali, że się was obawiają, po to, by ludzie uwierzyli, że możecie utrzymać pradawnych w ryzach.

Bonarata zdawał się myśleć niezwykle trzeźwo i rozsądnie, jak na kogoś, kto właśnie stracił ulubioną maskotkę. Czy Elizawieta nie wspomniała, że obroża przestała gwarantować posłuszeństwo wilczycy? A wiedźma, która stworzyła przedmiot, nie pracowała już dla Bonaraty. Może śmierć Lenki nie nastąpiła w wyniku przypadkowego zbiegu okoliczności, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka?

– Fakt jest taki – podjął Adam wątek, którym się aktualnie zajmowali – że nikt nie wierzy, że pradawni się mnie boją. Ani żaden pradawny. Ani ludzie. A już na pewno nie ja. Wierzą jednak w to, co udowodniliśmy, że jesteśmy gotowi walczyć na śmierć i życie w obronie ludzi na naszym terytorium. Lecz prawdę mówiąc, jeśli jakiś magiczny wychyliłby się w moim mieście, nie musiałbym nawet kiwnąć palcem, bo pradawni załatwią to za mnie. Gwarantuje to traktat spisany krwią.

Marsilia chrząknęła znacząco i Adam się poprawił:

– Magiczny albo magiczna. W każdym razie ludzie wierzą, że jesteśmy w stanie ich ochronić, i to prawda. Generalnie. Nie wiedzą

tylko, jak to się dzieje, że jesteśmy w stanie zapewnić im bezpieczeństwo. Pradawni zdają sobie sprawę, że Szarzy Panowie nie zawahają się zabić, by chronić nasz układ. I owszem, boją się, jednakże Szarych Panów.

– A co najważniejsze – wtrąciła Marsilia – ludzie nie tylko uważają, że Adam i wataha ich ochronią, oni są pewni, że zrobi. Jest superbohaterem, jak Wolverine albo Spiderman.

– Poza tym nie tylko moje stado pilnuje porządku – dodał Adam. Nie był superbohaterem, ale rozumiał przenośnię Marsilii. – Również Marsilia i jej chmara. Również Larry. – Uniósł kieliszek w stronę Larry’ego, który odpowiedział tym samym. – I Elizawieta. – Powtórzył gest. – I wreszcie pradawni. Ja jestem jedynie skromną twarzą tej ochrony, fasadą, którą widzą ludzie.

Bonarata przyglądał się Adamowi w zadumie. Wilkołak skrzyżował z nim spojrzenie. Tym razem wampir uśmiechnął się szeroko, promiennie, na tyle szczerze, na ile wampira w jego wieku i o jego pozycji było stać.

Tak, pomyślał Adam, śmierć Lenki została zaplanowana. Smutek Bonaraty był nieklamany. Jednak śmierć wilkołaczycy z ręki Adama, z rąk jego ludzi na pewno została zaplanowana. Może Bonarata zamierzał wykorzystać zabójstwo, żeby pozbyć się Adama? To pasowało do makiawelicznej reputacji Bonaraty. Nieprzewidziane było tylko to, że Lenka uderzyła jako pierwsza i że dzięki temu zabicie jej przez Honey stało się usprawiedliwionym uczynkiem.

Bonarata rozejrzał się po jadalni, a wszyscy wrócili do jedzenia czy innych czynności. Pogodny gwar rozbrzmiał na nowo.

W tej półprywatności Bonarata zwrócił się do Marsilii.

– Ostatnio straciłaś paru silnych ludzi. Jeśli pozwolisz i zostawisz mi listę wampirów, którym byłabyś skłonna zaufać, zobaczę, czy któryś zechciałby z tobą pojechać. – Zawiesił na moment głos, a potem podjął serdecznie: – Możesz myśleć o tym jak o darze aprobaty z mojej strony dla tego pomysłu strefy bezpieczeństwa. Oczywiście – dodał po chwili – równie dobrze możesz wrócić tutaj, a ja wyślę kogoś na twoje miejsce, żeby wilkołaki nie pozostały bez wsparcia.

Adam ocenił, że jak na „kocham cię i chcę, żebyś do mnie wróciła” brzmiało to zawile i mało uczuciowo. Gdyby on powiedział coś tak kiepskiego i nijakiego do Mercy, słono by mu przyszło za to zapłacić. Podejrzewał, że Marsilia nie jest czymś takim zachwycona bardziej, niż byłaby Mercy.

Wampirzyca zapatrzyła się w stół.

– Kochałam cię – powiedziała bardzo cicho.

– Sprzeciwiłaś mi się – odpowiedział Bonarata równie cicho. – Walczyłaś ze mną. Nie mogłem przejść nad tym do porządku, bez

względu na moją miłość do ciebie.

Uśmiechnęła się do niego twardo.

– Zniszczyłeś Lenkę i jej towarzysza, bo to przyszło ci łatwiej niż zapanowanie nad pragnieniem jej krwi. Miażdżąc ją, silną wilkołaczkę, pokazałeś, że nadal masz nad tym władzę, co było zwykłym kłamstwem. Zdziałało tylko dlatego, że wszyscy chcieli w nie uwierzyć. Bo nie chciałeś zapanować nad swoim uzależnieniem, nie tak naprawdę. Tak bardzo podobał ci się ten przypływ mocy, że nie chciałeś uznać tego za słabość, choć on nie mógł równać się z twoją prawdziwą siłą.

– To prawda – stwierdził Bonarata bez śladu skruchy.

– Potęgę kochałeś mocniej niż mnie. Już raz przedłożyłeś ją ponad mnie, uczynisz to znowu. – Uśmiechnęła się, czule i smutno jednocześnie. – Znam cię, Iacopo. Nie zmieniałabym cię ani na jotę. I nie mogę tu mieszkać. – Zatoczyła ręką wokół, wskazując, że mówi o otoczeniu, domu, chmarze, Mediolanie; o wszystkim. – Jestem potrzebna tam, gdzie teraz żyję. Są tacy, którzy na mnie liczą. – Spojrzała na Adama, który z powagą skinął głową. – Chcę wrócić do swojego domu. Wyślę ci listę osób, którym gotowa jestem zaufać, a ty zrób z tym, co uważasz.

Adam skończył jeść. Zerknął na Guccia obserwującego bacznie Marsilię i Bonaratę. Guccio przesiedział cały posiłek, nie odzywając się ani słowem. Adam był trochę, odrobinę, rozczarowany wampirem. Brak ruchu z jego strony stawiał Adama w niedogodnej sytuacji. Może historia, którą Guccio przedstawił, była prawdziwa – z wyjątkiem tego, że nie tylko oznaczył Adama, ale ukąsił i związał ze sobą. Sygnaturę można było przeoczyć, lecz ugryzienia już nie. Wilkołak zastanawiał się, czy ma to puścić w niepamięć, jeśli Guccio nic nie zrobi. To stwierdzenie nie spodobało się ani jemu, ani wilkowi.

– Żałuję tego, co musiałem zrobić – rzekł Bonarata do Marsilii łagodnie.

Marsilia uniosła niedowierzająco brew, a Bonarata zaśmiał się na wpół zakłopotany i rozłożył ramiona.

– Masz rację. Potrzebowałem mocy, Marsilio. Nie przetrwalibyśmy bez niej.

Wydała z siebie odgłos, który mógł być protestem.

– Czy krew twojej wilkołaczki przydawała ci więcej mocy niż posiadanie Stefana i mnie u twego boku? Więcej niż Wulfe? Jego też zniszczyłeś, Iacopo. Stał się... niebezpieczny.

Bonarata skinął potakująco.

– Kiedy zobaczyli, co jestem gotów zrobić, co mogę zrobić, przestali ze mną walczyć. To pozwoliło mi przejąć pełnię sterów. Musiałem to zrobić dla naszego bezpieczeństwa.

– A więc, mój nigdyś ukochany, gdzie w tym żal?

– Żałuję, że nie mogłem ci wyjaśnić, co robię i dlaczego. Że musiałem cię zranić.

Pokręciła głową.

– Nie udawaj, że to była część twojego planu. Zraniłeś mnie, a ja się odpłaciłam. Złamałam twoje zasady, zerowałam na Lence i próbowałam odebrać ci władzę nad nią. Nie powiodło mi się, niestety. Ty ukarałeś mnie za złamanie zasad, ale prawdziwą moją zbrodnią było zranienie twoich uczuć. I to, że ośmieliłam się rzucić ci w twarz, że to, co zrobiłeś, co robisz, jest złe. Znam cię, Iacopo. Nie żal ci niczego poza sobą.

Nie powiedziała tego potępiająco, ale o to jej chodziło. Twarz Bonaraty zastygła w masce obojętności.

– Nie znasz mnie, Marsilio. Znasz tego, kim byłem. I nazywaj mnie Jacobem.

– Niech będzie. Ja też się zmieniłam. Nie jestem już twoja, na dobre i na złe, nie jestem twoim Ostrzem. Nie czuję potrzeby wybaczenia ci czegokolwiek, Jacobie. Nie usycham już z tęsknoty do ciebie, choć chyba miło cię będę wspominała. Za kilka lat. – Marsilia rozejrzała się. – Jeśli naprawdę chciałbyś, żebym wróciła, tę rozmowę odbywalibyśmy bez świadków. Jeśli już tu skończyliśmy, Adam musi lecieć do Pragi odzyskać swoją towarzyszkę. Czy możemy podziękować ci już za gościnę?

Bonarata pochylił się do przodu, wpatrzony w Marsilię. W jego oczach malowały się smutek, pożądanie i poczucie osamotnienia.

– Ufam, że zakończyliśmy interesy. – Władca Nocy zerknął pytająco na Adama.

Adam popatrzył na niego z namysłem.

– Podsumowując, żeby wszystko było jasne – zaczął. – Wiesz, co dzieje się u nas, i nie jest to nic, czego się spodziewałeś. Pradawni nie rzucą się nagle na ludzi i nie sprawią im krwawej łaźni, bo to nie leży w ich interesie. Nie rozpęta się przez nas kolejna inkwizycja. Wiesz o tym, akceptujesz to i nie naślesz na nas kolejnej ekipy. – Odetchnął, żeby powściągnąć wilka przed warczeniem. – Jeśli to zrobisz, następnym razem nie przyjadę tutaj w misji dyplomatycznej. Nie jestem politykiem. Podobnie jak ty, jestem zabójcą i każdy, kto o tym zapomni, zasługuje na to, co go spotka. Jeśli to jasne, odjadę tak szybko, jak będziemy gotowi.

– Uważaj, wilku – rzekł Bonarata bardzo cicho. – Nie zapominaj, czym jestem.

– I wzajemnie.

– Adamie, Jacobie – wtrąciła się Marsilia – może po prostu uznajmy sprawę za ustaloną.

Bonarata wstał, dając pozwolenie na to samo reszcie biesiadników. Adam również się podniósł i zasunął krzesło do stołu.

Bonarata podszedł do niego od strony Guccia.

– Nie powiem, że była to dla mnie przyjemność – stwierdził. – Lecz

z pewnością było to ciekawe doświadczenie. Życzę ci powodzenia w twoich przedsięwzięciach.

Wyciągnął rękę. Adam podał mu swoją. I w końcu, nareszcie, Guccio uczynił swój ruch.

– Trzymaj go – nakazał łagodnie, przesyłając rozkaz przez więź, którą zainicjował, żerując na Adamie tego dnia w korytarzu.



Rozdział 12

Matt Smith (nie ten z „Doktora Who”) i Adam

Woda jest mokra, a wampiry zdradzieckie.

Matt Smith zaczął już się zastanawiać, czy przypadkiem śmierć Lenki albo coś innego nie pokrzyżowało planów Guccia. Nie było dla niego zaskoczeniem, że jakiś wampir chce władzy Bonaraty. Wilkołaki robiły to zazwyczaj bardziej jawnie, ale kiedy gatunek znajdował się pod panowaniem najgroźniejszego ze wszystkich sukinsynów, musiał on raz po raz udowadniać swoją siłę. Aż przestawał być najgroźniejszym sukinsynem i to samo musiał później udowadniać inny delikwent.

Matt spojrział na Bonaratę siedzącego przy oddalonym stoliku. Wyglądało na to, że gospodarz wygłasza mowę do Adama i Marsilii na do widzenia i krzyżyk na drogę.

A może ktoś znalazł sposób na pozbycie się wrogów...? Jakie są szanse, że Guccio dopuścił się, czego się dopuścił, pod samym nosem Bonaraty, a ten tego nie zauważył? Mało prawdopodobne, żeby Władca Nocy, który żył jako książę w dobie renesansu, nie dostrzegł szykującego się zamachu stanu.

Jeśli doszłoby do walki Adama z Gucciem, myślał Matt, obserwując Bonaratę, który uważnie omijał wzrokiem przybocznego, to Władca Nocy byłby wygrany bez względu na jej wynik. W przypadku, gdyby to Adam zabił Guccia, Bonarata miał z głowy bunt. Gdyby zaś to Guccio wyszedł z tego cało, intrygant zostałby mocno osłabiony

Matt odłożył serwetkę i zaczął wstawać w chwili, kiedy Bonarata i cała reszta podnieśli się od stolików.



Adam wciągnął ze świstem powietrze, kiedy naprężyła się więź pomiędzy nim a wampirem. Zastanowił się przelotnie, od jak dawna Guccio planował ten moment. Rozważał też, czy powinien zabić Bonaratę, a jeśli tak, czy uczynić to osobiście, czy zostawić w rękach Guccia. A potem zabić tego drugiego.

Jeśli zależałoby to od Adama, dzisiaj nie byłby dzień Guccia. Nie żeby Adam był wielbicielem Bonaraty, bo nie był. Ale Władca Nocy to najlepsza opcja utrzymania pokoju. Gdyby zginął, a w sprawę okazał się zamieszany Adam, nawet jako niewolnik krwi, na głowy bliskich Alfy dorzeczka Kolumbii spadłoby to samo piekło, które opisywał Larry w przypadku własnowolnego zabicia Bonaraty.

Adam szybko wykonał rozkaz. Podtrzymując uścisk dłoni gospodarza, pochylił się do przodu, jakby gotował się do jednego z tych słynnych europejskich objęć, spopularyzowanych przez filmy o mafii. Położył drugą dłoń na ramieniu Pana Mediolanu i poczuł, jak ten sztywnieje, zaskoczony, zaczynający rozumieć, że coś jest nie tak. Że Guccio nie zwracał się do kelnera albo sługi słowami „trzymaj go”, ale że wydawał polecenie Adamowi.

Guccio też się poruszył.

Adam zapał się, szarpnął Bonaratę do siebie, a jednocześnie ręką na ramieniu wampira przekierował jego ciężar w bok, popychając na Guccia.

Zaskoczony Guccio nie zdołał sięgnąć po broń, którą zapewne miał w zanadrzu, i utknął z ręką zaplątaną w marynarkę.

Adam wykorzystał ten moment, pchnął Bonaratę na Marsilię, licząc, że wampirzyca przytrzyma byłego kochanka na tyle długo, by stało się jasne, że to nie Adam zamierzał zabić Władcę Nocy oraz że Guccio go nie kontroluje. Miał również nadzieję, że zdoła powstrzymać ewentualnych sprzymierzeńców Guccia na czas, gdy Adam zajmie się swoimi sprawami.

– Pilnuj, żeby nic mu się stało – rzucił na wszelki wypadek, równocześnie stając twarzą w twarz z Gucciem, który błyskawicznie odzyskał równowagę w każdym tego słowa znaczeniu. – I nie pozwól mu mnie zabić – dodał.

Guccio chwycił obrus (tym razem w odcieniach zieleni) i stół eksplodował napojami, kryształami i sztuczkami, zmieniając je w pociski.

Odlamki uderzyły w tors Adama z taką siłą, że aż zabolalo, dzban z wodą z lodem rozbił się u stóp wilkołaka, ograniczając przyczepność podłogi. Adam wiedział, że podeszwy butów ochronią jego stopy przed ostrymi fragmentami szkła, ale musiał wziąć pod uwagę, że może się ślizgać.

Guccio uśmiechnął się, odsłaniając białe kły. A potem, zamiast zaatakować, zaczął powoli się wycofywać, zatrzymując Adama w kałużach wody, co umożliwiło mu wybór pierwszego uderzenia.

Adam uznał, że kły pewnie miały go wystraszyć, ale ponieważ były niewiele dłuższe od kłów Medei, kotki Mercy, ta próba zastraszenia go spełzła na niczym. Guccio w lewej ręce trzymał obrus, ale zdecydowanie bardziej interesujący stał się sztylet w drugiej.

Adam znał się na broni. Ta była stara i pięknie wykonana. Ostrze ozdobiono srebrem, prawdopodobnie prawdziwym, a zdobienia zapewne oznaczały, że sztylet jest...

– Uważaj – zawołała Elizawieta. – To magiczny sztylet. Stara i zła magia. Nie wiem, jak działa.

No właśnie, tak też podejrzewał. Choć myślał, że magia nie była bardzo potężna, bo wtopienie zdobienia w ostrze, bez względu na to, co na ten temat uważała generacja D&D, nie było wcale takie proste. Dlatego właśnie kowali takich jak Zee tak wysoko ceniono i tak się ich bano.



Walka zaczęła się, zanim Matt zdołał szepnąć Adamowi choć słówko, zresztą sam Matt nie był pewien, co miałby powiedzieć. Wszyscy obecni również wstali. Małą uzdrowicielkę opiekunowie wyprowadzili z sali, mimo że nie wydawała się szczególnie przejęta sytuacją i wychodząc, oglądała się z ciekawością za siebie.

A walka zaiste była piękna. Matt postrzegał siebie jako pokojowego człowieka. Lecz nie mógł zaprzeczyć, że w przemocy tkwiło swego rodzaju piękno, w starciu pomiędzy dwoma mistrzami boju.

Guccio okazał się typowym szlachcicem swych czasów. Urokliwość i piękne słówka były tylko fasadą, która skrywała to, jak bardzo był niebezpieczny.

Przemiana w wampira też go nie spowolniła ani nie odebrała siły jego ciosom. Walczył przez setki lat i przejawiało się to w każdym jego ruchu, w całej choreografii, którą nadał widowisku.



Adam pozwolił wampirowi prowadzić, podczas gdy sam przyglądał się bacznie jego stylowi. Najbardziej zauważalną do tej pory cechą okazało się zacięcie Guccia do mówienia.

– Jak udało ci się zerwać moje połączenie? – zapytał krwiopijca,

trzymając sztylet nisko, skierowany w serce Adama.

Wampir był przy tym również uważny, trafnie obrał cel, bo choć nieuzbrojony, Adam był przecież wilkołakiem.

Adam nie odpowiedział, lecz Guccio okazał się w tej kwestii samowystarczalny.

– Należysz do Marsilii – wywnioskował logicznie. I jednocześnie błędnie.

Adam, który planował szybko zakończyć walkę, uznał, że może tutejszym wampirom dobrze zrobi demonstracja wilkołaczej siły. Bonarata nie musiał wierzyć, że Adam mógłby pokonać Szarych Panów, ale może powinien wiedzieć, że nie był też słabeuszem.

– Nie – odrzekł. – Należę do Mercy.

Adam wiedział co nieco o walce na noże. Jego nauka rozpoczęła się w wojsku, potem miał pięćdziesiąt lat na szlifowanie umiejętności. Najlepszy nożownik, jakiego spotkał, trzymał nóż dokładnie tak jak Guccio. Guccio był za to dzieckiem wcześniejszej epoki i miał o wiele więcej czasu na doskonalenie techniki.

Choć uwagę głównie skupiał na wampirze, Adam zdawał sobie sprawę, że natychmiast po tym, jak brzęk tłuczonego szkła oznajmił początek walki, w pomieszczeniu zaczął się gwałtowny ruch. Bonarata opanował sytuację i zaczął opróżniać jadalnię z ludzi tak szybko, jak to możliwe.

Matt pomagał niezaangażowanym w walkę – ludziom, wampirom i innym – opuszczać salę. Co ciekawe, Bonarata robił to samo.

Kiedy obaj podnosili młodą kobietę z podłogi, Bonarata usiłował podchwycić spojrzenie Smitha – prawdopodobnie nie mógł się powstrzymać. Debata o wyższości wampirów nad wilkołakami była wieczna i zawsze żywa. Matt sądził, że pojedynki woli, krzyżowanie spojrzeń, żeby ustalić dominację, to potrzeba większości wilków. Sprawdzała się w wilczym kręgu, bo umożliwiała uniknięcie nieporozumień czy rozlewu krwi. Ale wdawanie się w to z wampirem byłoby błędem.

Bestia Matta okazała się na to za sprytna. Matt powiedział coś do szlochającej kobiety i oddał ją w ręce innej kobiety, po czym odprowadził je wzrokiem, kiedy wybiegały z jadalni.

Jakiś wampir odciągnął stół z pobliza sceny walki i wpadł na Bonaratę, a ten złapał go za szyję i złamał kark. Sięgnąwszy jakby od niechcenia ku najbliższemu stołowi, oderwał drewnianą nogę – jasne się stało, że wiele mebli nie ustrzeże się zniszczeń – i przebił bezwładnemu wampirovi serce.

Kolejny zabójca skoczył na Władcę Nocy, ale zanim osiągnął cel, Larry, w zupełnie niegoblinim publicznym pokazie udowadniającym, że

błędem jest lekceważyć goblina, wskoczył na grzbiet krwiopijcy i w locie zdekapitował go garotą. Ciało wampira, obie jego części, runęło na podłogę za plecami Bonaraty, z Larrym siedzącym okrakiem na większej.

Bonarata okręcił się błyskawicznie, gotów zabić napastnika atakującego go od tyłu. Na szczęście, widząc scenę, wiekowy wampir wyciągnął właściwe wnioski, oszczędzając Harrisowi poświęcenia życia w obronie Larry'ego przez przebicie nogą stołową, która o mało co nie przedziurawiła gobliniego króla. Bonarata oszczędnie skinął głową goblinom w podziękowaniu i wrócił do opróżniania jadalni ze zbędnego chwilowo personelu.



Adam, skupiony na przeciwniku, zarejestrował w pobliżu Larry'ego poruszenie i fontannę krwi, ale ponieważ goblin na koniec stał na własnych nogach, wilkołak doszedł do wniosku, że Larry sam sobie dał radę.

Jedna z biesiadniczek przypadkiem znalazła się za blisko Guccia, który nonszalanckim gestem uderzył ją na odlew. Runęła na podłogę niczym worek pełen połamanych kości. Nie żyła, zanim wylądowała na ziemi, ponuro ocenił Adam.

Nie miał jednak czasu na żal po obcych ludziach. Guccio zakręcił nad głową obrusem i rzucił płachtę na Adama, jednocześnie sam do niego przypadając.

Klasyczny atak z dwóch stron – broniąc się z jednej, odsłaniało się drugą, jeśli zaś Adam chciałby zareagować tak szybko, żeby sparować oba ataki, ryzykował utratę równowagi. Zamiast więc ślizgać się na zdradliwej podłodze, Adam dał susa w tył na stół, przy którym chwilę temu jadł. Wylądował na dalszym skraju.

Przechylił się nieco, nacisnął stopami kraniec blatu, a stół fiknął koziołką. Adam chwycił mebel i szurnął blat najeżony nogami w stronę przeciwnika.

Wampir skoczył do góry niczym opętany baletmistrz, przesadził przeszkodę i zainicjował kopniak w kolano wilkołaka, jednocześnie z nieludzką prędkością zamachnął się od dołu sztyletem, biorąc na cel szyję Adama.

Na szczęście Adam też nie był człowiekiem. Obrócił się, by uniknąć kopnięcia, i zarzucił obrus na ostrze. Ochronił kolano, a tkanina zmieniła tor sztyletu tak, że drasnął go tylko w ramię. Zapiękło.

Guccio z rozpędu wyminął Adama, zatrzymując się metr od niego, gdzie uniósł zbroszoną broń do czoła w salucie dla pierwszej krwi.

Kiedy odsuwał ostrze od twarzy, cofnął się machinalnie, wpadając na przewrócone krzesło.

Adam wykorzystał dekoncentrację wampira, wyprowadzając silne kopnięcie z przodu, ale w tej samej chwili wilk wychwycił jakąś nieprawidłowość w potknięciu, które mu się nie spodobało. Adam natychmiast przerwał ruch, unikając przecięcia ścięgna. Okazało się, że niezręczność wampira była fortelem, mało brakowało, skutecznym.

Wycofując się z zamierzonego ruchu, Adam musiał odzyskać równowagę naruszoną zmianą pozycji ciała. Guccio wykorzystał rozchwianie wilkołaka i opuścił rękojęść sztyletu na jego głowę.

Adam zablokował rękę wampira, ale nie kolano, które wbiło mu się w brzuch.

Zabolało, tępy ból narósł, momentami Adamowi aż ciemniało w oczach, pomroczość uderzała falami, oszłamiając. Walka z wampirem była prawie tak dobra jak z wilkołakiem.



Kiedy jadalnia opustoszała, Matt oddał się śledzeniu spektaklu rozgrywającego się na środku.

Guccio walczył wspaniale, co do tego wilkołak nie miał wątpliwości. Raz na jakiś czas zdarzał się wojownik, człowiek czy nie, który walkę wynosił na poziom sztuki. Matt czuł się zaszczycony, że może oglądać coś takiego. Takim zawodnikiem był bokser Sugar Ray Robinson, pełen wdzięku i siły. Matt oglądał jego mecze tak często, jak się dało.

Adam Hauptman był kolejnym w rodzaju Robinsona.

Nie wykonywał żadnego zbędnego ruchu, kiedy unikał ciosów – centymetr w tę, pół centymetra we w tę. Trzymał się głównie defensywy, pozwalając wampirowi odkrywać sekrety. Natomiast postawa i twarz Adama nie zdradzały niczego, wydawał się zrelaksowany i opanowany – co było niezwykle, jak na wilkołaka walczącego z takim przeciwnikiem jak Guccio de'Medici, który pochodził ze związanej z wojskowością gałęzi tego rodu, wedle wiedzy Matta. Harris okazał się kopalnią informacji o ludziach Władcy Nocy.

– Hauptman niezłe sobie radzi – skomentował Bonarata cicho. Przez moment Matt sądził, że mówi do niego.

– Owszem – zgodziła się Marsilia. – Jest czwarty pośród wilkołaków Nowego Świata. Jest młody, jak na takie miejsce w hierarchii, ale zdobył je nie bez powodu.



Adam zarejestrował, że jadalnia została opróżniona z niewiarygodną prędkością, aby do minimum ograniczyć straty uboczne. Garstka obserwatorów, pomiędzy nimi Bonarata, rozsypała się po sali, żeby nie wejść w strefę walki. Jedna niewinna ofiara tego całego bałaganu to i tak za dużo.

On i Guccio okrążali pomieszczenie, przeskakując nad przewróconymi krzesłami i rozrzuconą zastawą. Jeszcze dwukrotnie wymienili ciosy, jednak żaden nie odniósł poważnych ran. Adam chciał to stanowczo zakończyć, lecz sztylet dawał wampirowi przewagę zasięgu.

Krążyli jeszcze przez parę sekund, po czym Guccio miękko przeszedł w długi, płynny wypad. Szybko, niczym atakująca kobra, ostrze pomknęło w stronę brzucha Adama. Jedynie zmiana punktu ciężkości ciała zwiastowała atak, ale Adam odskoczył w tył, przez co wampir albo by go nie dosięgnął, albo musiałby przejść w niezręczny atak z przekrokiem. Guccio, dowodząc znów, że nie jest nowicjuszem, przerwał wypad, zanim zbliżył się do wilkołaka na tyle, by ten mógł odpowiedzieć.

– Widzę, że trochę trenowałeś – stwierdził wampir z drwiącym uśmiechem. – Ale twój nauczyciel był patałachem. Masz drewnianą pracę nóg.

Ja i Muhammad Ali, pomyślał Adam, choć nie odpowiedział na głos. Fruwamy niczym motyle, żądlimy jak osy. Nikt nie jest doskonały, a walka to zawsze jeden wielki kompromis. I jego praca nóg była całkiem w porządku.

Guccio nie przestawał mówić, chcąc rozproszyć Adama.

– Za bardzo skupiasz się na obronie, żeby wdroić właściwe ataki. Po wielkim Adamie Hauptmanie spodziewałem się więcej. Pozwól, że udzielię ci lekcji.

Guccio ściągnął następny obrus i przewiesił go sobie przez lewą ramię. Tkanina spływała do wysokości kolan.

– To płaszcz – wyjaśnił. – Używa się go, by zmylić i ukryć. – Teatralnie zakręcił sztyletem i schował go pod obrus. – Sztylet ukrywa się pod płaszczem. I teraz zaczyna się zabawa. Gdzie jest ostrze? Gdzie uderzy?

Guccio wykonał taniec z „płaszczem”, starając się zmylić Adama co do zamiarów i pozycji sztyletu. Dwukrotnie Adam był pewien, że dojrzał początek ataku, lecz wilk za każdym razem protestował, inaczej odczytując intencje wampira. Adam posłuchał bestii.

Guccio załopotał zamazyście obrusem i nagle sztylet znalazł się w jego drugiej ręce, zataczając łuk skierowany na gardło Adama. Ostrze leżało płasko skierowane ku łokciowi Guccia. Większość zasłon czy prób chwycenia wampira za rękę skończyłaby się urazem dłoni. Kiedy sztylet zbliżał się ku szyi Adama, Guccio zgiął nadgarstek, pozwalając ostrzu

wystrzelić naprzód i poszerzyć tor. Ciało krwio pijcy powtarzało ruch, prześlizgując się półkrygiem obok Adama.

Wilkołak gwałtownie odsunął głowę w tył. Ostrze przecięło powietrze. Adam wyprowadził silny cios. Uderzenie dosięgło celu, ale poruszająca się tkanina zmyliła Hauptmana i pięść ledwie musnęła Guccia, któremu wystarczył krok w tył, by odzyskać równowagę. Wampir okręcił się, wymijając Adama i zrzucając obrus. Zielony materiał opadł na nogi martwej kobiety.

Kiedy Adam obracał się w stronę przeciwnika, ostry ból kazał mu spojrzeć na lewy bok – pod żebrami sterczał widelec. Guccio musiał złapać go ze stołu razem z obrusem i ukryć pod tkaniną.

Sztuńce dla niektórych gości wykonane były z wysokiej próby srebra. Gdyby Guccio ugodził Adama widelcem dla wilkołaków, Adam po prostu by go wyjął, a jego ciało uleczyłoby się dość szybko.

A ten widelec palił żywym ogniem.

Guccio wyszczerzył się do Hauptmana, a potem przekrzywił głowę, nasłuchując. Adam również nadstawił uszu. Widelec przebił przeponę, do jamy opłucnej wdzierало się powietrze. Lewe płuco powoli się zapadało, a wyjęcie widelca tylko przyspieszyłoby proces. Rany od srebra musiały być leczone tak jak rany ludzkie. Ten niewielki pozornie uraz zmieniał wszystko i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Adam cofał się powoli, Guccio postępował za nim jak cień, leniwymi krokami. Wampir był pewien zwycięstwa. Teraz, kiedy jego zwierzyzna została ranna, nie spieszył się. Wilkołaki zabijają swoje ofiary szybko, wampiry, jak koty, lubią się bawić jedzeniem.

Adam zamierzał wykorzystać przeciw Gucciovi jego zbytnią pewność siebie i podniecenie zbliżającą się wygraną.

Zaczerpnął z więzi ze stadem. Co prawda w pobliżu znajdowała się tylko Honey, ale była głęboką studnią mocy i dzieliła się nią chętnie. Jej energia wsączyła się w Adama, chłodna, odświeżająca, tłumiąc ból.

Hauptman nadal się cofał, oddychając płytko. Skręcił wzdłuż wywróconego stolika, aż zderzył się z jednym z większych stołów, który ktoś zaczął sprzątać, bo obok stał wózek na naczynia ze stojakiem pełnym talerzy. Wampiry Bonaraty jadały na najlepszej porcelanie.

Obsługa kelnerska uprzejmie ustawiła równy stosik naczyń dla Adama, który wziął parę talerzy lewą ręką, a prawą cisnął pierwszy jak rzutkę w stronę przeciwnika.

Guccio stał niecałe trzy metry od niego.

Ktoś mógłby pomyśleć, że talerz to kiepska broń. Jednak ten ktoś nie był wilkołakiem, umiejącym rzucać przedmiotami z szybkością i siłą, której mógł mu pozazdrościć pierwszoligowy miotacz. Talerz trafił w ramię, którym Guccio się zasłonił, i rozpekł się na ostre kawałeczki jak szrapnel. Uderzenie wytrąciło również wampirovi sztylet z dłoni. Ostrze

poleciało, odbiło się od stołu i upadło na ziemię jakieś cztery metry dalej. Nie całkiem poza zasięg, ale wystarczająco.

Drugi talerz uderzył Guccia w szyję, ostra krawędź przecięła skórę, tworząc drugie usta, z których buchnęła ciemna, gęsta krew.

Trzeci trafił w czoło, roztrzaskując się i pozostawiając krwawiącą ranę oraz odłamki w czaszce.

Guccio zachwiał się i zatoczył w tył. Otarł zalewane krwią oko i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Adam nie dał mu szansy. Sięgnąwszy po pistolet, wycelował i wystrzelił. Pierwszy pocisk utkwił tuż poniżej lewego oka wampira. Nabój kaliber czterdzieści nie jest największy na świecie, ale nowoczesna amunicja w pełni wykorzystuje swój potencjał. A Adam na strzelnicy nie zamiatał.

Spora część głowy wampira zniknęła, rozbryznięty się szczątki mózgu i kości.

Magia, która wiązała Guccia z tym niepełnym życiem, jakie wiódł, nie poddawała się tak łatwo. Guccio nie był martwy, zachwiał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Najwyraźniej częściowa lobotomia osłabiła jego procesy myślowe, bo po prostu stał. Żywa tkanka pulsowała w otwartym czerepie, kiedy organizm wampira usiłował zaleczyć uraz.

– Broń? – zapytał Bonarata cicho.

– Dlaczego już dawno go nie zastrzeliłeś? – zdziwiła się Marsilia. – Miałeś na to czas, kiedy pchnąłeś Iacopa na mnie.

– Ponieważ chciałem uświadomić Bonaracie, że potrafię bronić swojego terytorium przed wampirami, i to bez niczyjej pomocy. Guccio był jednym z twoich najpotężniejszych wampirów – zwrócił się do Władcy Nocy. – Zaatakował mnie uzbrojony w sztylet, a ja obroniłem się talerzem. – Wystrzelił jeszcze dwukrotnie między oczy Guccia.

Guccio runął bezwładnie na posadzkę twarzą do góry. Z trzech mały dziurek prawie nie sączyła się krew. Prawdziwe uszkodzenie było w tej pozycji niewidoczne. Guccio był pięknym mężczyzną, lecz jego oblicze widniało jedynie jeszcze przez moment.

Martwe wampiry tak stare, jak Guccio, bardzo szybko wysychają i obracają się w pył.

– Broń tylko przyspiesza sprawy. – Adam, zadowolony, że przeciwnik nareszcie nie żyje, odwrócił się do Marsilii. – Chociaż gdybym użył broni od razu, byłoby o jedną ofiarę mniej. – Spojrzał na Bonaratę. – U siebie użyłbym broni.

– Dlaczego Guccio walczył tak zapamiętale aż do końca? – zdziwił się Larry. – Zachowywał się tak, jakby naprawdę miał jakąś szansę. A przecież kiedy Adam udaremnił jego zamach, był skończony. Nawet gdyby zabił Adama, element zaskoczenia przestał istnieć. Przecież nie pozwolilibyś mu żyć – zwrócił się do Bonaraty.

Władca Nocy rozejrzał się po opustoszałej sali i westchnął. Poza grupą Adama, w jadalni zostało pięć czy sześć wampirów.

– Ilu z was – zwrócił się do swoich Bonarata – było zobowiązanych do wykonywania poleceń Guccia, kiedy żył?

Wszyscy podnieśli ręce.

– Dochowanie się dziecka jest kłopotliwe – rzekł Bonarata. – Rozumiecie chyba, jak to działa? Zbiera się owce i dba o nie. Po paru latach, pięciu, sześciu, naprawdę dużej troski, z tuzina uzyskuje się jedno, które może stać się wampirem. Reszcie z różnych powodów nie udaje się przemienić. To jedno pisklą przez kolejne lata, czasem dekady, innym razem wieki, jest uzależnione od ciebie, trzeba je karmić i dbać, by odpowiednio się zachowywało. W końcu, jeśli wszystko się powiedzie, dziecko odchodzi i może tworzyć swoje potomstwo.

– Ja jestem dzieckiem Bonaraty – wyznała Marsilia. – Znam kilka innych, ale nie ma nas wiele. – Obdarowała Bonaratę przelotnym tkliwym uśmiechem. – Jest zbyt leniwy, żeby pielęgnować dzieci.

Musiał być to jakiś żart, bo Władca Nocy odwzajemnił uśmiech.

– My, wampiry, jesteśmy samolubnymi stworzeniami.

– To jedyny powód, dla którego nie przejęliśmy panowania nad światem – dokończyła Marsilia.

– Stefan jest wyjątkiem, bo nigdy nie był związany ze swoim stwórcą magicznym połączeniem wymuszającym posłuszeństwo – wyjaśnił Bonarata. – Ja swojego stwórcę zniszczyłem, kiedy zdecydowałem, kim pragnę się stać. Nie mogłem pozwolić, by istniał ktoś, komu nie mógłbym odmówić bądź robiłbym to z trudem.

Stwórcą Bonaraty był Wulfe.

– Według naszych przekonań – mówiła dalej Marsilia – wampir, który jest w stanie przetrwać bez żerowania na stwórcy lub innym Panu Chmary w celu podtrzymania człowieczeństwa, musi zostać zwolniony z zależności. Kiedy moje dziecko przestaje się ze mnie karmić, wymóg posłuszeństwa słabnie, choć nie znika całkiem.

– Zazwyczaj tak jest. I zazwyczaj można więc odnowić. – Bonarata spojrzał na Larry'ego. – Logicznie rzecz biorąc, tę opcję właśnie wybrał Guccio. Do tego mógł wymusić posłuszeństwo nie tylko od swoich dzieci, ale również dzieci ich dzieci. I poprzez nie dalej. Wystarczyło, że je karmił, a musieli wypełniać jego rozkazy. – Rozejrzał się po sali, do której wracali biesiadnicy, głównie wampiry, widząc, że niebezpieczeństwo już minęło. Na tyle, na ile było to możliwe w gnieździe wampirów.

W trakcie wyjaśnień do jadalni powrócił również Stefan. Rozejrzał się, a kiedy odszukał wzrokiem Adama, przyjrzał mu się bacznie, oceniając urazy po walce. Potem złapał za ramię jakąś wampirzycę, wysłuchał jej uważnie, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Adam domyślił

się, że to Honey przysłała Stefana, żeby sprawdził, co się stało. Wiedziała, że coś się wydarzyło, tylko nie wiedziała co.

Smith pojawił się przy Adamie z obrusem, który podarł na pasy, a potem wyjął skądś nóż i zaczął rozcinać marynarkę Hauptmana.

– A więc twoi ludzie tutaj, a w każdym razie większość z nich musiała słuchać Guccia, nie ciebie. I nie widziałeś w tym problemu aż do dzisiaj? Przecież gdyby Guccio zwyciężył, mógłby zwrócić ich przeciwko tobie.

– Och, ależ widziałem w tym problem – uśmiechnął się Bonarata, lecz jego oczy pozostały zimne.

– Uhm, i uznał, że wykorzysta Adama do rozwiązania tego problemu – mruknął Matt Smith z nutą podziwu w głosie.

– Bo jest leniwy – stwierdził Stefan. – Pewnie miał plan awaryjny, w razie gdyby Adamowi nie udało się wyeliminować Guccia.

Wrócił innym wejściem, a Adam tego nie zauważył. Przeprowadził za rękę uzdrowicielkę Władcy Nocy, Stasię. Dziewczynka patrzyła na Adama wielkimi, smutnymi oczyma.

– To w zasadzie swego rodzaju komplement, Adamie – powiedział Stefan, patrząc jednak na Pana Mediolanu. – Gdyby Bonarata uważał, że możesz przegrać, nie wystawiłby cię do tej walki. W innym wypadku Gucciovi nie pozostałoby już nic do stracenia i Iacopo musiałby sam się ruszyć. Jak to zrobiłeś, że Guccio „znalazł” ten gris-gris? – Ostatnie słowa skierował do gospodarza.

– Wiedziałeś, jaki jestem, zanim przywiozłeś tu swoich przyjaciół. Nie masz powodu się wściekać – oświadczył Bonarata wyraźnie z siebie zadowolony. Adam pomyślał, że chyba jest dumny ze swojej intrygi.

– Wmanewrował nas – stwierdził Adam.

Marsilia westchnęła, kręcąc głową.

– Moje życie jest teraz takie spokojne, odkąd nie przebywam w twoim świecie, Jacobie. – Spojrzała na Adama. – Oczywiście, że to wszystko zaplanował. Koło pośrodku koła. A co, jeśli Gucciovi udałoby się podporządkować sobie Adama? Wiedziałeś, Jacobie, że towarzyszka Adama jest odporna na moc wampirów? Że mogła przekazać tę odporność Adamowi?

– Nie, nie wiedział – stwierdził Adam ponuro. – Przynajmniej dopóki mu o tym nie powiedziałaś. Wielkie dzięki. – Mówiło mu się coraz trudniej z zapadniętym płucem, a jego stan pogarszał się, bo z upływem czasu z opłucnej wydostawało się wciąż więcej powietrza. Uznał, że lepiej będzie, żeby wszyscy obecni, poza Mattem Smithem, myśleli, że Guccio nigdy nie miał go w mocy. Żeby zniechęcić inne wampiry do próbowania tego samego.

Marynarka Adama leżała w strzępach na podłodze zasłanej odłamkami szkła i porcelany. Smith odpiął szelki z kaburą i bez słowa podał je Harrisowi. Rozerwał koszulę w miejscu sterczącego widelca, ale

przerwał machinacje, kiedy Adam się odezwał.

– A jest? – zapytał Bonarata poruszony. – Lenka mówiła mi, że przemienia się w małego psa. Dzikiego. W kojota? Czy twoja żona jest zmiennokształtną, Adamie? Potomkinią Kojota? To fascynujące. A więc Wulfe jednak nie do końca kłamał. Gdybym wiedział, zatrzymałbym ją dłużej.

Adam uniósł brew.

– Wątpię – Zakaszłał, co było fatalne. Nie chciał paść zemdlony w towarzystwie wampirów, więc skupił się na oddychaniu.

– Mercy jest sprytna – wyręczyła go Marsilia. – Jeślibyś ją zatrzymał, mógłbyś tego pożałować. Przykro mi, Adamie. Nawet gdybym mu nie powiedziała, i tak szybko by to odkrył. Mercy zrobiła coś interesującego, wymykając mu się ze szponów. Postawiłby sobie za punkt honoru odkrycie, czym jest. A nie jest to już taka tajemnica jak kiedyś, zanim przyłączyła się do twojej watahy.

Bonarata uśmiechnął się zadowolony.

– Wiedział jednak – zaczął Stefan posepnie – bo eksperymentował na Lence i jej towarzyszku, że pojedyncze żerowanie bez świadomej na to zgody nie wystarczy, żeby podporządkować sobie Alfę. Przypuszczam, że zadał sobie wiele trudu, aby przekonać Guccia, że wampir tak potężny jak on zdoła z łatwością przejąć kontrolę nad wilkołakiem, nie wspominając przy tym o drobiazgach, które sprawiają, że z Alfami jest nieco inaczej.

No chyba że znajdują się daleko od stada, pomyślał Adam, ale nie zamierzał się tym z nikim dzielić.

– A więc to było ukartowane? – zapytał Smith, wracając do swojej ochotniczej pracy przy rozbieraniu Adama. Nie używał noża. Jedwab był mocny, ale szwy poddawały się sile wilkołaka. – Porwałś towarzyszkę Adama, żeby rozwiązać problemy z niesubordynacją wśród swoich ludzi?

– Nie – wyręczyła Bonaratę Marsilia. – To prawda, że bez trudu jest w stanie knuć dwadzieścia intryg naraz. Naprawdę sądził, że sytuacja w Tri-Cities może przysporzyć mu kłopotów. Ale kiedy już tu przyjechaliśmy, postanowił wyeliminować jeden problem za pomocą drugiego. Jeśli musiałby zareagować ostro na to, co robimy w domu, kazałby zabić Adama zaraz po tym, jak ten pozbyłby się dla niego Guccia. Jeśli Adam naprawdę znalazłby się pod kontrolą Guccia, kazałby zabić ich obu. – Popatrzyła na Adama. – Jest leniwy, ale to nie znaczy, że nie jest niebezpieczny. Guccio pozwolił sobie o tym zapomnieć. Ty nie popełniaj tego błędu. – Potem zwróciła się do Bonaraty: – Chyba zacząłeś się bardzo nudzić, Jacobie. – Co ciekawe, za każdym razem, kiedy nazywała go Jacobem, Władca Nocy krzywił się, choć przecież sam się co do tego upierał. – Kiedyś takim Gucciem zająłbyś się na długo przed tym,

aż sprawy zaszły tak daleko. Bawiłeś się nim, a to niebezpieczne. I to nie tylko dla ciebie, ty sobie poradzisz, ale dla tych, którzy są od ciebie uzależnieni.

– Zostań, moja piękna, mój zabójczy kwiatuśku, moje jaśniejące Ostrze – poprosił ją Bonarata. – Zostań, proszę. Potrzebuję się. Widzisz, czym się bez ciebie staję?

Marsilia zdecydowanie potrząsnęła głową, ale jej ton był łagodny, kiedy odpowiedziała:

– Nawet za całe złoto leżące na dnie oceanów, nawet za wszystkie klejnoty spoczywające w głębinach mórz nie zostałabym z tobą.

– To może zabołec – powiedział Smith do Adama, chwytając za widelec.

– Zaczekajcie – powstrzymał ich Stefan.

– Zaraz, ale Guccio nie zasadził się na mnie – zauważył Adam. – Natknąłem się na niego, kiedy szedł do Harrisa i Smitha. To Smith zapewniłby mu to, czego pragnął, posłusznego wilka.

– Guccio potrzebował po prostu wilkołaka – zaprzeczyła Marsilia. – Jakiegokolwiek. Wtedy mógłby rozpętać wojnę, twierdząc, że to jeden z nich zabił Bonaratę. Nie mogło wyjść na jaw, że stoi za tym Guccio, bo... Może tego nie wiesz, ale Bonarata ma przyjaciół, wielu i tak samo groźnych jak on sam. Ale gdyby Guccio wraz z wilkołakiem próbowali zabić Władcę Nocy, mógłby on w odwecie wkroczyć na terytorium Marroka. Smith nie jest jednym z twoich wilków, Adamie, należy do Marroka.

– Pomściłabyś mnie? – zapytał Bonarata łagodnie, zwracając się do Marsilii.

– A może pomogłabym Gucciowi? – odparła.

– Cóż, tego już nigdy się nie dowiemy – zaśmiał się Bonarata.

– Jego plany są jak hydra – podsumował Stefan. – Z wieloma głowami, które łączy jedno ciało. Nie dba o to, jaką drogą potoczą się wydarzenia, byle na końcu to on wygrał. – Odwrócił się do uzdrowicielki, która wymachiwała bez troski ich splecionymi dłońmi, wpatrując się w porzucane meble i przedmioty, jakby podziwiała obraz Picassa. – Iacopo jest winien wilkowi wielką przysługę. Czy uzdrowisz mojego przyjaciela?

– Nie zostało jej wiele mocy – zaprotestował Bonarata, acz niezbyt stanowczo. – Zużyła jej bardzo dużo, lecząc towarzyszkę Adama, naszą małą kojocicę.

– To mała rana – zauważył Stefan. – Tyle że w trudnym miejscu.

Podprowadził uzdrowicielkę do Adama i puścił jej rękę, mrużąc coś po włosku. Dziewczynka skinęła potakująco tymi niezgrabnymi ruchami, które Adam dostrzegł u niej już wcześniej.

Smith wycofał się, a Stefan ujął za widelec.

– Przygotuj się, wilku – powiedział do Adama, który skinął głową.

Stefan wyrwał widelec. Mała uzdrowicielka niemal natychmiast przyłożyła dłonie do rany, a po ciele Adama rozeszło się ciepło, zastępując palący ból. Po krótkiej chwili znów mógł oddychać. Stasia zachwiała się, odejmując ręce. Była bledsza i Adam mógłby przysiąc, że także szczuplejsza. Sięgnęła do jego ramienia, gdzie został skaleczony sztyletem, ale powstrzymał ją, chwytając za nadgarstek. Wilk zapewnił go, że skaleczenie jest powierzchowne i magia sztyletu spowolni tylko gojenie, nic ponad to.

– Wystarczy, siostrzyczko – powiedział. – To nic takiego. Wyleczyłaś to, co najpoważniejsze. – Ucałował dziewczynkę w dłoń, bo ostatnim razem sprawiło jej to przyjemność. A potem pocałował w policzek. – Trzymaj się.

– Niki – zawołał Bonarata, wzywając krągłą kobietę, i oddał w jej ręce uzdrowicielkę. – Zabierz Stasię do jej pokoju. Ale po drodze wstąpcie do kuchni i sprawdźcie, czy kucharz ma dla niej jakiś przysmak.

Ludzie kręcili się po jadalni, przesuwając stoły, sprzątając porozbijaną zastawę i wynosząc trupy. Bonarata, widząc, że Adam spogląda na prochy Guccia, powiedział zbolalym głosem:

– Te talerze miały dwieście lat, autentyczne Limoges. Znalezienie i odkupienie tego będzie mnie kosztowało majątek.

Adam miał ochotę rzucić jakąś kąśliwą uwagę, lecz w tej właśnie chwili podeszła do nich wampirzyca, która wskazywała im miejsca przed posiłkiem. Padła przed Bonarata na kolana, rozsypując obrusy, które niosła.

– Nie pozwolili nam powiedzieć – wyszeptła. – Próbowałam, panie, naprawdę próbowałam wydrzeć się spod jego mocy.

– Wiem, Annabelle – odpowiedział wyrozumiale Władca Nocy.

– Jesteś taki łaskawy, panie – zaszlochała, drżąc.

– Nie, nie – zaprzeczył Bonarata łagodnie. – Źle mnie zrozumiałaś, dziecko. Wiem.

Zamarła. Bonarata dźgnął ją w plecy sztyletem, którym walczył Guccio. Ostrze przeszło na wskroś przez serce, a wampirzyca runęła na posadzkę, obrócona już w proch. Najwyraźniej sztylet był bardziej zabójczy dla wampirów niż dla wilkołaków.

– Szkoda – skwitował Bonarata. – Była przydatna. – Rozejrzał się po wampirach, które nagle jak jeden mąż znalazły sobie niezwykle pilne zajęcia. – Mam nadzieję, że to ostatnia, którą musiałem usunąć przez ten bałagan.

– Widziałeś, żeby podnosił sztylet? – zapytał Smith bardzo cicho. Adam pokręcił głową.

Larry, który stał zdecydowanie zbyt daleko, żeby go usłyszeć, podchwycił spojrzenie Hauptmana i podszedł.

– Elizawieta przyzwała sztylet do siebie – wyjaśnił, zbliżywszy się. – A potem dała Bonaracie.

– Uhm – mruknął Smith.

Adam spojrział na Elizawietę sączącą herbatkę przy stoliku. Podniosła oczy, uśmiechnęła się i wróciła do swojej herbaty.



Bonarata uparł się lecieć z nimi do Pragi. Nadal nie mógł się skontaktować ze swoim człowiekiem w stolicy Czech. A ponieważ i tak lecieli w tę stronę, wspólna podróż była kwestią uprzejmości.

Cały przelot Bonarata spędził na rozmowach z Marsilią i Stefanem. Głównie z Marsilią – i nie brzmiało to jak omawianie interesów. Urywki, które Adam usłyszał, przypominały pogawędkę przyjaciół, którzy dawno się nie widzieli.

Adam pilnował, by Władca Nocy trzymał się z dala od Honey. Na wieść, że będzie z nimi podróżował wampir, założyła workowate dzinsy, za wielką koszulę, która pachniała Smithem, i zmyła makijaż.

– Mogłabyś ubrać się w bikini, a nie pozwoliłbym cię tknąć – powiedział Adam na widok jej stylizacji.

– Pierwsza bym go zabiła. – Uśmiechnęła się ponuro. – Niestety, potrzebujemy sukinsyna żywego, więc będę mu schodziła z oczu na tyle, na ile się da.

– Jeśli go zabijesz, z radością pomogę ci pogrzebać prochy. A winę rzucimy na Guccia – odparł Adam.

Honey wyszczerzyła zęby w uśmiechu i uniosła pięść, którą Adam trącił swoją. Ale kiedy wilkołaczycza wydała dźwięk wybuchu, otwierając dłoń, i podryfowała ku swojemu miejscu, już tylko patrzył.



Wylądowali na polu, które im wskazał David Christiansen. Nikt nie zadawał żadnych pytań, poza tymi dotyczącymi koniecznych działań przy samolocie i zatankowania. Kontakt Davida zorganizował im też dwa wany.

Adam zapytał Smitha i Harrisa, czy chcą z nimi jechać. Obaj zdecydowali się towarzyszyć grupie.

– Jesteście pewni? – zapytał Adam.

– Przypuszczasz, że Mercy nie jest z Liborem – stwierdził Smith.

Adam przytaknął.

– Słyszałeś Libora. – Hauptman zadzwonił do praskiego Alfya

z informacją, że są w drodze. Libor podał im tylko swój adres i rozłączył się. – Czy tak rozmawiałby tryumfujący, arogancki Alfa chełpiący się, że upilnował kobietę, którą innemu zabrano sprzed nosa?

– Sam widzisz, będziesz potrzebował wszystkich ludzi – rzekł Harris.
– Jedziemy.

Bonarata, który rozmawiał z Marsilią, spojrział na Adama.

– Już prawie świta – zauważył. – Zamierzałem osobiście porozmawiać z Kocourkiem, skoro nie uznaje za właściwe, by odbierać telefon. Ale ludzie, których wczoraj do niego posłałem, twierdzą, że jego gniazdo jest opuszczone, prawdopodobnie od kilku dni. Nie ma tam nawet kogo przesłuchać. – Uśmiechnął się do Marsilii. – Zbyt długo na to pozwalałem. Kocourek to dziecko Guccia. Zapomniałem o tym, bo stworzył go bardzo dawno temu. Ale skoro w gnieździe go nie ma, to czas, żebym jechał z wami do Libora. Tak się składa, że znam drogę. Jesteśmy starymi wrogami. Przynajmniej zneutralizuję zwyczajowe problemy podczas spotkania dwóch Alf. Nie znosi mnie bardziej niż ciebie. Sprawami wampirów zajmę się wieczorem. Jeśli do tej pory twoja towarzyszka się nie odnajdzie, pomogę ci.

Zdawał się nie przejmować nadchodzącym świtem. Marsilia i Stefan potrafili się teleportować. Może Bonarata również? Nie była to przyjemna myśl.

Adam zadzwonił do Libora, uprzedzając, że przyjedzie w towarzystwie Bonaraty. Libor okazał niepokojącą nonszalancję na wieść, że Władca Nocy nawiedzi jego wilczą jamę.



Piekarnia była nieczynna mimo zbliżającego się poranka, co Bonarata stwierdził na głos. Adam czuł zapach wypieków już pół kilometra dalej, gdzie zaparkowali samochody.

Podchodząc do drzwi, Honey i Smith spojrzeli na Adama. Jednak Mercy znajdowała się gdzie indziej. Nie mógł się z nią kontaktować, ale czuł więź ciągnącą go w innym kierunku.

– Zobaczmy, co Libor zrobił z moją żoną – powiedział i zapukał.

Spodziewano się ich, więc drzwi otworzyły się szybko. W progu przywitał ich mniej dominujący wilk, ale nie uległy, który pobladł jak papier na widok Bonaraty.

– Libor wie o jego wizycie – zapewnił wilkołaka Adam. – Zabierz nas do niego i będziesz miał nas z głowy.

Serce kamienicy stanowiła kuchnia i tam właśnie zaprowadził ich przewodnik.

Bonarata, Marsilia i Stefan nie potrzebowali zaproszenia – właśnie

dlatego Adam nigdy nie wykorzystałby domu watahy jako miejsca załatwiania interesów.

W wielkim pomieszczeniu uwijali się ludzie, w większości wilkołaki, ale nie wszyscy, mieszając, wałkując i piekąc. Ogromne wiatraki wyciągały gorące powietrze, lecz w kuchni i tak było o kilka stopni cieplej niż na zewnątrz.

Kiedy ze spiżarni wyszedł barczysty mężczyzna z dwudziestopięciokilogramowym workiem mąki na ramieniu, od razu stało się jasne, kto jest tu Alfą. On również ich wyczuł. Odłożył ciężar i podszedł, wycierając ręce w fartuch.

Objął ich jednym spojrzeniem, zatrzymując je na tym i owym. Kiedy zdjął fartuch, tempo prac piekarniczych spadło. Odwiesił fartuch na haku i zawołał szorstko:

– Do roboty! Za dwie godziny przyjdą tu głodni ludzie, których trzeba nakarmić. – Mówił po angielsku, potem przeszedł na inny język, prawdopodobnie powtarzając ponaglenie.

Jeszcze nie skończył, a ludzie znów zajęli się pilnie pracą, rzucając tylko ukradkowe spojrzenia na grupkę przybyszów. Libor zwrócił się do wilkołaka, któremu przypadła rola przewodnika:

– Idź po Martina i Jitkę. Przyrowadź ich do ogrodu. – A potem do Adama: – Proszę za mną. – Na widok Bonaraty mruknął: – Musicie mi powiedzieć, jak to się stało, że podróżujesz z wampirem, który usiłował zabić twoją żonę. Choć przyznam, że nie jestem szczególnie zaskoczony, znając Iacopa Bonaratę.

Harris, Smith i Larry zajęli tyły. Gobliny wolały pozostawać niezauważone. Najwyraźniej Smith miał tak samo.

Ogród okazał się niezwykle urokliwym zakątkiem zieleni spowitym piekarnianymi woniami. Praski wilkołak zaprowadził ich na sama koniec, po czym odwrócił się do nich twarzą.

– Libor, Alfa znad Wełtawy – przedstawił się.

– Adam, Alfa dorzeczka Kolumbii – odpowiedział Hauptman, a potem po kolei zaczął prezentować członków swojej grupy, mimo że uprzedził wcześniej Libora, z czym i z kim przybywa. Ponieważ osób słusznych wiekiem było z nimi wiele, zaczął od kobiet. Na pierwszy ogień poszła Honey, bo stała najbliżej. Mercy pewnie skrzywiłaby się, że zachowuje się tak staroświecko.

– Słyszałem o tobie – przywitał Libor Honey. – Peter był porządnym człowiekiem, dobrym wilkołakiem. Bez niego świat stał się mroczniejszym miejscem.

Honey zamrugnęła szybciej niż normalnie.

– To prawda – powiedziała.

– Honey zabiła Lenkę – poinformował drugiego Alfę Adam.

Libor spojrział na Bonaratę żółtymi ślepiami.

– To dobrze. Ktoś powinien był to zrobić już dawno temu. Gdy będę odchodził z tego świata, poniosę do raju brzemień tego, że sam nie zająłem się sprawą Lenki. – Ucałował Honey w rękę. – Byłaby ci wdzięczna.

Adam kontynuował prezentację. Bonarata zachowywał się bez zarzutu – jednak to mogło nie potrwać zbyt długo.

– Ty jesteś Ostrzem Bonaraty – stwierdził Libor, patrząc na Marsilię. – Wiele o tobie słyszałem, wystarczająco, żeby żałować, że nie spotkaliśmy się, kiedy mieszkałaś w Europie.

Wampirzyca skinęła poważnie głową.

– Ja również o tobie słyszałam, Liborze. Prawdopodobnie dobrze się złożyło, że to nasze pierwsze spotkanie.

– Bez wątplenia. – Uśmiechnął się. – A jednak...

Kiedy Adam przedstawił Elizawietę, czeski wilkołak rozpromienił się szczerym uśmiechem.

– Twoje imię jest dobrze znane – powiedział poważnie po rosyjsku. – A ci, którzy wychwalają twoją urodę, nie przesadzają.

– Ja również słyszałam twe imię. A ci, którzy o tobie opowiadają, nie przesadzają o twojej bałamutności – zripostowała zadowolona Elizawieta.

Adam przeszedł do mężczyzn, wtedy Libor go uprzedził.

– Znamy się z Iacopem Bonarata. Chcę zamienić z tobą później parę słów na temat twoich tutejszych wampirów i tylko dlatego zdecydowałem się tu ciebie gościć.

– Chętnie posłucham, co masz mi do powiedzenia – odparł Władca Nocy.

Wyszczrzyli się do siebie w niezbyt przyjaznych uśmiechach.

Adam kontynuował.

– Żołnierz – rzekł Libor do Stefana. – Dotarły do mnie opowieści o tobie.

– Obawiam się, że przesadzone – odrzekł wampir. – Ja również wiem o tobie co nieco. Nie chciałbym mieć cię za wroga.

– Ja również wolałbym cię nie mieć za przeciwnika. Choć nie wiem, czy będziemy przyjaciółmi.

Ostatnich trzech Adam zaprezentował łącznie.

Libor przywitał skinieniem Larry’ego i Harrisa.

– Gobliny zazwyczaj nie interesują się sprawami wilków – zauważył.

Larry uśmiechnął się lekko.

– Zazwyczaj nie zapewniamie tyle rozrywki.

– A mnie za to płacą – zaznaczył Harris. – A kiedy mi płacą, zawsze jestem zainteresowany.

– I Smith – zwrócił się Libor do wilkołaka, opanowany, choć oczy błysnęły mu żółcią. – Znamy się ze Smithem – wyjaśnił z ostrą nutą

w głosie. Wiele starych wilkołaków łączyły stare historie.

Smith, z oczyma wbitymi w stopy, uśmiechnął się łagodnie.

– Potrzebowali pilota, który potrafi obchodzić się i z wampirami, i z wilkołakami. Harris daje sobie radę, ale musi mieć drugiego pilota, a reszta jego załogi to albo ludzie, albo nie chcieli lecieć z wampirami na pokładzie.

Libor patrzył na Matta jeszcze przez chwilę, potem zamknął oczy i odetchnął głęboko.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzucił, a później zwrócił się do Adama.

– Twoja towarzyszka przyciąga kłopoty.

– Ma do tego talent – przyznał Adam grobowym tonem.

Do ogrodu weszła para wilkołaków.

– Pozwól, że przedstawię ci moje wilki – powiedział Libor posępnie. – To Martin, mój Drugi, i Jitka, moja Trzecia. Niech sami opowiedzą ci, jak zgubili twoją żonę.



Rozdział 13

Mercy

Jestem przekonana, że filozofię wymyślili więźniowie. Zamknięta w klatce, bez możliwości działania, jedyne, co mogłam robić, to myśleć.

Podczas mojej niespodziewanej podróży do Europy nauczyłam się, że nieważne, jak wielki jest mój strach, jeśli czarne charaktery nie pojawiają się na czas, zaczynam się nudzić. Istnieje swego rodzaju szczególnie krąg piekła łączący grozę z nudą, gdzie nigdy nie zapada się w całkowite odrętwienie. Jeśli oczekiwanie na najgorsze potrwałoby jeszcze kilka godzin, pewnie umarłabym ze strachu.

Z drugiej strony nie byłam całkiem sama. Szlochająca duszyca osiągnęła wyrazistość niemal materialną. Uparcie starałam się nie zwracać na nią uwagi, żeby nie pogłębiać problemu. Jej chyba nie przeszkadzało, czy patrzę na nią, czy nie. Najwięcej czasu spędzała, krążąc po piwnicy, ale gdy tylko mrugnęłam, natychmiast znajdowała się przy mnie. Dopiero po jakimś czasie przestałam się wzdrygać, kiedy to robiła, najwyraźniej człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego.

Poczułam, kiedy Adam przybył do Pragi. Przez moment był blisko. Zamknęłam oczy i oparłam łeb o kolano mojej martwej towarzyszki. Adam już tu jest. Znajdzie mnie. Strach i groza odpłynęły ode mnie.

A potem cały budynek nagle się zatrzęsł.

Zerwałam się na równe łapy i dopiero po chwili zrozumiałam, że to nie budynek zadrżał, tylko że ktoś forsował barierę wiedzy. Drugie uderzenie przyprawiło mnie o przyspieszone ziajanie, bo choć nie fizyczne, uczucie nie było miłe. Duszyca jęknęła i przykleiła się do mnie,

wczepiając palce w kryzę mojego futra na karku i przyduszając mnie.

Zamarłyśmy obie w oczekiwaniu na kolejne wydarzenia.

Przez następne dziesięć minut docierały do nas tylko kroki biegających na górze wampirów. A potem przyszła kolejna fala, i jeszcze jedna. Tym razem atak – bo wyglądało to na atak – wywołał wibracje, które poczułam w mięśniach i stawach, jakby poraził mnie paralizator.

Jakieś pięć minut później drzwi do piwnicy otworzyły się i po schodach, zataczając się i potykając, zeszło siedmioro ludzi, w tym młodzieniec, który szedł wcześniej za Mary.

Towarzyszili im wampirzyca i dwa wampiry. Podtrzymywali swoje chwiejące się owce i ponaglali je do szybszych ruchów, ale ludzie zatrzymali się, wpadając jeden na drugiego, nad ciałem dziewczyny.

Ktoś stojący na górze schodów syknął coś po czesku. A więc był czwarty wampir, niewidoczny dla mnie. Wampirzyca zeskoczyła bokiem schodów, zamiast przepychać się przez gromadkę opornych owiec. Podniosła delikatnie martwą dziewczynę i zniosła ją, mijając trupa wampira wciąż przykutego do ściany, nieco dalej, gdzie w ciemnym kącie leżały inne trupy, głównie już szkielety.

Wróciwszy do ludzi, zasłoniła sobą cmentarny zakątek i zagruchała uspokajająco. Żarówki dawały mało światła. Ktoś o ludzkim wzroku mógł nie dojrzeć, że w miejscu, gdzie złożono ciało dziewczyny, znajduje się ich więcej. Możliwe, bo tak naprawdę nie orientuję się, jak ludzie widzą w ciemności, zapewne nie zobaczyliby też skutego wampira. Ja nawet z zawiązanymi oczyma poznałabym po zapachu, że obok są trupy, ale ludzie rzadko zwracają uwagę na to, co mówią ich nosy. A większość trupów w zasadzie już przestała gnić albo jeszcze nie zaczęła.

Schodami ruszył w dół chudy, wycieńczony krwiopijca w średnim wieku.

– Jesteś pewien, że to najlepsze miejsce dla nich? – zapytała wampirzyca po angielsku z wyraźnym akcentem.

– Trochę jej zajmie, zanim zacznie nas tu szukać – rozległ się głos mojego tłumacza, Kocourka. Nadal pozostawał niewidoczny na szczycie schodów. – Zobacz, czy uda ci się zgromadzić ich pod schodami, a potem uspij wszystkich – kontynuował. – I tak tu cuchnie, wątpię, czy poczuje różnicę, nawet jeśli tu zejdziesz.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. W piwnicy śmierdziało, a nowi lokatorzy nie poprawiali sytuacji. Najwyraźniej w tej chmarze higieny owiec nie uznawano za rzecz istotną.

– Może powinniśmy od razu ich zabić? – zapytała jakby rozedrganym głosem wampirzyca, lecz trudno było ocenić jej ton ze względu na akcent. Jednak kiedy odwróciła nieco głowę i zobaczyłam jej twarz, okazało się, że płacze.

– Niewykluczone, że do tego dojdzie – oznajmił Kocourek ponuro. – W razie czego tak będzie dla nich lepiej. Lars!

Wampir przyskoczył i chwycił kobietę w średnim wieku, która usiłowała uciec na schody. Obrócił ją do siebie i przez chwilę patrzył w oczy. Całe jej przerażenie i napięcie ustąpiło, uspokoiła się.

Powiedział do kobiety coś łagodnie, miło i nie zdejmując ręki z jej ramienia, ustawił się znów w tyle pochodu.

– Będziemy ich strzec, ile damy radę – westchnął wampir, którego imienia jeszcze nie poznałam. – Dagmar?

– Już, już – odpowiedziała wampirzyca, która przeniosła ciało dziewczyny do kąta, i włączyła niesioną latarkę. Światło było czerwonawe. Ustawiła latarnię pod schodami, a blask wypełnił przestrzeń miękką poświatą. Z klatki widziałam zakątek, zdawało się, pusty. Klepisko było brudne, jak to klepisko, ale i tak oznaczało to, że miejsce jest czystsze niż reszta piwnicy.

Wampirzyca brała po kolei ludzi, spoglądała im w oczy i chwyciła w wampirzą magię łowcy. Jednak zamiast zacząć na nich żerować, posłała ich wszystkich pod schody, gdzie położyli się jedno przy drugim dla zachowania ciepła i... zasnęli.

Drobny wampir z wąsami, nie Lars, wczuł się za nimi i przekręcił głowę jednej z kobiet, żeby nie chrapała. Zrobił to z czułością, a potem ucałował owcę w policzek. Zabrał latarnię spod schodów, zostawiając podopiecznych pod osłoną ciemności.

Rozległo się pstryknięcie i światło w piwnicy zgasło. Kocourek zszedł po stopniach jak pantera. Czerwona poświata pozwalała mi widzieć sylwetki wampirów, ale nie ich miny.

Bez słowa zajęli pozycje umożliwiające im utrzymanie ewentualnych intruzów z dala od kryjówki owiec, a jednocześnie nieobwieszczające całemu światu: „Hej, chronię tych ludzi pod schodami”.

Wszystko to wyglądało mi na zrozumiałe działania. Nie pojmowałam jedynie, dlaczego to robią. Przed kim chcą bronić ludzi? Przed Mary? To nie miało sensu, bo przecież nikt nie stanął w obronie tej biedaczki, na którą sprowadziła śmierć.

Znów dało się odczuć podwójne uderzenie w bariery magiczne, i tym razem nie tylko na mnie wywarło to efekt.

Wampiry zachwiały się pod naporem siły, która szturmowała to miejsce. Podczas drugiego ataku Lars – który nie był ani wysoki, ani jasnowłosy, co sugerowałoby jego imię – aż przykląkł na jedno kolano. Wąsacz jęknął, a Dagmar zakłęła. Tak oceniłam. Przekleństwa niosą taki sam ładunek emocjonalny w każdym języku.

Kiedy ustał drugi szturm, przemieniłam się w człowieka. Tym razem to ja zaskoczyłam duszycę, która zniknęła, choć czułam, że pozostała gdzieś blisko.

– Kocourek – zawołałam niegłośno, bo wampiry starały się zachowywać cicho – jak długo należysz do Mary?

Cała czwórka zrobiła rzecz typową i zarazem upiorną – poruszyli się jednocześnie i identycznie, lepiej niż pucharowa drużyna taneczna.

Lars powiedział coś, wyrzucając słowa chrapliwie i szybko, ale szeptem.

– Mercedes Thompson Hauptman, córko Marroka, towarzyszeko Alfego waszyngtońskiej watahy z Tri-Cities – przemówił Kocourek – pozwól, że przedstawię ci tych, którzy ocalili z mojej chmary. Dagmar, Wania, Lars.

– Prawie, prawie – odpowiedziałam. – Wychowałam się w stadzie Brana, ale nie jest moim ojcem. I nasza wataha to wataha dorzecza Kolumbii. Wilkołacze stada nie biorą zazwyczaj nazw od miast. A wracając, jak długo należysz do Mary?

– Do Guccia – poprawił Kocourek spokojnie. – Absolutnie nie do Mary.

– Do niej nie należy jeszcze nikt – wyjaśniła Dagmar. – Nadal musi żerować na nas, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. W każdym razie na tyle zdrowych, na ile to możliwe w wypadku więdźmy. Jest jeszcze nieopierzonym kurczakiem, Guccio żywi ją za magię, którą mu służy. Ulokował ją tutaj z chmarą zebraną z własnych dzieci.

– Ciacho? – zapytałam powoli. – Ten, który wygląda jak męski striptizer? On jest twoim panem?

– Stwórcą – sprostował Kocourek krótko.

Za to Dagmar parsknęła śmiechem.

– Ciacho? Spodobałoby mu się to.

– Myślałam, że Pan Chmary nie musi już okazywać posłuszeństwa swojemu stwórcy – zdziwiłam się.

– Czemu odpowiadamy na jej pytania? – zirytował się Lars.

– Bo myślę, że to ona sprowadziła tutaj to coś, co rąbie zakłęcia Mary – wyjaśnił Kocourek lapidarnie, a potem zwrócił się do mnie. – Zazwyczaj po zaprzestaniu żerowania na stwórcy nasza więź gwarantująca posłuszeństwo słabnie z upływem lat. Lecz ja popełniłem błąd. Zaprosiłem Guccia do swojego domu jako gościa, a on złapał mnie i związał na nowo, żerował na mnie i zmusił, bym pił jego krew. Tak samo przejął moje dzieci, a potem nakazał nam wykonywać rozkazy Mary, jakby była nim. – Gniew w jego głosie mógłby podpalić olej napędowy. Ropę niełatwo zapalić, za to płonie doskonale.

– Od kiedy to trwa? – ponowiłam pytanie.

Uśmiechnął się do mnie dziko i tak żywo, że widziałam jego minę nawet w słabym świetle.

– Od dwóch lat, trzech miesięcy i czterech dni. Kiedy Mary odkryła sposób na przyspieszenie tworzenia wampirów, Guccio postanowił przyspieszyć swój wyścig po władzę. To oznaczało połączenie naszej

chmary z chmarą Mary. Jestem jej niewolnikiem od ponad dwóch lat. Aż do dzisiaj, dwie godziny temu. – Uśmiechnęli się wszyscy, tym razem bez tej upiornej synchronizacji. Zrobili to samo tylko dlatego, że dzielili tę samą determinację.

– A co się stało dwie godziny temu? – zaciekałam się.

– Wydaje się, że plany Guccia co do zajęcia miejsca Władcy Nocy legły w gruzach ostatecznie – odpowiedział Kocourek. – Ktoś go zabił.

– Wampiry są już martwe – przypomniałam sucho.

– Tak uważasz? Może. Więc przyjmijmy, że ktoś wyeliminował dzisiaj Guccia. A ja i cała moja chmara jesteśmy wolni. – Spojrzał po towarzyszach. – Było nas osiemnaścioro, z tego pięcioro urodzonych w chmarze. Mieliśmy dom, naszych ludzi. Kiedy kazano mi tu zamieszkać dwa lata temu, moja chmara liczyła dziewięćdziesięciu siedmiu członków. Mary szybko tworzy wampiry, ale niszczy jeszcze szybciej. Jest bardziej wiedźmą niż wampirem i dlatego Guccio ją tak cenił. – Wskazał wiszącego w okowach wampira przy ścianie. – Sama widziałaś, co robi.

– Czemu ukrywacie przed nią swoje owce? – zapytałam.

Wąsaty Wania gwałtownie podniósł głowę i warknął na mnie. Kocourek uspokoił go gestem dłoni.

– To nie są owce, Mercedes. Tyle zostało z naszych ludzi, naszego domostwa. Ci ludzie służyli nam wiernie, a potem... zostali zmienieni w... Jak ich nazwałaś? Owce. Wampiry Mary nazywają je „dobytek”. To po czesku znaczy bydło. My nazywamy ich przyjaciółmi.

– Nie wszystkich – wtrąciła Dagmar pragmatycznie. – Zgarnęliśmy i przyprowadziliśmy tu wszystkich ludzi. Dwoje z nich wampiry Mary sprowadziły w zeszłym tygodniu. I wyjaśnij mi, Kocourek, dlaczego opowiadamy to wszystko gołej babie, która jest wyjątkowa tylko dlatego, że wyszła za mąż za amerykańskiego wilkołaka?

– Bo dobrze jest o tym mówić. Przypominać sobie, że jesteśmy, kim jesteśmy, że nie należymy już do Mary. I dlatego, że Mercy nie jest człowiekiem. Pewnie przeoczyłaś jej przemianę. Jest zmiennokształtną, zamienia się w kojota. I jeszcze dlatego, że chcę, aby i ona odpowiedziała na moje pytania.

I znowu poczuliśmy podwójne uderzenie w bariery magiczne Mary i tym razem drugi atak trwał dłużej, dziesięć, może nawet dwadzieścia sekund.

– Piecze – stwierdził Lars, kiedy szturm minął.

– Co chciałbyś wiedzieć? – zapytałam, ocierając wierzchem dłoni nos, bo polało mi się z niego. Myślałam, że to z zimna, ale okazało się, że to krew. Może i mniej upokarzające, ale i tak wolałabym katar. Krew oznaczała, że ataki wyrządzają szkody. Mary musiała czerpać moc od tych posiadających magię, którzy znajdowali się w zasięgu jej działania,

w innym wypadku nie czulibyśmy tego wszyscy, a śmiertelnicy pod schodami nie reagowali.

– Kojoty to szachraje – oświadczył Lars.

– To nie było pytanie – odgryzłam się. – Ale owszem, ten Kojot to szachraj.

– Jesteś pasterzem umarłych? – zainteresował się gwałtownie. – Takim, który ma władzę nad martwymi?

I proszę, ten praski wampir wiedział o mnie tyle, ile ja o sobie wiedziałam. Nie odezwałam się. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Bo jeśli zamierzał powiedzieć to, co podejrzewałam, że powie, mogło to oznaczać, że wcale nie wylądowałam w Pradze bardzo dziwnym trafem.

– Jeden z twoich przybył tu podczas wielkiej wojny – oznajmił Lars.

– Nie mów – jęknęłam. – Gary Laughingdog? – Mój bardzo dużo starszy brat przyrodni, którego poznałam minionej zimy. Wspominał chyba, że zgłosił się na ochotnika do oddziałów walczących w pierwszej wojnie światowej.

– Znasz go? – zapytał Kocourek. – Narobił w tym mieście niemało kłopotów. Potem wyznał, że to jego przekleństwo, że gdziekolwiek się pojawia, kroczy za nim chaos. Mówił też, że chciał przed odejściem sprawić, by sprawy miały się lepiej, niż kiedy przyjechał, ale że nie odpowiada za rozlew krwi, zniszczenia i zamęt, które wybuchły podczas jego wizyty w Pradze.

Nienawidzę zbiegów okoliczności. Nie bardzo w nie wierzę. A jeszcze mniej, odkąd spotkałam Kojota. Ale co, na niebiosa, skłoniło Kojota do zainteresowania się praskimi wampirami? I dlaczego uważał, że jestem odpowiednią osobą, by coś z tym zrobić? Może po prostu był to jednak zwykły przypadek, a moja paranoja kazała mi dopatrywać się połączeń, których nie ma.

– Może rozkazywać martwym? – dopytywał się Lars. – Może rozkazywać nam?!

– Możesz? – zwrócił się do mnie Kocourek.

Pewnie mogłabym zełgać, ale wychowana wśród wilkołaków, nie miałam nawyku kłamania.

– Nie wiem. Może. Czasami. Nie. – Wzruszyłam ramionami.

– Gary Laughingdog potrafił – oznajmił Kocourek.

– Przerażający sukinsyn – stwierdził Wania. – Ulżyło mi, kiedy wrócił na front.

– Więc co ściągnęłaś na głowę Mary, Mercedes, krocząca z martwymi? – zapytał Kocourek.

Nagle domyśliłam się, co interesującego Kojot znalazł w Pradze. Nie chodziło o wampiry.

Zanim jednak ułożyłam sobie w głowie odpowiedź dla praskiego wampira, drzwi do piwnicy otworzyły się z hukiem i Mary włączyła

światło.

– Kocourek! – zawołała i powiedziała coś w niezrozumiałym dla mnie języku, jednak brzmiało to jak rozkaz.

Chyba nie zorientowała się, że nie ma już władzy nad Kocourkiem.

– Chce wiedzieć, gdzie są nasi ludzie – wyjaśnił mi wampir. – Potrzebuje posiłku, żeby wzmocnić magię i powstrzymać monstrum, które się do nas dobija. Co na nas sprowadziłaś, Mercy?

– Golema – oznajmiłam.

– Golema?! – Kocourek spojrział na mnie ze zgrozą.

– Golema?! – powtórzyła Dagmar jak echo. – Czy Gary przypadkiem nie mówił czegoś o golemie? Ciągłe gadał jakieś dziwne rzeczy. – Zmarszczyła czoło w zastanowieniu, a potem jej twarz się rozjaśniła. – Wiem. Mówił, że golem nie jest martwy i że ktoś powinien coś z tym zrobić.

– Pamiętam, i że cieszył się, że tym kimś nie jest on, bo to będzie brudna robota.

– A ja pamiętam samego golema – powiedział Wania w zadumie. – I nie wiem, czy to był dobry pomysł, Mercedes Hauptman. Rabinowi aż cztery dni zajęło wyłączenie go i odcisnęło to na nim piętno.

Mary powiedziała coś ostro.

– Mamy przestać mówić po angielsku – przełożył Lars. – Nie wiem, czy golem to dobry, czy zły pomysł, nie było mnie tu, kiedy działał. Uważam za to, że ktoś powinien zrobić coś z Mary. I dzisiaj zamierzam być tym kimś. A wy?

Kocourek odpowiedział Mary pojednawczo.

Nie wiedziałam co, po tonie poznałam, że Lars go przekonał. Zamiast ukrywać się przed Mary, postanowił ściągnąć ją do piwnicy.

– Wiedźma – mruknęłam. – Wiedźmy potrafią zabijać na odległość i są przebiegłe. Jesteście pewni, że...

Golem znowu napał na jej zakłęcie. Tym razem, kiedy uderzyła fala, straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, okazało się, że nie ja jedna.

Mary upadła i stoczyła się po schodach na sam dół. Lars padł twarzą do ziemi. Dagmar podnosiła się z klepiska, a Wania pomagał wstać Kocourkowi.

Mary capnęła Larsa za nadgarstek i zaczęła chrapliwie nucić. Brzmiało to dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy rzucała zakłęcie, zanim zaczęła torturować magię wyjącego i szczękającego łańcuchami wampira. Nie rozumiałam słów, lecz rytm był taki sam.

Powstrzymaj ją – powiedziałam, kiedy Lars miotnął się konwulsyjnie.

Duszyca pojawiła się tuż obok Mary i wpiła paznokcie w jej przegub. Wiedźma chyba jej nie widziała, ale z jej nadgarstka, który usiłowała wydrzeć, trysnęła krew. Puściła Larsa i przerwała inkantację, żeby powiedzieć coś paskudnego. Wyrzuciła zranioną rękę w górę, a kropla

krwi spadła na Wanię. Nie wydawało się możliwe, żeby zrobiła to celowo, jednak poczułam falę magii, która uderzyła w Wanię.

Wampir z krzykiem przewrócił się na ziemię. Na jego skórze pojawiły się czerwone bąble z czarnym środkiem, które rozprzestrzeniały się z niewiarygodną szybkością. Czarne środki również się rozrastały, fioletowiejąc na brzegach. Wampir wił się i miotał niezdolnie.

Duszyca grzmotnęła Mary obiema rękami w bark, aż wiedźma się zachwiała. Odwróciła się, by zobaczyć, kto zadał jej cios, lecz po jej minie poznałam, że nadal nie widzi ducha.

Wtedy golem uderzył ponownie.

Mary wrzasnęła z bólu, co przyniosło nieco ulgi mojemu cierpieniu. Wyciągnęła dłoń i zaczęła czerpać moc z Wanii który stracił straszliwe plamy przypominające czarną zarazę. Nie miałam pewności, wydawało się jednak, że Mary brała z niego więcej magii, niż na niego rzuciła. Potem uczyniła z tą mocą coś, co zmieniło na mgnienie formę ataku golema, ale wystarczyło, żeby aż zadzwoniło mi w uszach.

A potem zapadła cisza. Walenie golema ustało. Pomyślałam, że go zniszczyła.

Mary podniosła się chwiejnie, kopnęła Wanię i cisnęła w niego jakimś przekleństwem.

Kocourek, zataczając się, wychynął z cienia przy schodach z mieczem w rękę. Z zamachem i skrętem górnej części ciała, których nie powstydzilby się Babe Ruth, odrąbał Mary głowę w chwili, gdy po raz drugi kopnęła Wanię.

Wszyscy zamarliśmy, czekając, aż coś się wydarzy. W filmach, kiedy zabije się rzucającego zaklęcia, jego magia się rozpada i zaklęcia znikają. Istniała tego rodzaju magia. Widziałam to własne oczy. Jednak według Elizawieety są wiedźmy na tyle potężne, że mogą rzucać zaklęcia samopodtrzymujące się, a wtedy trzeba je złamać.

Przyznaję, że spodziewałam się, że Mary zaraz się podniesie i pozabija nas wszystkich. Nawet duszyca zdawała się zaniepokojona, raz po raz dotykała odciętej głowy wiedźmy i toczyła ją po klepisku.

Za trzecim razem Wania zauważył to i z jękiem zerwał się na nogi.

– Nie martw się, to tylko duch – uspokołam go.

Galina – żęka duszyca. *Mam na imię Galina.*

– Galina – powiedziałam, choć wiedziałam, że nie powinnam tego robić.

– Co? – zdziwiła się Dagmar.

– Pamiętacie Gary'ego? Bez przerwy rozmawiał z martwymi ludźmi. Nie chodzi mi o wampiry. Galina to duch.

Galina spróbowała tym razem kopnąć głowę, która potoczyła się jakiś metr, zatrzymując się tuż przy Larsie.

– Poproś ją, żeby tego nie robiła – jęknął Lars. Nadal siedział tam,

gdzie upadł, przyciskając do siebie rękę, za którą chwyciła go Mary.

Nie musiałam o nic prosić Galiny, bo korpus i głowa Mary rozpadły się w pył.

– W porządku, tak też jest nieźle – podsumował Lars.

Golem zaatakował znowu, tym razem przełamując barierę Mary. I tym razem nie bolało. W każdym razie mnie. Wampiry wrzasnęły. Szybko się otrząsnęły, ale golem wchodził już do domu. Z góry dotarły do nas odgłosy wyłamywanych drzwi.

– Teraz już wszyscy mogą nas zobaczyć? – zapytałam. – To znaczy budynek? – Siedziałam zamknięta w głupiej klatce i nie mogłam nic zrobić. Ale jeśli zobaczą nas przechodnie, wkrótce pojawi się policja, straż pożarna i wszystkie inne służby ratownicze. I wejdą prosto na wampiry.

Ludzie nie mogli dowiedzieć się o wampirach. Nikt nie chciał wojny, w której wszystkie obdarzone nadprzyrodzonymi mocami istoty – a także ci, których będzie się o to podejrzewać – zostaną zabite przez swoich sąsiadów za pomocą pierwszej lepszej broni, która wpadnie tym drugim w rękę. Coś takiego nie mogło nie skończyć się totalną katastrofą.

– Nie – odpowiedziała Dagmar. – Chyba nie. To dwa różne zaklęcia. Mary zrobiła to tak, żeby magia ukrywająca działała jeszcze miesiąc lub dwa, zanim się rozplynie. Planowała wprowadzić się do gniazda Kocourka, zakładając, że Guccio zabije Bonaratę.

– Dałaś golemowi ciało – powiedział Wania, jednocześnie nasłuchując, jak my wszyscy, odgłosów czegoś ciężkiego, co poruszało się nad naszymi głowami. Potem usłyszeliśmy krzyki.

– Nie robi wam krzywdy – uspokoiłam go. – Przecież jesteście tymi dobrymi.

Wania spojrział na mnie z politowaniem.

– Jesteśmy wampirami, Mercy. Nawet wtedy, kiedy rabin go ożywił po raz pierwszy, nie tolerowałby wampirów na swoim terytorium. A w tej chwili nawet żydowskie pochodzenie i przyzwoitość na nic się nie zdadzą. Pozabija nas, jeśli zdoła.

– Zbliża się świt – oznajmił Lars.

– Ile macie czasu? – zapytałam.

– Nie tyle, żeby pokonać golema – odrzekł Kocourek. – Zakładając, że w ogóle bylibyśmy w stanie go pokonać. Niecałe pięć minut.

– Schowajcie się pod schodami z waszymi ludźmi – poradziłam. – Przynajmniej nie będziecie na widoku. A ja postaram się trzymać go z dala od was.

– Siedzisz w klatce – przypomniał Lars. – Jak zamierzasz tego dokonać?

– Możecie ją otworzyć? – Potrząsnęłam drzwiczkami.

Kocourek pokręcił przecząco głową.

– Mary zamknęła ją zaklęciem. Tylko ona mogła ją otworzyć.

– Golem zasadza się tylko na tych złych – przekonywałam, usiłując ignorować hałasy z góry. – Powiem mu, że jesteście w porządku.

Kocourek westchnął i uśmiechnął się cierpko do towarzyszy.

– To była niezła przygoda. Cieszę się, że mogłem z wami służyć.

Wampiry już wciskały się pod schody, Dagmar odpowiedziała Kocourkowi w nieznanym mi języku, prawdopodobnie po czesku, choć równie dobrze mógł być to serbski. Kocourek zaśmiał się, potrząsnął głową i wczłgał się za nimi do kryjówki. Przesunęli ludzi tak, by leżeć na zewnątrz i móc ich nadal bronić.

A spodziewałam się, że zasłonią siebie ludźmi przed światłem. Ale w końcu byli tymi dobrymi, prawda? Prawda.

Wrzaski na górze ustały w tym samym momencie, w którym z wampirów pod schodami wraz ze świtem uszło życie. Jakby w odpowiedzi hałasy na piętrze zaczęły się ze zdwojoną siłą. Podłoga nad kątem, gdzie Dagmar przeniosła ciało dziewczyny, zapadła się z hukiem spadających cegieł, kamieni i gruzu.

Kaszłąc, dławiąc się pyłem, uświadomiłam sobie, że może być po nas, zanim golem tu nas znajdzie. Przez szpary nad zawałem przesączała się szarawa jasność świtu, podświetlająca unoszący się w powietrzu pył.

Tuman kurzu szybko opadł. Przebłyski wschodzącego słońca zdawały się nie na miejscu. Cieszyłam się, że wampiry ukryły się pod schodami, inaczej moje ocalanie ich przed golemem mogłoby nie dojść w ogóle do skutku. Po chwili zaczęłam się zastanawiać, czy może, podobnie jak wampiry, golem nie był aktywny tylko nocą. Albo czy może postanowił zostawić mnie w piwnicy.

Na Galinę światło nie miało wpływu, co zgadzało się z moją wiedzą o duchach. Większość ludzi styka się z duchami częściej w nocy niż w dzień, ale to prawdopodobnie dlatego, że spotkając duchy za dnia, nie wiedzą, co widzą.

Wreszcie pojawił się golem. Pochylił się, przechodząc przez drzwi, i ruszył w dół po stopniach. Schody były mocne, nawet nie skrzypiały pod jego ciężarem.

Golem nie był największym potworem, z jakim miałam do czynienia. Miał może dwa i pół metra i przypominał ożywioną zbroję z czerwonej gliny. Jego twarz nie posiadała rysów, oczu ani ust. Nie widziałam też żadnych liter na czole, które mogłabym zmazać w razie potrzeby.

Jego magię czułam inaczej niż wcześniej, czego oczywiście mogłam się spodziewać. W ogóle był inny, dałam mu moc, dzięki której znów mógł się stać prawdziwy.

– A więc przybyłeś, Golemie z Pragi – powitałam go. Zatrzymał się na schodach.

Nie należysz do tego miejsca – oświadczył.

Nie bardzo wiedziałam, czy mówi o tej piwnicy, czy o całym mieście. Wyjaśnił mi to niepytany, więc założyłam, że nadal siedzi w mojej głowie.

Twoja pomoc była niezbędna. Powinnaś teraz odejść i nigdy nie wracać. Następnym razem nie będę już taki pobłażliwy.

– Jestem tu uwięziona – przypomniałam. – Jak zresztą wiesz. Odejdę, kiedy tylko będę mogła.

Rozumiem – rzekł i podjął wędrówkę po schodach. Poruszał się dziwnie, niezgrabnie. Stopnie były za małe dla jego stóp, dlatego przechylał się, przenosząc środek ciężkości w tył, na... coś, co golem miał w miejsce pięt.

– Co robisz? – zapytałam.

Są tu demony. Ostatnie demony w moim mieście.

Domyśliłam się, że chodzi mu o dzielnicę żydowską, nie całą Pragę.

– Wykonałeś już swoje zadanie – powiedziałam. – Te wampiry nie są wrogami. Opiekują się ludźmi, którzy znajdują się tutaj.

Owszem, to ostatnie ledwie przeszło mi przez gardło i mnie samej trudno w to było uwierzyć. Wampiry żywią się ludźmi. To właśnie robią. Ale te tutaj sprowadziły na dół ludzi, by ich ochronić, i nadal to robiły, w miarę swych aktualnych możliwości.

Są demonami. Trzeba je zniszczyć.

– A co z ludźmi? – zapytałam.

To nie moi ludzie – oświadczył, a mnie aż zmroziło, bo zrozumiałam, co miał na myśli.

Wania powiedział, że nawet pochodzenie żydowskie nie chroniło ludzi przed golemem.

Nie wiedziałam, ilu Żydów mieszka wciąż na Józefowie, ale po czystkach nazistów w Europie z pewnością dużo mniej niż kiedyś, gdy mogli mieszkać tylko w tej dzielnicy Pragi. Zresztą Żydzi czy nie, to nie miało znaczenia, bo golem zamierzał i tak zabić ich wszystkich. O ile Wania miał rację.

– Co zrobisz z mieszkańcami, którzy nie są Żydami?

To nie moi ludzie – powtórzył golem. *Żadni nie są już moimi ludźmi. Nie mam już swoich ludzi.*

– A gdyby to byli ludzie rabina Löwa?

Golem ryknął na mnie bezgłośnie. Zakryłam uszy, jednak to nie pomogło. W tym dźwięku słyszałam narastającą przez wieki furję frustracji i gniewu. Nie używał słów, ale słyszałam go aż za dobrze. Rabin skazał golema na tę straszliwą półśmierć, obciążył przemożną potrzebą chronienia, które to zadanie mógł wykonywać wszelkimi środkami.

Golem nie zamierzał poprzestać na zniszczeniu wampirów. Ani ludzi.

A żydowskie korzenie również nie stanowiły przed nim ochrony.

Nabrałam tchu, kiedy golem pokonał ostatni stopień.

– Zatrzymaj się – powiedziałam. *Przestań się ruszać* – użyłam mocy, która pozwalała mi rozkazywać umarłym.

Staął. Pochłonął magię wszystkich duchów, które zdołałam przyzwać – z wyjątkiem Galiny. To oznaczało, że jego moc pochodziła od umarłych, a ci musieli mnie słuchać. A potem zrobił mi to, co wcześniej uczynił z zaklęciem Mary.

Kiedy znów otworzyłam oczy, okazało się, że golem znalazł już wampiry. Nie mógł precyzyjnie się poruszać między piecem a schodami, choć zdołał już rozwalić pół paleniska, zaczął więc demolować schody.

Kiedy pozbawiliśmy boga wulkanu kotwic pozwalających mu podróżować, musiał wrócić do miejsca pochodzenia. Teraz musiałam zrobić to samo.

Jednak choć golem został stworzony z gliny zespolonej kabalistyczną magią i zasilony energią duchów, to Manitu należało do tego miejsca, do Józefowa. Oczywiście nie była to fachowa terminologia, bo nie jestem magiem i działałam instynktownie.

Rabin popełnił błąd, kiedy próbował powstrzymać golema, zabijając coś, co było niezabijalne. Udało mu się niemal uśmiercić golema i oddzielić od fizycznego ciała, które zapewniało mu moc.

Czyli nie mogłam go zabić. Nie mogłam z nim walczyć, bo siedziałam zamknięta w klatce. Nie mogłam go wyzwolić...

Zamknęłam oczy i wyteżyłam zmysły, które pozwalały mi kontaktować się ze Stefanem, odnajdować watahę i Adama, lecz tym razem skierowałam uwagę na golema.

Najniższy stopień poddał się wśród skrzypienia gwoździ i trzeszczenia drewna.

Nie mogłam nic zrobić z zaklęciem spajającym materię golema. Jednak energia, magia zabrana duchom... ta należała do mnie.

Otworzyłam się i znalazłam Adama. Czułam go, jakby stał tuż przy mnie, w tym samym pomieszczeniu. Odnalazłam go. Zawsze mnie wspierał, kiedy go potrzebowałam.

Nie było czasu na pytanie o pozwolenie, nie było czasu na komunikowanie się, ponieważ golem właśnie pochwycił kogoś i wywłókł spod schodów. Nie widziałam kogo, bo sylwetka golema zasłaniała mi jego ofiarę.

Skupiłam się w sobie, zaczerpnęłam siłę poprzez więź z Adamem i wymówiłam jedno słowo:

– Dezintegracja.

Nie to chciałam powiedzieć. Dezintegracja to rozpad na części, podzielenie na elementy, a nie chciałam próbować tego samego, co zrobił rabin. Chciałam powiedzieć „giń”. Liczyłam, że ten rozkaz zmusi

golema do powrotu do stanu zawieszenia, z którego go wyrwałam. Ale ktoś, kto podejrzenie przypominał Kojota, podszeptał mi to słowo, kiedy otworzyłam usta.

Nie mogłam dotknąć Manitu swoją magią, bo Manitu nie było martwe. Nie mogłam tknąć kabalistycznej magii, bo tego nie potrafiłam. Ale Kocourek nazwał mnie pasterzem umarłych, a umarli musieli być mi posłuszni, bez względu na to, jak mocno usiłowałam to dotąd ignorować. A to właśnie moc umarłych wiązała golema w istotę.

Moja magia, moc nad umarłymi, wzmocniona energią zaczerpniętą od Adama i skupiona w jednym słowie, uderzyła w golema. Zachwiał się, puścił swoją ofiarę i odwrócił do mnie. Podszedł i grzmotnął z góry w klatkę.

Chyba oboje nas zaskoczyło, że jego pięści odbiły się od siatki, choć miało to sens, bo klatka została zrobiona ze stali, srebra i magii. Zbudowano ją w celu przetrzymywania wilkołaków. Jednak tak czy siak, zdziwiło mnie, że nie zabił mnie jednym ciosem.

Znów sięgnęłam do Adama i tym razem dał mi...

Wszystko. Za pierwszym razem nie uprzedziłam go, więc wzięłam, co mogłam. Teraz pchnął ku mnie swoją moc. Czułam, jak otula mnie jego autorytet wsparty wiarą watahy, że potrafi ich obronić. Wiara to najsilniejsza magia. Obdarował mnie nią, powierzył.

Golem nadal czekał, aż klatka rozpadnie się u jego stóp. Kucnął tak, że jego twarz była dosłownie na wyciągnięcie ręki od mojej. Jego pięści zostały na górze klatki, tam gdzie opadły. Sięgnęłam przez oczko siatki i dotknęłam palcem jego glinianego ciała. I wtedy wykorzystałam wszystko, co miałam, wszystko, czym byłam, i wszystko, co dał mi Adam, i powtórzyłam:

– Dezintegracja.

Poczułam, jak słowo na mgnienie zawisło w powietrzu. Czekałam jak na grzmot po błysku pioruna. A potem magia rabina zatrzęsa się pod ciężarem rozkazu. Nowsze zaklęcia, które golem utkał sam, poddały się, kiedy moc umarłych rozdarła je na strzępy, zostawiając za sobą chaos.

Jestem mechanikiem – naprawiam to, co popsute. Zmieniam się w piętnastokilogramowego kojota. Mam potężnych przyjaciół. Ale kiedy przychodzi co do czego, moją prawdziwą supermocą jest chaos.

Gliniane ciało golema runęło na ziemię, roztrzaskując się na kawałki, jakby spadło z trzydziestu metrów na skały. Odpryski gliny w większości odbiły się od siatki, nie czyniąc mi krzywdy. Jeden czy dwa przedostały się do klatki, ale tylko jeden mnie zranił. Na długą, bardzo długą chwilę smród piwnicy Mary ustąpił przed wonią wiosny, taką, która wydostaje się czysta i pachnąca prosto z ziemi. A potem zapach uleciał i piwnica znów cuchnęła trupami.



Rozdział 14

Mercy

Trudno wyglądać na zwycięzcę, kiedy siedzi się w głupiej klatce.

Mijały minuty. Miałam okazję przyjrzeć się, kogo golem wywłócił spod schodów. Był to mężczyzna w średnim wieku, który wchodził na czele reszty ludzi. Nadal tkwiłam w klatce. Galina próbowała mi pomóc, ale jej rzeczywisty wpływ na świat materialny ograniczał się do toczenia głów po podłodze.

Usiłowałam skontaktować się z Adamem, lecz więź nie działała. Jakby nastąpiło przeładowanie.

Mężczyzna zaczął jęczeć. W którymś momencie się czołgać. Nie wiem, gdzie chciał się doczołgać, ale tam nie dotarł. A ja nie mogłam w żaden sposób mu pomóc. Nie mogłam też nic poradzić na promienie słoneczne wpadające do piwnicy przez szpary ruiny i otwarte drzwi na szczycie schodów. Patrzyłam bezsilnie, jak suną coraz bliżej umarłych, którzy czekali pod schodami.



Wilkołaki przybyły po południu. Adam nie przejmował się zniszczonymi schodami, po prostu przeskoczył przez poręcz. Przekroczył szybko rozkładające się ciało zabitego przez golema mężczyzny.

Nie spuszczając ze mnie złocących się oczu, podszedł do klatki i zatrzymał się z jękiem. Czułam płomień magii, który palił się mocniej niż w zetknięciu z wampirami, duchami czy golemem. Galina poklepała

Adama po ramieniu wyraźnie zatroskana. Mój mąż odsunął się pół kroku i zniżył głowę, tak że nasze twarze znajdowały się na jednym poziomie.

Nic nie mówił, wpatrywał się we mnie tylko tymi złotymi oczyma i zaciskał dłonie w pięści.

Gdybym była wolna, wskoczyłabym na niego, wtuliła się w jego ramiona i zaczęła płakać. Chyba lepiej w sumie dla mojej godności, że nie mogłam tego zrobić. Przyłożyłam dłoń do siatki, żeby być jak najbliżej Adama.

– Chyba Kojot mnie tu przysłał. – Ochryplam od wysiłku, jaki włożyłam w zabicie golema. – Żeby naprostować sprawy. Albo żeby oszaleć. Trudno powiedzieć. – Miałam prawie pewność, że to Kojot sprawił, iż wybrałam słowo „dezintegracja” zamiast „giń”. – Mam nadzieję, że jest zadowolony. Dzięki mnie w Pradze nie ma już chyba żadnych wampirów. Z wyjątkiem tych czterech pod schodami. – Zaniepokojona ich stanem, pochyliłam się do przodu. – Słuchaj, to dobre dusze, tak sędzę. Dopilnuj, żeby nie padł na nich żaden promyczek, dobrze?

Przez chwilę nic nie mówił, przyłożył tylko dłoń do mojej, a potem zabrał ją z wyraźną niechęcią.

– Kto cię uderzył? – zapytał tym głębokim głosem, jakim mówił, kiedy to wilk przejmował kontrolę. Nie wspomniał o wampirach, ale mogłam zaufać, że się nimi zajmie.

Ktoś mnie uderzył? Zmarszczyłam czoło, a Adam przesunął palcami po swoim policzku. Ach, całkiem o tym zapomniałam.

– Guccio – odpowiedziałam. – Takie ciacho. Chyba został usunięty z tego świata. Tak twierdziły wampiry spod schodów. Bo mogły przestać wykonywać jego rozkazy.

– Guccio nie żyje – potwierdził Adam, więc wiedział najwyraźniej, kim był wampir. – Zabiłem go – stwierdził niezwykle zadowolony. Czulałam, że kryje się za tym jakaś lepsza historia. Czekало nas dużo okazji do opowiadania.

– Sporo ci zajęło odszukanie mnie. – Naprawdę tak było. Minęły godziny od rozpadu golema, odkąd Manitu, które go napędzało, zostało wreszcie uwolnione i stało się tym, czym powinno być, zamiast tego, w co zmienił je rabin Löw. Jednak mój żołądek rozluźnił się, ciało zaczynało wierzyć, że jest bezpieczne. Jedwabisty, miękki głos Adama działał lepiej niż lekarstwo na to, co mnie trapiło.

– Twoja moc zwała mnie z nóg – wyjaśnił. – Przez godzinę leżałem nieprzytomny i nikt nie był w stanie nic na to poradzić. Musiałem ocknąć się sam. A potem chwilę trwało, zanim więz znowu zaczęła działać na tyle, by cię szukać.

– Przepraszam – pisnęłam.

– Kochanie – rzekł z głębokim uczuciem – możesz zawsze czerpać z tego, czym jestem, ile tylko ci trzeba. Dla ciebie zniszczyłbym całą planetę. Dla ciebie wspiąłem się na szczyty dyplomacji, co było znacznie większym wyczynem. Chwilowy brak mocy to nic.

– Godzinę? – Wilkołak nieprzytomny przez godzinę? – Mogłeś umrzeć!

– Ty mogłaś umrzeć – odparł żywo. – Co ja bym wtedy począł? – Odetchnął głęboko, zanim podjął już własnym głosem, choć jego oczy nadal się żółciły. – Możesz brać wszystko, co zechcesz, ukochana. Martin i Jitka przyprowadzili nas do Józefowa, ale dopiero kiedy powiodłem ich do parku, przypomnieli sobie, że właśnie tu cię zgubili. Potem Elizawieta natrudziła się, żeby umożliwić nam przejścia przez barierę tak, by jej nie zniszczyć. Ona... i Libor – skrzywił się – uważali, że warto najpierw sprawdzić, z czym mamy do czynienia, zanim to miejsce stanie się widoczne dla prażan. Szczególnie że były w to zamieszane wampiry. I trochę to zajęło.

– Obawiam się, że będą chcieli zostawić to tak, jak jest, znacznie dłużej, niż zamierzają. Jest tu sporo trupów. Z sześćdziesięciu lat albo i więcej.

Usiadł na ziemi. Jego zmarszczki wokół oczu i cienie pogłębiły się, musiał być tak zmęczony, jak ja. Do piwnicy zaczęli schodzić ludzie, to znaczy wilkołaki, prawdopodobnie z watahy Libora.

Adam powiedział im o wampirach pod schodami i poprosił przejmie, żeby ktoś sprowadził na dół Elizawietę.

– To klatka na wilkołaki – powiedziałam. – Nic mi się w niej nie dzieje.

– Wystarczy, jeśli przyjdzie w wolnej chwili – dorzucił Adam, zwracając się do wilkołaka, który już wdrapywał się po schodach. – Myślisz, Mercy, że to Kojot cię tu przysłał? Marsilia jest przekonana, że to skomplikowana, rozbudowana intryga Bonaraty, że sprowadził nas tu, żebyśmy rozwiązali za niego problemy. A ten wcale nie odżegnuje się od tej idei.

– Marsilia? – Usiadłam wygodniej i oparłam się czołem o siatkę. Słuchałam, a Adam opowiadał, co wydarzyło się po znalezieniu rozbitego samochodu, i wyjaśniał, dlaczego zabrał ze sobą tych, a nie innych ludzi.

– Larry? Poważnie? Larry jest królem goblinów?

– Ktoś tu o mnie mówił? – Goblin zeskoczył na klepisko, ukląkł obok Adama i wręczył mu butelkę z wodą. Uśmiechnął się do mnie szeroko, ukazując garnitur zębów bogatszy niż u człowieka. – Wiem, wiem. Co tym rodzicom wpadło do głowy? Larry. Co gorsza, moje pełne imię to Lawrence. Imię prawdziwego mięczaka. – Spoglądał na mnie łagodnie. – Cieszę się, że znaleźliśmy cię mniej więcej w jednym kawałku,

księżniczko.

– Na pewno nie tak bardzo jak ja – stwierdziłam, wywołując u niego śmiech.

– Myślałam, że zdołam pomóc – Larry zwrócił się do Adama – ale to zakłęcie wiedźmy. Pewnie Elizawieta to załatwi, gdy skończy formować osłony, żeby trzymać ludzi z dala od tego miejsca. Mówi, że trochę jej zejdzie, bo coś zniszczyło te, które ustawiła tu tamta wiedźma.

– Golem – wypaliłam. – A tamta wiedźma nie żyje. – Popatrzyłam na buty Larry’ego. – O, przeszedłeś po niej. Była zakochana w Gucciu, a on kochał jej moc.

– Proch martwej wampirzycy – powiedział Larry z namysłem.

– Proch martwej wiedźmy-wampirzycy – sprostowałam.

– Pewnie okaże się, że wcześniej była na usługach Bonaraty – odezwał się Adam. – Miał kiedyś jedną, która mu zniknęła.

Larry wstał i gdzieś poszedł. Marzyłam, żeby napić się Adamowej wody. Jedzeniem też bym nie pogardziła.

– Czy siatka była wgnieciona, kiedy cię tu zamykali? – zapytał Adam.

– Nie, to ten golem próbował mnie zabić.

Adam wyprostował się, a jego oczy, które zdążyły przybrać zwyczajny kolor ciemnej czekolady, znów pojaśniały.

– Zabiłam go – oświadczyłam. – Tym razem na dobre. Ale najpierw wykorzystałam go do zabicia reszty wampirów. Nie wiem, ile ich zabił, na pewno dużo. Mary znalazła sposób na masową produkcję wampirów, lecz o niefortunnie krótkiej dacie ważności. Problem w tym, że nie chciał poprzestać na wampirach. Tylko dzięki twojej pomocy ocalili wszyscy mieszkańcy dzielnicy żydowskiej.

Adam rozejrzał się po piwnicy. Patrzył na gliniane skorupy, zaciskając i rozluźniając pięści.

– To moja wina, że oni wszyscy zginęli – westchnęłam. – Mogłam wymyślić sposób, żeby zabić tylko Mary. Myślę, że Kocourek dałby sobie radę z tamtymi wampirami.

Tyle że wszystkie te wampiry wiedziały, że Mary potrafi stworzyć krwiopijcę w dwa tygodnie, zamiast w kilkadziesiąt lat. Zaczęto by o tym snuć opowieści. I ktoś znów podjąłby próbę. Kocourek rozumiał wagę ryzyka. Byłam przekonana, że on i pozostali ocalali będą milczeć.

Ale tyle istot... Dla mnie byli ludźmi, obojętne, wampiry czy duchy, i wszyscy zginęli przeze mnie.

Adam spojrział na mnie uważnie, celowo odpuszczając gniew, który zalał go moment temu. Wydał usta.

– Wygrałaś. My zabiliśmy tylko dwójkę. Lenkę, wilkołaczącą Bonaraty, jako pierwszą. Tracił nad nią kontrolę i wykorzystał nas, żeby nie brudzić sobie rąk. – W jego głosie brzmiał smutek, który zaraz zmienił się w ostrość. – I Guccia. Gdybym wiedział, że cię uderzył, nie

spieszylbym się z nim.

Tym razem ja skinęłam głową. Byłam strasznie zmęczona.

Coraz więcej osób biegało w tę i we w tę po schodach, które pomimo zniszczeń dokonanych przez golema nadal trzymały się nieźle. Jakiś wilkołak w białej koszuli, krawacie i garniturowych spodniach przeniósł Elizawietę przez rumowisko pod ostatnim stopniem.

Poczułam się bardzo, bardzo zmęczona. Adam siedział przy mnie. Byłam bezpieczna. Pozwoliłam opaść powiekom. A potem szepnęłam bardzo cicho:

– To Bran czy mam halucynacje?

Usłyszałam uśmiech Adama w jego głosie.

– Oczywiście, że nie. Skąd by się tu wziął? To Matt Smith, nasz drugi pilot, uległy wilk.

– Matt Smith gra Doktora Who – poinformowałam go, zasypiając z uśmiechem, kiedy Elizawieta zaczęła zdejmować magię zamykającą moją klatkę.



Śniło mi się, że siedzę przy źródelku krystalicznej wody w niewielkim ogrodzie. Otaczały go kamienne mury ze średniowiecznymi drzwiami prowadzącymi do budynków wokół ogrodu.

Z wyjątkiem źródelka ogród przypominał ten z przyjazną mastiffką, jednak w tym nie było psa, tylko ja i Galina, która wyglądała na tak prawdziwą jak ja. Oraz Kojot.

– Jest zadowolony – powiedziała Galina z namysłem, pochylając się nad źródelkiem i dotykając palcami wody.

– Owszem – potwierdził Kojot.

– Szkoda, że ja nie jestem taka zadowolona – stwierdziłam ze smutkiem.

– A nie jesteś? – zapytał i spojrzał na mnie kątem oka. – Chodź, przejdziemy się, Galino.

Galina dotknęła mojego ramienia.

– Nie mogę zostawić Mercy samej. Ocaliła mnie przed golemem.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się, ale w jego tonie chyba zabrzmiała kąśliwa nuta. Jeśli nawet, to nie wobec Galiny. – Przez chwilę nic jej się tu nie stanie.

– Idź – powiedziałam jej. – Zrobiłaś dla mnie naprawdę dużo. Teraz już nic mi nie grozi.

– Dobrze – zgodziła się. Wstała i ujęła dłoń, którą Kojot ku niej wyciągał.

Nie patrzyłam, gdzie ją zabrał. To była intymna chwila. Należała

tylko do Galiny.

– Da sobie radę? – zapytałam, kiedy Kojot po dłuższej chwili wrócił bez niej.

– Jak ta lala. Jest teraz tam, gdzie być powinna. Nieutknięta. Nie wiem, dlaczego ludzie utykają w tym świecie.

– Posłałeś mnie do Pragi, żebym wyzwoliła ducha tutejszej wiosny.

– Posłałem do Pragi twojego brata, żeby wyzwolił ducha tutejszej wiosny – sprostował. – Miej do niego pretensje, że nie wykonał roboty. Choć przyznam, że jestem pod wrażeniem. Nie spodziewałem się, że ożywisz całego golema. Wiesz, co mogłoby się stać, gdyby nie udało ci się go powstrzymać? – zapytał, a potem przewrócił się na plecy na ziemię, zerwał źdźbło trawy i wsadził je sobie pomiędzy zęby. – Coś nieopisanie pięknego.

Ocknęłam się, kiedy Elizawieta uporowała się z magią klatki. Adam z wielką delikatnością odsunął wiedźmę na bok, a potem wyrwał drzwiczki. Objął mnie tak mocno, że niemal nie mogłam oddychać.

– Powiedz mu, żeby znalazł ci jakieś ubrania, zanim złapiesz śmierć – szepnął mi Kojot do ucha.

Zignorowałam go.



Całą dobę później obudziłam się naga, w pościeli chyba jedwabnej, otoczona zapachem mojego towarzysza. Usiadłam, przecierając oczy, unikając dotykania posiniaczonego policzka. Dochodził mnie szum wody spod prysznicza.

Libor zaproponował, żebyśmy u niego zostali, ale wybraliśmy hotel. Adam chciał mnie mieć tylko dla siebie, a ja nie protestowałam.

Po raz pierwszy od całej wieczności nie byłam zmęczona ani osamotniona.

Weszłam do łazienki. Kabina prysznicowa miała przejrzyste szyby, a Adam stał tyłem do mnie. Oparłam się z uśmiechem o ramę drzwiczek.

– Będziesz tak gapiła się na mój tyłek, czy może jednak do mnie dołączysz? – zapytał.

– A jeśli mam ochotę gapić się na twój tyłek przez cały dzień, to co? – zapytałam z ciekawością, wchodząc pod gorącą wodę.

– To może rozważę lekcje tańca brzucha – odparł zupełnie poważnie. Objął mnie mocno i przyciągnął do siebie. – Byłoby na co popatrzeć. Ale nie wiem, czy mógłbym chodzić z podniesionym czołem pośród innych Alf.

– Jasne – zgodziłam się, chłonąc każdą komórką emanującą z Adama energię. – Wiem przecież, jak bardzo przejmujesz się tym, co myślą

o tobie inne Alfy.

Kochaliśmy się w strugach wody. Całował moje siniaki, a ja jego ranę na ramieniu. Mówiliśmy sobie miłe rzeczy, które nie miałyby sensu dla nikogo poza nami. A kiedy zanurzył się we mnie, rozgrzany, zdyszany, poczułam, że jestem w domu.



Z Pragi wylecieliśmy trzy dni później. Potrzebowaliśmy czasu na zakończenie spraw wymagających dyplomacji, do której, jak twierdził Adam, on nie miał talentu. Bran został w samolocie. Wiedząc, że jestem już bezpieczna, nie chciał ryzykować, że ktoś dowie się o jego obecności, bo mogłoby się to wiązać z przypadkowymi atakami sprowokowanymi okazją. Libor wiedział, ale z sobie znanych powodów zatrzymał to dla siebie. Później dowiedziałam się, że Bran zmusił Zacka, by ten zadzwonił do ojca i poprosił go, by się mną dobrze zajął. Odkryłam również, że Adam zrobił to samo. Jedno i drugie stało się przed moim spotkaniem z Liborem w ogrodzie i zanim zawarliśmy nasz układ. Praski Alfa spodobałby się Kojotowi.

Bonarata odnosił się do mnie czarująco, lecz nie mogłam wybaczyć mu tego, co zrobił Lence. Honey trzymała się od niego z daleka. Zauważyłam, że Libor dyskretnie zabrał wszystkie swoje wilkołaczyce, łącznie z Jitką, sprzed oczu wampira.

Elizawieta miała zostać w Europie przez cały miesiąc jako gość Bonaraty. Płacił jej za pozbycie się uzależnienia od krwi wilkołaków oraz inne usługi, które niegdyś Mary wykonywała dla jego chmary. Adam powiedział, że zamierzał zatrudnić ją za naszymi plecami, jednak nie wydawał się tym zmartwiony. Prędej czy później wróci do domu – znacznie bogatsza niż przed wyjazdem.

Kiedy Adam powiedział nam o planach Elizawiety, Marsilia wyduła usta.

– To nie zadziała na dłuższą metę – oświadczyła z przekonaniem. – Uzależnieni muszą żyć w trzeźwości. A Jacob nie przestanie, dopóki myśli, że to daje mu moc.

Nie mówiła już o Bonaracie tak jak dawniej. Kiedyś brzmiało w jej głosie tyle energii, a teraz ta wiosna wyblakła. Władca Nocy stał się kimś, z kim niegdyś Marsilia była blisko, a kto stał się teraz tylko znajomym.

Bonarata został z chmarą Kocourka, żeby pomóc ją odbudować. Wołałam nie myśleć za dużo, z czym to się wiąże. Kocourek wziął mnie na bok i poprosił, abym nie zdradzała nikomu, jak Mary zdołała tak bardzo przyspieszyć tworzenie wampirów.

– Teraz, gdy jej i tamtych wampirów już nie ma, poza nami dwojgiem i moimi ludźmi nikt nie wie, co zdołała osiągnąć. I lepiej, żeby tak pozostało, prawda?

– Oczywiście – zgodziłam się z nim, ale odruchowo przemknęło mi przez głowę powiedzenie, że dwoje ludzi może dotrzymać sekretu tylko wtedy, gdy jedno z nich jest martwe.

Przez dwa dni bawiliśmy się z Adamem w turystów. Zwiedziliśmy kompleks zamkowy z katedrą i kościołem prawie tak starym jak chyba sam Bran. Spacerowaliśmy uliczkami Starego Miasta. Adam kupił mi bursztynowy naszyjnik i kolczyki do kompletu. A ja znalazłam dla niego starą kryształową czarę z figurką wilka



Wtuleni w siebie oglądaliśmy film w jednym z przedziałów konferencyjnych samolotu, kiedy wszedł Bran, niosąc kubek z lodem, w którym tkwiły trzy puszki napoju. Zamknął za sobą drzwi i przez jakieś dziesięć minut oglądał z nami film. W końcu się zламаłam.

– Matt Smith? Naprawdę? – odezwałam się. – Nie jesteś Doktorem Who. W twoim wieku należy już unikać nadmiernej pychy.

– Wielkie dzięki – odpowiedział i pociągnął łyk napoju. – Twoja matka oddała mi cię w ramiona, kiedy nie miałaś jeszcze trzech miesięcy. Zdawałem sobie sprawę, że w moim życiu nie ma miejsca na tak kruchą istotkę. Przekazałem cię temu, kto się do tego najlepiej nadawał.

– Bryan był cudowny – zgodziłam się, myśląc intensywnie, do czego Bran zmierza.

– Leah zabiłaby cię, gdybym cię zatrzymał – oznajmił Marrok.

– I tak o mało mnie nie zabiła – przypomniałam sucho. Miałam z żoną Brana relacje oparte na obopólnej nienawiści, które się sprawdzały i dla mnie, i dla niej.

– Mimo to – podjął miękko – byłaś moja od pierwszego dnia, kiedy wziąłem cię na ręce. Nieważne, jak zajadle bym z tym nie walczył. Ale przynależność do mojej rodziny jest niebezpieczna, Mercy. A ty, ta krucha istota, regularnie stawałaś na drodze destrukcji.

Dwa razy mnie opuścił. Pierwszy raz, kiedy mnie odesłał, bo Samuel chciał mnie dla siebie. Samuel, niemal tak stary jak Bran, który jest starszy od samej Ziemi, i ja, szesnastolatka. Bran mógł równie dobrze odesłać Samuela, ale on jest jego synem, a ja byłam tylko podrzutkiem. Dopiero Adam sprawił, że potrafiłam znów zacząć ufać ludziom. Drugi raz był znacznie gorszy, bo był drugi. Odciął się od mojej watahy, z właściwych powodów, ale czułam się tak samo paskudnie, jak wtedy, kiedy miałam szesnaście lat, tyle że głupiej.

I potem Bran postawił na szalę wszystko, w co wierzył, aby mnie ratować, bo jeśli Bonarata zorientowałby się, kim naprawdę jest Matt Smith, rozpętałoby się piekło. Żeby mnie ocalić, ryzykował wybuch wojny pomiędzy wampirami i wilkołakami.

– Dziękuję, że przyjechałeś mnie uratować – powiedziałam ostrożnie.

– Sama się uratowałaś. Równie dobrze mogłem zostać w domu.

– No nie wiem – zaśmiał się Adam. – Wpadłbym w niezłe tarapaty, gdyby cię tu nie było. Jak myślisz, dlaczego Libor był tak skłonny do współpracy? Gdybym przyjechał sam, musielibyśmy stoczyć walkę, zanim ruszylibyśmy wspólnie na łowy na chmarę Mary. Znam ten typ.

Wyprostowałam się i spojrzałam na Brana, nie odsuwając się jednak od ciepłego Adama.

– Co zrobiłeś Zackowi, że jego ojciec cię tak znienawidził? – Zamilkłam na moment. – Bo naprawdę miał na imię Radim, nie?

– Zack? – zdziwił się Adam.

– Radim – westchnął Bran. – Biedny Radim. Nie mogę zdradzić wam szczegółów. Powiedzmy, że pozycji uległego wilka w stadzie Libora nie życzyłbym największemu wrogowi. A szczególnie jeśli, tak jak Radim, byłby jego synem. – Postukał palcem w pustą puszkę. – Możliwe, że go porwałem.

– Aha – podsumowałam, wtulając się znów w Adama.

– Nic dziwnego, że Zack cię nie lubi – stwierdził Adam.

– A to już inna historia – powiedział Bran. – O nią sami musicie go zapytać.

Resztę filmu obejrzelśmy w milczeniu. Bran przemówił znowu dopiero, kiedy pojawiły się napisy końcowe.

– Kocham cię – powiedział.

– Wiem – odparłam. Adam trącił mnie ramieniem. – Ja ciebie też – zaśmiałam się.



W naszą uliczkę skręciliśmy już po zmroku. Tym bardziej widoczne stały się światła straży pożarnej. Adam nie odezwał się, tylko docisnął pedał gazu.

Zaparkowaliśmy na trawniku, żeby nie blokować przejazdu wozom strażackim. Dach garażu okazał się wypaloną dziurą i przynajmniej jedna ze ścian została spalona. Cały dom i podwórko ociekały wodą. Czulałam spaleniznę i swąd palących się przedmiotów, ale nie widziałam płomieni. Wszędzie kręcili się ludzie – wilkołaki i strażacy.

W całym tym zgiełku i zamieszaniu naszego przyjazdu nie zauważył nikt oprócz Aideny, bo wszyscy skupiali się na garażu.

Aiden przemaszerował do nas ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i wojowniczą miną.

– Cześć, Adam. Cześć, Mercy – powitał nas nieco piskliwie. – Fajnie, że wróciliście. Zgasilem garaż, który wcześniej sam podpaliłem. Chyba podpalam garaże, gdy usypiam nad zadaniem domowym. Poszukam sobie innego miejsca do mieszkania.

– Cześć, Aiden – odpowiedziałam. – Ja zawaliłam całą kamienicę. – W zasadzie to golem, ale uznałam, że mam prawo przypisać sobie winę za dokonane przez niego zniszczenia. – Mogę zamieszkać z tobą?

Adam roześmiał się i zmierzwił Aidenowi włosy.

– Miło wrócić do domu.

– Tak – poparłam go z głębi serca. – Chyba powinnam z tej okazji upiec trochę ciasteczek z czekoladą...

KONIEC



Postaci

(według Ann Peters)

Wataha dorzecza Kolumbii

Mercy Athena Thompson Hauptman – mechanik specjalizująca się w volkswagenach, zmiennokształtna heroina, mistrzyni podstępu i subtelnej zemsty.

Adam Hauptman – aka Kapitan Larson, Alfa watahy dorzecza Kolumbii, mąż Mercy, znacznie mniej subtelny mściciel.

Jesse Hauptman – aka Cud Berberka, córka Adama i jego poprzedniej żony, Christy, osóbką o talencie do podstępów, który czyni ją godną miana pasierbicy Mercy.

Aiden – Dotknięty Ogniem, pradawny o powierzchowności małego chłopca, choć ma kilkaset lat. Po pierwszych zgrzytach, obejmujących mylenie tożsamości i łapanie za tyłek, Aiden i Jesse zawiązali bratersko-siostrzane relacje.

Joel Arocha – tibicena, członek watahy, nie całkiem już pozbawiony kontroli nad swymi mocami powiązanymi z magią boga wulkanu. Aiden pomaga mu zmniejszyć częstotliwość wizyt straży pożarnej.

Ben Shaw – aka Pieprzony Bart, wilkołak, ulubiony specjalista IT i światowej klasy specjalista słownika karczemnego.

Mary Jo – wilkołaczyca, twardzielka strażak z remizy w Pasco, która nie przepada za Mercy.

Darryl Zao – wilkołak, Drugi watahy dorzecza Kolumbii. Jeśli nie wspiera Adama, używa swych nieprzeciętnych zdolności analitycznych naukowca w stopniu doktora do czegoś niezwykle błyskotliwego.

Auriele Zao – wilkołaczyca, towarzysza Darryla, nauczycielka chemii.

Honey Jorgenson – wilczyca dominująca, która pnie się w górę, wstrząsając całym systemem hierarchii; niedawno straciła męża.

Peter Jorgenson – nieżyjący mąż Honey, który nadal towarzyszy jej w formie ducha. Był uległym wilkiem watahy przed Zackiem.

Sherwood Post – trzyłapy wilkołak, który nie pamięta swojej przeszłości.

Zack – aktualnie na pozycji wilka uległego; posiada tajemniczą przeszłość, chwilowo mieszka z Warrenem i Kyle'em.

Warren Smith – Trzeci w stadzie i jedyny wilkołak gej, jak do tej pory; kiedy się wścieka, objawia swoją naturę południowca. Mieszka z partnerem, Kyle'em, i lokatorem, Zackiem.

Kyle Brooks – człowiek, rozwodnik, prawnik, partner Warrena.

Chmara z Tri-Cities

Marsilia – Ostrze; przez Mercy nazywana Królową Potępionych; Pani Chmary.

Stefan Uccello – Żołnierz, wampir o wielkim sercu, który uwielbia Scoobiego Doo.

Wulfe – Zaklinacz, potężny, obdarzony mocą niezrównoważony wampir.

Przyjaciele i wrogowie

Tony Montenegro – dwujęzyczny policjant z Kennewick i długoletni przyjaciel Mercy, który pozostał nim, mimo iż dowiedział się o jej nadprzyrodzonej naturze.

Charla (Char) – współlokatorka Mercy ze studiów i jedna z jej najlepszych przyjaciółek.

Gary Laughingdog – czasami przestępczy kojoci zmiennokształtny

brat Mercy, który czuje miętę do Honey.

Kojot – archetyp i w pewnym sensie ojciec Mercy; przyczyna wielu trosk i wrzodów.

Siebold (Zee) Adelbertsmiter – Mroczny Kowal z Drontheim, mentor Mercy, który zdaje się być stetryczalym zgryźliwym mechanikiem, ale Szarzy Panowie obchodzą go na paluszkach, ponieważ ma zwyczaj rozsiewania szczątków ciał.

Thaddeus (Tad) Adelbertsmiter – pół-człowieczy pół-pradawny syn Zee, dzielący z ojcem pasję do pracy z metalami, nawet żelazem, zabójczym dla pradawnych.

Elizawieta Arkadiwna Wyszniwiecka – potężna rosyjska wiedźma, która lubi Adama. I pieniądze.

Austin Harris – niezwykle przystojny goblin, pilot i właściciel niewielkiej firmy lotniczej.

Larry Sethaway – przywódca goblinów z Tri-Cities o zielono-żółtych oczach i czteropalczastych dłoniach.

Matt Smith – nie ten, który gra Doktora Who, uległy wilk i kompetentny drugi pilot.

David Christiansen – najemnik, przyjaciel Adama. Pierwszy wilkołak, który przyznał się do swojej natury publicznie.

Szarzy Panowie – bardzo straszna i bardzo potężna grupa rządząca magicznym ludem.

Alistair Beauclaire – Szary Pan, który ogłosił suwerenność pradawnych i niepodległość rządowi USA po tym, jak system sprawiedliwości zawiódł w sprawie jego córki.

Podgórze – pradawny byt przy niezbyt zdrowych zmysłach, jak również miejsca, które nie polegają prawom ludzkiej fizyki.

Samuel – wilkołak, najstarszy syn Brana Cornicka, młodzieńcza miłość Mercy, obecnie mąż Ariany.

Ariana – pradawna, Zrodzona ze Srebra, która dzięki mężowi, Samuelowi, uczy się przemagać lęk przed psowatymi.

Wataha Aspen Creek (Montana)

Bran Cornick – Marrok, jeden z przybranych ojców Mercy, Alfa wszystkich wilkołaków Ameryki Północnej (poza należącymi do watahy dorzecza Kolumbii). Gdyby nie był wilkołakiem, Mercy

już dawno przyprawiłaby go o potężne wrzody żołądka.

Leah Cornick – wilkołaczyca, towarzyszka Brana, cierń w łapie Mercy.

Charles Cornick – jedyny na świecie urodzony wilkołak, drugi syn Brana, posiadający szamańskie moce.

Anna Cornick – wilczyca Omega o niesamowitym talencie muzycznym, żona Charlesa, zabójczyni z wałkiem w ręku.

Dwóór Władcy Nocy

Iacopo (Jacob) Bonarata – aka Oprych, aka Władca Nocy, Pan Mediolanu. Przywódca wampirów w Europie i były kochanek Marsilii. Większy mąciwoda niż Kojot.

Guccio de'Medici – aka Ciacho, dandys z problemem ukąszeniowym i żądzą władzy.

Lenka – piękna, lecz szalona wilczyca, maskotka Bonaraty.

Zanobi – wilkołak, zamordowany towarzysz Lenki.

Ignatio – jeden z trzech wampirów, którzy staranowali i uprowadzili Mercy. Prędzej czy później Adam znajdzie powód, by złożyć mu wizytę.

Stasia – młodziutka, słodka pół- (a może więcej) pradawna uzdrowicielka.

Niki – owca ze świty Bonaraty.

Kucharz – persona budząca lęk.

Annabelle – wampirzyca, służąca.

Wataha wełtawska

Libor – Alfa wełtawskiej watahy.

Martin Zajíc – wilkołak, motocyklista, Drugi Libora.

Jitka – wilkołaczyca, zmysłowa, dominująca Trzecia Libora.

Pavel – wilkołak, były kochanek Jitki, który dał się omotać wampirzycy.

Danek (Dan) – gniewny duch zdrajcy z czasów drugiej wojny światowej.

Chmara Mary

Mary – Pani Chmary.

Kocourek – Pan praskich wampirów.

Iwan Novak – wampir.

Lars – wampir.

Wania – wampir.

Dagmar – wampirzyca.

Weis – wampir przykuty do ściany.

Inni

Golem z Pragi – ożywiony przez rabina Löwa w czasach średniowiecza, żeby chronił żydowską dzielnicę w Pradze, później przez rabina zniszczony (w każdym razie rabin tak sądził).

Strnad – były Pan Chmary w Pradze.

Galina – smutna duszyca.

Jean Chastel – Bestia z Gévaudan, wilkołak, psychol, szczęśliwie nieżyjący!

Postaci historyczne

Reinhard Heydrich – nazista zamordowany podczas drugiej wojny światowej.

Sugar Ray Robinson i Muhammad Ali – ludzie, bokserzy.



Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki: Collinowi Briggsowi, Mike'owi Briggsowi, Lindzie Campbell, Caroline Carson, Dave'owi Carsonowi, Katharinie Carson, Deb Lenz, Ann Peters, Kaye Roberson, Bobowi i Sarze Schwagerom oraz Anne Sowards.

Jak zwykle za wszelkie błędy odpowiadam ja.

SERIA O KATE

DANIELS

Zetknęliście się kiedyś z magią? Taką prawdziwą? Z przygodą, akcją, emocjami, niesamowitymi wydarzeniami i szczyptą szaleństwa?

Chcielibyście tego wszystkiego doświadczyć? To dobrze trafiłście. Fantastyczne książki Ilony Andrews czekają właśnie na was!

M.L. Kossakowska





STEELHOG.PL



**NAJLEPSZE DODATKI
DO FABRYCZNYCH LEKTUR**

COPYRIGHT © 2017 BY Hurog, Inc.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

TYTUŁ ORYGINAŁU Silence Fallen

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-540-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dan Dos Santos

TŁUMACZENIE Dominika Schimscheiner

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

OPRACOWANIE OKŁADKI © Konrad Kućmiński | Grafficon

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

PATRICIA BRIGGS

CZAS CISZY



Patricia Briggs zawsze oddaje czytelnikom ekscytującą, magiczną, baśniową i nieprzewidywalną opowieść. „Czas ciszy” należy do najlepszych.

ERIN WATT, NEW YORK TIMES
AUTORKA BESTSELLEROWEJ
„SERII KRÓLEWSKIEJ”

Napadnięta i porwana na własnym terytorium, Mercy **dostaje się w szpony** potężnego wampira, który zamierza posłużyć się nią jako bronią przeciwko Alfie watahy wilkołaków, Adamowi, oraz przywódczyni wampirów z Tri-Cities. Mercy **udaje się uciec** pod postacią kojota, jednak oto odkrywa, że naga, bez pieniędzy, znalazła się w samym środku Europy...

Nie jest w stanie skontaktować się z Adamem i resztą stada – została **całkowicie sama**. Musi znaleźć sprzymierzeńców, walczyć z wrogiem i odkryć, kto jest kim, a przy tym nie wywołać wojny pomiędzy wampirami i wilkołakami.

TYMCZASEM W SERCU
STAREJ PRAGI BUDZA
SIĘ PRZEDWIECZNE
DUCHY I MOCE...



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

fabrykaslow.com.pl



/fabryka



/fabrykaslow